

William Edmund Barrett

## LEWA RĘKA BOGA

### UWERTURA

Ten duży oddział szpitala misyjnego był przestronną salą ze ścianami pobielonymi i dwoma równymi rzędami łóżek. Jeszcze kilka miesięcy temu łóżek nie wystarczyło, teraz tylko połowę ich zajmowali chorzy. Ci, którzy potrzebowali leczenia, stracili zaufanie do szpitala, niewielu więc chorych przybywało. Na końcu przejścia stało biurko pielęgniarki; gabinetowa lampka ocieniona zielonym kloszem stanowiła jedyne światło w sali. Za biurkiem siedziała pielęgniarka Anne Scott i cierpliwie wyjaśniała właściwości pewnych lekarstw młodej praktykantce Chince.

Robiła to tak często, że mogła udzielać wyjaśnień prawie machinalnie.

To był jeden ze spokojnych wieczorów. Chorzy leżeli cicho, nikt nie jęczał ani nie szlochał, nikt nie chrapał. Panowała w sali jakaś duszna cisza i Anne to odczuwała.

Na biurku stała karafka z przegotowaną wodą - pryzmat, w którym światło załamywało się tęczowo mnogością miniaturowych odbić jej twarzy. Oto tuzin maleńkich panien Scott, blondynek schludnych, wykrochmalonych, urzędowych. Anne, mówiąc zniżonym głosem do służbistej pra-ktykantki, patrzyła na te swoje odbicia. Ostatecznie czemuż by nie miało być ich aż tyle?

Wiele dziewcząt naraz było w Anne; idealistka i realistka, lękliwa i odważna, dziewczyna, która kochała mężczyznę szalenie, i dziewczyna, która skończyła z miłością, rutynowana pielęgniarka, dobra znajoma śmierci, zawsze czujnej w czasie jej pracy, a także wróg śmierci, walczący o życie

7

ludzi jej osobiście obojętnych. Teraz Anne widziała własne twarze tak różne w załamaniach karafki i pomimo wszystko знаła siebie - dramatyzowała siebie trochę,

niezupełnie zadowolona nawet ze swego Wybranego „ja”, bo nie miała nikogo, kto by jej przypominał, że jest kobietą - żadnych widzów do oceny jej możliwości.

Nastrój tego wieczora ciążył jej, a takich wieczorów i nocy było dużo.

Nagle stary Chińczyk w pierwszym łóżku z lewej strony przejścia podniósł chudą rękę, sztywny palec wycelowany w sufit. Już nie zdołałby sięgnąć do dzwonka i tylko podnoszeniem zeszywniałego palca mógł ją przywołać. Odbicia w karafce zniknęły, Anne była znów pielęgniarką. Szybko podeszła do łóżka.

- Jakiś kłopot, Li Kwan?

Ton przybrała lekki, wesoły. Starzec spojrział na nią, zamrugał łzawiącymi oczami. Był niewiarygodnie stary i chory, w myśl wszelkich lekarskich orzeczeń powinien nie żyć już od tygodni, a przecież nie wiadomo czemu, zdawałoby się wbrew logice, wciąż jeszcze żył. Przez długie tygodnie dogorywania tego pacjenta Anne przywiązała się do niego i on, czuła to, przywiązał się do niej. Rozciągnął szerokie bezzębne usta w uśmiechu.

- Ksiądz przyjedzie - powiedział.

Powtarzał to często, ale zawsze ze znakiem zapytania w głosie. Dziś jednak nie pytał. Zabrzmiało to jak rzeczowe stwierdzenie faktu i na jego twarzy malowała się spokojna ufność. Dziewczyna patrzyła przez chwilę zdumiona, potem pogłaskała go po ramieniu.

- Mamy nadzieję, że przyjedzie - powiedziała. - Nam wszystkim ksiądz jest potrzebny, Li Kwan. Zrobić coś dla ciebie?

- Ksiądz przyjedzie dzisiaj.

- Czy ja wiem...

Uporczywość tego twierdzenia wprawiała ją w zakłopotanie. Li Kwan nigdy dotąd nie był taki. Oczami dzisiaj nie zmętniałymi wpatrywał się w nią ze skupieniem, jak gdyby prosząc, żeby uwierzyła.

- Ksiądz przyjedzie zaraz w tym deszczu - powiedział.

On nie może - pomyślała - wiedzieć, że deszcz pada.

Przecież tu w sali ani nie ma okien, ani szmeru tego cichego

deszczu nie słyhać. I pomyślała, że może śmierć, trzymana zbyt długo w szachu, już stoi nad Li Kwanem.

- Zbadam tętno - rzekła.

Ujęła go za kościstą rękę i spojrzała na zegarek. Starzec zamknął oczy, nieomal uśmiechnięty. Naliczyła sto osiemnaście uderzeń i to było w porządku. Od tygodnia jego tętno wahało się w granicach sto dwanaście do stu dwudziestu. Przyjrzała się choremu. Czy śpi teraz, czy nie śpi? Ten Chińczyk jest niezgłębiony, wprost niedorzecznie prosty pod wieloma względami, ale skądinąd zgoła niepojęty. Chrześcijanin niezłomnie wierzący, a jednak to jego ufne oświadczenie, że ksiądz przyjedzie w deszczu, jakoś nasuwa myśl o pogaństwie i dawnych bogach. W istocie Li Kwan nie mógł wiedzieć, nikt nie mógł wiedzieć, i w ogóle przyjazd księdza, zważywszy sytuację, był wysoce nieprawdopodobny, ale tą pielęgniarzką, Amerykanką, jakoś to wstrząsnęło, aż poczuła nieledwie bojaźń. Chociaż miewała do czynienia z przywidzeniami osób bardzo chorych, to było coś innego. Zmarszczyła lekko brwi, ale wróciła do biurka opanowana, znów chłodno i spokojnie urzędowa. Dawno już rozumiała sens starego powiedzenia wojskowego - oficer martwi się samotnie w namiocie, nigdy przy swoich żołnierzach. Na pytające spojrzenie młodej Chinki odpowiedziała krótkim przytaknięciem.

- Będę teraz w laboratorium albo w kancelarii, w razie czego, Celeste - powiedziała.

Potrafiła być autorytatywna i władcza, ale ten zawodowy sposób bycia zostawiła za sobą w sali. Na ciemnym korytarzu jaśniał tylko płomyk czerwonej lampki oliwnej przed krucyfiksem. Zatrzymała się i popatrzyła na postać cierpliwego, umęczonego Chrystusa dziwnie żywą w płasających cieniach.

Powoli z rękami złożonymi do modlitwy uklękła na klęczniku. Krzyż był dla niej symbolem Boga Wszechmocnego, Stworzyciela nieba i ziemi, Odkupiciela świata. Za postacią na krzyżu kryła się napawająca bo jaźnią tajemnica Trójcy, której ona ani nie pojmowała, ani nie starała się pojąć, ale w którą pokornie wierzyła, bo patrzyła już na wiele narodzin i zgonów, i chociaż tych tajemnic też nie pojmowała, to jednak

wiedziała, że człowiek rodzi się i umiera i tak być musi.

9

Wpatrzona w krucyfiks odmówiła modlitwę. Była katoliczką, ale trzymała krucyfiks dla umierających zarówno katolików jak i protestantów. Krzyż to powszechny symbol chrześcijaństwa. Z całego serca teraz modliła się za Li Kwana, prosiła Boga, żeby Li Kwan ,nie mylił się do przyjazdu księdza. Czegoś zasadniczego brak misji pozbawionej księdza, szczególnie misji tutaj. Chińczycy, raz nawróceni, nabierają zaufania do wszystkiego, co misja popiera, ale gdy nie ma księdza, zaczynają wątpić. Chociaż przyjmują, że leczenie szpitalne jest sposobem, w jaki Bóg przynosi im ulgę w ich chorobach, lękają się szpitala. Bez księdza misja jest niczym, nie jest nawet szpitalem funkcjonującym należycie.

Anne Scott modliła się z pełnym tego zrozumieniem. Z natury prosta i bezpośrednia, wierzyła w Boga też po prostu. Nie uważała się za istotę silną, liczyła jednak na to, że siła spłynie na nią w razie potrzeby. I, o dziwo, zawsze tak było.

Po pięciu minutach wstała z klęczek. Za zakrętem korytarza, biegnącego przez skrzydło wschodnie, zobaczyła krechę nikłego światła pod drzwiami laboratorium. Jeszcze wahając się, zapukała. Potem czekała dość długo, zanim usłyszała szorstki głos:

- Proszę!

Doktor David Sigman siedział okrakiem na wysokim stołku przy stole laboratoryjnym. Miał przed sobą w ramce sześć probówek z różnokolorowymi cieczami i strzykawkę napełnioną jakimś ciemnoczerwonym płynem. Bardzo uważnie wstrzykiwał do każdej z probówek po dwie krople tej czerwieni. Anne Scott cierpliwie czekając przyglądała mu się.

Jego twarz szeroka, gąbczasta, wyglądała zawsze jak nie ogolona, nawet gdy się ogolił przed chwilą. Ciemne, gęste włosy siwiały mu nad uszami i rzędy na ciemieniu. Nosił okulary w szylkretowej oprawie. Nos miał mięsisty, wydatny. Usta szerokie i duże zęby. Mocno zbudowany, sprawiał wrażenie brutala stworzonego do ciężkiej pracy fizycznej, ale ręce miał piękne, palce długie, zręczne i wprawne. Wydawało się, że całą duszę wkłada w swoje palce i w to, co nimi robi.

Po wstrzyknięciu ostatniej kropli do ostatniej probówki odłożył strzykawkę, igłę owinał wilgotną watą. Można by myśleć, że nie zauważył wejścia pielęgniarki, a przecież

10

Wpatrzona w krucyfiks odmówiła modlitwę. Była katoliczką, ale trzymała krucyfiks dla umierających zarówno katolików jak i protestantów. Krzyż to powszechny symbol chrześcijaństwa. Z całego serca teraz modliła się za Li Kwana, prosiła Boga, żeby Li Kwan nie mylił się co do przyjazdu księdza. Czegoś zasadniczego brak misji pozbawionej księdza, szczególnie misji tutaj. Chińczycy, raz nawróceni, nabierają zaufania do wszystkiego, co misja popiera, ale gdy nie ma księdza, zaczynają wątpić. Chociaż przyjmują, że leczenie szpitalne jest sposobem, w jaki Bóg przynosi im ulgę w ich chorobach, lękają się szpitala. Bez księdza misja jest niczym, nie jest nawet szpitalem funkcjonującym należycie.

Anne Scott modliła się z pełnym tego zrozumieniem. Z natury prosta i bezpośrednia, wierzyła w Boga też po prostu. Nie uważała się za istotę silną, liczyła jednak na to, że siła spłynie na nią w razie potrzeby. I, o dziwo, zawsze tak było.

Po pięciu minutach wstała z klęczek. Za zakrętem korytarza, biegnącego przez skrzydło wschodnie, zobaczyła krechę nikłego światła pod drzwiami laboratorium. Jeszcze wahając się, zapukała. Potem czekała dość długo, zanim usłyszała szorstki głos:

- Proszę!

Doktor David Sigman siedział okrakiem na wysokim stołku przy stole laboratoryjnym. Miał przed sobą w ramce sześć probówek z różnokolorowymi cieczami i strzykawkę napełnioną jakimś ciemnoczerwonym płynem. Bardzo uważnie wstrzykiwał do każdej z probówek po dwie krople tej czerwieni. Anne Scott cierpliwie czekając przyglądała mu się.

Jego twarz szeroka, gąbczasta, wyglądała zawsze jak nie ogolona, nawet gdy się ogolił przed chwilą. Ciemne, gęste włosy siwiały mu nad uszami i rzędy na ciemieniu. Nosił okulary w szylkretowej oprawie. Nos miał mięsisty, wydatny. Usta szerokie i duże zęby. Mocno zbudowany, sprawiał wrażenie brutala stworzonego do

ciężkiej pracy fizycznej, ale ręce miał piękne, palce długie, zręczne i wprawne.

Wydawało się, że całą duszę wkłada w swoje palce i w to, co nimi robi.

Po wstrzyknięciu ostatniej kropli do ostatniej probówki odłożył strzykawkę, igłę owinał wilgotną watą. Można by myśleć, że nie zauważył wejścia pielęgniarki, a przecież

10

odezwał się do niej teraz tak, jakby uczestniczyła w jego pracy, a nie przeszkodziła mu.

- Chińska krew to coś zdumiewającego, Scotty - powiedział. - Kropelka krwi najędźniejszego kulisa wykazuje odporność na choroby wręcz niesłychaną. - Spojrzał na nią, unosząc brew. - Co tam, siostró?

- Li Kwan.

- Umarł?

- Nie, zaczyna mieć wizje.

- Tym lepiej dla niego. Ma prawo do odrobiny przyjemności.

Anne uśmiechnęła się. Lubiła doktora Sigmana w takim nastroju. Zwykle był małomówny, cięty, wymagający i niegrzeczny. Przypuszczała, że w innych okolicznościach mógłby być człowiekiem towarzyskim, nastawionym filozoficznie, dobrym kompanem, ale coś w jego życiu - czy przypadkiem nie owo coś, co przywiodło go do Azji? - uczyniło go ponurym i nieobliczalnym, wpadającym raptownie we wściekłość, bądź równie niemile kąśliwym i sarkastycznym. W ten wieczór najwidoczniej doświadczenia w laboratorium poszły mu dobrze.

- Li Kwan upiera się, że ksiądz dziś przyjedzie - powiedziała. - Widzi, jak ksiądz jedzie w deszczu. Dziwna rzecz, ale rzeczywiście deszcz pada. Li Kwan przecież nie może o tym wiedzieć.

- Niewykluczone, że może. Stawy ma dość wrażliwe, żeby to odczuwać.

W zadumie doktor popatrzył na probówki i dwoma palcami sięgnął do kieszeni swej pasiastej sportowej koszuli. Gdy rozchylił przy tym biały kitel, widać było lekką wypukłość jego brzucha nad paskiem spodni. Pogrzebał palcami w kieszeni i wyciągnął papierosa. Anne, chociaż zakłopotana, nie dała się zbyć.

- Przepraszam, panie doktorze. Nie powinnam była przeszkadzać panu, ale ogarnęło mnie jakieś dziwne uczucie. Li Kwana tylko jedno trzyma przy życiu. Czekanie na przyjazd księdza. Kto wie, może to telepatia. On czuje, że chodzi o jego duszę nieśmiertelną, więc...

Doktor Sigman z uśmiechem przerwał pielęgniarce w połowie zdania.

11

- No, no, Scotty - powiedział. - Zajmujmy się tylko faktami. Li Kwan to piękny przykład przetrwania słabych. Przyjemnie mi będzie robić sekcję jego zwłok. Ale niech mi siostra nie mówi, że mam go traktować jako duszę nieśmiertelną.

- Przecież on jest duszą nieśmiertelną.

Pielęgniarka zarumieniła się, speszona swoją lekkomyślnością. Oto stoi w laboratorium doktora Sigmana, w laboratorium, które jest świątynią wiedzy. Doktor Sigman nigdy nie przekracza granicy oddzielającej laboratorium od szerszej działalności misji i przecież jej nie wolno tu przybiegać z byle czym. Ale doktor uśmiechnął się pobłażliwie i machnął ręką.

- W porządku, Scotty. Jeżeli Li Kwan wyczaruje jakiegoś księdza, doskonale. Jeżeli nie wyczaruje, też nie będziemy mieli do niego pretensji. Niech siostra krąży przy jego łóżku i zanotuje znamienne ostatnie słowa, jakie on może powie. Sięgnął po jedną z probówek. Anne przygryzła wargę. Zrobiło jej się głupio, a to gorsze poniekąd niż otrzymanie nagany.

- Chyba poniosła mnie kobieca intuicja, panie doktorze - powiedziała. - Proszę mi wybaczyć.

- Oczywiście. Niech siostra spróbuje leczyć się aspiryną.

Doktor Sigman, już znowu zafascynowany swymi probówkami, nawet nie podniósł wzroku. Anne wyszła ze świątyni wiedzy na ciemny, cichy korytarz. Za rogiem korytarza był ten duży krucyfiks z palącą się lampką oliwną: inny świat, inna wiedza. Przez chwilę stała po ciemku myśląc o doktorze Sigmanie.

Tak często przy nim czuła się nedorzeczną. Mało przejawiał zainteresowania, a jeszcze mniej wiary wobec rzeczy nienamacalnych. Pracował w misji katolickiej, ale katolikiem nie był. Nie obchodziły go ani sprawy kościoła stojącego na skraju terenu

misji, ani dusze tych wiernych. W szpitalu byli oni organizmami podlegającymi prawom fizycznym, ciałami do otwierania skalpelem, krwią do analizy w laboratorium. Pielęgniarka, która pracowała z doktorem Sigmanem i szanowała go, a jednocześnie była katoliczką wierzącą w tajemnice, mogła przeżywać chwile dezorientacji i niepewności. Właśnie taką chwilę Anne Scott przeżywała teraz, więc

12  
wolała jeszcze nie wracać w ciszę sali szpitalnej, nie widzieć Li Kwana. Skierowała się z korytarza do kancelarii, która, służąc jako pomieszczenie administracji szpitala, jednocześnie stanowiła przystań dla pielęgniarek w czasie nocnych dyżurów.

Lampa na biurku paliła się. Beryl Sigman w foteliku obrotowym siedziała nad rozłożonymi księgami i formularzami. Beryl, żona doktora Sigmana, była księgową misji, opiekunką sierocińca, dyrektorką szkoły pielęgniarek. Gdy drzwi skrzypnęły, zaskoczona podniosła wzrok na wchodzącą Anne, przyjrzała się twarzy tej młodszej od niej kobiety i rzuciła wieczne pióro na biurko.

- Cześć - powiedziała. - Co słyszę? Jakież kłopoty?

Anne potrząsnęła głową.

- Właściwie nie. Tylko że przed chwilą okropnie się wygłupiłam.

- Opowiedz. - Beryl odchyliła się od biurka. Głos miała obojętny, ale w ciemnych oczach czujność. - W tej piekielnej dziurze byłoby rzeczywiście znośniej, gdyby kobiety od czasu do czasu mogły się powygłupiać. Mnie tego brak.

- Mnie brak nie tylko tego. Ale mówimy o dwóch różnych sprawach.

Anne usiadła w nadmiernie wypchanym fotelu. Zsunęła pantofel z lewej nogi, roztarła sobie podbicie i marszcząc czoło popatrzyła gdzieś w pustkę na drugim końcu kancelarii.

- Wtargnęłam do doktora, żeby powiedzieć mu o wizji, jaką ma Li Kwan.

Beryl uniosła brwi.

- Ręczę, że Dave był zafrapowany.

- Niezupełnie. Ale potraktował mnie grzecznie.

- To dobrze. Jestem z niego dumna. Co to za wizja?

Anne opowiedziała. Li Kwan nie był jej obojętny, ponieważ



dała się wciągnąć emocjonalnie w tę jego beznadziejną walkę. Połączyło ich jakieś koleżeństwo i w jego starczych oczach widziała dziwne zdumienie - rozbawienie także, jak gdyby śmieszyło go to, że ona wkłada tyle wysiłku w przedłużanie mu życia. Zresztą sama, walcząc u jego boku, ilekroć o tym myślała, uznawała absurdalność owych starań. W momentach zastanawiania się nad sobą gardziła tym, co nazywała sentymentalizmem, i nawet nie próbowała sprecyzować, dlaczego jej sentymentalizm ma być godny pogardy. W ten wieczór

13

jednak nie rozumowała. Opowiadała Beryl o Li Kwaniu z bezwiednym wzruszeniem.

- Wyczuwam w nim coś dziwnego, Beryl - zakończyła. - Był taki pewny swego. Aż bpję się tam wrócić. Boję się, że kiedy wrócę, on już nie będzie żył.

- I tak żyje dłużej, niż wszystko na to wskazywało.

- Ja wiem. Ale on zasługuje, żeby wygrać walkę ze śmiercią, Beryl. Ma po prostu bezgraniczną wiarę. Trzyma się przy życiu, bo nie chce umrzeć bez księdza. Jeżeli przetrwa i jeżeli nie myli się co do przyjazdu księdza właśnie dzisiaj, a przecież w żaden ludzki sposób nie może tego wiedzieć, to będzie niepojęte, Beryl. Sama myśl o tym mnie przeraża.

Beryl potrząsnęła głową. Dwie kobiety, które żyją razem w odosobnieniu daleko od świata, daleko od innych kobiet ze swojego środowiska, uczą się pobłażać sobie nawzajem w zdenerwowaniu. W ten deszczowy wieczór Beryl czuła, jak ciarki przebiegają jej po krzyżu: sama miała nerwy napięte.

- Słuchaj - rzekła - bądź realistką. On to powtarza już od tygodni. Dzisiaj mówi innym tonem. Dobrze. Może musi bardziej wysilać słabnący głos. Nie masz się czym przejmować. Jeżeli ksiądz przyjedzie, to bardzo dobrze. Przecież spodziewamy się jego przyjazdu i kiedyś będzie musiał tu dojechać.

Z pudełka na biurku wyjęła papierosa, obróciła go w swych smukłych palcach i zapaliła powoli. Ciemnymi, wyrazistymi oczami ze skupieniem popatrzyła na Anne.

- Nie ma żadnych cudów - powiedziała cicho.

- To zupełnie tak samo, jak by się mówiło, że nie ma Boga.

- Wcale nie tak samo.

Zmierzyły się wzrokiem. Różnica wyznań rzadko kiedy wpływała w rozmowie. Beryl była żoną Davida Sigmana, wierzyła w to, w co on wierzył, ale częściej niż on przyjmowała i badała cudze poglądy. David Sigman trzymał się stanowczo pewników, które znał, a wszelkie domysły uważał za stratę czasu. Beryl zagłębiała się w argumenty i od czasu do czasu dyskutowała. Miała przekonania religijne i uświadamiała sobie istnienie Boga, nigdy jednak tego nie precyzowała w najbardziej zagorzałych dyskusjach.

14

- Były silne drgania w eterze - powiedziała - jeszcze zanim ktokolwiek zbudował aparat radiowy, żeby je łapać, a radio to przecież nie cud. Dave ocala chorą życie co dzień nowymi sposobami, których nie znano jeszcze kilka lat temu. A przecież Dave nie czyni cudów.

- Bóg czyni.

- Możliwe. Ale Bóg używa do tego ludzi. I czemuż by nie? Ma ich tyle. Anne potrząsnęła głową. Ona nie filozofowała. Istnienie Boga było dla niej tak rzeczywiste jak jej własne istnienie i nie wymagała, żeby Stworzyciel świata wyjaśniał sobie jej, niemądrej. Na swój sposób podchodziła do wszystkiego nie mniej bezpośrednio niż David Sigman. Dla niej sprawą konkretną była wiara i dowodów ani nie szukała, ani nie potrzebowała. Bóg oddycha nad światem, który stworzył, i Jego tchnienie jest łaską; człowiek z łaski Boga wznosi się ponad swoje ograniczenia i niedoskonałość. To jej wystarczało, żeby wierzyć tak, jak wierzyła, a do przekonywania innych nie czuła się zdolna.

- Ja nie wiem, Beryl - powiedziała. -. Nie wiem.

Wstała i zaczęła spacerować po kancelarii, nie pamiętając, że na jednej nodze nie ma pantofla. Kuśtykała raczej, ale tego też sobie nie uświadamiała. Beryl przyglądała się jej ze współczuciem.

- Proszę, weź papierosa - rzekła. - To ta piekielna noc i szmer tego deszczu tak na ciebie podziałały. Ja sama, zanim tu przyszłaś, byłam już gotowa robić wycinanki z tych cholernych kart zdrowia.

Anne otrząsnęła się.

- Brr... Powinnaś była mi powiedzieć. - Sięgnęła po papierosa. - Przecież bym ci pomogła, zamiast się tu rozklejać.

Usiadła znowu. Beryl kołysała się w foteliku, zapatrzona teraz w akwafortę na ścianie naprzeciwko biurka, przedstawiającą Plac Waszyngtona w Nowym Jorku.

- Czasami - powiedziała - zastanawiam się, co bym odczuwała, gdybym szła znów Piątą Aleją. To gorsze, niż przejmować się widzeniami Chińczyków. - Spojrzała Anne prosto w oczy. - Ale z nas idiotki, co?

Anne przytaknęła. To było pytanie retoryczne. Kobieta

15

z pewnością jest idiotką, jeżeli zrezygnuje choćby z jednego krótkiego roku swojej młodości - przecież lat, w ciągu których może dopełnić się jej przeznaczenie, jest tak niewiele. Beryl złożyła formularze i zamknęła książki. Zabrała z biurka wieczne pióro.

- Mam nadzieję, że temu starszemu dobrze się przywidziało - rzekła. - Mam nadzieję, że ksiądz tu przyjedzie. Nikt z nas ostatnio nie ma dostatecznie dużo do roboty. Dave'a to doprowadza do szału. On uważa, że się marnuje... i marnuje się naprawdę. Prawie nie można z nim wytrzymać... Kręci się po domu tam i z powrotem przez połowę nocy, zamiast spać.

Anne wsunęła nogę w pantofel. Już na nowo wzięła się w karby. Nie tylko Dave Sigman - pomyślała - bliski jest załamania.

Istotnie duch misji bardzo osłabł, odkąd dwaj księża, kolejno do niej przydzieleni, umarli w ciągu jednego miesiąca. Dave Sigman cieszył się autorytetem, ale autorytet lekarza to w misji jeszcze nie wszystko. Anne widziała w tym udowodnienie jakiejś racji - racji, której nie umiała wyrazić słowami.

Beryl wypaliła papierosa, zgmiotła niedopałek w metalowej popielniczce.

- Ten ksiądz, kiedy rzeczywiście przyjedzie, o ile przyjedzie w ogóle - powiedziała - będzie miał kłopot z Dave'em. Na to wyraźnie się zapowiada, Anne.

- Ale dlaczego? Dlaczego miałby mieć z doktorem kłopot?

Beryl podniosła głowę.

- Prosta sprawa ostatecznie. Statki handlowe od dawna już nie przyplývają. Pomiędzy nami i wybrzeżem wojsko. Nie wiemy, co się dzieje. Może jesteśmy

odcięci. Dave chce zamknąć misję.

Anne rozwarła oczy szeroko.

- Nie możemy tego zrobić - powiedziała. - Co by się wtedy stało ze wszystkimi naszymi ludźmi?

- Logiczniej zapytać, co się stanie z nami. - Pulchne wargi Beryl wygiął drwiący uśmiech. - Byłoby ironią losu, gdybyśmy, Dave i ja, zostali świętymi męczennikami... musisz to przyznać! I finezji tej ironii Dave by nie ocenił. On nie pozwala kpić z siebie.

Anne westchnęła i wstała.

- To jest inne zmartwienie - rzekła. - I wolę o tym nie

16

myśleć. Modlę się tylko o jedno. Żeby ksiądz przyjechał. Ksiądz będzie wiedział, jak rozwiązać te problemy.

- Miejmy nadzieję. Będzie musiał być mądry i taktowny. I kiedy tylko Li Kwan... powiedz mi.

- Dobrze.

Popatrzyły sobie w oczy, a potem odwróciły wzrok zakłopotane tym, że ujrzały ową zażyłą znajomość siebie nawzajem niepożądaną, a przecież nieuniknioną. Zawsze dwie kobiety żyjące tak blisko jak one wiedzą za dużo

o sobie, o swej sile i słabostkach, o swej uczciwości i krętactwie. Żadna z nich nie chciała pozostawać na tej placówce odciętej od świata, ale obie wiedziały, że istnieją więzy obowiązku. Beryl przekazała podjęcie decyzji mężowi, Anne zwlekała w nadziei, że zdecyduje za nią ktoś inny, ten oczekiwany ksiądz. Ową wzajemną znajomość siebie komplikowała znajomość własnego ja, więc powstało między nimi uczucie skrepowania, ponad którym przerzuciły sztuczny most. Beryl w gruncie rzeczy nie obchodziło, kiedy Li Kwan umrze, Anne wiedziała, że w razie jego śmierci tej nocy nie zawiadomiłaby Beryl aż do rana, a przecież z tym się rozstały. To był doprawdy łatwy sposób.

Na końcu korytarza jedne z drzwi prowadziły na dziedziniec. Anne otworzyła je i stanęła w deszczu niczym w cienkiej mgiele. Ta szara wilgoć, rozwieszona nad

ziemią, kapiała z obelkowania drzwi na chodnik, chrobocząc jak kroczi bardzo małych myszy. Dwie latarnie po bokach głównej bramy dziedzińca były ledwie widoczne.

To nie miejsce - pomyślała Anne - dla białej kobiety

1        tylko ciężka praca czyni je znośnym. Beryl jednakże ma lepszą część, jeśli w ogóle może tu być jakaś lepsza część. Beryl ma ten jedyny zdrowy kobiecy powód, żeby żyć byle gdzie, robić byle co, znosić wszystko... ma mężczyznę, z którym dzieli życie i dla którego jest kimś ważnym.

Przez pięć długich minut dziewczyna w wykrochmalonym białym kitlu pielęgniarki stała na progu i patrzyła w stronę tych zamglonych latarni. Potem wróciła do sali.

Jeszcze trzy razy w ciągu nocy tak podchodziła do drzwi wyjściowych, żeby wypatrywać...

2 — Lewa ręka 1

## CZEŚĆ PIERWSZA

### MEŻCZYŻNA

1

Losy misji spoczęły w rękach pewnego brodatego Amerykanina jadącego w głąb doliny Huo Jen na tydzień przed owym wieczorem, gdy Li Kwan w misyjnym szpitalu ujrzał swoją wizję. Ów Amerykanin nie miał o tym pojęcia i jeśli nawet wiedział kiedykolwiek o istnieniu tej misyjnej placówki, to zapomniał już o niej, jak zapomniał o wielu innych rzeczach. Nazywał się Jim Carmody i dowodził oddziałem konnym. To nie było życie, to nie była kariera, ale jakoś mogło się tak bytować z dnia na dzień.

Oddział konny rozciągał się na pół mili, pół mili wytrzymałych kuców chińskich, wytrzymałych osłów i jeszcze bardziej wytrzymałych ludzi. Jeźdźcy uzbrojeni w karabiny, przyodziani w jakie się dało kurtki powietrznych sił zbrojnych, to byli Chińczycy muzułmanie. Za nimi poganiacze mułów byli jakaś tam sobie zbieraniną ubraną w waciaki. Na czele kolumny jechał wyprostowany wysoki, brodaty

Amerykanin w wojskowej chińskiej czapce z daszkiem, przekrzywionej niedbale na bakier. Twarz o mocnych rysach miał tak samo obojętną jak twarze tych żołnierzy jadących za nim, oczy równie cierpliwe. Juczny oddział przebywa niewiele mil dziennie - jeżeli się jedzie dostatecznie długo, ostatecznie dociera się do celu.

Rachunek prosty i z chwilą, gdy człowiek już się tego nauczy, nie ma miejsca na niecierpliwość.

Z obu stron wąskiego szlaku wznosiły się góry, pionowe, brzydkie skały, na których nie utrzymałaby się żadna roślinność. Niebo jaśniało bladym błękitem, bezchmurne i dalekie.

19

Kiedyś Jim Carmody latał po tym błękitnym niebie, przemierzając większą odległość przez godzinę, niż teraz zdołałby przejechać przez trzy tygodnie. Nie miał wtedy brody, był impulsywny i zupełnie pozbawiony cierpliwości. Wspominał tamte czasy chwilami, ale nieczęsto, bo i cóż by mu przyszło ze wspomnień?

Miał teraz trzydzieści lat. Wtedy był znacznie młodszy. Pracował jako pilot samolotu DC-3 na powietrznym szlaku birmańskim - trasie ponad Wzgórzami Naga do Kunming. Ale wybuchła wojna i ostatecznie to się skończyło. Po wojnie wrócił do kraju i dowiedział się, że jego dziewczyna jest już zamężna. Więc wiosną przyjechał z powrotem, żeby znów latać na chińskich DC-3. Pewnego dnia wskutek defektu silnika musiał wyskoczyć nad tymi górami. Okropnie rozbitego znaleźli go żołnierze Mieh Janga, ale tego też raczej nie wspominał. Przeszłość to posiłek już zjedzony, przyszłość - jeszcze do zjedzenia - to ryż, którym się żyje, widząc przed sobą tylko następną godzinę.

Wjeżdżali wolno pod górę szlakiem zakręcającym wśród skalistych ścian, poszarpanych i ciasnych. Nie zaznaczało się żadne wzniesienie, nie było ani przez chwilę wspaniałego widoku z tej wysokości, tylko niedostrzegalnie, w miarę jak minuta przechodziła w następną minutę, wspinaczka stawała się coraz mniej stroma, szlak lekko się poszerzał, konie posuwały się odrobinę szybciej. Hen w dole, z prawej strony, rzeka o siedmiu nazwach rycząc pędziła szeregiem wodospadów wielkich i małych na spotkanie z innymi rzekami płynącymi na wschód od tego

wysokiego szlaku. Gdyby ktoś w ogóle patrzył na nią, wydawałaby się jednak wstęgą z niebieskozielonego celofanu, nieruchomą. Tylko że nikt nie patrzył.

Błękit zniknął z nieba, cienie padały ostro, gdy szlak, teraz znów coraz bardziej stromy, wiódł z wyżyn na dno doliny. Nie zmierzchało, po prostu jasność zgasła i nagle zrobiło się zupełnie ciemno, jak gdyby zdmuchnięto świecę. Latarnie z lewej strony zabłyśły i Carmody poruszył ramionami, strząsając z siebie całodzienne zmęczenie. Powietrze już przesyciły zapachy ludzkiej siedziby. Czuł, jak jego wierzchowiec drży z radości. Dojeżdżali do domu.

Domem był stojący od wieków klasztor łamów, w którym

20

kiedyś mieszkało kilkuset mnichów - rzędy kamiennych pomieszczeń wykutych w skale i wznoszących się tarasami na wysokość dobrych pięciuset stóp od szlaku. Wąska spiralna dróżka biegła pod górę do klasztornej wieży. Wewnątrz zawiała sieć korytarzy i kamiennych schodów łączyła poszczególne części klasztoru. Cierpliwe mrówki ze swym ślepym instynktem architektonicznym, będąc stworzeniami o niższym poziomie inteligencji, budują sobie mrowiska - podobna cierpliwość, podobny instynkt i długie stulecia pracy złożyły się na tę oto budowlę. Garstka mnichów buddyjskich, spadkobierców jej tradycji, nadal zajmowała część klasztoru, ale całość służyła celom bardziej praktycznym jako warowna kwatera Mieh Janga, niezależnego zarządcy wojskowego.

Carmody wjechał w szeroką bramę i sztywno zsiadł z muła, którym natychmiast zajął się stajenny. Sześciokątne latarnie na słupach o wysokości ośmiu stóp rzucały sine światło na wielki dziedziniec i jak mgła ponad zamętem ludzi i zwierząt wisiał ciężki amoniakalny zaduch. Żołnierze z karabinami zsuwali się z siodła już w bramie, pozostawiając wierzchowce chłopcom ze stajni. To była jedna z owych chwil, gdy dyscyplina załamuje się i ci, którzy walczą, folgują sobie w okazywaniu wyższości nad tymi, którzy pracują.

Przez dziedziniec przebiegał bosy stajenny z ustami rozchylonymi, z postronkiem w ręce. Zamachnął się tym postronkiem, tak czymś zaabsorbowany, że zobaczył Carmody'ego za późno. Postronek zatoczył szeroki łuk, musnął Carmody'ego w ramię i

przesunął się lekko po daszku jego czapki tuż nad oczami. Stajenny, obnażony do pasa, żółto-skóry, dosyć otyły, znieruchomiał, całym ciężarem wsparty na wyprężonej pięcie, która odegrała rolę hamulca. Podniósł wzrok pełen zgrozy i w tym samym momencie poczuł siłę pięści Carmody'ego.

Upadł, a Carmody nawet nie spojrzął na powalonego. Prawą ręką odruchowo naprostował daszek czapki i odszedł od bramy powoli, swobodnym, chępliwym krokiem jeźdźca wreszcie mogącego przejść się po długich godzinach spędzonych w siodle. Ten człowiek na ziemi to był incydent, niewart nawet przelotnej myśli. Został uderzony tak, jak się tego spodziewał, i Carmody załatwił to samą pięścią, nieomal

21

1

bezwiednie. Sprawa wyłącznie autorytetu, a nie dyscypliny czy kary. Pod swoim dowództwem miał żołnierzy z nożami szybszymi niż kaliber czterdzieści pięć u jego paska, ale dowódca przecież nie walczy z podwładnymi bronią ani podwładni wobec dowódcy do broni się nie uciekają. Sekret leży w określeniu władzy stanowczo i raz na zawsze, po czym w zaznaczaniu jej, ilekroć sytuacja tego wymaga. Ów stajenny leżący na ziemi był lekcją pogładową, dowodem, że racja musi być po stronie Carmody'ego i że Carmody zdolny jest każdego, kto nie ma racji, powalić. Tylko tyle. Przeciwnie brama w murze zgiełkliwego zewnętrznego dziedzińca prowadziła na dziedziniec wewnętrzny, klasztorne cichy. U stóp dróżki, która wiła się pod górę, czekały rzędem lektyki i Carmody wsiadł do najbliższej, prawie nie widząc, jak kulisi raptownie stają na baczność. W Stanach Zjednoczonych człowiek wsiada do windy i cóż go obchodzi mechanizm, umożliwiający mu dostanie się tam, dokąd wspinaczka by go zmęczyła. Tutaj Carmody też nie baczył na ten mechanizm ludzki. Kulisi podnieśli drążki i żwawo ruszyli pod górę, uważając, żeby lektyka się nie przechyliła. Carmody rozparty siedział na poduszkach.

Ekspedycja, z której wrócił, trwała trzy tygodnie. Poniekąd rad był z powrotu.

Doznawał jednakże sprzecznych uczuć tak względnych, jak koncepcja czasu. Trzy lata życia spędził w służbie Mieh Janga. W pierwszym roku nie odczuwał ani zadowolenia, ani niezadowolenia; zanadto pochłaniało go trzymanie się życia,



odzyskiwanie władzy w pogruchotanym ciele. Drugi rok przeleciał dosyć szybko, ponieważ on miał, czy też wydawało mu się, że ma, cel. Teraz w trzecim roku zaczynało go dręczyć niejasne przeczucie niebezpieczeństwa - i to nie fizycznego. Lektyka delikatnie zatrzymała się, kulisi stali cierpliwie, dysząc. Carmody wysiadł i z wewnętrznego dziedzińca tuż przed szczytem klasztoru patrzył przez chwilę w dolinę. Światełka maleńkie jak główki szpilek znaczyły położenie głównej bramy i tamten pierwszy, ogromny dziedziniec, na którym przypuszczalnie jeszcze się kłębili ludzie i zwierzęta. Za doliną ciemniało niebo z trzema jasno świecącymi gwiazdami i z ciemniejszą niż ono czarną masą gór.

To było piękne. Ale też to było największe więzienie

22

świata, więzienie pełne nieba i świeżego powietrza, jednakże obwarowane odległościami wprost zawrotnymi. Carmody potrząsnął głową i wszedł do klasztoru. Sekretariat był salą, jak każde inne pomieszczenie tutaj, kwadratową.

Budownicowie, od dawna już spoczywający gdzieś w prochu cmentarzy, żywili nie wiadomo dlaczego odrazę do prostokątów i dowody owej odrazy ich przeżyły. Na kamiennym palenisku pod zachodnią ścianą tej sali paliła się jedna jedyna kłoda. We wszystkich czterech kątach stały w zakopconych wnękach mosiężne latarnie. Przy nowoczesnym biurku, postawionym w odległości sześciu stóp od ściany wschodniej, siedziała w blasku lampy naftowej z zielonym kloszem dziewczyna. Podniosła oczy, gdy Carmody wszedł, uśmiechnęła się i upuściła na blat biurka wieczne pióro, które głośno przy tym stuknęło.

- Halo, Cortez! - powiedziała.

To był jej zwykły żart i możliwe, że popis. Niewiele Chinek słyszało o Cortezie, a jeszcze mniej by sobie o nim przypominało patrząc na tego wysokiego, ogorzałego i brodatego Amerykanina. Carmody zdjął czapkę i rzucił na jedno z krzeseł.

- Halo, Mary Yin! - odpowiedział.

Przeszedł przez salę z niedbałą swobodą, chociaż wcale teraz nie czuł się swobodnie, i usiadł na czarnym mahoniowym krześle z czerwoną poduszką skórzaną, prostując nogi przed sobą. Jego angielskie buty do konnej jazdy pokrywała gruba warstwa

kurzu ze szlaku. Kurz pokrywał też grubo brązową skórzaną kurtkę, a bryczesy z wełnianego diagonalu były rozdarte na długość dwóch cali. Ciemne włosy miał potargane, pot małymi strużkami pozłobił zabrudzoną twarz.

Mary Yin odchyliła się w foteliku obrotowym, młodszym chyba o dwieście lat co najmniej od krzesła, na którym siedział Carmody. Jej białą jedwabną bluzkę zdobiły trzy złote strzałki przy dekolcie, złote kolczyki były miniaturowymi krótkich zakrzywionych szabel. Miała twarz w kształcie serca, cerę jasną, o barwie kości słoniowej. O tym, że w jej żyłach płynie krew białych, świadczyły usta łagodnie zarysowane i wyraz szczerości - bez zuchwalstwa - w oczach. Rudawe włosy miała luźno upięte.

- Cortez, tutaj tak smutno - rzekła. - Nie ma kto śpiewać.

- Co z radiem?

23

- Wiadomo. Brak baterii.

Carmody przytaknął. To był zwykły stan rzeczy. Mieh Jang posiadał pół tuzina aparatów radiowych - łup z tej prawie już zapomnianej kopalni złota, jaką stanowiły dostawy przewożone Drogą Birmańską w czasie wojny - ale nikt w całym klasztorze, nawet sam Mieh Jangj nigdy nie miał przyjemności włączyć żadnego z tych aparatów. Trudno było o odpowiednie baterie.

- Nie bardzo mi się chce śpiewać teraz. Natomiast zapaliłbym. Zgubiłem papierosy, kiedyśmy przejeżdżali przez rzekę.

- Dobrze. Da się zrobić.

Mary Yin uśmiechnęła się i drobniutkie zmarszczki utworzyły się przy jej zmrużonych skośnych oczach. Wstała od biurka. Carmody patrzył na nią, gdy szła. Miała tylko nieco powyżej pięciu stóp wzrostu i była prześlicznie filigranowa. W złocistych sandałkach i spodniach z granatowego jedwabiu wyglądała skromnie i zarazem uwodzicielsko. Odwróciła się od jednej z szafek trzymając karton papierosów amerykańskich i zaskoczyła go tym. Stała przez chwilę upozowana, z oczami błyszczącymi rozbawieniem, jak gdyby czytała w jego myślach, a potem parsknęła śmiechem.

Carmody zaczerwienił się. Poczuł żar tego rumieńca bijący mu z szyi na twarz. W ciągu trzech lat u Mieh Janga zdecydowanie starał się nie widzieć wdzięków Chinek, nie widzieć bezwstydnego zmysłowości wokoło. Ale teraz był świadom urody Mary Yin i ona wiedziała o tym. Przyjął od niej karton papierosów.

- Dziękuję - burknął i powoli, ceremonialnie zaczął go otwierać.

Włożył papierosa do ust i podniósł wzrok. Mary Yin wyciągnęła smukłą rękę. Musiał wstać, żeby poczęstować ją papierosem, i pochylił się nad nią, żeby podać ogień.

Włosy Mary Yin pachniały lekko, a przecież drażniąco, ale nie pochylił się niżej. Z trudem oparł się odruchowi - w tych stronach niewiele było rzeczy, które chciałby wąchać.

Mary Yin zaciągnęła się i wypuściła dym dwiema smużkami z nozdrzy, swobodna, życzliwa, jak najbardziej nie-chińska. Carmody'emu, gdy podnosił papierosa do ust, palce drżały trochę. Spróbował odizolować się od jej uroku przypomnieniem sobie tego, co o niej wiedział.

24

Nie była kobietą Mieh Janga - przynajmniej do czasu ostatniego wyjazdu Carmody'ego. Samo to mogło wydawać się niezwykle. Jeszcze przed kilkoma miesiącami pracowała w jednym z banków w Czungcing, będąc przy okazji tajną agentką i udzielając Mieh Jangowi wielu cennych informacji, które bank uważał za ściśle tajne. Odleciała samolotem z Czungcing po pewnym szczególnie zuchwałym wyczynie i Mieh Jang sprowadził ją do tego klasztoru. Dziewczyna urocza, ponętna, łatwa, najwyraźniej bez żadnych zasad moralnych, w służbie tego zarządcy wojskowego; a jednak Mieh Jang, chociaż osiągał rezultaty wręcz fantastyczne w werbowaniu sobie haremu, ją zostawiał w spokoju.

Nasuwało się tylko jedno logiczne rozwiązanie tej zagadki. Mieh Jang rezerwował Mary Yin dla Jima Carmody. Mógł mieć po temu wiele powodów płynących nie tylko ze szczodrości.

Mary Yin znów kołysała się w foteliku.

- Coraz tu nudniej, Cortez - powiedziała swym miękkiem głosem. - Opowiedz mi, co robiłeś.

Mówiła po angielsku doskonale, tyle że troszeczkę zacierała samogłoski. Szkoły misyjne w Czungcing spisały się dobrze, ucząc ją tego wszystkiego, co dla misji chrześcijańskich ma pomniejsze znaczenie. Carmody wzruszył ramionami.

- Tam było też nudno. Jechaliśmy przez sześć dni, spędziliśmy jeden dzień w jakiejś nieszczęsnej wiosce i wróciliśmy.

- Biliście się?

Potrząsnął głowę.

- My nigdy nie musimy się bić.

Dziewczyna, rozczarowana, nie odrywała od niego oczu pełnych powagi.

- Jeżeli nawet to, co my robimy - zapytała - jest nudne, Cortez, w czym może nie być nudy?

Carmody wstał. Zdał sobie sprawę, że powinien już odejść.

- Nigdy nie zastanawiam się nad tym - odrzekł. - Nie mam czasu na rozmyślanie.

Wziął karton papierosów pod pachę i usłyszał głos instynktu nakazujący mu wyjść po tych słowach nie oglądając się, cóż, kiedy świadom obecności tej dziewczyny wszystkimi rozedrganymi nerwami, po prostu musiał spojrzeć na nią.

25

"z

■

Siedziała w foteliku odchylona od biurka i jedwab bluzki oblekał ciasno jej małe piersi, złote strzałki przy dekolcie wskazywały kierunek na jej krtań. Uśmiechała się powściągliwie, ale oczy miała roześmiane. Inne Chinki, nawet kobiety Mieh Jenga, w obecności Carmody'ego spuszczały wzrok i żadnej z nich nie przyszłoby do głowy śmiać się nawet ukradkiem. Strząsnęła długi słupek popiołu z papierosa.

- Cieszę się, że wróciłeś, Cortez - powiedziała cicho.

2

W klasztorze nie było wodociągów, a wodę przynosili chłopcy służebni. Jim Carmody poleżał wygodnie w porcelanowej wannie i napięcie jego minęło. Pomyślał,

że prowadzi nie najgorsze życie, może bardziej odpowiadające potrzebom i usposobieniu Mieh Janga niż jego, ale wcale nie najgorsze w porównaniu z życiem wielu innych. Czasami ogarniało go zdumienie, że jednak niezupełnie jest z tego zadowolony.

Służebni nieomal uprzedzali jego życzenia, żołnierze słuchali jego rozkazów i żył w dobrych warunkach. Wioski dostarczały mięsa i drobiu, a dostatnia spiżarnia Mieh Janga artykułów luksusowych, papierosów i whisky. Powietrze górskie mu służyło. Poza tym miał przywileje osobiste. Uprawiał też sporty, korzystał z większych możliwości niż te, jakie dają swoim członkom najlepsze kluby sportowe w Stanach Zjednoczonych - jeździł konno całymi dniami prowadząc wyprawy, łowił ryby w górskich potokach, polował, ilekroć chciał. I mógłby mieć Mary Yin, i gdyby mu się znudziła, dostałby inną, nową Mary Yin w każdej chwili, t

To było pogańskie marzenie o raj, a on już dawno przestał udawać, że nie jest w gruncie rzeczy poganinem. Jednakże nie zaznawał spokoju ducha, pragnął za wszelką cenę uciec od tego wszystkiego.

Wyciągnął się w wannie, gąbką zmył z siebie pianę i wstał. Prosto z wanny wszedł w zasięg dużego lustra na drzwiach. Stał, szczupły, barczysty, bardziej umięśniony niż wówczas, gdy latał samolotem nad Chinami. Na piersi miał

26

długie białe blizny, rowek długości trzech cali na czwartym żebrze po lewej stronie, poszarpaną dwucalową bliznę na czole powyżej lewego oka. Rany, z których każda, zanim się zablizniła, mogła być śmiertelna, teraz były tylko wspomnieniem. Skórę miał jędrną i zdrową, mięśnie gładkie i prężne.

Energicznie wycierając się ręcznikiem, błędził myślą to przy Mieh Jangu, to przy Mary Yin. Pewne drobne objawy od czasu do czasu świadczyły, że zaczyna tracić łaskę Mieh Janga. Chodzi chyba także i o to - zerknął na swoje odbicie w lustrze, odrzucając ręcznik: nagi, mocny, szczupły i brodaty, prezentował się aż nazbyt dobrze - chodzi o to, że nawet Mieh Jang nie może sobie pozwolić na pozostawanie bodaj chwilowo w cieniu swego zastępcy, budzącego cześć i bojaźń wśród żołnierzy. Przeszedł przez tę dużą kwadratową cełę, będącą jego mieszkaniem, i otworzył

komodę. Czysta bielizna leżała w szufladach, uprana i ułożona dla niego. Włożył bieliznę, spodnie oficerskie, szarą koszulę wełnianą i czarny krawat. Uczesał starannie brodę, wyszczotkował i odgarnął z czoła gęste włosy, wsunął w kieszeń spodni nową paczkę papierosów i wyszedł z pokoju. Mieh Jang zawiadomił go, że chce się z nim widzieć o godzinie siódmej. Wskazówka minut na tarczy jego zegarka dotykała dwunastki, gdy wkroczył do gabinetu Mieh Janga.

Mieh Jang, syn kupca z Junnan, był absolwentem jednego z uniwersytetów amerykańskich. Uzyskał stopień magistra historii i korzystał ze znajomości tego przedmiotu w sposób tak praktyczny, jak inni wykształceni Chińczycy korzystają z tego, że znają prawo czy też metody prowadzenia przedsiębiorstwa.

Teraz sprawował bezwzględną władzę na obszarze większym niż stan Teksas - na obszarze pełnym niebezpieczeństw, niedostępnych wysokich gór, głębokich wąwozów, wartkich strumieni i szlaków wąskich i krętych. W dolinach i na tarasowatych zboczach górskich mieszkali dzicy z plemienia Lolo, rozsiana garstka Tatarów i trochę Tybetańczyków. Niewiele ta ludność wiedziała o walczących wojskach, które rok po roku przewalały się tam i z powrotem poprzez zgłodniałe równiny, i jeszcze mniej przejmowała się nimi.

27

Koszta podboju gór stawały się zawrotne, a zajęte podgórze nie zawsze dawało się opanować na długo. Przed powstaniem Mieh Janga walczyło tu plemię z plemieniem, wioska z wioską, karawany kupców unikały tych szlaków i wszystkie mapy rejonu były niejasne, z wielkimi zakreskowanymi fragmentami wskazującymi na istnienie gór niezbadanych i niezmiernych.

Mieh Jang w ciągu dziesięciu lat zmienił Niezmienne - dobijał targów z naczelnikami wiosek muzułmańskich, werbował wojsko spośród zahartowanych pasterzy i sumiennie dotrzymywał każdej umowy. Jego żołnierze nie wszczynali wojen - uśmierzali je. Gdy dochodziło do walki pomiędzy plemionami czy wioskami, wkraczały karne oddziały zarządcy. Bez oddania choćby jednego strzału reprezentowały władzę i udaremniały dalszą walkę. Mieh Jang, bezstronny, chociaż zawsze mógł gwarantować zwycięstwo sprawie, którą zechciał uznać za słuszną,

dyktował warunki pokoju, na obie strony nakładając grzywny, a przecież zabierając mniej łupu, niżby wziął zwycięzca. Był za mądry na to, żeby być chciwy.

Gabinet zarządcy wojskowego mieścił się w dużej sali

0 ścianach zastawionych czarnymi drewnianymi szafkami

1 obwieszonych zwojami pergaminu. Wisiała też ogromna mapa z tajemniczymi notatkami dopisanymi czerwonym atramentem przez samego Mieh Janga. Na podłodze leżał wspaniały dywan, w kominku paliły się kłody. Mieh Jang siedział za ciężkim mahoniowym biurkiem, zdobnym w misternie rzeźbione wizerunki bogów i demonów chińskich. Podniósł głowę i uśmiechnął się łagodnie, gdy Carmody wszedł.

- Halo, Jimmy. Nadal zdrów?

- Nadal zdrów, Jang. A co u ciebie?

Carmody usiadł w fotelu przed biurkiem. Mieh Jang miał lat ponad pięćdziesiąt i od roku przybywało mu na wadze. Był dość wysoki i Carmody pamiętał go jeszcze szczupłego, wyglądającego zdrowo, ale ostatnio twarz mu się zaokrągliła, pod małymi oczkami pojawiły się worki. Włosy tak zrzedły, że jego prawie łysa głowa przypominała kształtem krągłą głowę kulisa. Usta jednak nie zmiękły, dolna warga nie opadała.

- Co zastałeś? - zapytał.

- Tylko to, co meldowano. Byli tam. Penetrowali czy też

28

robili mapy. Ludzie Lao Hsu załatwili się z nimi, a potem chcieli to zataić przed nami.

- Co zrobiłeś?

- Zmusiłem Lao Hsu, żeby wyliczył się z łupu, ściągnąłem połowę i obłożyłem go grzywną: jeden kuc i trzy osły za to, że chciał łup zataić.

Mieh Jang uśmiechnął się. W ten właśnie sposób zbudował swoje panowanie. Teraz rzadko kiedy musiał uciekać się do użycia siły wobec chytrych naczelników dalekich wiosek. Sam pokaz siły wystarczał.

- Jaki był ten łup? - zapytał łagodnie.

- Rupiecie. Kilka lornetek. Pół tuzina automatów, jeden z nich japoński. Dwa

tuziny karabinów. Kilka kożuchów, trochę ciepłej odzieży, apteczka i konserwy.

Zrobiłem spis.

Mieh Jang obojętnie skinął głową.

- A co z nimi? Czy Lao Hsu dał któremuś uciec?

- Powiedział, że nie.

Carmody rozumiał zatroskanie Mieha Janga. Zawsze ktoś, kto z takiego „incydentu” zdołał ująć z życiem, może okazać się kłopotliwy. W istocie kilku z tych nieszczęśników zniknęło w górach, gdzie na zbłąkanych czyhała śmierć. Któryś jednak mógł ocaleć i opowiadając, jak było, rzucić zupełnie inne światło na całą sprawę. Mieha Jang nie bał się odwetowej akcji militarnej, ponieważ tylko głupiec narażałby swoje wojsko, żeby zająć osadę pasterzy, ale w wypadku gdyby Czerwoni zapanowali nad całym Chinami, Mieha Jang był gotów współpracować z nimi, więc wolał dla pewności nie mieć żadnych powodów do zakłopotania.

- Spisałeś się dobrze, Jimmy - powiedział. - Grzywnę nałożyłeś sprawiedliwie.

Nie za dużą.

Wydawało się, że chce powiedzieć coś więcej, jak gdyby wzmianka o grzywnie przypomniawszy mu o czymś, ale ze wzruszeniem ramion powstrzymał ten impuls.

Sięgnął do szuflady i wyciągnął plik amerykańskich banknotów ściągniętych gumką. Były to miesięczne pobory Jimma Carmody. Płacił mu tyle samo, ile mu płacono za loty komercyjne w tej części świata, czyli bajońską sumę.

Carmody tylko spojrział na banknoty, nie dotykając ich. Trzeba było dopełnić zwykłej ceremonii. Mieha Jang z innej szuflady wyjął czarny skórzany kubek z kostkami do gry.

29

Było pięć kostek. Potrząsnął kubkiem, zanim wyrzucił je na biurko.

Trzy piątki, czwórka i trójka.

W tej grze ten, kto rzucił pierwszy, miał prawo zdecydować, czy na tym poprzestanie, czy rzuci jeszcze raz, czy dwa razy, i ustalona przez niego liczba rzutów obowiązywała też przeciwnika. Mieha Jang zawahał się, jakby nie dowierzając, że ma piątki, a potem wzruszył ramionami.



- Pobij je - powiedział.

Carmody potrząsnął kubkiem i wyrzucił kostki. Dwie szóstki, dwie trójki i dwójka. Mieh Jang roześmiał się głośno i uderzył dłonią w blat biurka. Grał zawsze w napięciu, niespokojnie, ale wygrywał chętnie. Wziął pieniądze, które przed chwilą wyjął z szuflady, i z triumfem przegarnął ten plik szeleszczących banknotów palcem.

- Płacę nad tobą, Jimmy - rzekł.

Carmody uśmiechnął się.

- Wypłac sobie oczy.

W takich chwilach byli przyjaciółmi, towarzyszami broni, wszelką zawiść i niechęć odkładali na bok. Uprawiali ten hazard co miesiąc. Mieh Jang czasem wygrywał żołąd swego porucznika, a czasem musiał płacić mu podwójnie. To się wyrównywało, ale Mieh Jang należał do tych, którzy wolą jednego dolara wygrać, niż zarobić dwa czy ukraść dziesięć. Nieomal pieszczotliwie trzymał teraz skórzany kubek, wrzucając w czarne wnętrze kostkę po kostce z lubością. Oczy mu się zwięzły, uśmiešek igrał na wargach.

- Zagramy o te granatowe spodnie Mary Yin - powiedział.

Carmody poczuł żar rumieńca podnoszący się z szyi na twarz, bijący w policzki nad brodą. Mieh Jang postawił otwarcie sprawę dotychczas dawaną tylko do zrozumienia. Czekał już dostatecznie długo. Może dziwił się, że Carmody pozostaje obojętny, gdy mu się podsuwa kobietę tak powabną, a przecież rozbawiony patrzył, jak młody mężczyzna zwleka z tym, do czego w jego, Mieh Janga, mniemaniu dojść przecież musi. Rozbawienie malowało się teraz na tej łagodnej, szerokiej twarzy. Carmody jednak nie był rozbawiony.

- O to rzucaj kości z samą Mary Yin - rzekł krótko.

- Tak? - Mieh Jang uniósł brwi. - Nie jesteś dzieckiem, Jimmy. Samotnie tu człowiekowi w zimne noce.

30

f

Przeciągłe spojrzenie Carmody'ego wytrzymał z drwiną w oczach. Bardzo wolno schował kubek z kostkami z powrotem do szuflady. To była formalność. Oznaczała,

że Mary Yin jest nadal do wzięcia. Mieh Jang nie będzie grać o nią.

Przecucie niebezpieczeństwa znów targnęło Carmodym. Wszystko tutaj ma swoją cenę. Mary Yin to kobieta nie na jedną godzinę czy na jeden dzień. Związanie się z nią postawiłoby go w sytuacji jak z westernu, w sytuacji białego mającego sąaw. Z czasem straciłby twarz. Byłby czymś mniej niż biały, czymś mniej niż Chińczyk. Mieh Jang potrafi myślał wybiegać w przyszłość. Jeżeli przestał interesować się Jimem Carmodym, jeżeli wzrastający autorytet jego zastępcy budzi w nim zazdrość, to przecież jest dosyć mądry, żeby zburzyć to, co zbudował. Najłatwiej zniszczyć człowieka, który niszczy się sam.

Klucze Janga brzęknęły, gdy je odłożył. Tę sprawę już załatwił. Z innym teraz wyrazem twarzy, wyraźnie zakłopotany, zaczął bębnić palcami w blat biurka.

- Zdarzyło się coś niefortunnego - powiedział. - Ten głupi dureń Pao Czing utracił władzę nad swoimi ludźmi. Wczoraj w nocy dwaj z nich strzelali do jakiegoś misjonarza Amerykanina. Pao Czing bardzo przepraszał i przysłał go do mnie. Ten człowiek nie powinien był podróżować z trzema tylko przewodnikami. Powinien był poczekać na jakąś grupę kupców. Ale mniejsza o to. Ukaralem Pao Czinga grzywną: dwadzieścia karabinów. Durniów, którzy strzelali, czeka chłosta.

Mieh Jang wypatrywał aprobaty, więc Carmody z oczami bez wyrazu przytaknął niemo. Zgodnie ze szczególnym miejscowym cennikiem dwadzieścia karabinów było sztywną ceną jednego ludzkiego życia. Mieh Jang nałożył teraz grzywnę tak wysoką, żeby pochlebić swojemu porucznikowi, i być może dlatego, że przypominały mu się lata spędzone na uniwersytecie amerykańskim. Zrobił wszystko, co mógł. Carmody wstał.

- Gdzie on jest? - zapytał.

- W pokoju za twoim pokojem. Jan Teng siedzi tam nad nim. On jeszcze żyje, ale...

Mieh Jang wymownie wzruszył ramionami. Według

31

wszelkiego prawdopodobieństwa ten człowiek już nie żył, ale to mogło martwić takich mnichów jak Jan Teng, w żadnym jednak razie nie takich wojskowych jak

Mieh Jang. I była w tym pewna logika, z którą Carmody się zgadzał.

Umierający leżał na twardym, wąskim łóżku w skromnym pokoju, gdzie czasami lokowano nieważnych gości. Oddychał głośno, chrapliwie i oczy miał zamknięte. Palce jednej ręki kurczowo wpijał w koc, którym był nakryty. Palila się tylko lampa w narożnej wnęce niedaleko łóżka i światło ukośnie padało na niego, pozostawiając jego twarz w półmroku. Za smugą światła siedział Jan Teng także w półmroku, nieruchomy, spokojny, wpatrzony w swego pacjenta.

Jim Carmody znał ten pokój i to łóżko. Sam kiedyś tu leżał i umierał - czy może nie umierał, ponieważ teraz żył nadal. Również i nim zajmował się Jan Teng. Był to kapłan buddyjski. Mieszkał tutaj w świątyni Buddy, która dla niego pozostawała świątynią, chociaż wprowadzili się do niej złodzieje i żołdacy. Nastawił Carmody'emu złamane kości, pozszywał rozdartą skórę i aplikował rozmaite zioła, spokojnie odrzekając się jakiegokolwiek wiedzy o ludzkim ciele poza tym, że jest to cień ludzkiej duszy.

Carmody przeszedł przez pokój i spojrzał na umierającego. Ten człowiek był wysoki, prawie tak wysoki jak on, ale szczuplejszy. Policzki musiał mieć zapadnięte, zanim został ranny, kości policzkowe miał wydatne, wąską szczękę, usta szerokie. Na stoliku przy łóżku leżała spłaszczona kula karabinowa, przy kuli stała szklanka z jakimś zielonym płynem. Pierś tego człowieka była grubo zabandażowana.

Odwracając się Carmody złożył niski ukłon Jan Tengowi, który podniósł rękę w błogosławieństwie. Tym samym dopełnili obaj zwykłej ceremonii grzeczności.

Carmody wskazał kulę karabinową. - Gdzie? - zapytał.

Jan Teng nakreślił sobie linię na piersi. Kula, jak się okazało, przebiła plecy i zsunęła się omijając serce, ale

32

przedziurawiła płuco. Na wargi rannego wystąpiła krwawa piana. Jan Teng pochylił się nad nim i otarł mu usta.

- Jeszcze godzina - powiedział.

Carmody nie kwestionował tego orzeczenia. Chociaż wiedział, że takie rany raczej nie są śmiertelne, wiedział również, że Jan Teng potrafi rozpoznać obecność śmierci

być jej nieobecność. W to, że Carmody przeżyje, nie wierzył nikt, tylko ten kapłan buddyjski; sam Carmody w pierwszych przebłyskach przytomności żegnał się z życiem. Jan Teng jednak wiedział swoje i Carmody przeżył. Był przykuty do łóżka przez dziewięć miesięcy niewiarygodnie długich i zdrowie umysłu zawdzięczał także Jan Tengowi, który zmuszał go do nauki języka chińskiego - chińszczyzny mandarynów oraz trzech zasadniczych dialektów, jakimi mówiono w tych górach. Pomagali mu się uczyć dwaj mnisi nie znający ani słowa po angielsku. Miał rzeczywiście lekcje konwersacji.

Spojrzał znów na człowieka w łóżku zdumiony, że nic nie odczuwa. Po raz pierwszy przecież od trzech lat widzi Amerykanina. Ale właściwie to już nie Amerykanin, właściwie to już nikt; samo tylko ciało ludzkie zdyszane w daremnej walce ze śmiercią. Nie znał nigdy tego człowieka, nie miał klucza do jego osobowości, animozji i upodobań, sensu jego istnienia.

Jan Teng siedział znów nieruchomo w żółtej swej szacie z kapturem, zsuniętym teraz z głowy na łopatki, i tylko przebierał cienkimi palcami paciorki buddyjskiego różańca. Był starcem bardzo sędziwym, prawie łysym, o twarzy kościstej, ciepłych oczach głęboko osadzonych, wysokim czole i cienkich prostych wargach. To, że się modlił, wytwarzało pewien nastrój nakazujący milczenie. Carmody odwrócił się.

Na podłodze leżał starannie ułożony bagaż rannego - jeszcze jeden dowód dokładności Mieh Janga. Żadnych łupów dla nikogo z akcji, które on potępiał. Na małym stosie rzeczy osobistych Carmody zobaczył amerykańską latarkę elektryczną. Usiadł na podłodze, zapalił latarkę i przejrzał te rzeczy. Cienki portfel, brewiarz, plik listów, paszport amerykański, różaniec z krzyżykiem. Notatnik w zielonej okładce, złożona mapa.

Tutaj na podłodze czuł, że jest bliżej tego nieznanego niż

3 — Lewa ręka Boga

33

przed chwilą, gdy stał przy jego łóżku. Tutaj ten człowiek miał imię, nazwisko, tożsamość. Peter John O'Shea z Worcester w stanie Massachusetts, ksiądz

rzymskokatolicki, lat dwadzieścia dziewięć, po roku pracy w jednej z misji nad Morzem Chińskim jadący do najbardziej odosobnionej misji w górach. Wiózł ze sobą listy swojej matki i posiadał dwadzieścia jeden dolarów całego majątku w biedniutkim portfelu. Wypchana teczka leżąca na rozciętym brezentowym worku była opatrzona naklejką z napisem „Fundusz misyjny”.

Carmody zgasił latarkę i wstał z podłogi. Człowiek w łóżku dostał znów ataku kaszlu. Jan Teng trzymał płócienną ściereczkę przy jego ustach i płótno powoli czerwieniało. Paciorki różańca chrzęściły kołysząc się na sznurze, którym był opasany. Kaszel ustał. Umierający z jękiem opadł z powrotem na poduszkę. Znów słyhać było rozpaczliwe charczenie. Jan Teng podniósł wzrok. Już się nie modlił.

Carmody powiedział:

- Świątobliwy, to jest kapłan Chrystusa. Wiedziałeś o tym?
- Tak. Ty też jesteś katolikiem.

Zaskoczyło to Carmody'ego.

- Skąd wiesz?
- Wiem.

Ale ostatecznie - pomyślał Carmody wzruszając ramionami

- to nie tajemnica. Chorowałem tak długo. Często bredziłem w malignie przez cały czas pod opieką Jan Tenga. Byłoby dziwne, gdybym nie mówił wtedy dużo o sobie.

- Religia jest dla dzieci - rzekł krótko.

Jan Teng nie odpowiedział i Carmody poczuł zakłopotanie. Odprawił religię do królestwa dzieci, w sposób właśnie dziecinny bijąc w wielką Tajemnicę, która oszalała go i której się lękał. Spróbował znów znaleźć nić porozumienia z Jan Tengiem inną niż ta rozerwana.

- On pochodzi ze stanu Massachusetts - powiedział.
- Czy wiesz, gdzie to jest, świątobliwy?

Jan Teng uśmiechnął się i zmarszczki tego uśmiechu trochę złagodziły sztywne kościste kontury jego twarzy.

- To daleko - rzekł.

- Racja. To daleko. I on jest pobożny. Jest kapłanem. Poświęcił się Bogu, ponieważ pojął Boga. Przyjechał tu z tak

34

daleka, żeby czynić dobro. A jakiś wstrętny, głupi Lolo, który zawsze służy tylko własnemu brzuchowi, zabił go. Czy to ma sens?

Jan Teng miał oczy poważne, niewzruszone.

- Jakiś cel w tym był - powiedział.

- Jaki?

- Siadaj, synu.

Starzec zebrał fałdy żółtej szaty. Przestał przebierać palcami paciorki buddyjskiego różańca. W małym zasięgu jego spokojnego głosu nie było miejsca, gdzie można by usiąść, poza dywanikiem u jego stóp. Carmody nie zawahał się. Przysiadł na podłodze i nogi podwinął pod siebie. Nikomu innemu nie okazywałby takiego szacunku, ale u stóp Jan Tenga przecież siedział nieraz, gdy powracając do zdrowia fizycznego upadał na duchu, gdy nauka chińskiego sprawiała mu trudności i gdy umysł jego pracował gorączkowo w poszukiwaniu nieuchwytnych rozwiązań.

- Widzisz tę czapłę? Znasz jej historię?

Chudą rękę poznaczoną cienkimi żyłami Jan Teng podniósł w stronę kominka z jedną kłodą, spopielałą, jeszcze żarzącą się trochę. Przy kominku stała czapla, złocista w tej słabej łunie. Gdzieś, w jakiejś świątyni, być może, został oryginał ze szczerego złota, ale ta czapla była z polerowanego mosiądzu - wysoka, dumna, trzymała w długim dziobie trójlistną gałązkę. Stała na grzbiecie żółwia wyciągającego łeb i łapy w wysiłku. Carmody potrząsnął głową.

- Nie znam tej historii.

Jan Teng utkwiał swoje starcze oczy gdzieś przed sobą. Zaczął opowiadać tym dziwnie melodyjnym klasycznym językiem mandaryna.

- Głód, wielki głód panował na równinach Chin. Wiele bywa takich klęsk głodowych. I ci, którzy wtedy, gdy mieli brzuchy pełne, odwrócili się od bogów, powoli zaczęli zwracać się do nich znowu. Nic nie pozostawało człowiekowi, tylko śmierć, jeśli nie z głodu na jałowej ziemi, to od zabójczego oddechu bagien albo w

topieli wielkich powodzi. Modły wlatywały z równin do bogów i bogowie słuchali. Ale bogowie byli bardzo daleko od ludzi, którzy przedtem od nich odeszli. Bardzo daleko. Więc bogowie wezwali czapłę, żeby była ich wysłanniczką. Czapla była silna i chyża,

35

i dali jej do zanieśienia na równinę Chin zieloną gałąź z trzema liśćmi obietnicy. Uczynili tak, żeby ludzie wiedzieli, że bogowie wysłuchali ich modłów i że znowu wzejdą plony.

Jan Teng umilkł na chwilę i słychać było tylko chrapliwy oddech umierającego. Pochylił się nad nim, otarł mu pianę z warg. Potem znów śpiewnym głosem podjął opowiadanie.

- Ta czapla była silna i przeleciała szmat drogi, ale znużyła się, a poniżej wody rzek rozlewały się nieskończenie. Skrzydła jej osłabły, więc osiadła na tych płytkich wodach. Nagle pod jej nóżkami podniósł się żółw i stała na grzbiecie żółwia, najpowolniejszego ze wszystkich stworzeń uczynionych przez bogów. I tak właśnie czapla dotarła do tych, którzy się modlili. Na grzbiecie żółwia wypłynęła z ustępujących wód i w dziobie przyniosła im tę zieloną gałązkę obietnicy.

To był najwyraźniej koniec owej historii. Carmody zmarszczył brwi.

- Ciekawe - powiedział. - Ale jaki jest morał, Jan Teng?

- Modlitwy zostały wysłuchane. Wysłannicy bogów wylatują w świat. Czasami jednak ci, którzy się modlą, są bardzo daleko.

Starzec wstał. Z podłogi przy łóżku podniósł owiniętą w papier świecę. Powoli ją odpakował i zapalił od lampy we wnęce, a lampę zgasił. Postawił świecę na stoliku przy łóżku. Umierający zaczął oddychać szybciej. Zakrztusił się, sapnął i otworzył oczy. Jan Teng cofnął się od łóżka. Carmody wstał. Umierający zobaczył go i zdumiony otworzył oczy jeszcze szerzej. Były niebieskie, lekko zamglone.

- Święty Józef? - zapytał.

- Jim Carmody, Amerykanin, proszę księdza. - Ksiądz jest ciężko ranny.

- Och! - Ten człowiek wydawał się rozczarowany. Przymknął oczy na sekundę, po czym raptownie znów je otworzył, teraz wyraźnie przerażony. - Muszę jechać do

misji -powiedział. - Potrzebują mnie tam. Nie mają kapłana.

Spróbował się dźwignąć, ale skutek był tylko taki, że krew pociekła mu z ust.

Carmody przyklęknął przy nim na jedno kolano. To, co miał do powiedzenia, było trudne.

- Ksiądz nie może jechać, księżu O'Shea - powiedział. - Ksiądz umiera.

36

Oszołomione oczy popatrzyły z niedowierzaniem i przygasły.

- Umieram? - zapytał ranny. - Już?

- Już.

Skierował wzrok w sufit i wyszeptał dwa zdania po łacinie.

- Trzeba ich tam w misji zawiadomić - rzekł ochryple. - Proszę, niech pan dopilnuje, żeby oni dostali moje rzeczy. Hostie nie są konsekrowane. Módlcie się za mnie.

Siły z niego uchodziły z tą pianą na ustach i zaczął znów mówić ledwie dosłyszalnie po łacinie. Trzymając go za rękę Carmody wiedział natychmiast, kiedy przyszła śmierć, chociaż to było nie tyle ustanie tętna, ile jakaś zmiana w naturze i substancji materii. Bezwiednie przeżegnał się, usta wypowiedziały zapamiętane słowa:

- Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie.

Jan Teng wyszedł z cienia. Delikatnie zamknął powieki zmarłego i jeszcze nad nim stał przez chwilę z rękami wyciągniętymi. Carmody podniósł się z klęczek wstrząśnięty i zawstydzony tym, że jest wstrząśnięty. Przecież widział już śmierć nie raz...

- On był wysłańcem Boga - powiedział z goryczą - a nie dotarł tam, dokąd jechał.

Jan Teng zgasił świecę i w pokoju zrobiło się ciemno, żarzyła się tylko spopieliała kłoda na palenisku kominka.

- Jest w tym jakiś cel - odpowiedział. - Ludzie umierają, cele zostają osiągnięte. Zawsze.

Carmody prawą pięścią uderzył się w lewą dłoń.

- Cel! - burknął zniecierpliwiony. - Jaki cel może być w tym wszystkim?



Rodzimy się przypadkowo, przeważnie niepożądani, i żyjemy przypadkowo, nie rozumiejąc po co, umieramy przypadkowo, kiedy byle dureń pociągnie za spust. Buddyjski mnich stał wyprostowany i powoli owijał w papier świecę.

- Każdy umiera na ciele - powiedział. - Nawet głupcy to wiedzą. Ale nikt nie umiera na duszy, chyba że zabije się sam.

- Na duszy? Czym jest dusza?

- Czym ty jesteś? Ciałem tylko? Nie chcesz nic prócz tego, czego chce twoje ciało?

Carmody milczał. Swoją niedawną walkę z zachciankami ciała pamiętał aż nazbyt dobrze. Coś w nim wtedy wojowało z jego ciałem i zwyciężyło.

37

- Mam rozum - rzekł w końcu.

- Ale skąd bierze się rozum? Jeżeli z ciała, to dlaczego miałby ciało odmawiać zaspokojenia pragnień? Jeżeli jesteś jedynie ciałem, które umrze i zgnije, czy rozum słusznie odmawia ciału czegokolwiek?

Jan Teng mówił cicho, bez nacisku, niewzruszenie. Stał jak posąg, nieruchomy i cierpliwy. Carmody nie dysponował żadną bronią logiki bądź własnego przekonania, żeby stawić opór takiej cierpliwości. Dawno już zdał się na łaskę losu i jedyną zasadą, jaką sobie zostawił, było bronić możliwości tego dryfowania. Przesunął ręką po włosach.

- Wciąż jeszcze nie powiedziałaś mi, świętobliwy, co to jest dusza - rzekł.

- Odejmij ciało od wszystkiego, czym jesteś, a ujrzysz swoją duszę. - Jan Teng z szacunkiem wskazał łóżko, na którym leżały zwłoki. - Ten człowiek służył swojej duszy i duszom innych. Umarło tylko jego ciało. Mała to sprawa, bo tak się dzieje z wszelką cielesnością.

Carmody odruchowo popatrzył w »tronę łóżka i nagle powróciły wspomnienia sprzed lat - żarliwie kiedyś wierzył w istnienie Boga, szanował księży, przyjmował sakramenty, modlił się. Wszystko to zostawił daleko, uznał za złudzenie, niedorzeczność, przesady, uciążliwy balast zwyczajów, których w obliczu twardej rzeczywistości przestrzegać się nie da. Teraz przypomniał mu to spokojny głos

kapłana religii, będącej dla chrześcijan religią pogańską. Jan Teng poruszył się, paciorki u jego sznura zachręściły. Buddyjski różaniec w pokoju, gdzie umarł katolicki ksiądz! Gdy Jan Teng odezwał się znowu, po raz pierwszy w jego słowach brzmiało jakieś uczucie, troszeczkę wzruszenia.

- Ratuj swoją duszę, Ka-ma-di.

- Jak?

- Każdy człowiek znajduje sobie ścieżkę. Tyś znalazł tylko zajęcie dla ciała.

To było jak przestroga. To było jak echo myśli Car-mody'ego, sprecyzowanie przecucia niebezpieczeństwa - sprawy groźnej a nieuchwytej. Milcząc Carmody wpatrywał się w Jan Tenga. Żołnierska stanowczość zmiękła. Ten starzec, ten kapłan buddyjski, zasłużył na jego przywiązanie, doprawdy zasłużył, i bywały chwile, gdy przez jakieś okienko

38

w swej wielkiej zdyscyplinowanej obojętności muskał go ojcowskim ciepłem.

Carmody skłonił głowę.

- Dziękuję, świątobliwy.

Jan Teng podniósł prawą rękę gestem błogosławieństwa i powoli, z chrzęstem paciorków przy każdym kroku, wyszedł z pokoju.

Teraz już sam, Carmody zaczął chodzić od ściany do ściany. Wzruszenie wytworzyło nastrój, przywoływało coraz więcej wspomnień. Jak na ekranie zobaczył msze, do których służył będąc ministrantem w szkole parafialnej, i okazałe szare budynki liceum katolickiego, które ukończył. To było tło, ale bardzo dalekie. Potrząsnął głową. Realia tamtych lat stanowiły cudzą własność, własność chłopca, jakim był wtedy.

Pozostał pobożny nawet w wojsku. Znał katolickich i protestanckich misjonarzy w przybrzeżnych miastach Chin, przyjaźnił się z pewnym księdzem w Czungcing.

Dopiero gdy wracając do kraju doznał rozczarowania, odszedł od religii.

Zapalił papierosa zły na siebie o to, że wspomina, i o to, że wspomnienia tak go denerwują. Popatrzył w stronę łóżka.

Leży tam wszystko, co zostało z kogoś, kto nazywał się Peter John O'Shea i pochodził z Worcester w stanie Massachusetts. Suma wszystkiego, co się na to składało: łaciny i greki, Cyserona, Wergiliusza i świętego Augustyna, Kse-nofonta i Arystofanesa, filozofii, teologii i apologetyki. Jakiś ciemniak na pół dzikus strzelił z taniego karabinu i żaden anioł stróż nie zatrzymał, nie odepchnął kuli. Ziemia, zatłoczona zwłokami i kośćmi marnych i nieważnych, przyjmie również i tego trupa.

Chodził od ściany do ściany i aż zrobiło mu się w tej celi duszno. Rzucił papierosa, zawzięcie zdeptał obcasem i wyszedł. Przy końcu długiego korytarza z szeregiem drzwi do cel były stare drzwi cedrowe prowadzące na dziedziniec najwyższej kondygnacji klasztoru. Z zadowoleniem wciągnął w płuca zimne, mokre powietrze nocy, ledwie owionęło mu twarz. Sierp księżycy zahaczał lekko o szczyt czarnej góry. Nisko nad wejściem do doliny wisiała żółta gwiazda Arcturus.

Podchodząc do kamiennego parapetu Carmody oparł się na nim łokciami. Poniżej pola uprawne wąskim pasem opadały stopniowo na poziom następnej kondygnacji. O wiele

39

nizej w mrocznej dali biegł niewidoczny teraz szlak, którym on przyjechał po południu, były stajnie, dziedziniec zewnętrzny i te wszystkie źródła smrodów przenikających nawet na taką wysokość.

Oto kraj, jakiego nie potrafiliby sobie wyobrazić ziomkowie Petera Johna O'Shea ani też ziomkowie Jamesa Francisa Carmody w stanie Maryland. Swoim ciemnym ogromem granica chińska licząca dziesięć tysięcy mil zakręca wokół jak rozciągnięta podkowa, jednym hacem wbita między Chiny i Wietnam, drugim hacem gdzieś w pustynię Gobi. Wewnątrz tej podkowy żyje około czterdziestu milionów ludzi - w górach, na stepach, na pustyniach, w dżunglach i w puszczech. Pasą oni miliony owiec, miliony sztuk bydła, uprawiają ryż i pszenicę. Rodzą się i umierają poza zasięgiem statystyki.

Głęboko w tej podkowie i niedaleko od jej środka - myślał

- jest klasztor łamów, gdzie mieszkam ja, Jim Carmody. Najdoskonalsze więzienie świata. Którędy uciec, wiadomo, ale to byłoby tak, jakbym zaczął w Sing-

Sing drażyć tunel łyżką. t

Trasa samolotów, latających tam i z powrotem nad górami, przebiegała w odległości niecałych stu mil od klasztoru łamów, daleko było jednak nieskończenie do jakiegokolwiek miejsca, skąd można by wystartować. Pozostawała wędrówka

- trzynastodniowa przy dobrym wyposażeniu - poprzez serce kraju Lolo na zachodni koniec szlaku Kansu, odwiecznej trasy kupców jedwabiu. Potem jeszcze siedemdziesiąt dwa dni z jakąś karawaną i dotarłoby się do Lanczou.

Karawany kupców odbywają tę podróż, ale żaden kupiec nie miałby odwagi zabrać Jima Carmody bez pozwolenia Mieh Janga, które przecież nie zostałyby udzielone. A samotnego uciekiniera cóż może czekać? Wszystkie karabiny na wzgórzach byłyby wycelowane w niego. Niezła dla tych żołnierzy gratka.

Z dołu dolatywały przytłumione piskliwe krzyki. Carmody słyszał w nich jakąś niepohamowaną zmysłowość i chyba dobrze słyszał. W tym klasztorze łamów, gdy ekspedycje wracały na kwatery, nie brakowało kobiet. To było życie zmysłami; żołnierze zapominali o niedoli i znoju, o bólu i daremności, czyniąc zadość pragnieniom ciała.

40

Dały się słyszeć ciche kroki, więc odwrócił się od parapetu. Mary Yin podeszła do niego. Była w płaszczu oficerskim tylko troszeczkę na nią za dużym. Na głowie miała zawiązany pod brodą wielobarwny szalik, niedorzeczny dodatek do tego płaszcza. Ręce trzymała w głębokich kieszeniach.

- Halo, Cortez - powiedziała. - Smutno ci w tę noc?

- Niespecjalnie.

Odwrócił się od niej i znów oparł łokcie o parapet. Coś w nim drgało, uświadamiał sobie, że tętno ma przyspieszone. Mieh Jang uśmiechał się, gdy mówił o samotności w zimne noce. Istotnie tak jest. A tam w mrokach na dole pospolicci żołnierze aż pokrzykują, tacy są podnieceni. Kasta i ranga, rozum i inteligencja tam nie istnieją. Nie umysł, nie dusza, liczy się tylko ciało.

Mary Yin podeszła jeszcze bliżej i stanęła przy Carmodym prawie dotykając łokciem jego łokcia.

- Nie lubisz mnie, Cortez? - zapytała.

- Ależ tak. Lubię cię.

Odwrócił głowę do niej. W bladej księżycowej poświacie jej oliwkowa cera wyglądała biało. Na małej twarzyczce, którą ten ciasno zawiązany szalik czynił jeszcze mniejszą, malowała się tęskna zaduma. Pomimo całego swego wykształcenia, całej swojej inteligencji ona z pewnością się zatracza - pomyślał. Chinki zgoła bezinteresownie starają się podobać mężczyznom. Nie ma powodu, żeby jej nie lubił.

- W takie noce trudno kobiecie zasnąć - powiedziała.

Jak gdyby wyznanie, że on ją lubi, zupełnie jej wystarczyło, poweselała. Oparła się o parapet plecami, usta miała rozchylone, oczy ztlchwałe. Popatrzył na nią i odwrócił wzrok.

- Ja po całodziennym jeździe zasypiam świetnie - powiedział gburowato. - Nie mam kłopotów z zaśnięciem.

Parsknęła śmiechem. To był śmiech cichutki, ładny jak dźwięk małego dzwoneczka, brzącająca taką samą nutą, jaka dolatywała w nocnym powietrzu z dołu. Carmody nie poczuł niechęci. Przeciwnie. Ogarnęło go szalone pragnienie, żeby ustami stłumić ten śmiech na jej ustach. Wziąć ją w objęcia, nie tylko słyszeć wibrowanie tego śmiechu, ale je odczuć w niej całej. Zacisnął mocno szczęki, żeby się opanować. W ten zaułek bez wyjścia przecież nie chciał skrócić. Znużony rozsądek mógł pytać: „Ale dlaczego nie?” i wykazywać, że

41

on i tak jest w największym, najdoskonalszym więzieniu na świecie, tutaj w skłębionych cieniach nie kończących się gór, ale Jim Carmody jeszcze nie zrezygnował. Jeńcom czasem udaje się uciec z niewoli u mężczyzn służących zwycięzcy, z niewoli u jego kobiet nigdy.

- Cieszę się, Cortez, że jestem kobietą - powiedziała Mary Yin. - Być kobietą jest o wiele lepiej.

Widział, jak oczy jej błyszczą. Te błyski źrenic, rozchylone wargi stanowiły wyzwanie bardziej niż śmiech. Doznał wrażenia, że ona lituje się nad nim i szarpnęło to jego męską dumą. Zaprzagnął zmiażdżyć w niej tę litość, to cholerne uczucie

górowania nad nim, mężczyzną.

A jednak znów odwrócił głowę i zapatrzył się w cienie po drugiej stronie doliny.

Cortez! Miał obraz Corteza w pamięci. Garstka walecznych przeciwko Meksykowi.

Podbój! Cortez nie traciłby ani chwili na walkę z pragnieniem ciała - z pożądaniem

kobiety. Cortez był Hiszpanem. W sytuacji innej, oczywiście. On zwyciężał, a ten,

któ zwycięża, bierze sobie, co chce. Jim Carmody nie jest Hiszpanem i nie zwycięża,

i nigdy nie nauczył się kochać wyłącznie zmysłami. Gdyby kochał, to całą swoją

istotą, a ta dziewczyna na obiekt takiej miłości po prostu się nie nadaje.

Odwrócił się. Mary Yin chyba wyczuła natychmiast, jaką decyzję powziął. Stała

nadal oparta o parapet, ale już obojętna, nie rozróżniona. Uśmiechała się nadal, ale w

oczach miała tylko wyraz cierplivej pewności siebie.

- Dobranoc, Cortez - rzekła.

Carmody niezgrabnie podał jej rękę.

- Dobranoc - odrzekł.

W owym momencie czuł się jako człowiek czymś gorszym niż ona. W myśl

wszelkich reguł powinien być dumny ze swego opanowania, ze swojej siły, skoro tak

pokonał sam siebie, a jednak nie był dumny, nie czuł się silny. Nie miał już ani trochę

wiary, która obleka cnotę w znaczenie, miał tylko wolę mówiącą mu: „Nie”. Mary

Yin natomiast była sobą, po prostu sobą, i w sposób naturalny dawała temu wyraz -

istota bytująca wciąż w teraźniejszości, nie żałująca dnia wczorajszego ani nie

oczekująca jutra. On wyznawał tę samą filozofię, ale okazało się, że brak mu

konsekwencji.

42

Flirtował z Mary Yin, oddawał się tej zabawie i znowu stchórzył.

Klął na siebie, gdy szedł korytarzem. Nie dochodząc do swoich drzwi, zatrzymał się i

zawrócił. Nagle wiedział już, co ma zrobić, co najwyraźniej zostało postanowione za

niego, co, być może, podsunął mu chytrze Jan Teng.

Ja, Jim Carmody, jestem zamknięty w klatce na zawsze - sformułował to - ale ksiądz

Peter O'Shea mógłby pojechać do tej misji katolickiej, oddalonej stąd o pięć dni drogi.

4

Pięć dni drogi zamieniło się w siedem.

Wysoko na Górze Dwóch Sióstr Jim Carmody człapał z trudem, brnął poprzez śnieg w ciemnościach, pozwalając odpoczywać swoim zmęczonym osłom. Miał dwa osły - jednego jucznego, jednego pod wierzch - wybrane starannie. Oba były spośród tych, które wziął jako grzywnę od Pao Czinga. Stajenni i kulisi nie znali tych osłów i tak samo ich nie znali bystroocy górale, którzy potrafili na pierwszy rzut oka rozpoznawać zwierzęta nie gorzej niż ludzi. W noc ucieczki z klasztoru łamów Jim Carmody musiał myśleć

o wielu sprawach, a ta wcale nie była nieważna.

Droga zakręcała w dół i śniegu padało mniej. Z tego się cieszył. Odzież miał przemoczoną - tę odzież podróżującego księdza nie tak praktyczną w tym klimacie jak rzeczy, które zwykle nosił. Wprawdzie wolał teraz duże rondo czarnego kapelusza niż daszek czapki, ale przeklinał długi czarny płaszcz i za ciasne spodnie. Był bardzo zmęczony.

Nakładał drogi w ciągu tych siedmiu dni i nocy i dwa razy zablądził. Posuwał się według mapy, którą dobrze pamiętał,

1 przez cały czas jechał szlakiem. Zawsze istniała możliwość, że Mieh Jang będzie go szukał i że wiadomość rozejdzie się po wioskach prędzej, niż on zdoła je ominąć. W takim jednak wypadku szukano by na rozkaz Mieh Janga przecież nie księdza.

Brodatego przywódcy żołnierzy, który wyglądał jak Hernando Cortez, już nie było. Nożyczkami i maszynką do

43

golenia Carmody unicestwił go, zanim opuścił klasztor łamów. Ludzie z tych wszystkich miejscowych plemion nigdy nie widzieli Carmody'ego bez brody, a będąc tym, czym byli, przecież nie potrafiliby bez brody go sobie wyobrazić. On sam zdumiał się własnym wyglądem. Po trzech latach chodzenia z brodą człowiek uważa ją niejako za część swojego „ja”.

Dosiadł osła znowu. Jazda stała się łatwiejsza. Ten osioł poczciwiec, rumak prostaczków, akurat nadawał się na wierzchowca dla nie uzbrojonego podróżnika

wśród głuszy. Carmody, odkąd przyszło mu to na myśl, wciąż to sobie powtarzał. Karabin zostawił w klasztorze i - bardziej niechętnie - zostawił także pistolet automatyczny.

Na niższych stokach góry jechał już nie w śniegu, tylko w deszczu, ale również i ten deszcz znosił po stoicku. Jego długie nogi zwisały po bokach osła i czubkami butów prawie dotykał ziemi. Nie ma żadnej fanfaronady, zuchwalstwa ani próżności, gdy się wie, że wygląda się śmiesznie. Nie brał tego przedtem pod uwagę, przekonał się jednak o tym w drodze. Nie można być bezczelnym i władcym w księżym czarnym kapeluszu, w spodniach za krótkich i na wierzchowcu za małym. Jeżeli sprawia się wrażenie pokornego księdza, to trzeba być takim; nic innego tolerowane nie będzie. Duchowo przystosował się do tego stanu, wbijając w siebie pokorę nie inaczej, niż wbił na siebie odzież, która ją symbolizowała.

Kilka razy w czasie podróży on, przedtem dumnie dowodzący dumnymi oddziałami, zbacział z wąskiego szlaku, żeby przepuścić jakichś bardziej od niego okazałych jeźdźców. Czynił to bez żadnych oporów wewnętrznych, tak jak nie budziły w nim oporu niedopasowany strój i jazda na osła. Płacił tym za szansę wolności, zadowolony, że nie musi płacić więcej. Surowość Mieh Janga wobec zabójców księdza O'Shea miała taki skutek, że mieszkańcy tych gór bali się teraz szkodzić innemu księdzu. Ich lęk był przepustką na pewien czas - dopóki Mieh Jang nie odkryje, jak ten lęk jest wykorzystywany i przez kogo.

Osiół wolno człapał szlakiem. W ciągu ubiegłych dni Carmody dostroił umysł do tempa tego człapania. Wyobrażał

44

sobie nawet, że Konfucjusz obmyślał swoje filozoficzne i etyczne zasady właśnie wtedy, gdy podążał gdzieś na osła. Człowiek jadący ma osła ma nieskończenie dużo czasu na medytację!

Carmody myślał o wszystkim, byle nie o dalszej przyszłości. Myślą sięgał tylko do najbliższego celu i na tym ją zatrzymywał. Wszystkie plany, jakie miał, obracały się na osi rozpaczliwego okrzyku młodego człowieka z Worcester w stanie Massachusetts, konającego w klasztorze buddyjskim.



- Muszę jechać do tej misji! Potrzebują mnie tam. Nie mają kapłana.

To ostatnie zdanie było kluczem, którym Carmody mógł sobie otworzyć bramy swego największego więzienia na świecie. Skoro w misji nie ma żadnego księdza, nie ma też nikogo, kto by zdemaskował awanturnika przebranego za księdza. W takich okolicznościach owa misja może być schronieniem przed Mieh Jangiem, trampoliną do skoku w wolność.

Mieh Jang, podobnie jak inni niezależni zarządcy wojskowi, zdecydowanie zostawiał placówki misyjne w spokoju, jeżeli nie zdarzył się tam jakiś incydent grożący mu utratą twarzy. Misje ze swojej strony ignorowały fakt istnienia niezależnych zarządców wojskowych; była to koegzystencja Kościoła i państwa w dosyć chybotliwie zrównoważonej zgodzie, niemniej w zgodzie. Jako jedyny ksiądz w misji, Carmody mógł mieć nadzieję na pozyskanie sobie przewodników, którzy wyprowadzą go daleko z zasięgu władzy Mieh Janga, zanim Mieh Jang zacznie go ścigać. Wiedział, że przeprowadzenie tego planu może trochę potrwać, ale wiedział również, że w misji, jakkolwiek jest mała, znajdzie się na pewno takie czy inne wyposażenie jemu, samotnemu białemu, potrzebne.

Trudno mu było nie zasnąć, więc znów zsunął się z osła i ruszył piechotą. Dotychczas strugi deszczu ukośne w ostrych podmuchach padały prosto w niego, oślepiając go; teraz na zakręcie szlaku szedł bokiem do kierunku wiatru i widział drogę przed sobą. Zobaczył wąski most przerzucony nad ryczącą rzeką, kilka budynków po drugiej stronie rzeki, mętne światła latarni. Wyprostował ramiona i znużenie podróżą minęło. Mocno klepnął w zad osła.

45

- Mały - rzekł wesoło - dochodzimy. Dodajmy trochę gazu...

Most chwiał się pod ciężarem człowieka i dwóch osłów. Osioł juczny zaparł się w połowie mostu i Carmody musiał przejść do tyłu, żeby w sposób namacalny wyperswadować zwierzęciu upór. Wreszcie jedhak stanął przed otwartą bramą. Latarnie oświetlały złoty napis.

„Tien Czu Tang - przeczytał. - Misja katolicka.”

Na dziedzińcu było mokro i ponuro. Tylko w kilku oknach dużego budynku jaśniały

światła. Stał i patrzył, zastanawiał się, gdzie jest stajnia. Wielkość tej misji stropiła go i zaczął przewidywać komplikacje. Przelotnie, w ogarniającym go na nowo znużeniu, pożałował, że zgolił brodę i przebrał się za księdza Petera Johna O'Shea. Ale wzdusząc ramionami otrząsnął się ze zwątpienia tak, jak otrząsał się z deszczu.

Mogą być trudności - pomyślał - ale ja już wziąłem kurs i tak jest lepiej. Ja jako ja nie byłbym tu mile powitany. Dezerter, porucznik zarządcy wojskowego ciągnący za sobą kłopoty nie ma prawa do korzystania z chrześcijańskiego azylu.

I właśnie w owej chwili pielęgniarka, która wyrzała ze szpitala po raz czwarty tej nocy, zobaczyła przybysza. Zawołała dyżurnego Chińczyka i wybiegła.

Carmody zobaczył ją, gdy wybiegła w deszcz na tle światła. Niewysoka postać w sztywno wykrochmalonej bieli. Przemówiła do niego po angielsku bez żadnego obcego akcentu. Oczy jej nie były skośne, włosy nie były kruczoczarne. Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, z głębokim przeczuciem jakiegoś osobliwego niebezpieczeństwa.

- Skąd pani się wzięła? - zapytał niezręcznie.

- Jestem Anne Scott, proszę księdza - odrzekła. - Proszę, niech ksiądz wejdzie pod dach z tego deszczu. Przemókł ksiądz doszczętnie.

- Owszem.

Wszedł za nią do szpitala świadom, że po każdym jego kroku zostają kałuże.

Oszołomiony wyolbrzymiał znaczenie tych kałuż. Jako brodaty żołnierz nawet by ich nie zauważył, ale obecność jasnowłosej młodej Amerykanki po prostu go onieśmiałą. Żałował, że jest brudny i że wnosi wodę i błoto na czystą podłogę.

Zakłopotany zdjął ten czarny kapelusz

46

i deszcz pociekł z ronda jak woda z rynny. Pielęgniarka roześmiała się i wtedy rozjaśniło mu się w głowie. Parsknął śmiechem także.

- Siostra nie przesadziła - powiedział. - Rzeczywiście zmokłem.

Zdjął płaszcz i dał podbiegającemu po jego rzeczy Chińczykowi, dyżurnemu. Buty zdjął także. Spodnie miał mokre od kolan w dół, ale poza tym ubranie osłonięte płaszczem było dosyć suche. Zaczęto krzątać się wokół niego. Wciąż nieznacznie

przyglądał się dziewczynie.

Więc to jest Amerykanka - myślał. - Prawie zapomniałem, że są takie kobiety jak ona. Co robi, do diabła, na tym zadupiu, miliony mil od nikąd? I jak to się stało, że faceci tam w kraju dali jej wyjechać?

Siedział w dużym fotelu w szpitalnej kancelarii, rozdygotany falami znużenia. Ta pielęgniarka pytała go o coś, on jej odpowiadał prawie machinalnie. Słuchał jej głosu, miękkiego głosu Amerykanki z Południa, sądząc nie tyle po akcencie, ile po samym tonie - tak mówi się w Maryland i w niektórych innych stanach na pograniczu.

Do kancelarii wszedł niemłody barczysty mężczyzna w białym kitlu. Wyglądał, jakby został wyrwany ze snu i jeszcze niezupełnie się rozbudził. Doktor Sigman. Uścisk ręki był mocny, słowa uprzejme, ale on wyczuł w tym człowieku wrogość nieuchwytną, a przecież wyraźną. Usiłując zwalczyć ociężałość, która z rąk i nóg podpełzła do mózgu, potrząsnął głową.

Jestem - pomyślał - głupcem, że przyszedłem tutaj na taką próbę ogniową, kiedy ledwie dyszę z niewyspania. Instynkt wojskowy powinien był mnie powstrzymać, dopóki się nie wyśpię. Dziś mogę się sypnąć i nawet nie będę wiedział o tym. Ale czy przypuszczałem, że tu taka organizacja... i na deszczu było tak zimno.

Potem weszła do kancelarii żona doktora i patrzył na nią jak przez mgłę - bardzo efektowna kobieta, wysoka, o pełnych kształtach. Coś drgało mu w oczach i ci wszyscy, którzy chodzili i mówili, wydawali mu się filmowymi aktorami na ekranie, raczej czymś na podobieństwo ludzi niż ludźmi. Pytali go o podróż, a on odpowiadał ogólnikami, mówiąc przede wszystkim o pogodzie. Słuchał swojego głosu, jakby

47

to był głos cudzy, ale starał się koncentrować myśli i nie robić głupich błędów.

Skoncentrować się nie mógł - coś w nim spało w jakimś własnym odosobnieniu.

Doktor Sigman schylił się ku niemu.

- Proszę mi powiedzieć - zapytał - czy ksiądz tu przyjechał, żeby zamknąć misję, czy żeby ją prowadzić?

To rozbudziło Carmody'ego. Chytre pytanie, może zadane z rozmysłem dla sprawdzenia? - Popatrzył w bystre ciemne oczy doktora i zastanowił się, jaki to

pytanie ma cel; doktor może coś wie, czy może coś mu podszeptała logika?

Przypomniał sobie umierającego księdza w klasztorze łamów. Człowiek tak się nie spieszy ani nie denerwuje i w ogóle nie wyrusza w podróż długą i ryzykowną tylko po to, żeby misję zamknąć. Jest jedno jedyne wytłumaczenie pośpiechu księdza O'Shea: jechał do misji, w której nie ma kapłana. A więc mamy dobrą odpowiedź. Carmody odetchnął, co zabrzmiało jak ciche westchnienie.

- Będziemy misję prowadzić dalej - odpowiedział.

Doktor rozparł się w fotelu i cała jego wrogość spowijała go jak peleryna.

- To nie jest słuszne - rzekł ponuro.

Pielęgniarka Anne Scott wróciła do kancelarii przynosząc filiżankę herbaty, którą Carmody przyjął z wdzięcznością. Inna pielęgniarka, młoda Chinka w wykrochmalonej bieli, stanęła w drzwiach i coś powiedziała do Anne Scott. W pokoju nagle zapanowała cisza. Amerykanka zawahała się, zanim zwróciła się do niego:

- Proszę księdza, ja wiem, że ksiądz jest bardzo zmęczony, ale pewien chory na oddziale umiera. Trzymało go przy życiu czekanie na księdza. On wie, że ksiądz przyjechał. To wydaje się niepojęte, ale przewidział, że ksiądz przyjedzie dzisiaj. Ksiądz temu choremu jest potrzebny, proszę księdza.

Carmody wstał, poczuł, że ktoś mu zabiera z ręki filiżankę z herbatą. Uświadamiał sobie, że wszyscy na niego patrzą. Nastąpiła chwila decyzji. Powiedzieć, że nazywa się Jim Carmody i że ksiądz O'Shea nie żyje, czy nadal grać tymi kartami, jakie ma, o wyzwolenie z tych gór, spod władzy Mieh Janga?

Widząc zachmurzoną twarz doktora, Carmody zdecydował się. Z jakiegoś sobie wiadomego powodu doktor pragnie

48

W

zamknięcia misji. A więc doktor zapewne wolałby wysłać do Mieh Janga wiadomość o dezercerze, niż udzieleniem dezercerowi schronienia wywołać ewentualny gniew tego wojskowego zarządcy. Jeszcze jedno przyszło Carmody'emu na myśl w związku

z Mieh Jangiem i zmarłym księdzem O'Shea. To było coś nieuchwytnego, nie dającego się zdefiniować i mówiło o niebezpieczeństwie. Carmody się zachwiał. Ktoś podał mu małą czarną torbę księdza O'Shea - torbę, która zawierała tajemnice niezrozumiałe dla niego i stała jak rekwizyt aktora na stoliku przy nim.

- Gdzie jest chory? - zapytał ochryple.

- Ksiądz pozwoli tędy.

Anne Scott ruszyła pierwsza. Pod drzwiami sali zatrzymała się blada i ze łzami w oczach.

- To jest cudowny staruszek, księżę O'Shea - powiedziała. - Nazywa się Li Kwan. Ochrzczony na długo przed wojną. Przybył tu z powrotem szukając księdza, ale ksiądz Coleman już nie żył. On się martwi, że od tak dawna jest bez sakramentów. To oznacza bardzo wiele...

Ta dziewczyna najwyraźniej wstawia się za swoim chorym. Dlaczego? Czy jakoś specjalnie rozumie tego staruszka? Czy ze współczucia? Czy boi się, że zmęczony ksiądz zobaczy w tym starym Chińczyku tylko starego Chińczyka, kiedy ona widzi coś więcej? Carmody potrząsnął głową, żeby rozjaśnić sobie myśl. Zmęczenie nadaje drobiazgom wagę, wyolbrzymia rzeczy nieistotne. Dobrze jednak wiedzieć, co ta Anne Scott odczuwa. Na zastanawianie się nad chorymi, bezużytecznymi Chińczykami szkoda fatygi.

Już się odwróciła i otworzyła drzwi. Drobiazgi straciły wszelkie znaczenie wobec sprawy naprawdę ważnej. Stał przed otwartymi drzwiami wiodącymi w rzeczywistość, twardą rzeczywistość. Na to jeszcze nie był przygotowany. Duchowo nie dostosował się do tej maskarady bardziej niż do kostiumu i oczywistej roli, i nie miał pojęcia o obrzędach, powinnościach kapłańskich, sakramentach i słowach pociechy.

„Jeszcze możesz zawrócić, Carmody” - szepnął mu jakiś głos wewnętrzny i to był drwiący głos. Człowiek umiera, a on, Carmody, nosi koloratkę katolickiego księdza. Teraz wszelkie wyjaśnienia trwałyby zbyt długo. Droga powrotna

zamknięcia misji. A więc doktor zapewne wolałby wysłać do Mieh Janga wiadomość o dezerterze, niż udzieleniem dezerterowi schronienia wywołać ewentualny gniew tego wojskowego zarządcy. Jeszcze jedno przyszło Carmody'emu na myśl w związku z Mieh Jangiem i zmarłym księdzem O'Shea. To było coś nieuchwytnego, nie dającego się zdefiniować i mówiło o niebezpieczeństwie. Carmody się zachwiał. Ktoś podał mu małą czarną torbę księdza O'Shea - torbę, która zawierała tajemnice niezrozumiałe dla niego i stała jak rekwizyt aktora na stoliku przy nim.

- Gdzie jest chory? - zapytał ochryple.

- Ksiądz pozwoli tędy.

Anne Scott ruszyła pierwsza. Pod drzwiami sali zatrzymała się blada i ze łzami w oczach.

- To jest cudowny staruszek, księżu O'Shea - powiedziała. - Nazywa się Li Kwan. Ochrzczony na długo przed wojną. Przybył tu z powrotem szukając księdza, ale ksiądz Coleman już nie żył. On się martwi, że od tak dawna jest bez sakramentów. To oznacza bardzo wiele...

Ta dziewczyna najwyraźniej wstawia się za swoim chorym. Dlaczego? Czy jakoś specjalnie rozumie tego staruszka? Czy ze współczucia? Czy boi się, że zmęczony ksiądz zobaczy w tym starym Chińczyku tylko starego Chińczyka, kiedy ona widzi coś więcej? Carmody potrząsnął głową, żeby rozjaśnić sobie myśl. Zmęczenie nadaje drobiazgom wagę, wyolbrzymia rzeczy nieistotne. Dobrze jednak wiedzieć, co ta Anne Scott odczuwa. Na zastanawianie się nad chorymi, bezużytecznymi Chińczykami szkoda fatygi.

Już się odwróciła i otworzyła drzwi. Drobiazgi straciły wszelkie znaczenie wobec sprawy naprawdę ważnej. Stał przed otwartymi drzwiami wiodącymi w rzeczywistość, twardą rzeczywistość. Na to jeszcze nie był przygotowany. Duchowo nie dostosował się do tej maskarady bardziej niż do kostiumu i oczywistej roli, i nie miał pojęcia o obrzędach, powinnościach kapłańskich, sakramentach i słowach pociechy.

„Jeszcze możesz zawrócić, Carmody” - szepnął mu jakiś głos wewnętrzny i to był drwiący głos. Człowiek umiera, a on, Carmody, nosi koloratkę katolickiego księdza.

Teraz wszelkie wyjaśnienia trwałyby zbyt długo. Droga powrotna

4 — Lewa reka Boga

49

prowadziłyby znowu do Mieh Janga, więc zawrócić nie mógł. Przetarł oczy ręką i wszedł w te otwarte drzwi.

Dziewczyna minęła biurko. Światło spod klosza stojącej na biurku lampy ukośną smugą przez chwilę padało na nią. Jaśniały jej czyste włosy pod wykrochmalonym białym czepeczkiem, cera czysta i gładka. Zatrzymała się i odwróciła, podnosząc wzrok. Carmody z trudem oderwał oczy od jej twarzy.

Staruszek siedział w łóżku oparty o poduszki. Twarz miał zbrudzoną, pomarszczoną i pofałdowaną, usta wąską bladą kreską zaciśnięte na bezzębnych dziąsłach.

Wpatrywał się w Carmody'ego oczami pełnymi szacunku i bojaźni. Dźwignął drżącą kościstą rękę i uczynił znak krzyża, zanim opadła bezwładnie na koc.

- Pu kan, Szen Fu - wyszeptał.

„Nie jestem godzien, ojcie duchowny." To był wstęp do spowiedzi. Pielęgniarka postawiła krzesło i wycofała się dyskretnie. Carmody usiadł. Nie chciał tego wszystkiego, ale już nie mógł odmówić. Staruszek czepiał się życia z desperacją prawie namacalną, choć niewiele czasu mu pozostało. Jeżeli miał wiarę, zasłużył na to, by w tej wierze i z tą wiarą umrzeć.

Carmody znów skoncentrował się na drobiazgach. Spowiednik - przypomniał sobie - zawsze nosi stulę. Ten stary może wie o tym i inni może wiedzą. Trzeba zagrać swoją rolę w całej pełni. Rozpiął zamek błyskawiczny czarnej torby księdza O'Shea i wyjął z niej długi wąski pas jedwabny z wyhaftowanym krzyżem. Przypomniał sobie, że fiolet to kolor pokuty - dawne wspomnienie powróciło raptownie. Założył stulę na szyję, fioletem na zewnątrz.

Choremu oczy błyszczały i wiedział, że nie popełnił błędu, poświęcając kilka sekund na przygotowanie. Chińczycy ogromnie lubią ceremonie i symbole godności. Chory odetchnął chrapliwie.

- Dużo lat, daleko od kościoła, wielbny ojcie duchowny - zaskrzeczał swym starczym głosem.

Carmody zasłonił oczy ręką. Wymawianych z wysiłkiem grzechów Li Kwana po prostu nie dopuszczał do świadomości. Te grzechy nie są sprawą Jima Carmody. Jeżeli on siedzi tutaj przebrany za księdza Petera O'Shea i umożliwia

50

starszemu przedśmiertną spowiedź, to chyba jest w porządku, ale słuchać tej spowiedzi mu nie wolno. Słyszał sam tylko rytm głosu. Nastąpiło zająknięcie i wtedy się odezwał.

- Tylko ciężkie grzechy. Wystarczy.

Li Kwan przyjął to z wdzięcznością. Zaczerpnął tchu.

- Ciężkie już wszystkie - powiedział. - Powszednich grzechów wiele.

- Żałujesz za nie?

Li Kwan przytaknął. Spowiadał się po chińsku, teraz jednak akt skruchy zaczął urywanie odmawiać po angielsku. Patrzył wyczekująco i Carmody nagle pojął, że trzeba mu dać rozgrzeszenie. Ksiądz udziela rozgrzeszenia po łacinie. W życiu słyszał te słowa nieraz, ale nie znał ich. Li Kwan nie zna ich na pewno. Podniósł rękę nad starszką i wyrecytował po łacinie coś innego, zapamiętanego z czasów, gdy był ministrantem. W połowie zdania umilkł.

Li Kwan umarł między dwoma tyknięciami zegarka spokojnie, bez walki, po odmówieniu aktu skruchy aż do ostatniej sylaby. Carmody wstał i odwrócił się w stronę biurka - dziwnie wstrząśnięty, pełen nieokreślonego żalu, odrazy do siebie. Pielęgniarka podeszła szybko i przez chwilę stała pochylona nad Li Kwanem. Potem wyprostowała się, spojrzała na Carmody'ego.

- Odszedł, proszę księdza - powiedziała. - Dobrze, że tak właśnie. Modliłam się co noc, żeby ksiądz zdażył tu przyjechać.

Oczy miała zamglone łzami i Carmody'ego ogarnęło poczucie straszliwej bezradności. Dla niej jest księdzem, kapłanem Boga. Ona modliła się za tego starszka, a Li Kwan czerpał wielkie zapasy sił ze swojej wiary i z głębokich rezerw cierpliwej wytrzymałości tylko po to, by w końcu oboje ich oszukał jakiś szarlatan w koloratce, której nie ma prawa nosić. Ta dziewczyna nigdy mu nie wybaczy, gdy się dowie.



Odruchowo strzepnął ręką wszystko, co zaszło w ciągu ubiegłych kilku minut. Ten ruch wyglądał jak błogosławieństwo - ręka księdza podniesiona nad ciałem zmarłego. Nawet taki drobny szczegół stanowił jedną ze sprężyn pułapki. Dziewczyna patrzyła na niego i on wiedział, że na tym sprawa jeszcze się nie kończy. Maskarada trwa.

Czas na

51

ostatnie namaszczenie, ale jak ksiądz by to zrobił, czy też jak powinien zrobić w tych okolicznościach?

Stojąc sztywno przy łóżku Carmody rozpaczliwie zbierał myśli. Był świadkiem udzielenia ostatnich sakramentów tylko raz, w tamtą noc, gdy jego matka umarła. Ale zbyt wiele wtedy przeżywał, żeby zwracać uwagę na szczegóły. Pamiętał tylko, że namaszczenie olejem świętym to złożony obrzęd - modlitwy dotyczące każdego ze zmysłów. Nie wiedział, od czego zacząć. Przez chwilę można tak stać nad zmarłym i ta dziewczyna będzie myślała, że on modli się w milczeniu, ale potem musi coś zrobić, i to należyście, nie wolno popełnić błędu.

I nagle doznał olśnienia. Jest pewne nabożeństwo proste i zupełnie dostateczne, znane wszystkim katolikom i zawsze pozostające w pamięci, nawet jego. Można by w to wprowadzić tę dziewczynę; wtedy już nie będzie żywiła co do niego żadnych wątpliwości. Ukląkł raptownie.

- Odmówimy różaniec - powiedział.

Miał w kieszeni różaniec księdza O'Shea - pięćdziesiąt trzy małe paciorki i sześć dużych na łańcuszku z krzyżem. Ujął je w swe silne ręce i uspokoił sumienie argumentem, że przecież różaniec może odmawiać każdy. Na to nie trzeba być księdzem ani grać roli księdza, i nie jest to wtargnięcie w sprawy sakralne. Podniósł głos.

- Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje. Przyjdź Królestwo Twoje. Bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi.

Słyszał szelest mundurka pielęgniarki, gdy klękała obok niego. Podjęła modlitwę głosem zdumiewająco czystym, melodyjnym i pełnym wzruszenia, żarliwości i

wiary.

- Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

Głosy chorych w sali, kalecząc angielskie słowa, a przecież jako tako podchwytyjąc rytm, przyłączyły się do jej głosu, zanim powiedziała: Amen. Carmody przymknął oczy i słowa same wyrywały mu się na usta.

- Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławio-naś Ty między niewiastami i błogosławion owoc żywota Twojego, Jezus...

52

Drzwi otworzyły się, wchodzili ludzie. Głosów było coraz więcej.

- Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

Carmody zdał się na paciorki różańca: jedno Ojciec nasz, dziesięć Zdrowaś Maryjo, Chwała i następna dziesiątka. Słuchał chóralnych odzewów i te modlitwy zapadały mu w zmęczony umysł. Tak bardzo już daleko odszedł od tego wszystkiego po to, by powrócić w brudnej sukni świętokradztwa. Widział wielu umierających Chińczyków i od-komenderowywał żołnierzy do kopania płytkich rowów i grzebania zwłok, o których zaraz potem zapominano. Ten jeden zmarły Chińczyk leżał w spokoju i wielki chór głosów zanosił prośbę o życie wieczne dla niego w Niebiosach.

- Zdrowaś Maryjo...

Carmody mówił to machinalnie. Od dawna nie przychodziło mu na myśl, że śmierć jest obleczone w ogromną godność, że Chińczycy są stworzeni przez Boga i mają dusze nieśmiertelne. Nadal o tym nie myślał. Nie modlił się, tylko recytował. Jak w tej strofie z Hamleta - strofie o modlitwie Klaudiusza: „Słowa bez myśli nie dotrą do Niebios”. Nie wierzył i w Niebiosa także. Nie wierzył, że Li Kwan odszedł dokądkolwiek. Wszystko, czym Li Kwan był, leżało w łóżku

- trup, nic poza tym.

- Trzecia tajemnica: Jezus cierpi ukoronowany cierniem.

- Głos Carmody'ego sam wlatywał ponad te schylone głowy. - Ojciec nasz,

któryś jest w niebie...

Nie zatrzymał się myślą przy koronie cierniowej. Wszystko to uważał za ludową tradycję, coś, czego nauczano go kiedyś, w co kiedyś wierzył i z czego wyrósł. Na klęczkach teraz wypowiadał te słowa, ponieważ wypowiadać je musiał, ponieważ jego życie zależało od takiej maskarady, a on nie chciał umrzeć. Był bardzo znużony i mgła wciąż opadała i podnosiła się, i opadała znowu, gdy w kółko i w kółko odmawiał te same modlitwy, słyszał te same odzewy i dziwna moc powtarzania wytwarzała nastrój, w którym nie było miejsca na nic oprócz rozmodlonych głosów. Jeszcze zanim dojrzał palcami do medalika na końcu piątej dziesiątki, czyli do Salve Regina, przestał pojmować jakikolwiek sens tego, co mówił, co mówili inni.

53

Wbrew własnemu odstępstwu jego umysł jednak wplótł w rytm modłów nowe słowa. Carmody, jesteś zgubiony - zaczął sobie powtarzać - jesteś w pułapce. Nigdy się z niej nie wydostaniesz. Na tym świecie ani na tamtym.

5

Różaniec odmawiany w sali szpitala dolatywał tylko szmerem to cichym, to głośniejszym do szpitalnej kancelarii. Doktor David Sigman potrząsnął sennie głową i z wyraźnym wysiłkiem podniósł się z krzesła, na którym omal nie zasnął.

- No - powiedział - ulubieniec Scotty nie żyje. Chodźmy do domu.

Beryl Sigman przytaknęła niemo. Nie czas był na rozmowę. Przyszła do szpitala też senna, ale już się rozbudziła, aż zanadto się rozbudziła. Gdyby choć część myśli, które jej krążyły w głowie, wyjawiała teraz Dave'owi, dyskutowaliby przez całą noc. Wołała więc nic nie mówić. Następne dni i tygodnie będą dostatecznie długie i wszystko, co powiedzieć warto, ostatecznie i tak zostanie powiedziane. Wyszła za mężem z kancelarii. Deszcz jeszcze siąpił. Dave Sigman otrząsnął się, gdy dochodzili do domu. Znała ten jego ruch dobrze. Wiedziała, że on otrząsa się raczej z niepożądanych myśli niż z deszczu; zmoknięcie służy tylko za pretekst, żeby to otrząsanie się wyglądało rozsądnie.

- Parszywa noc - powiedział. - Księża są wszyscy jednakowi. Odchodzą, kiedy chcą, przychodzą, kiedy chcą, człowiek musi zawsze być gotów żegnać ich i witać.

Ten przychodzi w środku nocy.

- Z deszczem i błotem w dodatku. Bałaganiarz i bez żadnych względów dla bliźnich. - Beryl cierpko wydeła usta. - On, oczywiście, przewrotnie napawa się tym, że przemókł do suchej nitki i że jakiś lekarz zrzęda od razu zaczyna się z nim sprzeczać, i że mu zabierają filiżankę z herbatą, zanim zdążył wypić bodaj łyk, i że... Dave Sigman już skręcił z hallu do saloniku.

- Proszę - powiedział - broń go. Bądź papistką!  
Niespodziewanie odzyskał dobry humor i uśmiechnął się

54

rozbawiony własnym brakiem logiki. Wziął butelkę stojącą na kredensie i napełnił dwa kieliszki koniakiem. Jeden podał żonie.

- Będzie to zapisane na moje konto - powiedziała. - Wiele od mojego męża musiałam znosić i czyniłam to niezmiennie ze słodkim uśmiechem na ujmującej twarzy. Znosiłam wiele, pocieszałam go i słodziłam kwas jego fanaberii. - Powąchała koniak i musnęła wargami. - Takie cnoty chyba przeważą moją niewierność.

- Twoją niewierność?

Dave Sigman nie tracił czasu ani na wachanie, ani na kosztowanie koniaku. Wypił jednym haustem pół kieliszka, unosząc krzaczastą brew. Beryl podniosła lewą rękę.

- Ludzka natura, Dave - odrzekła. - Ta śpiąca bestia. Tylu przecież mężczyzn jest wokoło!

- No pewnie, ja wiem. Kobiety tutejsze też są owszem, owszem.

Popatrzyli na siebie z powagą, z maleńkimi tylko iskierkami kpiny w oczach. To, co było w ich małżeństwie zdrowego psychicznie i krzepkiego, należało przypisać właśnie owemu poczuciu humoru, zdolności uciekania razem od napiętych sytuacji w świat nonsensu, spraw „na niby”. Dave osunął się w wielki fotel i popatrzył na swoje buty, żałując, że to nie są miękkie pantofle, ale nie chciało mu się ich zmienić.

- Ten ksiądz będzie rozrabiał - rzekł. - Jeden z tych ważniaków idących przebojem, przywykłych do komenderowania i posłuchu.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Wiem. Nie na próżno od lat kroję ludzi, żeby nie wiedzieć. Trochę już przecież

znam się nie tylko na częściach ciała człowieka, -śle i na człowieku jako takim. Ten facet ma zwyczaj stawiać na swoim.

- Możliwe - przytaknęła Beryl w zadumie. - Był strasznie zmęczony i w złej formie, ale coś w nim jest. Chyba masz rację. On nie należy do tych błogosławionych cichych i pokornego serca.

- Mam rację, do licha! - Dave Sigman ponuro spojrział w swój kieliszek. - No, kiedy tylko zaczniesz się rzucać, może sobie zabrać tę misję i ten szpital, i cały ten mechanizm. My stąd odjedziemy z następną karawaną handlową.

55

- Nie przypuszczam, Dave. Ty też nie przypuszczasz.

Doktor popatrzył na nią, wychylił resztę koniaku i sztywno wstał, żeby ponownie napełnić kieliszek.

- Nie mam zamiaru trzymać cię tutaj, aż Czerwoni podejną do bramy - powiedział. - Jakież sens przeżywać tamto wszystko na nowo?

- Domyślam się. Chodzi ci o mnie. To mi nie pochlebia, Dave. Już ci mówiłam.

- To by pochlebiało większości kobiet.

- Niech tam! Kiedy myślisz o nas obojgu, Dave, składasz swój największy hołd mnie osobiście, bo to znaczy, że ja jestem częścią ciebie. Ale kiedy myślisz o mnie oddzielnie, okradasz mnie z czegoś, na co staram się zasłużyć.

Doktor Sigman znów usiadł. Patrzył na kieliszek i w oczach miał łzy. Nikt poza Beryl nie znał go z tej strony, nie wiedział, jak on łatwo się wzrusza, jaki jest sentymentalny pod tą swoją rzekomo grubą skórą. Beryl, patrząc na niego teraz, sama miała oczy przymglone łzami.

- Dotrzymujemy warunków ugody z losem, Dave. Jeżeli dojdzie do tego samego, co wtedy, widocznie tak musi być i nie powinniśmy byli uniknąć tego za pierwszym razem. Ale nic nie wiadomo. Ksiądz przyjechał. Daj mu szansę. Doktor wzruszył barczystymi ramionami.

- Czego się spodziewasz? Że zacznę go gryźć? Oczywiście, dam mu szansę. Ale już bez żadnego cackania się, bez żadnej przymieszki serca i przyjaźni, już inaczej, niż próbowałem z księdzem Colemanem. Bo to na nic. I ten jest inny. Ten sam potrafi

zadbać o siebie.

Beryl wolno popijała koniak. Dostyc już się napatrzyła na stosunki Dave'a z ludźmi.

Gdy ktoś go obraża, bądź naraża się na jego niezadowolenie, następuje określony cykl - gniew czy nawet ślepa wściekłość, potem posępne utyskiwanie, potem

udawana niedbałość. I w końcu Dave albo zapomina

o całym konflikcie, albo ukrywa swoje uczucia. Nie lubi tego kogoś spokojnie, cicho, w głębi duszy, obojętny, uprzejmy tak, że to aż doprowadza do szału. Dave naprawdę potrafi być trudny, pełen nienawiści, gburowaty, bezwzględny

i niesprawiedliwy, ale też potrafi być delikatny, dobry, lojalny, współczujący i pełen zrozumienia. Pewnie nie dałoby się znaleźć dwóch osób znających w nim rzeczywiście jednego

i tego samego człowieka. Beryl miała nadzieję, że on wobec księdza O'Shea będzie swoim lepszym „ja”, ale wiedziała, że wpłynąć na to nie zdoła, gdy już ci dwaj poznają się gruntownie i oszacują.

Ostatecznie, jak Dave się wyraził, ten ksiądz sam potrafi zadbać o siebie. Tak, to jedna z cech wymaganych od księży. Patrzyła na męża ciemnymi oczami i rozmyślała posępnie.

- Dziwne - powiedziała - że przyjechał właśnie dzisiaj.

- Co w tym dziwnego?

- Anne mówiła mi, że wpadła do ciebie do laboratorium. Paplała o cudach, jeszcze zanim przyjechał.

Dave Sigman prychnął.

- Czasami Scotty jest piekielną idiotką. Przecież ten Chińczyk powtarzał to co wieczór. Ona nawet nie twierdzi, że nie powtarzał. Mówi tylko, że jego głos brzmiał inaczej. Głos! Na takim haczyku powiesiła swój cud.

- Ale rezultat, Dave. Nie możesz zaprzeczyć, że ksiądz przyjechał.

- Czemuż by nie miał przyjechać? Był w drodze, prawda? Kiedyś dojechać musiał.

- Ale zjawił się jak ci kowboje w filmach. Akurat na czas. Li Kwan miał już tylko minuty życia.

Dave Sigman postawił kieliszek i wstał z fotela.

- Nieraz widuję, jak umierają chorzy bardzo silni, których mógłbym wyciągnąć - powiedział. - I ty także to widzisz. Po prostu pasują, poddają się śmierci. Scotty kładzie nacisk na to, że Li Kwan żył tak długo. Do diabła! On przecież nie żył. Przyjmował dosyć pokarmu jak na swoje potrzeby, a energii nie zużywał ani trochę. To forma snu zimowego. Tak bywa ze starymi ludźmi. Każdy głupiec wie o tym. - Podszedł do drzwi. - Kiedy ksiądz już tam wszedł, Li Kwan pozwolił sobie umrzeć. Oto zdumiewający cud Scotty. Niech mi tylko ksiądz czy ktokolwiek inny spróbuje wmawiać, że było inaczej. Idziemy spać.

Beryl wyszła za nim do hallu. Odwrócił się nagle i przyciągnął ją do siebie.

- Inny mężczyzna, być może, wolałby jakąś mądrzejszą kobietę - powiedział. - Czy może blondynkę dla odmiany... Ale ja bym zwariował bez ciebie. - Objął ją mocniej i w głosie jego zabrzmiało wzruszenie. - Rozmowa z tobą sprawia, że

57

mój świat, chociaż już mi się zaczyna wydawać bez sensu i śmiertelnie nudny, staje się znowu coś wart.

Beryl przytuliła się do niego, przycisnęła głowę do jego piersi, potem powiedziała głosem jeszcze zdławionym:

- Blondynka... Blondynki lepszych mężów od ciebie mordują toporem.

Powoli weszli razem na schody.

6

Blask słońca wpadał do sypialni ostrą, czystą smugą przecinającą łóżko. Jim Carmody leżał spokojny, rozbudzony niezupełnie, a przecież na tyle, że mógł ocenić to ciepło i wygodę, i swoje dobre samopoczucie. Odbył trudną i niebezpieczną podróż, przechytrzył Mieh Janga i przyszłość jeży się niepewnością. Teraz wczesnym rankiem podobała mu się niepewność - łatwo, jeszcze na pół sennie, przekonał sam siebie, że obawy poprzedniej nocy były płonne, zrodzone ze zmęczenia.

Ta amerykańska dziewczyna w wy krochmalonej bieli. Znużony był, niewiarygodnie znużony, kiedy przedstawił się jej, ale zmysły miał czujne. Zapamiętał szczegóły jej wyglądu. Przed wszystkim oczy - niebieskie, zdumiewająco niebieskie, ciemniejsze

niż większość niebieskich oczu, jakie widział w życiu. Ciemna blondynka. W dzieciństwie musiała mieć chyba włosy zupełnie jasne. Niezbyt wysoka, ale sprężysta, zręczna, chyba wysportowana. Taka dziewczyna wyglądałaby świetnie z rakieta na korcie tenisowym. Ruchy szybkie, pełne wdzięku, ale raczej sportowego niż salonowego. Figura dobra i pięknie proporcjonalna, nawet w tym sztywnym uniformie pielęgniarki, który nic nie przydaje dziewczynie poza tym, że ją okrywa. Akcent miękki, chyba stanów pogranicznych.

Wiedział, że ona nigdy nic nie będzie znaczyła dla niego, ale cieszył się, że są jeszcze na świecie takie dziewczęta. Przybywając do tej misji zrobił pierwszy duży krok w stronę tego świata czystych, wspaniałych, uroczych młodych Amerykanek. Drugi krok może nie być łatwy, ale też i może nie

58

być tak trudny jak pierwszy. Ona sama przez się dodała mu bodźca do szybkiego, zdecydowanego działania. Zobaczyła go niezdarnie pasującego się z przywłaszczoną rolą i przecież zaczęła tytułować go księdzem. Myślał radośnie, że następna amerykańska dziewczyna, którą spotka, nie będzie go widziała w takiej śmiesznej sytuacji i na pewno „proszę księdza” mu nie powie.

Przeciągnął się w łóżku zdrów, silny, sprawny, gotów do wszystkiego. Coś rzuciło cień, więc odwrócił głowę.

To był jakiś niemłody Chińczyk, z powagą patrzący na niego. Chińczyk uśmiechnął się i złożył ukłon.

- Dzień dobry księdzu - powiedział. - Ksiądz odprawi mszę?

- Nie - odrzekł Carmody.

I zdrewniał. Ten człowiek najwyraźniej osłupiał, a więc taka odmowa jest tu nie na miejscu. Porucznik Mieh Janga mógłby tak mówić do służącego, ale on już przestał być porucznikiem Mieh Janga. Zdobył się na uśmiech.

- Jeszcze nie bardzo oprzytomniałem - wyjaśnił. - Będę musiał rozejrzeć się w tym kościele, zając się dziesiątkiem spraw.

Ten człowiek znów złożył ukłon i uśmiech powrócił na jego twarz. Najwyraźniej mu ulżyło.



- Dobrze - powiedział. - Pierwsza msza może być w niedzielę. To nawet lepiej. Niech ksiądz zje teraz śniadanie. Chłopcy przygotowują kąpiel.

Wyszedł z pokoju cicho i z przejęciem. Carmody wysunął nogi spod kołdry. Ta rozmowa zdenerwowała go; nie był przygotowany. Kiedy się gra jakąś rolę, trzeba być przygotowanym zawsze; trzeba się w swoją rolę wżyć. Myśli się o dziewczynie, a tu ktoś przerywa te rozmyślenia, zwracając się przecież do księdza. Ksiądz powinien co dzień odprawiać mszę, nawet gdy nikogo w kościele nie ma. Ten człowiek może wie o tym i dziwi się teraz. Ale może i nie wie. Muszą przecież być pewne odchylenia od reguły, nawet w życiu księży, tutaj, w tych misjach przy granicy.

Pokój był prostokątny, surowy, z białymi ścianami, nie ozdobionymi niczym poza krucyfiksem, który wisiał nad łóżkiem, fotografią papieża Piusa XII na ścianie zachodniej, małą białą figurką Maryi Panny w jednej z wnęk. Stały dwa

fotele, sekretera i mała biblioteczka. W przyległej łazience, z wejściem także z sieni, dwaj chłopcy chińscy napełnili wannę gorącą wodą przynieszoną w wiadrach. Po kąpeli Carmody miał już pod ręką. maszynkę, krem do golenia i ręcznik, gorącą wodę w miednicy, lustro ustawione w blasku słońca. Zapatrzył się w swoją twarz w lustrze.

Ani śladu brody. Opuchnięcie górnej wargi stęchło, skóra na podbródku i szczękach już ogorzała pod kolor czoła i policzków. Nos duży, szczęki wąskie, kwadratowy podbródek. Zęby zdrowe i równe. Oczy, które bywały utkwione w tablice rozdzielcze samolotów przez wiele, wiele godzin... i patrzyły na chmury i na znaki orientacyjne szlaków - szare oczy z gwiazdzistymi zmarszczkami przy zewnętrznych kącikach. Na czole biała blizna.

W sypialni stół już czekał nakryty: mała miseczka ryżu ze śmietaną, trzy jajka na miękko, grzanka pod pokrywką i, zamiast tej wieczystej herbaty, kawa. Chińczyk stał nad tym pełen diuny - kuglarz, który wyczarował takie śniadanie. Znów złożył ukłon. Carmody uśmiechnął się do niego.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- John Wong, proszę księdza Oszi. To ja zajmuję się wszystkim dla księdza. Tu w domu, a także jestem kościelnym. Czasami ministrantem. Prowadzę spisy.

Carmody słuchał rozbawiony. „Oszi” zabrzmiało po japońsku i prawdopodobnie było tak bliskie „O'Shea”, jak to tylko jest możliwe dla Chińczyków. Jemu samemu nazwisko O'Shea wcale jeszcze nie wydawało się znane. John - pomyślał - to pewnie imię, które Wong dostał przy chrzcie. Ale facet się tym nie chełpi - ot, etykieta, przywieszka z ceną, nic więcej.

- Dwie msze w niedzielę - powiedział John Wong. - Ksiądz zawsze odprawiał w niedzielę dwie msze. O ósmej i o dziesiątej.

Jakiś mięsień drgnął Carmody'emu w kąciку ust. Ostatecznie kimkolwiek Jim Carmody jest teraz, jednak kiedyś był katolikiem. Jakoś nie przystoi siedzieć tu w roli księdza i rozmawiać o odprawianiu mszy w niedzielę z kościelnym, Chińczykiem. Niemniej niedziela już pojutrze; trzeba czym prędzej znaleźć sposób wykorzystania misji - pomyślał

- zanim misja wykorzysta mnie. Mam w nosie te niedziele misyjne. John Wong trzyma! w ręce arkusz papieru.

- Przeczytać księdzu spis? - zapytał.

- Dobrze, John. Przeczytaj spis.

John Wong wygładził ten papier.

- Czterdzieści dwa śluby - powiedział.

- Co?

- Czterdzieści dwa śluby - powtórzył i podniósł oczy przepaszająco. - Dużo miesięcy bez księdza.

- Och. Rozumiem.

- Trzydzieści sześć chrztów. - Znow spójrział przepaszająco, wyraźnie zakłopotany. - Powinno być więcej. Może jeszcze zgłoszą.

- Trzydzieści sześć to sporo. Co dalej?

- Dużo ludzi choruje. Nie w szpitalu. Niektórzy lada dzień umrą. Potrzebują

księdza.

- Co dalej?
- Dużo ludzi chce spowiedzi. To trzeba szybko.

Gryząc grzanekę Carmody rozważał ten plan zajęć. Nie podobała mu się myśl o tym. Treść życia księdza, księdza Petera Johna O'Shea z Worcester w stanie Massachusetts, nie miała nic wspólnego z niejakim Jimem Carmody, bezbożnym awanturnikiem. Jednakże to była praca do wykonania, praca tak pilna, że poświęcony jej młody człowiek zapomniał o sobie samym w niebacznym pośpiechu, żeby dojechać do wyznaczonego miejsca i wykonać ją. Peter John O'Shea teraz spoczywa gdzieś tam, gdzie postanowił go pochować mnich buddyjski. A Jim Carmody siedzi zamiast Petera Johna O'Shea przy jego śniadaniu, przebrany za niego i pod jego nazwiskiem. Wypił kawę szybko i wstał od stołu.

- Teraz się ubiorę, John - powiedział.

Odzież Petera Johna O'Shea leżała odprasowana. Włożył te czarne spodnie trochę za krótkie i za ciasne. Gdy wkładał koszulę, pomyślał o Mieh Jangu i palce mu zadrżały. Przecież niewiele brakowało, a popełniłby ubiegłej nocy fatalny błąd.

W swojej panice, gdy musiał odgrywać rolę księdza przy łóżku umierającego, był bliski wyjawienia, kim jest naprawdę. Ale poprzez znużenie usłyszał jakiś dzwonek alarmowy. Chociaż nie potrafił tego ostrzeżenia sobie wytłumaczyć,

61

usłuchał. I to dobrze, że usłuchał. Jest w pułapce. Obawy wczorajszej nocy nie powstały wyłącznie ze zmęczenia: to był instynkt.

Biorąc koloratkę w rękę, Carmody patrzył na tę biel. Oto kajdanki więźnia, ale też i przepustka pozwalająca przedrzeć się przez góry, uciec spod władzy Mieh Janga. Jim Carmody jako taki nie uciekłby daleko. Amerykanin, porucznik Mieh Janga jadący bez eskorty, w sposób oczywisty byłby dezertorem, więc w pierwszej wiosce by go zatrzymano, żeby czekać na rozkaz zarządcy wojskowego. Wiedział o tym od początku, ale wtedy nie sięgał wzrokiem w dalszą przyszłość.

Przedostał się zdrów i cały, bez żadnych przeszkód, tak jak zaplanował, ponieważ już krążyła po tych wzgórzach wiadomość, że jedną z wiosek obłożono grzywną i dwóch

ludzi skazano na karę chłosty za zabicie jakiegoś księdza. Ten strój i ta koloratka były tabu: mężczyźni omijali rzekomego księdza O'Shea i woleli go wcale nie widzieć. Dotychczas wszystko dobrze! Przebranie było konieczne. Podróż w księżej odzieży była też konieczna tak samo, jak porzucenie wszystkiego, co miało związek z tożsamością Jima Carmody'ego. Ale jak wypadki by się potoczyły, gdyby on, w przebraniu docierając do misji, zawiadomił, że ksiądz nie żyje, i powiedział, kim jest?

Na pół ubrany Carmody spacerował po pokoju, trzymając koloratkę w ręce.

Odpowiedź na to była jasna, niewątpliwa.

Ten doktor o niemiłych oczach zacząłby wypytywać. Księży przecież się nie zabija i nie chowa niedbale, nie po chrześcijańsku w głuszy, gdy są wokoło duże misje katolickie. Ten doktor wysłałby chyba gońca z protestem do Mieh Janga. Podejrzliwy typ, nieżyczliwy w najlepszym razie, prawdopodobnie mógłby uwięzić człowieka w misji, gdyby chciał. A na pewno czekałby na odpowiedź Mieh Janga.

A Mieh Jang taki żart by ocenił. Niby to szczerze przysłałby do misji wyrazy ubolewania zawiadamiając, że miał zaszczyt tego księdza gościć i że Carmody, bandyta wyzuty z czci i wiary, niebacznie przez niego, Mieh Janga, przygarnięty, zamordował tego księdza, ukradł jego rzeczy i zbiegł. I skąd na tym świecie wziąć wtedy dowody, żeby odeprzeć takie oskarżenie? Mieh Jang wystawiłby swoich świadków - nikt by nie odważył się zaprzeczyć.

62

Carmody skłął siarczyscie koloratkę. Z jednego więzienia przeszedł do drugiego, ledwie ten księży kołnierzyk włożył po raz pierwszy. Kajdanki z niewidzialnym drutem, którego koniec jest w rękach Mieh Janga. Cokolwiek Jim Carmody zrobi, Mieh Jang może go zniszczyć. To tylko kwestia czasu - jeżeli w jakiś sposób nie znajdzie się niezawodne wyjście, metoda przechytrzenia zarządcy wojskowego, wykorzystania misji.

Za drzwiami zaszurały kroki, więc Carmody przystanął wyprostowany. John Wong zastał go w pokoju stojącego przed lustrem i spokojnie wkładającego kołnierzyk. Pomógł mu włożyć marynarkę.

- Pójdę zobaczyć kościół, John - powiedział ksiądz.

Bo Carmody już był gotów tam pójść. Ale przedtem jeszcze coś musiał włożyć. W poprzek łóżka leżała czarna sutanna. Zawahał się, samo jednak to, że przygotował ją John Wong, zdecydowało. Wziął sutannę z łóżka i uspokoił się nerwowo.

Jeszcze jest trochę czasu - pomyślał - Mieh Jang jeszcze nie wie, nie może wiedzieć, gdzie jestem. Potem, gdy już wykryje, zacznie rozważać tę sytuację, jak zawsze rozważa każdą, zanim przystępuje do działania. Jim Carmody chroniący się w tej misji nie wymagałby wielu rozważań. Moja obecność w misji byłaby po prostu wyzwaniem. Ale ja w roli księdza, siedzący cicho, obudziłbym w Mieh Jangu ciekawość. Ten władca ze swoją pokrętną umysłowością bardzo lubi zagadki. Więc przez jakiś czas czekałby i obserwował.

Czas! Właśnie czasu potrzeba, i to rozpaczliwie. Nagle Carmody wpadł na pomysł, jak na czasie zyskać. Nawet ten nieżyczliwy doktor może okazać się użyteczny. Zapiął sutannę powoli, w zadumie, i skinął na Johna Wonga.

Jeżeli muszę być księdzem, będę księdzem. Człowiek potrafi robić wszystko, co konieczne. Tylko że John Wong ma bystre oczy, trzeba na niego uważać. Johna Wonga może trudniej oszukiwać niż ich wszystkich razem wziętych. Obejrzenie kościoła - kto wie, czy to nie jest próba ogniowa w tej maskaradzie...

Kościół był budowlą z surowej cegły. Wiele takich Carmody widywał w Nowym Meksyku, ale chiński napis na tle wypalanych w słońcu cegieł stanowił nowy element.

6

Szeng Mo Tang. Kościół Maryi Panny.

Wong wszedł do kościoła pierwszy, wyraźnie czując się jak u siebie. Jako kościelny - pomyślał Carmody - on na pewno zna się na wszystkim' w tym kościele i zakłada, że ksiądz też się zna. W kruchcie stała z prawej strony chrzcielnica. Nad chrzcielnicą na ścianie wisiała reprodukcja obrazu: Chrystus w otoczeniu dzieci. „Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie... do takich bowiem należy Królestwo Boże.”

Carmody zatrzymał się tam na chwilę, po czym przeszedł na drugą stronę kruchty, gdzie wisiała inna reprodukcja: Dzieciątka Jezus pomaga świętemu Józefowi w pracy

ciesielskiej. Na obu tych obrazach Chrystus, dzieci, święty Józef mieli twarze wyraźnie chińskie. Tak samo postacie na stacjach Drogi Krzyżowej w kościele. Były ławki, szerokie przejście między nimi. W głębi dwa konfesjonały, drewniane budki z drzwiczkami zamykającymi część środkową, klęcznikami z obu stron i kotarami z grubej zielonej tkaniny. Główny ołtarz bardzo zwyczajny. Na jednym z dwóch bocznych ołtarzy figura Najświętszej Pani, na drugim świętego Józefa. Za głównym ołtarzem okno, niby to witraż - reprodukcja obrazu, który Carmody zawsze lubił: Chrystus w Ogrodzie Oliwnym. Carmody zacisnął usta i odwrócił się. Widząc, że John Wong chodzi za nim krok w krok, rozejrzał się jeszcze raz po kościele. Lampka oliwna nie paliła się. To znaczy, że Eucharystii nie ma w tabernakulum. Ksiądz w obliczu śmierci - pomyślał - spożywa konsekrowaną Hostię, oczywiście. Rozpaczliwie usiłował zobaczyć kościół oczami duchownego, ale widział go tylko tak, jak widzi człowiek świecki, inaczej nie potrafił. Odwrócił się powoli do kościelnego.

- Wspaniale tu, John - powiedział. - Bardzo czysto.

Wong odetchnął głośno i twarz mu pojaśniała. Czekał, żeby właśnie to usłyszeć, poza tym nic go nie obchodziło. Carmody odwrócił się, dłonie miał mokre.

Jeżeli będę pamiętać, że Chińczycy są prości, wcale nie chytry, wszystko pójdzie dobrze - pomyślał. - Przeceniałem tego małpiszona.

Znów panując nad sobą, wrócił zamasyżuje przez nawę,

przez którą przedtem szedł tak niepewnie. W drzwiach kościoła doznał jednak wstrząsu.

Główną bramą właśnie wkroczyli na teren misji dwaj Chińczycy. Jeden z nich był obszarpany i nijaki, ale drugi kroczył z namaszczeniem - przysadkowaty Chińczyk w brązowym habicie, opasany sznurem. Ten wyglądał na mnicha. Carmody odwrócił głowę do Johna Wonga.

- Kto to?

- Święty Wincenty i wioskowy żebrak.

- Kto?

Pokrótce, szybko John Wong wytłumaczył. Wsi należących do parafii jest siedem i są one ściśle zespolone. To ludzie z równin i pięć z tych wsi to wsie rodzinne, wszystkie - jedna rodzina. Mężczyźni pracują, jak umieją, i nie ma ani bardzo bogatych, ani bardzo biednych. Trochę płaci się tam pieniędzmi, ale przeważnie prowadzi się handel wymienny. Każdy przybysz, zwłaszcza przybysz ubogi zagraża tej dosyć słabej równowadze. Brak dla niego pracy, a kto nie pracuje, nie wart tego, żeby mu dawać jeść. Poza tym mógłby to być żebrak, zbiegły jeniec czy niewolnik z którejś z wiosek muzułmańskich, więc udzielanie mu schronienia pociągnęłoby za sobą kłopoty.

Toteż obcych dawniej kamienowano albo wypędzano, ale ksiądz Coleman, poprzedni ksiądz misji, opowiedział ludziom

0     świętym Wincentym, który opiekował się ubogimi. Ksiądz Coleman wyznaczył świętego Wincentego w każdej wsi

1     pozwolił mu na czas załatwiania jakichkolwiek spraw w kościele nosić szatę tego urzędu. Więc teraz ci właśnie wyznaczeni w takich szatach przyprowadzają żebraków do misji, zamiast ich kamienować.

- Co my tu z nimi robimy?
- Czasami zdarza się jakiś dobry człowiek, pracowity. Czasami nie.

Tamci dwaj już się zbliżali. John Wong spojrzał na Carmody'ego.

- Ksiądz z nim porozmawia, Szen Fu?

Carmody potrząsnął głową.

- Ty możesz to zrobić, John.

Kościelny, wyraźnie zadowolony, wystąpił naprzód i złożył ukłon człowiekowi w brązowej szacie, również kłaniającemu

5 — Lewa ręka Boga

65

się nisko. Potem przedstawił go księdzu i dopiero po dopełnieniu tej ceremonii raczył zauważyć unizonego żebraka. Wyprostował plecy, przybrał surowy wyraz twarzy.

- Czego chcesz od nas? - zapytał po chińsku.
- Jałmużny. Trzy dni nic nie jadłem.

Miną wyraził powątpiewanie, ale rzekł:

- Chodźcie!

Zawrócił do kościoła i ci dwaj, ten w brązowej szacie i żebrak, ruszyli tuż za nim.

Carmody stanął w cieniu zaciekawiony, gdy Wong zatrzymał się przed obrazem Chrystusa przy ciesiołce.

- To - z ekspresją wyjaśnił żebrakowi - jest Jezus Chrystus, Syn Boga. Patrz! Syn Boga ciężko pracuje. Pomaga swojemu ojcu zbudować dom. - Surowym wzrokiem rzucił wyzwanie. - Czym ty jesteś synem?

Żebrak wzruszył ramionami i bezradnie rozłożył ręce. Tym samym dał do zrozumienia albo że nie wie, kto jest jego ojcem, albo że woli o tym nie mówić. John Wong skinął głową.

- To miejsce należy do Syna Bożego, który pomaga swojemu ojcu w ciężkiej pracy - powiedział. - Chodź, zobaczymy, czy potrafisz zarobić na jedzenie.

Carmody patrzył, jak oni wychodzą. Uśmiechnął się lekko, rozbawiony tym pokazem praktycznym, ale w głębi duszy był niespokojny. Żebracy mogą być niebezpieczni.

Jeżeli, zanim się stąd wydostanę - pomyślał - przyjdzie tu jakiś, który mnie zna, czy choćby wie o mnie, będzie niedobrze. Nie spodobała mu się ta myśl ani też myśl o ścisłym powiązaniu wiosek. Z każdą nową informacją szanse ucieczki malały.

Pozostaje więc ten doktor - myślał. - Zobaczymy, co z nim.

Z kościoła przeszedł przez dziedziniec misji do szpitala. Było pół do jedenastej przed południem. Doktor David Sigman w przychodni badał jakiegoś chudzielca, jedyne na razie pacjenta. Pomagali mu młody Chińczyk w białym kitlu i pielęgniarka Chinka. Gdy zobaczył Carmody'ego, odwrócił się od pacjenta, machając ręką ze znudzeniem.

- Rad jestem, że księdza widzę - powiedział. - Przejdziemy tam, gdzie można porozmawiać.

W świetle dziennym doktor Sigman wyglądał bardziej

imponująco niż poprzedniej nocy. Biały kitel miał zapięty na wszystkie guziki i trzymał się bardzo prosto. Jego twarz o grubych rysach była spokojną, obojętną



maską lekarza. Powiódł Carmody'ego do jednopiętrowego domu za szpitalem. Nieco dalej Carmody zobaczył jeszcze jeden biały budynek, duży prawie jak połowa samego szpitala. Doktor podchwycił jego spojrzenie.

- Sierociniec - powiedział. - Jesteśmy rzeczywiście instytucją. Szkolimy też asystentów, pielęgniarki i sanitariuszy... - Uniósł kącik swych dużych, pulchnych ust w cierpkim uśmiechu. - Nasi interniści umieją badać tętno, nastawiać złamane kości i przepisywać rycynę albo węgiel. Wielu lekarzy amerykańskich nie umie nic poza tym. Zapali ksiądz cygaro?

- Nie, dziękuję.

Weszli do gabinetu obstawionego półkami pełnymi książek, usiedli w fotelach patrząc na siebie, nie ukrywając, że się wzajemnie szacują. Doktor obrócił cygaro w palcach i zmarszczył brwi. Carmody mógł dosłownie widzieć, jak on postanawia ominąć wszelkie grzecznościowe wstępy, jak zbiera się w sobie.

- A więc ksiądz nie zamierza zamknąć misji? - padło pytanie.

- Nie. Dlaczego miałbym ją zamknąć?

- Dlatego, że już jest bezużyteczna. Szkoda pieniędzy i sił ludzkich, potu i łez.

Doktor Sigman odgryzł czubek cygara. Tak samo zdecydowanie i bezosobowo odgryzł tę wypowiedź. Carmody rozparty w fotelu uznał, że to nie wymaga komentarza. Popatrzył na swoje ręce, silne, sprawne, nadające się do prowadzenia dużego samolotu, do posługiwania się bronią - och, nie są to ręce dyplomaty ani tym bardziej księdza. Marszczył brwi nad swoimi rękami, gdy doktor marszczył brwi nad cygarem. Wytworzyło to nastrój dobrego, towarzyskiego pokera, cóż, kiedy Carmody wolałby zwykle natychmiastowe wyłożenie kart na stół. Kto zarządza tą misją, doktor czy on? Trzeba wyjaśnić. Podniósł wzrok.

Doktor David Sigman prawdopodobnie zawsze wie, czego chce. To człowiek. Nie jest ani zwykłym sobie pocziwcem jak John Wong, ani najemnikiem - jest na wskroś lekarzem

i mężczyzną posiadającym autorytet, jego nieustępliwe oczy nie wyjawiają myśli, chociaż usta nie są tak nieustępliwe jak oczy. Trudno sobie wyobrazić, co go

przywiodło na tę wysuniętą placówkę misji katolickiej, ale jakieś wytłumaczenie oczywiście być musi, i tu właśnie miałbym klucz do charakteru tego człowieka - myślał Carmody. - Tylko że trzeba na to wytłumaczenie zaczekać. Doktor nie ma ochoty się zwierzać.

- Widział ksiądz ambulatorium? - zapytał David Sigman.

- Jeden pacjent! Ten nie umyty Chińczyk symbolizuje całą księdza misję. A dziesiątki tutaj są takich.

- Co się stało?

- To, co nieuniknione. Nie można łączyć nauki z przesadami, szpitala z kościołem misyjnym. To dezorientuje prostaczków. Jeden z naszych proboszczów, jak księdzu wiadomo, poniósł śmierć pod lawiną kamieni. Drugi, starowina, przecenił swoje serce. No więc umysłowość tutejszych ludzi, przesycona tą zezowatą logiką, jakiej my tu uczymy, wyciąga wniosek, że jest coś niedobrze z tą religią, skoro ona własnych swoich kapłanów nie może utrzymać przy życiu. Siłą rzeczy i ze szpitalem misyjnym też niedobrze. Tak to jest.

Carmody uśmiechnął się półgębkiem. Nietrudno grać rolę księdza wobec takich argumentów.

- Czy pan jest pewny, panie doktorze - zapytał łagodnie

- że ci ludzie rozumują w taki sposób?

Doktor spąsował i zacisnął usta.

- Nie, do diabła! - odpowiedział. - Nie jestem pewny niczego. Na tym polega różnica pomiędzy zawodem księdza i moim zawodem. Ja, kiedy znajdę się w ciężkiej sytuacji, usiłuję znaleźć jakieś rozwiązanie. Ksiądz w każdej sytuacji ma niezbitą pewność, zna wszystkie rozwiązania już z góry.

- Wiara przeciwko rozsądkowi, myśli pan?

Carmody założył nogę na nogę. Rozmowa zapowiadała się lepiej, niż przewidywał. Przecież nie trzeba aż być księdzem ani szczególnie w tę rolę się wżywać, żeby dyskutować z doktorem Sigmanem. Facet wszczyną jeden z tych sporów, jakie nieraz toczono w college'u i nawet w hangarach.

- Może cała różnica polega na tym, że lekarze mają do czynienia z ciałami, a

księża z duszami - powiedział.

Doktor Sigman prychnął.

- Przecież to jest to samo i na to samo wychodzi. Chwywanie piasku w siatkę na motyle. Ksiądz ściąga ludzi do konfesjonału i usiłuje naprawić ich duchowo, a oni dalej mają nieślubne dzieci, kradną przy każdej okazji i nurzają się w występkach, w jakie tylko wdepną. - Gniewnie zaciągnął się cygarem. - Ja zabieram ich do szpitala i naprawiam fizycznie, ale oni ledwie ze szpitala wyjdą, zaczynają cierpieć znów na przepuklinę i czerwonkę, i żylaki. Nieuniknione! Ci tutejsi to zwierzęta juczne i muszą dalej być tacy!

- Tak. Więc za dużo roboty dla pana i dla mnie. Czy nie powinniśmy obaj zrezygnować?

Carmody mówił spokojnie. Doktor popatrzył na niego bystro, po czym roześmiał się.

- Do diabła, nie! - wykrzyknął. - Ja dostaję bzika właśnie dlatego, że mam roboty za mało. Marnuję się, a nic gorszego człowiekowi nie może się zdarzyć.

- Więc spróbujmy coś na to poradzić.

Carmody sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Już widzę tego faceta wyraźnie - pomyślał - wiem, z kim mam do czynienia. On jest inny niż ja, inny niż Mieh Jang, inny chyba niż wszyscy, których znałem. Wyjął z kieszeni zapieczętowaną paczuszkę księdza O'Shea.

- Przywiozłem fundusz misyjny - powiedział.

- Tym zajmuje się moja żona - rzekł doktor Sigman obojętnie. - Ale księdza zainteresuje nasz układ...

Machał cygarem w ręce wyjaśniając organizację misji. Beryl, jego żona, prowadzi księgowość, a także uczy w szkole sierocińca, asystuje przy operacjach i szkoli nowe pielęgniarki. Pieniądze są potrzebne przede wszystkim wtedy, gdy karawany kupców przywożą dostawy. Carmody, chociaż zdenerwowany, zapytał niedbale:

- Jak często te karawany przybywają?

Oczy doktora błysnęły.

- Ksiądz powinien wiedzieć o tym lepiej niż ja.

Przypatrywał się Carmody'emu i to była krytyczna chwila.

Przecież ksiądz O'Shea przyjechał z wybrzeża, nie spieszył się, mógł jechać z którymś z tych kupców. Idiota ze mnie - pomyślał Carmody - że zapomniałem o tym. Jestem księdzem O'Shea, nie wolno mi sfolgować nawet na minutę. Wzruszył ramionami.

6

- Upadek rządu nacjonalistycznego komplikuje wszystko
- powiedział.
- Bardzo źle jest teraz?
- Nie wiem.

W pokoju zapanowała jakaś przykra, rozedrgana cisza. Doktor Sigman nie poruszył się ani nie odezwał przez pełnych trzydzieści sekund, tylko bezlitośnie patrzył na Carmody'ego. Gdy wreszcie przemówił, brzmiała w jego głosie jakaś złowieszcza nuta.

- Jestem zdumiony, proszę księdza, że ksiądz został tu przysłany wiedząc tak niewiele. Ile misji zamknęli już Czerwoni?
- Tego też nie wiem.
- Nie? - Doktor Sigman wychylił się z fotela i Carmody wyczuł kipiącą w nim wściekłość, gniew ledwie hamowany.
- Proszę księdza, ta odpowiedź bardzo mi się nie podoba! Nas jest troje w tej misji: moja żona, pielęgniarka Amerykanka i ja. Chodzi o nasze życie. Mamy prawo do uzyskania wszelkich informacji, będących w posiadaniu księdza.
- Przykro mi.
- Przykro! Księdzu przykro! Co nam to daje? Przykro! Niech ksiądz posłucha! - Doktor machnął swym cygarem jak buławą. - Ja mam kontrakt i osobiste zobowiązanie, które znaczy dla mnie więcej niż ten kontrakt. Ale nie muszę robić uników ani oszukiwać księdza czy jakichś innych klechów. Katolikiem nie jestem, więc ksiądz nie może ze mnie zrobić męczennika katolickiego. Powiedzmy sobie jasno. Jeżeli ksiądz nie poda mi powodu do pozostawiania tutaj... powodu, który uznam za logiczny, wyjadę stąd z następną karawaną.

Carmody patrzył na swoje ręce. Marszczył brwi, bo bał się, że albo wyraz twarzy,

albo oczy zdradzą go. Z natury nie był spiskowcem ani intrygantem, nie był też człowiekiem głęboko myślącym. Na uniwersytecie uprawiał sporty, należał do kółka dramatycznego; zawsze miał przede wszystkim te cechy, które sprawiły, że został pilotem, a potem dowódcą wojskowym. Od Jan Tenga, mnicha buddyjskiego, nauczył się cierpliwości: w ciągu długiej choroby ćwiczył koncentrację umysłową i nabrał szacunku dla filozofii. Od Mieh Janga nauczył się jedynej obrony przed winą: samej winy.

Teraz patrząc na gniewnego, szczerego człowieka siedzącego przed nim, zobaczył narzędzie swego wyzwolenia. Można sprowokować doktora Sigmana, a potem iść za nim pozorując niechęć. Doktor David Sigman otworzyłby wrota do wolności dla nich obu. Wiedząc wszystko o misji i jej zasobach ktoś, kto był porucznikiem Mieh Janga, przecież by potrafił podprowadzić Dave'a Sigmana do tych wrót. Podniósł oczy.

- Przykro mi - powiedział - że pan tak do tego podchodzi, panie doktorze. Może byśmy jednak dali sobie trochę więcej czasu?

Doktor ze zmarszczonymi brwiami popatrzył na niego, po czym przeniósł swego marsa na cygaro.

- Poruszyłem to trochę za raptownie - rzekł szorstko.

- Ale kiedy mam coś do powiedzenia, lubię mówić od razu.

- Zwarł swe szerokie szczęki. - Otóż nie wyczuwam, żeby ksiądz był ze mną szczery.

- Bywają chwile, kiedy milczenie znaczy więcej niż słowa.

- Możliwe. I możliwe, że to jest jedna z takich chwil.

- Doktor dźwignął się z fotela, duży człowiek wstający ze świadomym i widocznym wysiłkiem. - W każdym razie spodziewamy się z żoną, że ksiądz będzie u nas jutro wieczorem na kolacji. Dzisiaj piątek, ksiądz pości. Tymczasem, jeżeli ksiądz będzie czegoś chciał w szpitalu, proszę się zwrócić do Scotty.

- Do Scotty?

Doktor Sigman obciągnął marynarkę na brzuchu i wyprostował ramiona.

- Tak ją nazywamy - odpowiedział szorstko. - Poznał ją ksiądz wczoraj w nocy.

Anné Scott. Raczej idiotka, ale cholernie dobra pielęgniarka.

Carmody wyszedł z nim w blask słońca. To „raczej idiotka” było czymś jeszcze, nad czym należało się zastanowić. Pamiętał jednak aż za dobrze, że poznał Anne Scott ubiegłej nocy. Scotty?

- Dziękuję, panie doktorze - powiedział obojętnie. -Prawdopodobnie zajrzę tam do niej.

1

7

Misja mieściła się w kilku budynkach z cegły wypalanej w słońcu i z drewna.

Budynki stały na wielkim dziedzińcu, gdzie kałuże po wczorajszym deszczu parowały w promieniach wiosennego słońca. Z drewnianego chodnika przed domem doktora Jim Carmody miał panoramiczny widok prawie całej misji, ale nic mu to nie mówiło. Po prostu widok jak w jeszcze jednej wiosce czy w tym klasztorze łamów, widok bez znaczenia dla Amerykanina, który żyje na wygnaniu i którego wszystkie myśli zwrócone są ku ojczyźnie.

Zobaczył, jak doktor gniewnie idzie do ambulatorium, i jeżeli uznał, że ten człowiek jest nieco ważniejszy niż sama misja, to tylko ze względu na jego gniew. W owym momencie swego życia Carmody uważał, że jest wolny od wszelkich długów, a więc tym samym wolny od wszelkich zobowiązań i lojalności - musi służyć wyłącznie sobie samemu i starać się, żeby inni mu służyli. Pojęcie Boga jest odległe. Przecież nie zwykł myśleć o Bogu, więc łatwo było odsunąć sprawy nadprzyrodzone w podświadomość, przekonać siebie, że jest tylko świat materii, świat ludzi, i poza tym nie ma nic więcej.

Doktor zniknął w drzwiach, które zatrzasnął za sobą, a on jeszcze raz rozejrzał się po dziedzińcu. Trzej chińscy robotnicy układali nowe deski na zmytym ulewą chodniku przed szpitalem. Przerwali pracę, żeby popatrzeć na niego. Również patrzono z okien. Życie i ruch w misji ustały tylko dlatego, że ksiądz zechciał przystanąć na chwilę spokojnie w blasku słońca. Wzruszył ramionami, spletanymi za ciasną sutanną. Oto świat Petera Johna O'Shea - niestety trzeba o tym pamiętać.

Skierował się w stronę szpitala powoli, bez pośpiechu, wyobrażając sobie, że księża

właśnie tak powinni chodzić. Był na scenie, wiedział, że ktokolwiek by na niego patrzył, on musi grać należycie.

Gdy podchodził do frontowych drzwi szpitala, Anne Scott właśnie wychodziła. Coś w nim drgnęło. Oto dziewczyna, na którą przecież zwróciłby uwagę w każdych okolicznościach, gdyby zobaczył ją w San Francisco, w Chicago, czy w Nowym Jorku. Dziewczyna poruszająca się tak, jakby każdą chwilę swojego życia witała ochoczo. Właśnie taka dziewczyna - stwierdził, zanim sobie uświadomił szczegóły jej wyglądu.

72

Anne Scott miała na sobie samodzielny kostiumik i odpowiedni do tego płaszcz i beret, niebieski szalik zawiązany luźno na szyi. Powiedziała coś do chińskiej pielęgniarki w drzwiach, a potem odwróciła się, zobaczyła Carmody'ego i oczy jej rozblęły.

- Dzień dobry. Idę do wioski, proszę księdza. Ale nie pójdę, jeżeli ksiądz chce zobaczyć szpital.

Carmody machnął ręką.

- Zostawmy szpital. Jeszcze w tej wiosce nie byłem.

- Wspaniale. Oni tam także jeszcze księdza nie widzieli. To będzie wielka uroczystość.

- Wątpię.

Przechyliła głowę na bok, patrząc na niego.

- Ksiądz dotąd sobie nie zdaje sprawy, proszę księdza, że jest tutaj wielką osobistością. Zobaczy ksiądz. Ludzie już się dowiedzieli, że nowy ksiądz przyjechał, i mówią tylko o tym. Niewiele tu zdarzeń, więc po prostu nie mogą się księdza doczekać.

Carmody odpowiedział uśmiechem.

- Nowy film wchodzi na ekran „Bijou” w przyszłym tygodniu.

Dziewczyna też roześmiała się wesoło.

- Och, to jeszcze większa sensacja! - Potem spoważniała, posmutniała. - Do licha! Chciałabym teraz pójść do jakiegoś „Bijou” na dobry, ciekawy film!

Oboje milczeli wspominając. W Stanach Zjednoczonych filmy w kinach to rzecz normalna. Potem wychodzi się z kina i są czyste jaśniejące sklepiki z wodą sodową w szklanej kuli, z delikatnie słodkim zapachem mrożonych syropów i z czasopismami w kolorowych okładkach zawieszonymi na drążkach.

- Dawno nie szedłem tak z dziewczyną - powiedział Carmody.

Anne Scott spojrzała na niego poruszona.

- Przepraszam księdza - powiedziała. - Zaskoczyło mnie to. O księżach nie myśli się, że mieli kiedykolwiek jakieś randki... że chodzili na spacer z dziewczętami. Nie wiem, jakoś mi się wydawało, że ksiądz był księdzem zawsze.

Carmody dalej wspominał. Trzech z jego kolegów gimnazjalnych było teraz księżmi, kilku jego kolegów uniwersyteckich ukończyło seminarium duchowne. Wtedy, gdy

byli jego kolegami, przecież zabierali dziewczęta do kina tak jak on. Jeden z najbardziej rozhukanych jego kolegów, najlepiej tańczący i ubierający się najkrzykHwiej, zmienił się w ciągu jednego lata; jesienią wstąpił do seminarium duchownego. Carmody sam w którymś roku chciał to zrobić.

Teraz daleko od kraju szedł azjatycką wiejską drogą obok ładnej dziewczyny. Był od niej znacznie wyższy i pamiętał, że ma na głowie ten księży czarny kapelusz z szerokim rondem i że jest w koloratce i w sutannie. Te rzeczy były czymś więcej niż symbolem, sprawiały, że dziewczyna i on szli w jakichś dwóch odrębnych światach, mogli rozmawiać, ale w żadnym razie nie mogli przekroczyć rozdzielającej ich przepaści. Zachmurzył się świadom realnego istnienia misji. Nie tego chciał.

Wartki strumień płynął pienieście wśród głazów. Carmody przyszedł do misji z drugiej strony. Ta strona była mu nie znana. Na stokach gór ponad drogą znaczyły się pola uprawne, nad samym strumieniem błotne równiny zieleniły się maleńkimi pędami ryżu, leżały jak szerokie szmaragdowe maty wśród brzydkiej burej szarości. Bosi rolnicy w niebieskich brezentowych bluzach i w wielkich kapeluszach przerywali pracę, żeby się pogapić, gdy mijał ich człowiek w czarnej sutannie z dziewczyną w jasnym kostiumiku.

- Dawno już nie rozmawiałam z nikim ze Stanów Zjednoczonych, proszę



księdza - mówiła Anne Scott. - Z jakich okolic ksiądz pochodzi?

Carmody już chciał odpowiedzieć dokładnie, ale ugryzł się w język.

- Z Baltimore - mruknął. Musiał sobie przypomnieć, że jest Peterem Johnem O'Shea. - Z Worcester w stanie Massachusetts - powiedział. - Ale to było tak dawno temu.

- Nie może być tak dawno? - Anne Scott popatrzyła na niego zgadując, ile on ma lat. Biedziła się tak wyraźnie, że aż się roześmiał.

- Mam trzydzieści lat - powiedział.

Takie wyznanie nie mogło mu zaszkodzić. Księdzu O'Shea brakowało do ukończenia trzydziestu lat tylko paru miesięcy, a on miał miesiąc ponad trzydziestkę.

Dziewczyna marszcząc czoło popatrzyła na drogę przed nimi.

- Ja mam dwadzieścia osiem - rzekła. - Czasami czuję się

74

w

starsza. Urodziłam się i wychowałam w Waszyngtonie w dystrykcie Kolumbia.

Wszyscy zawsze się temu dziwili, jak gdyby w Waszyngtonie byli sami przyjezdni między jednymi wyborami a drugimi i nikt tam się nigdy nie urodził.

Przytaknął. Wiedział coś o tym. A więc Anne Scott jest tylko o dwa lata młodsza od niego. Rozdzielało ich trochę ponad trzydzieści mil, kiedy dorastali. On studiował w Waszyngtonie i umawiał się na randki z dziewczętami młodszymi od siebie. Anne mogła być jedną z tych dziewcząt, gdyby tak zrządził ślepy przypadek, kierujący takimi randkami studenckimi.

Ta myśl jakoś przybliżyła do niego Anne Scott, niepotrzebnie i niebezpiecznie, jak zdawał sobie sprawę. Ona nigdy nie może być mu bliska. Spalił przecież jedyny most prowadzący do niej. Anne Scott to tylko symbol tamtych innych dziewcząt, które on spotka na świecie, jeżeli zdoła przedrzeć się do nich. Stoi mocno, jeżeli o nią chodzi. Ma koloratkę, jest kapłanem Boga. Powrót do Jima Carmody oznaczałby odwrócenie się od niej raz na zawsze. Przecież jego maskarada to świętokradztwo.

Zwolnił kroku przedłużając chwilę, jaka mu była dana. Ta wieś nie znaczyła dla

niego nic, ale ta dziewczyna stanowiła żywy symbol wszystkiego, co kiedyś uważał

za przesądzone i co odrzucił. Kochał kiedyś inną dziewczynę i wierzył, że życie jego się skończyło, gdy tamta go zawiodła, ale teraz pamiętał ją już mgliście, nawet nie mógł sobie przypomnieć jej głosu, twarz zamazała mu się w pamięci. Nawet rana zadana przez tamtą dawno już się zagoiła.

Anne Scott szła u boku księdza O'Shea beztrąsko. Każdym swoim ruchem przejawiała ożywienie. Odkrywała wiosnę w świeżej zieleni przy tej piaszczystej drodze i dzieliła się z nim swymi odkryciami. Zarys policzka ukazywał się tak ładnie zaokrąglony, gdy odwracała od niego głowę, błękit oczu wprost zapierał dech, gdy się ku niemu zwracała. Miała cerę czystą, jedwabistą, złotawą, co oczywiście zdziałało chińskie słońce, włosy połyskliwe, ciemnoblonde. Wzrostem sięgała mu do ramienia i podbiegała chwilami, żeby zrównać z nim krok. Czuł się przy niej niezdarny, sutanna pętała nogi. Nie wiedział, co mówić.

- Pani musi czuć się tutaj osamotniona - powiedział.

-1'-

starsza. Urodziłam się i wychowałam w Waszyngtonie w dystrykcie Kolumbia.

Wszyscy zawsze się temu dziwili, jak gdyby w Waszyngtonie byli sami przyjezdni między jednymi wyborami a drugimi i nikt tam się nigdy nie urodził.

Przytaknął. Wiedział coś o tym. A więc Anne Scott jest tylko o dwa lata młodsza od niego. Rozdzielało ich trochę ponad trzydzieści mil, kiedy dorastali. On studiował w Waszyngtonie i umawiał się na randki z dziewczętami młodszymi od siebie. Anne mogła być jedną z tych dziewcząt, gdyby tak zrzucił ślepy przypadek, kierujący takimi randkami studenckimi.

Ta myśl jakoś przybliżyła do niego Anne Scott, niepotrzebnie i niebezpiecznie, jak zdawał sobie sprawę. Ona nigdy nie może być mu bliska. Spalił przecież jedyny most prowadzący do niej. Anne Scott to tylko symbol tamtych innych dziewcząt, które on spotka na świecie, jeżeli zdoła przedrzeć się do nich. Stoi mocno, jeżeli o nią chodzi. Ma koloratkę, jest kapłanem Boga. Powrót do Jima Carmody oznaczałby odwrócenie się od niej raz na zawsze. Przecież jego maskarada to świętokradztwo.

Zwolnił kroku przedłużając chwilę, jaka mu była dana. Ta wieś nie znaczyła dla

niego nic, ale ta dziewczyna stanowiła żywy symbol wszystkiego, co kiedyś uważał za przesądzone i co odrzucił. Kochał kiedyś inną dziewczynę i wierzył, że życie jego się skończyło, gdy tamta go zawiodła, ale teraz pamiętał ją już mgliście, nawet nie mógł sobie przypomnieć jej głosu, twarz zamazała mu się w pamięci. Nawet rana zadana przez tamtą dawno już się zagoiła.

Anne Scott szła u boku księdza O'Shea beztrąsko. Każdym swoim ruchem przejawiała ożywienie. Odkrywała wiosnę w świeżej zieleni przy tej piaszczystej drodze i dzieliła się z nim swymi odkryciami. Zarys policzka ukazywał się tak ładnie zaokrąglony, gdy odwracała od niego głowę, błękit oczu wprost zapierał dech, gdy się ku niemu zwracała. Miała cerę czystą, jedwabiście złotawą, co oczywiście zdziałało chińskie słońce, włosy połyskliwe, ciemnoblond. Wzrostem sięgała mu do ramienia i podbiegała chwilami, żeby zrównać z nim krok. Czuł się przy niej niezdarny, sutanna pętała nogi. Nie wiedział, co mówić.

- Pani musi czuć się tutaj osamotniona - powiedział.

Podniosła wzrok.

- Chwilami. Ale Beryl pracuje ze mną, a roboty jest sporo.

- Beryl? .

- Żona doktora Sigmana. Ona jest nadzwyczajna. Tylu rzeczy uczę się od niej.

Carmody uśmiechnął się. Już nie był tak skrepowany.

- Misja nieduża, a może się szczyścić aż dwiema kobietami nadzwyczajnymi - powiedział.

Dziewczyna spojrzała na niego z ukosa.

- Oj, kulą w płot, proszę księdza - powiedziała. - Ja wcale nie jestem nadzwyczajna.

To „proszę księdza”, wypowiedziane w sposób tak naturalny, było jak zimny wiatr wiejący od gór. Carmody odwrócił oczy.

- Nadzwyczajne jest to, że pani znalazła się tutaj - powiedział.

Ona teraz milczała i gdy spojrzał na nią znowu, patrzyła z czołem trochę zmarszczonym na drogę przed nimi.

- To długa historia, proszę księdza.
- Chciałbym ją usłyszeć.
- Żaden sekret. Chyba nią księdza zanudzę, jeżeli ksiądz zechce łaskawie jej słyhać. Ale teraz już wchodzimy do wioski.

Carmody podniósł głowę, przeklinając w duchu bliskość tej wsi. Spacer z Anne Scott był jak spokojny sen, był ucieczką od czasu i przestrzeni, i twardej rzeczywistości dnia wczorajszego, niebezpiecznej terażniejszości, niepewnego jutra. Nigdy nie była mu potrzebna żadna dziewczyna tak bardzo jak ta teraz, ponieważ dawniej nie wiedział, czym jest samotność. Samotnością nazywał w ubiegłych latach tylko młodzieńczą nudę, a potem dotkliwą pustkę u Mieh Janga. Nie mógł tego protestu nie wyrazić jakimiś słowami.

- Wolałbym, żeby ta pani wioska była gdzieś dalej - powiedział.

Dziewczyna roześmiała się.

- Jest dostatecznie daleko - odrzekła - przy złej pogodzie. Ale dzisiaj zgadzam się z księdzem. Dzień wprost darowany przez niebo na spacer.

Nie zrozumiała mnie i nic dziwnego - pomyślał. - Mówi do niej mężczyzna, a ona słyszy księdza.

76

Wioska była za zakrętem drogi i zanim tam doszli, owionęły ich zapachy siedzib ludzkich. Na skraju wioski stały szopy, gdzie gromadzono ekskrementy służące jako nawóz do użyźniania tej starej ziemi. Sama wioska stanowiła jedną jedyną uliczkę. Weszli między domy jak skrzynie - z szarej cegły wypalanej w słońcu - między nędzne sklepiki z podłużnymi szyldami, chwiejnymi w lekkich podmuchach wiatru. Środkiem drogi przebiegł nosiwoda, niosąc na ramionach kij z dwoma kubłami. Trzej Chińczycy zbrojni w sztylety w srebrnych pochwach pilnowali kilku mułów przystrojonych czerwonymi kitkami, tkacze uwijali się przy krosnach, bednarze pracowali w otwartej szopie, uliczni kucharze śpiewali piskliwie, zachwalając potrawę z ryżu, fasoli i plasterków jajek na twardo.

Panował ruch i zgiełk aż za duży w tej małej wiosce, i nagle wszystko ustało. Szept przebiegł po kramach, po wąskiej uliczce, dotarł do próżniaków, którzy z daleka

nieśmiało przyglądali się mułom obcych muzułmanów. Carmody szedł, a wioska wstrzymywała oddech patrząc na niego. Kramarze i tkacze, bednarze i sprzedawcy ryżowego wina już nie pracowali.

- Defilujemy, proszę księdza. A nie mówiłam.

Anne Scott powiedziała to głosem zniżonym. Lubowała się nastrojem tej nagłej ciszy. Carmody też czuł miłe ciarki podniecenia. Jeden z kramarzy, składając ręce przed sobą, ukłonił mu się nisko.

- Szen Fu! - powiedział.

To było jak sygnał. Szeroki uśmiech rozjaśnił każdą z tych okrągłych twarzy, głowy się pochylały. Szczęście zstąpiło do wioski - co tam interesy! Anne Scott знаła tego kramarza, więc powitała go.

- To jest Feng Tso Lin, proszę księdza - przedstawiła.

Niski, krzepki Chińczyk, tak wyróżniony, stał się natychmiast kimś ważnym. Jeszcze raz złożył ukłon bardzo niski i wygłosił przemówienie. Po imieniu i nazwisku zaczął wywoływać ludzi. Carmody z uśmiechem na twarzy wymieniał grzeczności. Po prostu przestał myśleć. Ci tutaj to nie Chińczycy dotychczas mu znani. Ci są z równin, prości ludzie mali wzrostem. Wysocy, silni górale i wojownicy z okręgu Mieh Janga zaprzęgliby takich do najgorszych

posług, ale teraz, w tej wsi te nieduże stworzenia miały jakąś godność.

Nastąpiła chwila milczenia bardzo wyczekującego. Dwaj tragarze przynieśli fotel, w którym siedział starzec niewiarygodnie sędziwy, z twarzą pooraną, pobrużdżoną zmarszczkami. Feng Tso Lin oznajmił dobitnie, że to najstarszy mieszkaniec wioski, ojciec niezliczonych synów.

- On pragnie twojego błogosławieństwa, Szen Fu - powiedział.

Carmody rozważył podniosłość sytuacji, nagle uciszenie się gawiedzi. Starzec pochylał głowę pokornie - ale czy naprawdę pokornie? W Chinach najstarszy członek społeczności ogromnie jest przez tę społeczność honorowany, wie, że wzbudza ogólny szacunek. Carmody podniósł prawą rękę. Uczynił znak krzyża nad tą

pochyloną głową, czując instynktownie, że ten symbol ma większe znaczenie, niż się to wydaje.

Pobłogosławił najstarszego i tym samym pobłogosławił całą wieś.

Gdy ręka Carmody'ego opadła, starzec podniósł głowę i utkwiał w nim oczy wciąż jeszcze przedziwnie czyste i bystre. Carmody usłuchał podszeptu instynktu, aktor w nim sprostał wymogom dramatu. Przyklęknął na jedno kolano i zdjął czarny kapelusz.

- Ja także proszę o błogosławieństwo - powiedział.

To była rzecz właściwa. Starzec położył mu rękę na głowie i przytrzymał ją przez dziesięć sekund. Ludzie odetchnęli powoli, Carmody wstał, rozbrzmiały głosy.

Ojciec duchowny misji pobłogosławił wioskę, wioska pobłogosławiła ojca duchownego. Pakt i ugoda. Tylko muzułmanie stali z daleka, obojętnie, ani nie pochwalając, ani nie potępiając - oni przecież, Allah świadkiem, robią tutaj tylko to, co im przystoi, i spluwają na ziemię, kiedy ten cudzoziemski diabeł czyni swoje znaki krzyża w powietrzu.

W drodze powrotnej do misji Anne Scott promieniała. Spacer był półmilowy, ale szła sprężysto i zwawo. Wiatr w wąwozie chłodem wieczornym zaróżowił jej policzki.

- To było wspaniałe, proszę księdza. Lepsze niż nowy film w kinie „Bijou”.

Kiedy ksiądz przyklęknął i pozwolił, żeby ten staruszek pobłogosławił księdza, to było bardziej

podniecające niż galop najdzielniejszego kowboja, pędzącego na ratunek, i huk strzałów.

Carmody uśmiechnął się.

- Tylko że po wyjściu z tego kina nie mogłem pani postawić lodów.

O lodach - które należały do bardzo odległej przeszłości - nie myślał poważnie; żałował jednak, że nie może zwinąć sutanny w tobołek i razem z czarnym kapeluszem wrzucić w wartkie wody strumienia płynącego przy drodze. Pewna dziewczyna nazywała go Cortezem, ale dziewczyna zupełnie nieważna. Byłoby

przyjemnie być Cortezem znowu, jeździć konno, dowodzić żołnierzami tak, żeby to widziała Anne Scott. Bezwiednie zaczął iść energiczniej i sutanna okręcała mu łydki. Nie mógł wyjawić, kim jest - obłudnik, chytrus, oszust.

- Na pewno księdzu chce się jeść - powiedziała dziewczyna. - Nie mogę nadażyć za księdzem.

Jeszcze przez kilka sekund nabierał coraz większego rozpędu. Myślał z pasją o tym, do czego dopuścił. Zaznajomił się z tą dziewczyną dostatecznie, żeby jej zapragnąć, a przecież wszystkim, cokolwiek robi, musi odsuwać się od niej. Ona widziała go na wioskowym placu i pochwaliła księdza, którego odgrywał. Ale jego głupota sięga jeszcze dalej.

Sam się wpakowałeś, ty durniu - myślał. - Po tym występie przed głupim chłopstwem ludzie zaczną wracać całymi stadami do misji i doktor będzie zadowolony. Odechce mu się wyjazdu, i co z tobą wtedy? Przecież nigdy nie zdołasz stąd uciec sam.

Uświadomił sobie, że dziewczyna coś mówi, i zatrzymał się w pół kroku. Spojrzał na nią, na tę zdumioną twarzyczkę, spojrział w te niewiarygodne błękitne oczy.

Potrząsnął głową.

- Przepraszam - powiedział.

Nic innego powiedzieć jej nie mógł. Szli znów powoli i dziewczyna podbiegała od czasu do czasu chcąc zrównać z nim krok. Ale już było inaczej; powrócili do swoich odrębnych światów, pomiędzy którymi nie mogło być dla nich mostu.

8

Wielebnego księdza Petera Johna O'Shea pochowano

0 zmiernie w niecałe dwadzieścia cztery godziny po ucieczce Carmody'ego z klasztoru łamów. Pochowano go bez obrzędów. Czterej buddyjscy mnisi w czarnych szatach zanieśli zwłoki do grobu już wykopanego i dwaj pomniejsi braciszczkowie w brązowych habitach zasypali grób ziemią. Gdy łopatami ukleпали ziemię, Jan Teng stojący przy grobie wyciągnął z fałd szaty ciemny orzechowy krzyż i położył go tam - krzyż wycięty z drewna filaru w starej świątyni przez jednego z tych, którzy nieśli kapłana Chrystusowego na ostatni spoczynek. Potem wziął od innego mnicha

buddyjski młynek modlitewny.

Było to kółko z poziomym wiatraczkiem i wypisaną na jego skrzydełkach chińską modlitwą, z podstawą na czterech nóżkach. Za grobem stał wzniesiony mały kopczyk wysokości osiemnastu cali, w tę ziemię Jan Teng wbił nóżki podstawy

1 cofnął się o krok. Wiatraczek pod lekkim powiewem górskiego wiatru zaczął powoli się kręcić.

Modlitwa buddyjska w młynku przesuwając się miała nad tym grobem w kółko i w kółko dniem i nocą, przez miesiące i lata, gdy pamięć ludzka zapomni, gdy usta ludzkie przestaną modlić się za Petera Johna O'Shea, kapłana Chrystusowego.

Mieh Jang z czteroosobową gwardią honorową był na pogrzebie. Twarz miał zastygłą w surowości. Wolałby spędzić ten czas zupełnie inaczej, ale za śmierć jednego człowieka ukarał całą wieś, więc po śmierci nie mógł tego człowieka zlekceważyć.

Mnisi odwrócili się od grobu. Jan Teng ruszył przed nimi. Po wyjściu z cmentarzyska teraz, gdy pogrzeb się skończył, Miech Jang skinął na niego. Ci trzech mnisi i czterej muzułmanie z gwardii - dwie grupy wrogie sobie i starannie ignorujące się nawzajem - stali w zasięgu słuchu. Miech Jang zniżył głos.

- Gdzie Carmody?

- Kto wie, ekscelencjo? Świat jest wielki.

- Nie tak wielki, jak ci się wydaje. Dla każdego człowieka w każdej chwili to zaledwie kilka mil kwadratowych.

Jan Teng nic na to nie powiedział. Miech Jang patrzył nieustępliwie.

- Przez niego tracę twarz.

80

- Przez nikogo Miech Jang nie traci twarzy - rzekł Jan Teng

- tylko przez samego Miech Janga. Komu by się śniło odejść tam, dokąd wasza ekscelencja nie rozkazałaby mu odejść?

Oczy Miech Janga się zwięzły, błysnęła w nich jakaś myśl.

- Zabrał ze sobą rzeczy tego księdza?

- Wszystkie. A swoje zostawił.

Mieh Jang odetchnął cicho.



- Więc odszedł do misji katolickiej. - Wyprostował się.
- Tak, jak mu kazałem.

Jan Teng złożył ukłon.

- Nic innego nikomu by nie przyszło na myśl.

Obaj stali przez chwilę w milczeniu. Powiedzieli sobie to, co uważali za konieczne, i ponadto ani słowa. Mieh Jangowi obecność buddystów w klasztorze łamów, który sobie przywłaszczył, nie robiła różnicy. Klasztor i tak był zbyt wielki dla tych niewielu już mnichów, a dla niego dość rozległy, żeby mógł im trochę miejsca zostawić. Studiowanie historii nauczyło go być ostrożnym wobec duchowieństwa, toteż w miarę możliwości nie wtrącał się do przestrzegania obyczajów religijnych. Jego żołnierze, muzułmanie, mieli za dużo świąt, za dużo postów, za dużo godzin modlitwy, a przecież im w tym nie przeszkadzał, dopóki służyli mu dobrze. Buddyści nie służyli mu pod żadnym względem, w jego pojęciu istotnym, bywały jednak chwile takie, jak ta teraz, gdy chciał o coś Jan Tenga zapytać. Jan Teng nigdy nie kłamał.

Ze swojej strony ten kapłan buddyjski, zwierzchnik klasztoru łamów, tolerował to, czego zmienić nie mógł. Wierzył, że każdy człowiek zbiera plon z własnego ziarna, i gościnnie otwierał drzwi swojego rozumu przed wszystkimi kołaczącymi. Stał teraz, czekając uprzejmie na następne pytania, i gdy żadne już nie padło, złożył ukłon i wrócił do mnichów. Gwardia honorowa ustawiła się znów za Mieh Jangiem.

Przy drzwiach kwatery zarządca wojskowy zatrzymał ich, ale przywódcę wezwał do siebie. Przywódca gwardii był krzepki, głowę miał kulistą, twarz szeroką i spłaszczoną, oczy posępne. Mieh Jang przesunął palcem po wielkiej mapie na ścianie i wskazał Górę Dwoch Sióstr. Widniał tam czerwony punkt z czarnym krzyżykiem.

- Znasz Dwie Siostry?

Przywódca gwardii, patrząc ze zmarszczonymi brwiami na

6 — Lewa ręka Boga

81

mapę, skinął głową. Mieh Jang dotknął trzech punkcików otoczonych małymi półksiężycami i wymienił nazwy tych trzech muzułmańskich wiosek.

- Znasz te wsie? Znasz ich naczelników?

Gwardzista odpowiedział niepewnie. Owszem, zna te wsie, ale naczelników zna tylko dwóch. Mieħ Jangowi jednak to wystarczyło.

- Znasz Ka-ma-di?

Gwardzista znów przytaknął. Zna Carmody'ego. Nie dodał, że jeździł z Carmodym dziesiątki razy. Odpowiadał na pytania, jakie Mieħ Jang mu zadawał. Mieħ Jang odszedł do mapy.

- Za Górą Dwóch Sióstr - powiedział - niedaleko od tych wiosek jest Tien Czu Tang, misja katolicka. Tam pojechał Ka-ma-di. Ja go wysłałem. Mógł przebrać się za tego katolickiego księdza. Pojedziesz do naczelników, których znasz. Powiesz im, że mają śledzić Ka-ma-di. Ciągłe śledzić. Chcę mieć meldunek o nim codziennie.

- To pięć dni drogi.

- Wiem. On cię wyprzedza o jeden dzień. Powiesz tym naczelnikom, że jeżeli do Tien Czu Tang przyjedzie jakaś karawana handlowa, nie wolno jej wyruszyć dalej, dopóki ja nie pozwolę. Idź już.

Przywódca gwardii pokiwał wolno głową na znak, że rozumie, i wyszedł. W żadnym razie by nie pytał, dlaczego poruczone mu zadanie jest konieczne, ani też nie próbowałby się domyślać celu. Wiedział dokładnie, co ma robić, wiedział, że to zrobi, i na tym koniec. Mieħ Jang siedział w fotelu przy biurku uspokojony, prawie rad, ale z błyskami okrucieństwa w oczach.

Carmody stanowił dla niego mniejsze utrapienie tam, gdzie był, niż gdyby pozostawał w klasztorze łamów, podważając jego autorytet swoją zbyt dużą sprawnością w dowodzeniu żołnierzami. Niemniej trzeba Carmody'ego pochwycić, dopóki jeszcze Carmody podlega odwołaniu. Dowódca, który pozwala jednemu buntownikowi rzucić władzy wyzwanie, wkrótce zostanie zgnębiony przez wielu buntowników. Rozparty w fotelu Mieħ Jang zaczął się lubować komizmem sytuacji. Teraz będzie miał Carmody'ego na długim postronku. To zupełnie jak powolna śmierć. Niech

postronek.

Z przyjemnością wyobraził sobie powrót Carmody'ego do klasztoru łamów. I zaraz wpadł na jeszcze jeden pomysł. Był bardzo hojny dla Carmody'ego. Dał mu prezent, ale Carmody tym prezentem wzgardził. Prezent niezwykle, więc tak być nie powinno.

Mieh Jang zabębnił palcami w poręczę fotela, a potem z wielkim rozmysłem wstał i poszedł przez korytarz do kwatery Mary Yin.

Misja na zboczu po drugiej stronie Góry Dwóch Sióstr była oddalona od klasztoru łamów o tydzień drogi przy złej pogodzie. Wysłannik Mieha Janga wyruszył o dzień później niż Jim Carmody i do celu podróży dotarł również o dzień później. Odwiedził naczelników, których znał, a potem usiadł przy ognisku w wiosce muzułmańskiej i wysłuchał opowieści trzech poganiaczy mułów.

Człowiek w czerni przyszedł z misji do wsi bezwstydnie z kobietą i traktował ją jak równą sobie, a ona wcale nie okazywała mu szacunku. Ludzie w tamtej wsi zawsze zachowują się głupio, ale witali tych dwoje jeszcze bardziej głupio i traktowali tego wysokiego, przyodzianego na czarno, jak gdyby był jakimś wielkim wodzem. A on czynił w powietrzu palcami chrześcijańskie czary i ukląkł na ziemi przed starcem, bynajmniej nie znakomitym.

Ów człowiek mógł rzeczywiście być Ka-ma-dim, który prowadzi żołnierzy, ale nie miał już brody i to jest bardzo dziwne. Jeżeli Mieha Jang, do którego Prorok się uśmiecha, tak właśnie sobie życzył, to jest jeszcze dziwniejsze, lecz Allah świadkiem, że tak jest.

Dzień następny jednak był dniem większego zdziwienia dla agentów wywiadu Mieha Janga.

Carmody obudził się wcześniej z marnym samopoczuciem. Zasnął tej nocy z niespokojną myślą o zmarłym Chińczyku i to zaniepokojenie w nim zostało: Li Kwana, który umarł w wierze, trzeba przecież odpowiednio pochować. Nikt jeszcze o tym nie mówił, ale właśnie fakt, że nie ma o tym mowy, świadczy na pewno, że inicjatywy oczekuje się od

niego, księdza, i że na niego oczywiście spada obowiązek załatwienia koniecznych związanych z tym spraw. Tylko jakie to sprawy?

Wstał po cichu i podszedł do biblioteczki swojego poprzednika, księdza Louisa Colemana. Tytuły niektórych książek były straszliwe, dwie jednak wybrała półek: Liturgia i Porządek obrzędów. Usiadł przy oknie tyłem do pokoju i zaczął wolno czytać rozdziały dotyczące pogrzebów i nabożeństw za zmarłych. Czoło mu się pofałdowało nad tą lekturą.

Są wypadki, gdy pogrzeb może być bez mszy żałobnej, ale to nie odnosi się do Li Kwana. Najwyraźniej Li Kwan ma prawo do mszy, o czym personel misji chyba wie dobrze. Półtorej strony obejmowało wyszczególnienie różnic pomiędzy mszą żałobną a zwykłą cichą mszą. Każdy katolik powinien te różnice znać na pamięć, ale przecież nie z punktu widzenia księdza. W rezultacie Carmody niewiele się z tego dowiedział - słowo drukowane nie wyjaśniało mu nic. Jednakże z niezrozumiałego kontekstu jakoś wybiło się jedno zdanie: „Cichych mszy żałobnych nie wolno odprawiać w niedziele”.

Dzisiaj sobota! Lada chwila może przyjść tu doktor czy John Wong, czy Anne Scott. Mogą powiedzieć: „Proszę księdza, dziś pochowamy Li Kwana. Ksiądz oczywiście zechce odprawić mszę”.

I co ja wtedy odpowiem? Jakie jest wyjście? Nie łudził się, że zdoła tak wybrnąć z sytuacji, jak zrobił to przy łożu konającego. Odgrywanie roli księdza tym razem przekracza jego możliwości. Za dużo musiałby się natychmiast nauczyć, za dużo rzeczy, o których w ogóle nie ma pojęcia. Nie zdążyłby się przygotować. Gdy występował w studenckich przedstawieniach, uczył się ról, zapamiętywał je bardzo szybko, ale nawet doświadczony aktor potrzebuje czasu na przestudiowanie roli, wżycie się w nią. Dziś jest sobota.

Panika ogarnęła Carmody'ego. Czuł, jak się poci i jak serce mu nierówno bije. Wojna nauczyła go nosić maskę, grać rolę mimo lęku, ale teraz to nie był lęk, to był dziwny strach, który tylko na wątlej smyczy przytrzymała wola

- strach raczej przed samym zmierzeniem się z sytuacją, jakiej nie zdoła sprostać, niż przed jej skutkami.

Wydawało się, że duch Li Kwana jest w tym pokoju, uśmiechnięty, bezzębny, pomarszczony. Jeżeli po śmierci

84

istnieje jakieś życie, Li Kwan już wie, że został oszukany, że jego wielka wiara oddała go w ręce zatwardziałego awanturnika, porucznika bandyty, i że błogosławieństwo z takiej ręki było okrutnym szyderstwem z wszelkich błogosławieństw. Ale też Li Kwan jeżeli wie o tym, wie również, jaką zemstę za to gotuje los.

Ten trup, ziemskie szczątki Li Kwana, leży gdzieś na terenie misji, wyzywając niemo człowieka, który odważył się udawać księdza. Swym biernym żądaniem chrześcijańskiego pogrzebu kładzie kres maskaradzie. Li Kwan mści się cichaczem, chytrze, jak najbardziej po chińsku. Będzie pozostawał na ziemi, dopóki ten, kto go oszukał, nie zdemaskuje się.

Za drzwiami zaszurały kroki. Carmody podniósł głowę i spojrzał przez ramię, zasłaniając sobą książkę, którą trzymał w ręku. John Wong wszedł i uklonił się przepraszająco.

- Ksiądz czyta nabożeństwo. Przepraszam, że przeszkadzam. Chłopcy mogą już zrobić śniadanie?

Carmody głęboko odetchnął.

- Dobrze, John, dziękuję. Niech podadzą.

To było odroczenie - odroczenie tak nagłe i niespodziewane, że aż go obezwładniło. Księża odprawiają nabożeństwa na czczo, jedzą dopiero po ostatniej w danym dniu mszy. I John by przecież wiedział o projektach w związku z pogrzebem Li Kwana, gdyby pogrzeb miał odbyć się dziś. To by już figurowało w jego spisie.

Może można by pochować Li Kwana dzisiaj albo jutro z prostym jakimś obrzędem, bez mszy - myślał Carmody. - Zdażyłbym chyba się przygotować do odczytania modlitw nad grobem. Ta myśl dodała mu otuchy i jeszcze raz przeczytał ze skupieniem porządek mszy żałobnej. Coś nakazało mu to zrobić. Powróciły wspomnienia: dawno temu był na niejednej takiej mszy i służył do niejednej - ministrant w czarnej sutannie i białej komży.

John Wong przyniósł śniadanie na tacy, cofnął się od stołu i wyczekiwał aprobaty. Gdy śniadanie zostało zaaprobowane, uśmiechnął się, uklonił i odszedł. Carmody znów poczuł niepokój: czy Johna Wonga nie dziwi, że ksiądz pozwala, by pełne dwa dni minęły bez mszy świętej? Księża odprawiają msze co dzień. Może to, że ksiądz Coleman z racji swojej choroby przez długi czas nie mógł

f' %

istnieje jakieś życie, Li Kwan już wie, że został oszukany, że jego wielka wiara oddała go w ręce zatwardziałego awanturnika, porucznika bandyty, i że błogosławieństwo z takiej ręki było okrutnym szyderstwem z wszelkich błogosławieństw. Ale też Li Kwan jeżeli wie o tym, wie również, jaką zemstę za to gotuje los.

Ten trup, ziemskie szczątki Li Kwana, leży gdzieś na terenie misji, wyzywając niemo człowieka, który odważył się udawać księdza. Swym biernym żądaniem chrześcijańskiego pogrzebu kładzie kres maskaradzie. Li Kwan mści się cichaczem, chytrze, jak najbardziej po chińsku. Będzie pozostawał na ziemi, dopóki ten, kto go oszukał, nie zdemaskuje się.

Za drzwiami zaszurały kroki. Carmody podniósł głowę i spojrzał przez ramię, zasłaniając sobą książkę, którą trzymał w ręku. John Wong wszedł i uklonił się przepraszająco.

- Ksiądz czyta nabożeństwo. Przepraszam, że przeszkadzam. Chłopcy mogą już zrobić śniadanie?

Carmody głęboko odetchnął.

- Dobrze, John, dziękuję. Niech podadzą.

To było odroczenie - odroczenie tak nagłe i niespodziewane, że aż go obezwładniło. Księża odprawiają nabożeństwa na cześć, jedzą dopiero po ostatniej w danym dniu mszy. I John by przecież wiedział o projektach w związku z pogrzebem Li Kwana, gdyby pogrzeb miał odbyć się dziś. To by już figurowało w jego spisie.

Może można by pochować Li Kwana dzisiaj albo jutro z prostym jakimś obrzędem, bez mszy - myślał Carmody. - Zdażyłbym chyba się przygotować do odczytania

modlitw nad grobem. Ta myśl dodała mu otuchy i jeszcze raz przeczytał ze skupieniem porządek mszy żałobnej. Coś nakazało mu to zrobić. Powróciły wspomnienia: dawno temu był na niejednej takiej mszy i służył do niejednej - ministrant w czarnej sutannie i białej komży.

John Wong przyniósł śniadanie na tacy, cofnął się od stołu i wyczekiwał aprobaty. Gdy śniadanie zostało zaaprobowane, uśmiechnął się, uklonił i odszedł. Carmody znów poczuł niepokój: czy Johna Wonga nie dziwi, że ksiądz pozwala, by pełne dwa dni minęły bez mszy świętej? Księża odprowadzają msze co dzień. Może to, że ksiądz Coleman z racji swojej choroby przez długi czas nie mógł

codziennie mszy odprowadzać, ujęło tutaj wagi temu obyczajowi. Jeżeli tak, to świetnie. Niemniej dzień dzisiejszy - sobota - jest bardzo ważny. Właśnie dziś trzeba znaleźć sposób wydostania się z misji, uwolnienia się od tożsamości księdza O'Shea, bo inaczej będzie ze mną krucho.

Dopijał drugą filiżankę kawy, gdy kościelny przyszedł znowu. Teraz kompetentny, energiczny John Wong zwięźle kazał chłopcom sprzątnąć ze stołu. W ręce miał kartkę.

- Pracowity dzień, proszę księdza - powiedział. - Ksiądz musi odwiedzić sześć wiosek, poznać ludzi.
- Muszę? - Carmody odchylił się na krześle.
- Koniecznie. Wczoraj ksiądz odwiedził tylko jedną, tylko w jednej pobłogosławił ludzi.

John Wong podniósł wzrok znad swojej zbytecznej kartki i minę miał stanowczą. Widać było, że gdyby jego się poradzono, nowy ksiądz nie odwiedziłby żadnej wsi, dopóki nie mógłby jednego dnia odwiedzić wszystkich. Widać też było, że ma za złe, iż się jego nie poradzono. Carmody skinął głową.

- Masz rację, John. Nie możemy dopuścić, żeby którakolwiek z tych wiosek straciła twarz.

John Wong rozchmurzył się. Miał rację, oczywiście. Wolał jednak ująć to po swojemu.

- Chrystus umarł za wszystkich - powiedział.

Carmody popatrzył zdumiony. Nie przyszłoby mu na myśl, że Chrystus umarł za tych siedem wiosek na dzikich wzgórzach. Księdzu pewnie by to na myśl przyszło - chociaż inaczej sformułowane. Wstał od stołu.

- Dobrze, John - powiedział. - Będiesz mi potrzebny, żeby pójść tam ze mną i dokonać prezentacji.

Widział w tym sposobność, na jaką liczył - możliwość rozejrzenia się po okolicach, zbadania, czy da się zwerbować jakichś łatwowiernych przewodników, znalezienia drogi ucieczki z zasięgu władzy Mieh Janga. A także i od zwłok Li Kwana czekających na pogrzeb.

W ciągu piętnastu minut był gotów do tej wędrówki. John Wong chciał postarać się dla niego o kuca czy osła lub też tragarzy z lektyką. Ale on machnięciem ręki zbył tę propozycję.

- Daleko to, John?

- Obejść wszystkie wsie i wrócić do domu? Dziesięć mil. Może jedenaście.

86

- Nie najgorzej. Pójdziemy pieszo.

Z jakiegoś powodu John Wong wolał iść pieszo. Ruszył przodem dumnie i tak zaczął się dla muzułmanów, skrycie obserwujących Carmody'ego, dzień dziwów. Carmody stworzył precedens w tamtej pierwszej wsi, więc oczekiwano, że to samo będzie robił i w innych. Wszędzie był najstarszy mieszkaniec do pobłogosławienia i było błogosławieństwo do przyjęcia. W miarę jak dzień mijał, Carmody'emu coraz większą trudność sprawiało wczuwanie się w rolę pokornego i dobrotliwego księdza, a przecież musiał odpowiadać uśmiechem na uśmiechy, mówić łagodnie, wysłuchiwać cierpliwie. Każda godzina wydawała się jeszcze jednym kamieniem dostawionym do zatrzaśniętych drzwi pułapki.

Te wioski nie dawały żadnej możliwości ucieczki ani ci wieśniacy - czy to świadomie, czy nieświadomie - w żadnym razie by mu nie pomogli. Wszystkie siedem wiosek należało do jednej społeczności i ludzie z nich zawierali związki małżeńskie, handlowali, dzielili się nowinami i wymieniali usługi między sobą.



Kowal mieszkał w wiosce Czung, ale jeździł regularnie do sześciu innych wiosek, żeby tam naprawiać narzędzia rolnicze, podkuwać osły i muły; tragarze i gońcy krążyli również regularnie i wszystkie wiadomości, ważne czy błahe, wędrowały razem z nimi. Ludność tych wiosek stanowili wyrobnicy, rzemieślnicy, rolnicy i chociaż w zdobywaniu pożywienia mieli oni większe szczęście niż ich bracia na wielkich równinach, to przecież im także nie było łatwo. Hodowali kury, kaczki, kozy i owce, jednakże rozmnażanie się tych zwierząt nie wystarczało, żeby mogli mieć dosyć mięsa. Polowali więc na dziką zwierzynę, łowili ryby w strumieniach i prowadzili handel wymienny z muzułmanami, posiadającymi na swoich terenach duże trzody. Jakoś sobie radzili, ale było ich mrowie, więc walka o byt musiała być ciężka.

Dla tych wieśniaków obecność księdza w misji oznaczała pewną ochronę przed najazdami dzikich górąli, nieobliczalnych jak Indianie na pograniczach dawnej Ameryki. Misja prowadzona przez księdza była miejscem zebrań i umacniała w nich więź solidarności.

To wszystko Carmody po części wywnioskował, po części usłyszał od Johna Wonga w ciągu dnia. John Wong przyznał niechętnie, że chrześcijanami jest w tych wioskach mniej niż

połowa mieszkańców, ale zacyzn chrześcijaństwa sprawia, że cieszą się oni szacunkiem. Chrześcijański Szen Fu to bardzo ważna osobistość dla wszystkich, bez względu na ich religię.

A więc czy nowo przybyły ksiądz mógłby znaleźć pomoc, żeby uciec z okolic, gdzie obecność jego jest tak pożądana? Ktoś tak wybitny i mający prestiż czyż zdołałby zrobić cokolwiek, co nie zostałoby rjatychmiast rozgłoszone w dół i w górę rzeki? A bez pomocy jak wyrwać się stąd - i dokąd? Fakt, że udało się tu dojechać, nie ma już znaczenia. Podróż księdza do misji to sprawa normalna i nikt nie chciałby jej przeciwdziałać z wyjątkiem partyzantów czy muzułmanów, których jednak przestraszyło niezadowolenie Mieh Janga, natomiast wyjazd księdza z misji wywołałby opór, kwestionowanie, chytne stawianie przeszkód. I opieka Mieh Janga

chyba już się nie rozciąga na człowieka w czerni.

Wyszli z ostatniej wioski i wędrowali nad wartką rzeką, gdy nagle zaświtała nikła nadzieja. John Wong, zadowolony z przebiegu dnia, powiedział:

- Dużo więcej chrztów. Mam je w spisie. Dużo roboty w przyszłym tygodniu. I może będą nawrócenia na łono Kościoła. - Spojrzał w kierunku północno-wschodnim tam, gdzie na wzgórzach leżały mroczne cienie. - Ksiądz zna tamten kościół, proszę księdza?

- Jaki tamten kościół?

- Misji protestantów.

- Nie. Gdzie to jest?

John Wong z odrazą machnął ręką w stronę tych dalekich cieni.

- Trzy dni drogi - powiedział. - Nieprawdziwa wiara.

Trzy dni drogi! Carmody głęboko wciągnął w płuca powietrze. Ciężka przeprawa, ale możliwa dla kogoś zdecydowanego na wszystko, po starannym rozważeniu ryzyka. John Wong zadumał się ponuro.

- Pastor jednego razu odwiedził księdza Colemana - powiedział. - Bez koloratki. Bez sutanny. Niski taki. I z grubym głosem.

Carmody przymknął oczy. Ujrzał siebie wędrującego prawie w osaczeniu po tych wzgórzach i wreszcie docierającego do misji protestanckiej. Jaką bajeczkę mógłby tam opowiedzieć? Pastora, który złożył wizytę w tej misji katolickiej,

88

niełatwo nabrać, choćby się Bóg wie co wymyśliło. Gdyby tam przyszedł jako ksiądz, byłoby oczywiste, że coś nie jest w porządku, i ten pastor by się zorientował. Bo do misji protestanckiej, oddalonej o trzy dni drogi, przecież wiadomość o przybyciu nowego księdza i przyjęciu, jakie mu zgotowano w pierwszej wiosce, chyba już dotarła. Z drugiej strony gdyby dało się zdobyć jakąś inną odzież ze składów misji, znów by się wyłonił problem tożsamości Jima Carmody! Amerykanin w tych okolicach musiałby gęsto się tłumaczyć i szybko by odkryto jego powiązania z Mieh Jangiem, o którego poruczniku, Amerykaninie, powszechnie wiadomo. Żaden misjonarz przy zdrowych zmysłach nie udzieliłby schronienia dezterterowi z

szeregów Mieh Janga, tym bardziej, że on wskutek samych tych powiązań utracił wszelkie prawa do azylu u duchownych i niegodny jest ich zaufania. Jednakże gdyby akceptowany ksiądz miał do załatwienia w misji protestanckiej jakąś słuszną urzędową sprawę, to byłby krok do wolności, do miejsca, z którego można by zniknąć.

- Może powinniśmy złożyć wizytę w tamtej misji, ty i ja - powiedział Carmody niedbale. - Chciałbym zobaczyć, jak oni tam sobie radzą.

John Wong skwaszoną miną wyraził bezwzględną dezaprobatę.

- Za dużo w spisie - odrzekł. - Za dużo roboty teraz. Ludzie długo czekali na księdza.

Szli dalej w milczeniu i John Wong, chociaż nigdy by mu to na myśl nie przyszło, był dozorcą więziennym. Szczere oddanie, z jakim służył Kościołowi, czyniło z niego jeden z najmocniejszych więzów przytrzymujących Carmody'ego w pułapce.

Rozpaczliwie Carmody zastanawiał się nad okolicznościami i nie znajdował nic, żadnej wyrwy w tym murze, żadnego wyjścia.

Doszli do bramy misji o zmierzchu. Chłodny, wilgotny wiatr wiejący w wąwozie sprawił, że to schronienie wydawało się miłe i przytulne. Gdy przechodzili przez dziedziniec, drzwi domu doktora się otworzyły i ze schodów zbiegła Anne Scott.

- Wypatrywałam księdza! - powiedziała bez tchu. - Czy mogę z księdzem chwilkę porozmawiać?

- Oczywiście - odpowiedział Carmody. - Może zechce pani wejść do mojego gabinetu?

89

1»

Szedł obok niej na plebanię bliźniaczo podobną do siedziby doktora. Anne Scott była mała w jego cieniu i widząc ją po chwili w ciepłym blasku lampy zapalanej przez Johna Wonga, stwierdził, że wygląda jak jedna z tych bohaterek opowiadań w magazynach ilustrowanych, które pamiętał z dalekiej przeszłości. To były niezwykle urocze dziewczyny, o śmietankowej cerze i połyskliwych włosach, dziewczyny, jakich mężczyzna nawet się nie spodziewa zobaczyć gdziekolwiek w życiu poza

światem owych grafików, obłądnych perfekcjonistów, wyczarowujących swoje kobiety śliczne jak lalki i bardziej eteryczne niż modelki. Włożyła na ten wieczór powiewną sukienkę jasnoniebieską. Miała na szyi sznureczek pereł i niebieski jedwab otulał jej jędrne piersi ani ich nie uwypuklając, ani nie ukrywając tego, że są. Podsunął jej fotel, usiadł naprzeciwko i nagle zdał sobie sprawę, że jest pokryty kurzem tych sześciu wiosek, że odzież na nim lepi się od zaschłego potu i że mięśnie mu drętwieją znużone. Czy wiecznie będę się spotykać z Anne Scott w niekorzystnych dla mnie sytuacjach? - pomyślał. Ona siedziała na krawędzi fotela nerwowo i coś trzymała w zaciśniętej ręce.

- Chodzi o Li Kwana, proszę księdza - powiedziała. - Ksiądz wie, ja go serdecznie lubiłam.

Przytaknął. A więc już! Przez cały dzień uciekał od ducha tylko po to, by wrócić prosto do tego właśnie. Anne Scott zwilżyła językiem wargi.

- Doktor Sigman chciał zrobić sekcję, nie mogłam nic przygotować, dopóki nie wydał ciała dziś po południu. Li nie miał krewnych, nikogo, proszę księdza, nie pochodził z tych okolic. - Głos jej się załamywał, ale nie odrywała swych czystych oczu od Carmody'ego. - Ja byłam dla niego czymś najbardziej zbliżonym do rodziny. Myślę... myślę, że lubił mnie. Chyba byłby zadowolony, gdyby wiedział, że zajmuję się nim.

- Z pewnością.

- Dziękuję księdzu. Wiedziałam, że ksiądz zrozumie. Zamówiłam u Nin Lina, stolarza, trumnę. Chciałabym, żeby ksiądz odprawił mszę żałobną za niego, proszę księdza. W poniedziałek rano, jeżeli można prosić.

Wpatrując się w nią Carmody pomyślał, że wolałby,

90

gdyby to nie ona zadała mu ten nieunikniony cios. Nie potrafił teraz sformułować jednego bodaj zdania, jego usta same wypowiedziały:

- W poniedziałek?

- No bo jak wcześniej, proszę księdza? Wiem, że w niedzielę nie może być pogrzebu, jeżeli...

Popatrzyła na niego z nadzieją. Nie знаła przepisów ani możliwości wyjątków. Stanowczo potrząsnął głową.

- Nie - powiedział. - W niedzielę nie. Pogrzeb będzie w poniedziałek rano. Uspokoila się. Rozwarła zaciśniętą pięść, w której miała zmietoszoną kopertę.

- Chcę złożyć ofiarę na Kościół, proszę księdza.

Carmody spojrział na tę kopertę, a potem na nią, jej twarz pełną powagi, ujmująco młodą, doprawdy nie wyglądała tak, jak chyba powinna wyglądać pielęgniarka ze szpitala misyjnego. Machnął ręką.

- To niepotrzebne - powiedział. - Zgoła niepotrzebne. Ostatecznie on był moim pierwszym parafianinem tutaj. Czekał na mnie.

- Ale ja chcę to zrobić dla niego. Jeżeli ksiądz nie przyjmie tych pieniędzy na pogrzeb, to proszę, niech ksiądz odprawi za jego duszę jeszcze jedną mszę.

W żaden sposób nie mógł odmówić, wyciągnął niechętnie rękę i wziął tę kopertę. Powróciło wspomnienie z innej plebanii. Przed laty sam przyniósł pieniądze siwemu księdzu Bernardowi Cleary i prosił o odprawienie mszy za duszę matki. Pragnął, żeby msza została odprawiona właśnie za pieniądze, które zaoszczędził z tego, co zarabiał roznosząc gazety. Ksiądz Cleary także nie chciał pieniędzy przyjmując, a przecież zrozumiał ową potrzebę ludzkiego serca nakazującą złożyć taką ofiarę - to rozpaczliwe ludzkie pragnienie, żeby „coś zrobić”. W pokoju teraz panowała cisza i nagle Carmody usłyszał własny głos - odruchowo powtórzył słowa księdza Cleary z tamtych lat dawno, dawno minionych.

- Błogosławieni zmarli przed obliczem Boga Wszechmogącego też pamiętają o nas, kiedy my o nich pamiętamy.

Wiedział, że nie ma w tym obłudy, nic z narzuconej sobie roli. Wypowiedział słowa kiedyś w podobnych okolicznościach powiedziane jemu - bo słów własnych teraz nie znalazł.

Od dawna nie myślał o tamtej nocy ani o swojej matce, która umarła, gdy był jeszcze bardzo młody. Wspomnienie wróciło nieoczekiwanie i wywołało wstrząs - porzucając wiarę w Boga, porzucił też i pamięć o ukochanych zmarłych. Zmarli przed obliczem

Boga Wszechmogącego pamiętają o żywych. Jeżeli Boga nie ma, jeżeli Bóg istnieje tylko jako mit ludowy, ci zmarli są tylko prochem i w proch się obracają; ich samozaparcie w życiu, ich ideały, ich miłość, wiara i miłosierdzie znaczą akurat tyle, co pianie koguta czy ryk osła, czy miauknięcie jaguara nocą.

Anne Scott wolno wstała z fotela. Oczy miała przymglone.

- Bardzo mi się podoba sposób, w jaki ksiądz to ujął - powiedziała. - Miło mi myśleć, że Li Kwan jest szczęśliwy i że pamięta o mnie. To jest... Och, nie wiem, proszę księdza. Tylko księza potrafią ująć to tak doskonale.

Odwróciła się i odeszła, zanim Carmody zdążył jej odpowiedzieć. Patrzył na tę zmietoszoną kopertę w swojej ręce i wydawało mu się, że słyszy echo jej słów: „Tylko księza... tylko księza”.

Drzwi znów się otworzyły i z ukłonem stanął w nich John Wong.

- Kolacja u doktora Sigmana za pół godziny - przypomniał uroczyście. - Ksiądz chce się teraz wykapać?

Za drzwiami głośny plusk świadczył, że chłopcy już wlewają wiadrami wodę do wanny. Kąpiel księdza najwidoczniej została postanowiona.

- Tak, John - powiedział Carmody - teraz się wykapię.

9

Doktor David Sigman z nie zapalonym cygarem w zębach chodził wielkimi krokami tam i z powrotem po swoim gabinecie. Marszczył czoło, ręce trzymał głęboko w kieszeniach. Beryl weszła do gabinetu, ale zatrzymała się przy drzwiach.

- Odgłosy stąd jak z Zoo - powiedziała.

Dave Sigman nawet nie spojrzał na nią.

- Do diabła! - zaklął. - Od czasu do czasu człowiek potrzebuje trochę ruchu.

92

- Pewnie że tak. Zwłaszcza kiedy człowiek zaprosił księdza na kolację. Dlaczego tak się rozpalasz, kochanie?

- Wprost przeciwnie. Próbuję się przygasić. Masz teraz czas na papierosa?

- Oczywiście.

Beryl podeszła do fotela i usiadła, nonszalancko założyła nogę na nogę. Była w

efektownej czarnej sukni wieczorowej z broszą z zielonego nefrytu czy też raczej z nefrytowym hamulcem przy zjeżdżającym dekolcie. W uszach miała długie wiszące klipsy też z nefrytu. Wargi umalowała jaskrawo. Mąż, podając jej papierosa i ogień, przechylił głowę w bok i popatrzył domyślnie.

- Tyle świetnej przynęty marnujesz na kogoś, kto ślubował, że będzie żyć bez kobiet - zauważył.

- To się nie marnuje, kochanie. Przecież ty byś nawet nie zwrócił na to uwagi, gdyby nie miał przyjść mężczyzna, który może jednak na to uwagę zwróci.

Dave Sigman położył cygaro w popielniczce i zapalił papierosa. Ostatnio cygara tylko trzymał w ustach nie zapalone. Jego zapasy cygar prawie zupełnie się wyczerpały, a papierosów także już było niedużo.

- Cieszę się, że jesteś kobietą - rzekł ni stąd, ni zowąd.

- Bywają, chociaż dosyć rzadko, chwile, kiedy podejrzewam, że się z tego cieszysz. Ale ty nie o mnie myślałeś teraz, kiedy chodziłeś tutaj jak głodny tygrys.

Coś cię trapi w związku z tym nowym księdzem?

- Nic mnie nie trapi. Po prostu nie lubię go.

- Dave!

- Tak jest. Byłem gotów walczyć z każdym księdzem, który przyjedzie do nas, bo moim zdaniem misję trzeba zamknąć, zanim wszystko w tym kraju się ułoży. Zdania nie zmieniam. I mam prawo wypowiadać je, do cholery! Ale przez cały czas przecież wiedziałem, że nie papież tu przyjedzie, a księża muszą robić to, co im polecono.

- Istotnie cechuje cię przenikliwość i wysoka kultura.

- Dobrze. Nie widzę w tym nic śmiesznego. - Doktor pochylił się ku niej, wyraźnie zły. - Jeśli czegoś nienawidzę, to ludzi, którzy kłamią.

- No, zaczekaj, Dave!

- Nie zaczekam. Przemyślałem to sobie. Człowiek, tający

93

informacje, które uzyskać od niego ja mam pełne prawo, to według mnie kłamczuch! On sprawia takie wrażenie, jakby wolał mi nie zdradzać tego, co wie, bo obawia się,

że mógłbym to zmienić. Ten facet coś przemilcza. Nie jest szczery. Nie potrafię wmówić sobie, że jest uczciwy. Nie wiem, co się za tym kryje, ale cokolwiek się kryje, nie lubię go.

Beryl patrzyła na męża zatroskana.

- Nie zaczynaj rozwijać w sobie męskiej intuicji, Dave - rzekła w końcu. - Już dostatecznie niedobra jest intuicja w wydaniu kobiecym. Powinieneś być wobec niego sprawiedliwy. On nas nie zna. Musi po omacku torować sobie drogę.

- Możliwe. Ale ja lubię ludzi, którzy tam, gdzie wchodzi, stąpają śmiało. Nigdy nie lubiłem takich ostrożnych.

Beryl zmarszczyła brwi zdumiona.

- Dziwne, że ty to mówisz teraz. Zastanawiałam się i odniosłam zupełnie inne wrażenie. Stanowczo, Dave, to jest typ, który wszędzie wchodzi śmiało.

- Otóż to! - W głosie Dave'a Sigmana zabrzmiała nuta triumfu. - Coś tu z nim nie gra, coś wydaje się niejasne. I ty także to wyczuwasz!

- Owszem, Dave. Dotychczas niezupełnie zdawałam sobie z tego sprawę. - Beryl zgmiotła niedopałek w popielniczce i zamyśliła się. - Jednak, kochanie, jesteśmy zbyt pochopni. No, ja się zajmę kolacją. Zostawię cię z nim samego. Wypijecie. Dasz mu szansę. Przecież nie wiemy, może on ma jakieś swoje zmartwienia.

- Dam mu szansę. - Doktor złagodniał. - To dobrze, że tu zajrzałaś. Trochę się wyładowałem.

- Zajrzałam, bo słyszałam, jak się naładowujesz coraz bardziej i bardziej.

Przynajmniej nie jesteś nudny, Dave.

Beryl szybko wyszła z pokoju. Dave Sigman usiadł dopiero po przyjściu Carmody'ego. Był już spokojniejszy, stonowany, skazany sam przez siebie na cierpliwość. Carmody ze swojej strony - wiedząc, że dzień do podjęcia decyzji prawie się kończy, a on jeszcze nic nie zdecydował, nie znalazł żadnego wyjścia - również ćwiczył się w panowaniu nad nerwami, skoro już przyjął to zaproszenie będące dla niego jak możliwość odpoczynku w oazie wśród pustyni czasu, w oazie, gdzie nikt nie może od niego oczekiwać niczego poza tym, żeby był dobrym kompanem. Samo to, że nie włożył sutanny, przy-



wróciło mu do pewnego stopnia poczucie „własnego ja”, chociaż nadal był w marynarce i spodniach księdza O'Shea, tak nieodpowiednich jak cała ta rola.

Dave Sigman przyjął go mile, okazał się prawie towarzyski.

- Takie właśnie pół godziny to moje wytchnienie, proszę księdza - powiedział. - Pozwalam sobie odprężyć się przed kolacją. I to mi służy. Może byśmy coś wypili? Jeszcze jest trochę dobrej szkockiej albo wódka ryżowa, jeżeli ksiądz woli.

Kukurydziana już mi się skończyła.

Jim Carmody wypiłby coś chętnie i przyszło mu na myśl, że ksiądz O'Shea, gdyby żył, też by chyba chętnie wypił, ale Jim Carmody przebrany za księdza O'Shea nie mógł ryzykować - po alkoholu człowiek staje się wylewniejszy. Więc potrząsnął głową.

- Raczej pozostanę przy wodzie, panie doktorze - powiedział. - Ale, jak się to głosiło dawniej w reklamach papierosów, „chuchnięcie będzie przyjemne dla otoczenia”. Trunki mają aromat.

Tylko jedna niezbyt jasna lampa paliła się w tym chłodnym gabinecie. Doktor podniósł szklanekę pod światło i popatrzył na nią krytycznie.

- Whisky to płyn rozsądny - powiedział. - Uświadamia człowiekowi ciało, a umysł zamaça. Umysł nie zamacony jest utrapieniem dla właściciela i nudą dla bliźnich. Wznoszę toast na cześć Kościoła, proszę księdza, i na cześć misjonarzy, których Kościół wysyła do Azji.

- A ja na cześć lekarzy. - Carmody podniósł szklanekę z wodą. - Wciąż jeszcze zdumiewa mnie fakt, że pan jest tutaj.

- Mnie też to zdumiewa. - Doktor Sigman nie odrywał wzroku od whisky w szklance. - Teraz mamy tu nastrój trochę inny niż dziś rano. Ksiądz może pomyśli, że jestem dosyć brutalny.

- Lubię brutalni. Przynajmniej wiem, gdzie stoje.

- Właśnie. A ja stoje akurat w samym środku pewnej misji katolickiej. Nie zamierzam opowiadać księdzu historii mojego życia, ale wyjaśnię, dlaczego jestem tutaj.

- Bardzo mnie to interesuje.

Doktor Sigman pociągnął nieduży łyk szkockiej wolno i z lubością.

- Mam w tym swój cel - rzekł dobitnie. - Autobiografie

95

są na ogół nudziarstwem. Moja autobiografia nie stanowi wyjątku, ale ja jestem zwolennikiem szczerości. Szczerość to forma prawdy. - Urwał na chwilę w zadumie.

- Czy księdza w ogóle poinformowano o nas, o tych ludziach w misji, do której księdza skierowano?

Carmody zadrżał.

- Nie - odpowiedział. - Nie poinformowano.

- Ciekawe, dlaczego. - Doktor w zadumie spojrział na niego, po czym wzruszył ramionami. - Nieistotne zresztą. Ksiądz jednak ma prawo coś o nas wiedzieć. - Przez chwilę siedział z podbródkiem przyciśniętym do piersi. - Jakoś nie wyczuwam w księdzu nic a nic ze stanu Massachusetts

- zaczął znowu. - A jeśli się nie mylę, ksiądz mówił, że pochodzi z Worcester. Pewnie w seminarium duchownym wybili księdzu z głowy to sekciarstwo. Ja sam prawie się tego wyzbyłem. Urodziłem się w Bostonie i studiowałem na uniwersytecie harwardzkim.

Carmody rozparł się w fotelu wygodniej - nadal trzymając szklanekę z wodą. Byle nie dać się wciągnąć w rozmowę o Nowej Anglii, z której pochodził Peter John O'Shea. Na szczęście Dave Sigman machnął ręką.

- To także nieistotne. Otóż pointą mojej opowieści chyba jest fakt, że wyjechałem do Europy i znalazłem się w Wiedniu nie w porę. Akurat wtedy zrobiło się tam źle i to, że jestem Amerykaninem, nie pomogło... nie pomogło wcale.

Pewnego dnia zjawiała się gromada umundurowanych gangsterów i pognęła istoty ludzkie jak bydłota. Wszystko wskazywało na to, że pędzą nas do rzeźni. Szkoda mi było siebie samego, ale co tam ja! W tym stadzie bydła była również Beryl, moja żona.

- Dave Sigman podniósł szklanekę i pociągnął tym razem wielki łyk. Wychylił się

trochę z fotela. - Nie twierdzą, że jestem człowiekiem pobożnym. Nazywa się mnie agnostykiem i ateistą, i wolnomyślicielem, ale te etykiety też nie są trafne. Jeżeli ktoś rzeczywiście zasługuje na taką etykietkę, to znaczy, że istnieje dla niego jakaś religia, w którą on w swoim przekonaniu wierzy albo nie wierzy. Nawet ateizm jest religią, ale mniejsz: z tym. Ja nie jestem ateistą. - Patrzył Carmody'emu prost w oczy ciemnymi poważnymi oczami. - Ja wierzę w Boga księża O'Shea. I modłę się, nie tak jak ksiądz, ale przecież si modłę. Nigdy nie proszę o nic za darmo. Tak zostało

96

wychowany: jeżeli ja szanuję Boga, muszę się starać, żeby Bóg szanował mnie. Bez tego życie, modlitwa, wiara w Boga nie mają w sobie żadnej godności.

Carmody słuchał uważnie.

- Podoba mi się to pana sformułowanie - powiedział.

- Dziękuję. Ja tylko usiłuję mówić to przystępnie, żeby ksiądz zrozumiał. Tamtej nocy w Wiedniu modliłem się i... nie miałem nic do ofiarowania. Więc za życie Beryl ofiarowałem swoje życie. To było coś więcej niż sentyment. Księża chyba rozumieją takie sprawy. Modliłem się i ofiarowałem to, co miałem, i prosiłem o to, na czym mi zależało.

Teraz z kolei Carmody wychylił się z fotela. Był zainteresowany, czuł nieomal uniesienie.

- I...?

- Było kilku księży pracujących po cichu w Wiedniu, katolickich księży. Mieli wtedy wielki wpływ na ludzi, jeszcze cieszyli się względami. Jeden z nich, ktoś, kogo nigdy przedtem ani nigdy potem nie widziałem, pomógł nam uciec... nie tylko Beryl, ale nam obojgu. - Doktor szeroko rozłożył ręce, podnosząc trochę ramiona. - Tak to było. Miałem ogromny dług do spłacenia i nie wiedziałem, gdzie go spłacić ani jak.

- Nie musiał pan spłacać nic i nikomu.

Doktor przymrużył swe ciemne oczy.

- Powiedziałem księdzu: my modlimy się inaczej, ksiądz i ja... Ja poprosiłem o coś, kiedy sam nie mogłem nic dać za to. Dostałem to, o co prosiłem. Ale wiedziałem, że kiedyś muszę uregulować ten rachunek.

- Rachunek otrzymany od Kościoła katolickiego?
- Raczej nie od Kościoła! Kościół nawet nie wiedział o moim istnieniu na tej ziemi. Ci księża, którzy mi pomogli, zapomnieli o tym prawdopodobnie w ciągu pięciu minut. Oni niewiele mieli z tym wspólnego. Byli tylko narzędziami. Wiedziałem, że kiedyś dostanę rachunek i że wśród innych rachunków rozpoznam go nieomylnie.

Carmody wpatrywał się w doktora Sigmana urzeczony. Dave Sigman nie wyglądał na postać z dramatu. Twarz, sina od zarostu, wyglądała brudno, koszula pęczniała przy pasku spodni pod rozchylającą się marynarką.

- Skrócę to, proszę księdza - mówił doktor Sigman. - Był pewien młody lekarz na statku, którym płynąłem z powrotem

7 — Lewa ręka Boga

97

do Ameryki. Wezwano mnie, żebym go zbadał. On jechał na trzy lata do pracy w azjatyckich misjach, ponieważ jego studia medyczne sfinansował jakiś zakon. - Wychylił swoją szklanę do dna. - Otóż ten lekarz umarł, zanim dopłynęliśmy do Nowego Jorku, więc do owych misji nie dotarł. Co by ksiądz zrobił na moim miejscu?

Carmody wpatrywał się w tego człowieka siedzącego przed nim. Wydawało mu się czystą fantazją, że ten krzepki naukowiec czekał spokojnie na znak z Niebios, na możliwość zwrócenia długu duchowego, uregulowania rachunku wystawionego tam w górze. I - co jeszcze bardziej niewiarygodne - za ów znak uznał śmierć młodego lekarza ze wszystkimi jej konsekwencjami. Ale czy rzeczywiście jest to niewiarygodną fantazją?

- Ja - potrząsając głową rzekł Carmody - nie postąpiłbym tak jak pan.

Doktor Sigman wstał, podszedł do barku i znów napełnił sobie szklanę.

- Może ksiądz by tak nie postąpił. Ale było zobowiązanie, które na siebie przyjąłem - powiedział. - Przyjąłem je sam, zaproponowałem je sam. Beryl żyła i ja żyłem też. Przyznam, że to nie było łatwe i nie zaraz zacząłem działać. Przemyślałem to sobie. Zrobiłem doktorat z chorób azjatyckich. Jeśli chodzi o środki materialne,

miałem możliwości ograniczone, więc związałem się z pewną fundacją. Dostałem stypendium na trzy lata badań naukowych w Chinach. Wtedy zgłosiłem się do waszego Kościoła, poprosiłem o przydzielenie do misji. Mam tej odsiadki jeszcze niecały rok.

- Trzy lata życia! - Carmody westchnął głęboko. On dał trzy lata swego życia Mieh Jangowi, ale nie z własnej woli przecież. Te lata zostały mu wydarte. Wydzieranie lat z życia zdarza się wielu ludziom, i to wcale nie w scenerii ta\* dramatycznej jak klasztor łamów czy misja. Dobrowolni jednak poświęcić czemukolwiek bodaj małą cząstkę czas bytowania na tej ziemi potrafią tylko nieliczni. Wpatrywa się w Dave'a Sigmana. - Jest pan lepszym człowiekiem, ni myślałem - rzekł z powagą.

Doktor potrząsnął głową. Na jego grubo ciosanej twarzy malował się już spokój.

- Nie lepszym, proszę księdza, tylko innym. Niewiele m wspólnego ze stanem duchownym, ale szanuję wszystkie

98

do Ameryki. Wezwano mnie, żebym go zbadał. On jechał na trzy lata do pracy w azjatyckich misjach, ponieważ jego studia medyczne sfinansował jakiś zakon. - Wychylił swoją szklanę do dna. - Otóż ten lekarz umarł, zanim dopłynęliśmy do Nowego Jorku, więc do owych misji nie dotarł. Co by ksiądz zrobił na moim miejscu?

Carmody wpatrywał się w tego człowieka siedzącego przed nim. Wydawało mu się czystą fantazją, że ten krzepki naukowiec czekał spokojnie na znak z Niebios, na możliwość zwrócenia długu duchowego, uregulowania rachunku wystawionego tam w górze. I - co jeszcze bardziej niewiarygodne - za ów znak uznał śmierć młodego lekarza ze wszystkimi jej konsekwencjami. Ale czy rzeczywiście jest to niewiarygodną fantazją?

- Ja - potrząsając głową rzekł Carmody - nie postąpiłbym tak jak pan.

Doktor Sigman wstał, podszedł do barku i znów nappełnił sobie szklanę.

- Może ksiądz by tak nie postąpił. Ale było zobowiązanie, które na siebie przyjąłem - powiedział. - Przyjąłem je sam, zaproponowałem je sam. Beryl żyła i ja

żyłem też. Przyznam, że to nie było łatwe i nie zaraz zacząłem działać. Przemyślałem to sobie. Zrobiłem doktorat z chorób azjatyckich. Jeśli chodzi o środki materialne, miałem możliwości ograniczone, więc związałem się z pewną fundacją. Dostałem stypendium na trzy lata badań naukowych w Chinach. Wtedy zgłosiłem się do waszego Kościoła, poprosiłem o przydzielenie do misji. Mam tej odsiadki jeszcze niecały rok.

- Trzy lata życia! - Carmody westchnął głęboko. On dał trzy lata swego życia Mieh Jangowi, ale nie z własnej woli przecież. Te lata zostały mu wydarte.

Wydzieranie lat z życia zdarza się wielu ludziom, i to wcale nie w scenerii tak dramatycznej jak klasztor łamów czy misja. Dobrowolnie jednak poświęcić czemukolwiek bodaj małą cząstkę czasu bytowania na tej ziemi potrafią tylko nieliczni. Wpatrywał się w Dave'a Sigmana. - Jest pan lepszym człowiekiem, niż myślałem - rzekł z powagą.

Doktor potrząsnął głową. Na jego grubo ciosanej twarzy malował się już spokój.

- Nie lepszym, proszę księdza, tylko innym. Niewiele m wspólnego ze stanem duchownym, ale szanuję wszystkie

98

kapłanów. Człowiek, który składa w ofierze swoje życie czemuś większemu niż on sam, przecież daje wszystko, co ma. Świecenia katolickich księży oznaczają poddanie się całkowite. Potrafię szanować nawet celibat, pomimo że, do cholery, z punktu widzenia lekarskiego wcale tego nie aprobuję.

Carmody uśmiechnął się ponuro. On też nie aprobował celibatu w odniesieniu do siebie. Zadrzał, znów przypominając sobie, że zrazu chciał zawierzyć swój żalosny los temu oto doktorowi Sigmanowi. Doktor Sigman umiał zmusić się do ścisłego przestrzegania ugody z Niewidzialnym; z pewnością nie potraktowałby lekko tego, co on zrobił, ani też nie uwierzyłby mu bez wniknięcia w szczegóły.

- Teraz rozumiem - powiedział Carmody - dlaczego pan tak się przejmuje pracą w tej misji.

- Ksiądz rozumie. Prosta rzecz, oczywiście. Ja daję trzy lata swojego życia, ale te trzy lata nie mogą pójść na marne. To już księdza sprawa, księżu O'Shea, przekonać

mnie, że ta misja jest warta mojej pracy, i starać się, żeby praca tu dla mnie była.

- Będę się starał.

Doktor Sigman ociężale rozparł się w fotelu.

- A więc świetnie, proszę księdza - powiedział. - Przypuśćmy, że ksiądz zrobi teraz początek odrobiną szczerości ze swojej strony. Powie mi ksiądz tylko, jakie polecenia księdzu dano i jakie stanowisko zajmują władze misyjne, jeśli chodzi o dalsze prowadzenie takich wysuniętych placówek, jak nasza?

Carmody sięgnął do szkatułki z drzewa tekowego stojącej na stoliku, wziął z niej papierosa i żeby zyskać na czasie zapalił bardzo powoli.

- Czy uwierzyłby mi pan, panie doktorze, gdybym panu powiedział, że nie dostałem żadnych tajnych poleceń i że o polityce misyjnej nie wiem nic?

- Nie! Przykro mi, proszę księdza. Nie uwierzyłbym w to.

Popatrzyli sobie w oczy i Carmody rozłożył ręce.

- Więcej nie mogę panu powiedzieć - rzekł. - I mówię prawdę.

Gdzieś w domu zabrzmiał gong wezwaniem na kolację. Jeszcze przez chwilę doktor Sigman siedział bez ruchu milcząc, a potem wstał z fotela. Carmody wstał również. Już wiedział, że doktora nie da się użyć jako narzędzia pomocnego

99

w ucieczce. Przeciwnie, doktor Sigman to potencjalnie duża przeszkoda, czy nawet wróg bardzo niebezpieczny.

Echo gongu jeszcze brzmiało w gabinecie, przypomniało nastroje domowe, układy w domach rodzinnych, gdzie mężczyźni jadają, śpią i wypoczywają między rundami swej codziennej pracy i życia. Idąc posłusznie z doktorem Sigmanem na ten zew, Carmody przerwał, milczenie.

- Uregulowanie rachunku - powiedział - nie było taką prostą sprawą, jaką pan z tego zrobił, panie doktorze. Pani Sigman przecież nie obiecywała ani nie ślubowała niczego.

Doktor Sigman dwoma gwałtownymi ruchami rąk obciągnął marynarkę na brzuchu i poprawił rożek chustki w górnej kieszeni. Nie spojrzał na Carmody'ego.

- Gdzie ty, Kajus, tam i ja, Kaja... - Wzruszył ramionami.

- Chodźmy, księżu O'Shea.

Weszli do niedużej i nieładnej jadalni. Przy stole stała Anne w tej niebieskiej sukni wieczorowej. Beryl Sigman była ubrana na czarno, w sukni o kroju chińskim, ozdobionej zieloną nefrytową broszą pod szyją. Carmody zwrócił na nią szczególną uwagę, pamiętając opowieść doktora Sigmana. Trzy lata wydarte z życia kobiety znaczą o wiele więcej niż trzy lata wydarte z życia mężczyzny. Co do Anne Scott - zastanowił się. Dzieje Sigmanów bynajmniej nie tłumaczą obecności tej dziewczyny tutaj.

One obie stały, dopóki Carmody i doktor nie podeszli do stołu. Carmody musiał być wyraźnie zdumiony, bo doktorowa uśmiechnęła się uspokajająco.

- Niechże ksiądz nie będzie skępowany - powiedziała.

- My z Dave'em bardzo chcemy, żeby ksiądz odmówił modlitwę przed jedzeniem.

Carmody poczuł, że się rumieni. To mu wcale nie przyszło na myśl. Z trudem teraz sobie przypomniał, że jest wielbnym księdzem Peterem Johnem O'Shea i że tysiąca rozmaitych drobiazgów oczekuje się od niego - drobiazgów, o których nie ma pojęcia niejaki Jim Carmody. Przeżegnał się i nagle słowa tej modlitwy same spłynęły mu z ust. Kiedyś dawno temu słyszał je codziennie.

- Błogosław, Panie Boże, nas i te dary Twoje, które z Twojej szczodroblewości pożywać mamy. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

100

- 'c

Usiedli, trochę zażenowani. Beryl zagaiła rozmowę.

- Mogę księdzu powiedzieć, proszę księdza, że szczodroblewość Boska zazwyczaj nie obejmuje kaczk. Dziś jest specjalna uroczystość.

Dave Sigman z wyraźnym wysiłkiem ocknął się z markotnej zadumy. Po twarzy przemknął mu uśmiech.

- Ale ryż jest u nas zawsze!

Carmody parsknął śmiechem i zaczęli gawędzić. Ci ludzie, pomyślał, chyba szczerze cieszą się, że jestem z nimi, szczerze chcą poznać mnie bliżej. Był dla nich kimś



obcym, więc opowiadali mu o misji i o miejscowych wiernych. Anne, co odkrył mile zdumiony, dobrze opowiadała anegdoty i przejawiała duże poczucie humoru. Ona lubi tych Chińczyków - myślał - doprawdy trzeba ich lubić szalenie, żeby mogli wydawać się tacy ludzcy i tak wściekle interesujący.

Doktor też dobrze opowiadał anegdoty, Beryl ograniczała swój wkład tylko do krótkich, inteligentnych, nieraz ciętych komentarzy. Carmody mógłby błysnąć wśród nich doprawdy w najlepszej formie, gdyby pozwolił sobie swój skarbiec opowieści z klasztoru łamów odkręcić jak kran. Skoro to jednak nie było możliwe, udawał, że wszystko, co oni mówią, bawi go i niezmiernie mu imponuje. To nawet sprawiało mu przyjemność.

Łatwo było, a nawet zabawnie czuwać nad własnym językiem, mówić tak, jak powinien mówić ksiądz. Pod tą maską śmiał się z niejednej ze swoich uwag. W przeciwieństwie do doktora i Anne Scott Beryl Sigman jednakże wykazywała pewien sceptycyzm. Wyraźnie badała go. A on nie mógł do tego dopuścić.

- Ksiądz zadziwiająco rozumie ten kraj, proszę księdza - rzekła, gdy ogólna rozmowa na chwilę ustała. - Aż trudno uwierzyć, że księdza doświadczenia tutaj są tak krótkie.

W tym czaiło się niebezpieczeństwo, więc Carmody szybko odwrócił się do niej. Ale Anne Scott była szybsza.

- Tak myślisz, Beryl? - zapytała. - Och, gdybyś była z nami wczoraj...

I zaczęła szczegółowo opowiadać, jak odbyło się powitanie księdza w pierwszej wiosce, jak ksiądz pobłogosławił staruszkę. Zrobiła to akurat w porę, więc Carmody roześmiał się,

101

po części z samego uczucia ulgi. Anne spojrzała na niego wymownie.

- Ksiądz jeszcze zrozumie, ile ten gest oznaczał, proszę księdza - powiedziała. - Pozyskał sobie ksiądz tych ludzi całkowicie jednym prostym aktem pokory, grzeczności i dobroci serca. Oni by teraz życie za księdzą' oddali. Są tacy prości, tacy mili, tacy lojalni...

- I tacy brudni. Tacy nie dbający o higienę. Tacy wszete-czni. - Doktor Sigman

rzeczowo pokiwał głową. - Nie roztkliwiamy się, Scotty.

Dziewczyna spłonęła rumieńcem.

- Może ja się roztkliwiam, ale lubię ich.

Carmody patrzył na nią. Chętnie by się odezwał, zadał jakieś pytanie, czy też rzucił jakąś uwagę, żeby rozwinąć rozmowę na ten temat, ale doktor mu przeszkodził:

- Zapytam teraz - rzekł - o coś cholernie osobistego, proszę księdza, ale tak mnie to zastanawia. Siedzimy tu i gadamy jak w maglu, jednak my, personel szpitala, przeważamy liczebnie. Więc niech nam ksiądz coś powie o tej swojej bliźnie na czole.

Carmody uświadomił sobie nagłą ciszę w jadalni. Zapomniał już o tej bliźnie i teraz nie wiedział, co doktor Sigman może z niej wywnioskować. Czy lekarz patrząc na bliźnię potrafi poznać, jak dawno ową ranę zadano i z jakiej broni? Uśmiechnął się ponuro. Nie w trosce o swoją moralność ani też nie ze względu na koloratkę musi powiedzieć prawdę, po prostu tak jest bezpieczniej.

- Leciałem samolotem, który rozbił się, panie doktorze. Nie miałem żadnej opieki lekarskiej. Zajął się mną pewien stary mnich.

Doktor Sigman przytaknął, jak gdyby to oświadczenie było zgodne z jego przypuszczeniami. Już miał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili Beryl znacząco spojrzała na drzwi. W drzwiach stał John Wong, najwidoczniej postać tu uprzywilejowana, człowiek pewny swojej pozycji w misyjnej elicie. Złożył niski ukłon wszystkim siedzącym przy stole.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział. - Ale mnóstwo ludzi w kościele. Mnóstwo. Wszyscy do spowiedzi. To będzie długo trwało.

Carmody poczuł, jak przygniata go do krzesła wielkie

102

brzemie. Już w tej nowej pułapce, w jaką wpadł, zaczynało mu się podobać. Gdzieś w podświadomości świtała nadzieja, że czas jednak będzie sprzymierzeńcem, a tu okazuje się, że doktor Sigman wyznaje właściwą filozofię. Ktoś zawsze musi się zjawić, żeby doręczyć rachunek za wszystko, cokolwiek się z życia zaczerpnie. Jakże można - będąc przyzwoitym człowiekiem - iść do kościoła i wysłuchiwać grzechów

niezliczonych Chińczyków? To nie moja sprawa - pomyślał Carmody - nie jestem do tego upoważniony. A przecież czuł, że z jakichś powodów nie dających się określić, musi tam iść. Zerknął na swoich ziomków Amerykanów i to samo orzeczenie zobaczył wypisane na ich uprzejmych twarzach. Odmowa z jego strony pod jakimkolwiek pretekstem byłaby dla nich tym, co odmowa doktora Sigmana w wypadku wezwania do ciężko chorego.

Beryl Sigman już wstawała od stołu.

- Dziękuję, John - rzekła. - Nie wolno nam, oczywiście, zatrzymywać księdza. Ci ludzie tak długo czekali na niego.

Więc Carmody wstał i stojąc przy stole jeszcze prawił jakieś grzeczności i przez chwilę trzymał chłodną rękę Anne Scott w swojej dłoni. A potem nagle już był pod gołym gwiazdzistym niebem. John Wong szedł o kilkanaście kroków przed nim. W jadalni Beryl odwróciła się do stołu i pytająco popatrzyła na męża. Anne Scott odczytała to niewypowiedziane pytanie i czekała w napięciu. Dave Sigman pił kawę. Złośliwy uśmiech błędził na jego szerokich ustach.

- Ale biesiadnik miły, prawda? - zapytał.

' 10

Idąc za Johnem Wongiem, Carmody zastanawiał się nad ucieczką. Igrał z obłądną myślą o tym, co będzie, jeżeli ucieknie w cień tych wzgórz, zda się na łaskę losu. Ale potem odzyskał nagle poczucie rzeczywistości. Przecież wszystko to już rozważał starannie przez cały dzień, kiedy chodził po wioskach i obliczał rozmiary swego więzienia. Wtedy szukał jakiegoś wyjścia spokojnie, a jednak nie znalazł żadnego ukazującego bodaj iskierkę odległej nadziei wyzwolenia się

103

bez pomocy. Czy więc teraz w panice może liczyć na to, że ujrzy coś, czego przedtem, rozumując chłodno i logicznie, nie widział?

Krzyż nad kościołem rysował się ostro na tle nocnego nieba i na Johna Wonga padało światło latarni palących się przed wejściem. To było jak obraz - pełna prostoty scena pasterska. Zamiast kościoła wiejski domek i już miałyby się elementy zasadnicze tej sceny - pokorny Chińczyk prowadzący wieczorem do zagrody swoje bydłatko.

Carmody stanął jak wryty. No właśnie - kościół czy nie kościół, ja jestem tym zaganianym do zagrody bydłkiem. Idę w stronę tego krzyża jak tępe zwierzę bez woli, bez gniewu, bez myśli, bez zdolności decydowania o sobie. Idę pod przymusem jak nieborak Szymon Cyrenejczyk wybrany spośród gapiów przez rzymskich żołnierzy, zmuszony do dźwigania krzyża, który nie był jego. Ja, Jim Carmody? Przecież nawet Mieh Jang z całą swoją władzą nie zrobił ze mnie kulisa. Mieh Jang szanował mnie, bo byłem silny. A teraz ta misja miałaby dalej robić ze mnie mięczaka, głupiego komedianta, który tylko czeka na wypowiedzenie i boi się pokręcić swoje strofy? Carmody podniósł głowę wysoko.

- Koniec z tym - powiedział. - Już!

John Wong doszedł do małego jasnego łuku na ziemi, tam gdzie padało światło z kościoła. Obejrzał się i zdziwił, że ksiądz nie idzie za nim, ale Carmody już zawrócił gniewnie, wielkimi krokami, w stronę plebanii.

- Niech diabli porwą Johna Wonga! - powiedział.

Wszedł do swojego pokoju i popatrzył na tę klasztorną prostotę: żelazne łóżko, biblioteczkę, małą komodę z lustrem, niski stół, służący też za biurko. To uboga izba w porównaniu z komnatą, jaką miał u Mieh Janga, ale też on sam jest czymś mniej, niż był tam, bo pozwala, by decyzje podejmowano za niego, bo skapitulował z dowodzenia ludźmi i samym sobą. Co on robi? Korzysta z pretekstu, że nie ma alternatywy, a to przecież wierutna bzdura. Jakaś alternatywa zawsze istnieje. Człowiek, jeżeli nie ma przed sobą alternatywy, już umarł - albo zaraz umrze.

Gniewnie chodził po pokoju i powtarzał sobie z zawziętością, że nie musi iść do kościoła i wysłuchiwać spowiedzi

104

niezliczonych nie umytych prostaczków. Nikt na świecie nie może doprowadzić go do tego!

Alternatywa jest prosta. Pójść teraz prosto do tej jadalni, z której przed chwilą wyszedł, i oznajmić, że już koniec tej idiotycznej maskarady; że ksiądz Peter John O'Shea nie żyje i że Jim Carmody nie jest niczym kapłanem i nigdy kapłanem

niczym nie będzie!

- Mógłbym to zrobić! - powiedział.

Wygłoszenie tego prostego oświadczenia przywróciło mu dumę. Przecież pozostaje mi wybór - uświadomił sobie

- i jeszcze potrafię wyboru dokonać. Mogę wejść tam, z zimną krwią spalić za sobą wszystkie mosty w obecności tych Amerykanów, personelu misji. Mogę. Ale dlaczego miałbyś to zrobić? - zapytał jego rozsądek.

- W ten sposób tylko oddasz się znowu w ręce Mieh Janga.

Stał tam i w poczuciu, że jest mężczyzną, jednak nie uważał za słuszne postąpić nieroztropnie, po wariacku, tylko po to, by udowodnić, że jest do tego zdolny i ma odwagę. Stał wyprostowany. Do niego należy podjęcie decyzji, wybór alternatywy. Nikt go nie popędza, nie zmusza, nie zniewala, nie prowadzi na postronku. Wiedział już, że wybierze sam i z rozmysłem, z własnej nieprzymuszonej woli, mając tylko własne cele na względzie.

Podszedł do szafy i włożył sutannę. Potem otworzył szufladę komody i wyciągnął tę fioletową stulę. Podniósł wzrok na krucyfiks.

- Jeżeli to ma być świętokradztwo - powiedział - sam się do tego upoważniłem. Nie przyjmuję rozkazów od nikogo.

Odwrócił się i wyszedł z dumą na ścieżkę, którą przed kilkoma minutami zawracał z gniewem.

Wkroczył do kościoła wyprostowany, z blasku latarń przed drzwiami w chłodny mglisty mrok, w którym jaśniały tylko dwie świece na ołtarzu i jedna mała lampka oliwna.

Tyle ludzi tłoczyło się w ławkach i w kolejkach z obu stron konfesjonału, że zwolnił kroku. Oni byli faktem, faktem konkretnym i przerażającym, a przecież szedł między nimi, tyle że na nich nie patrzył. Chłodno, bez wzruszenia przypominał sobie te kolejki do spowiedzi, w których sam stał kiedyś. Ksiądz zawsze podchodzi najpierw do ołtarza, żeby się pomodlić, zanim zacznie spowiadać ludzi. Niech więc tak

105

będzie! Dam im wszystko - pomyślał - czego mają prawo spodziewać się od księdza.

Powoli, sztywno szedł przez nawę do mrocznego ołtarza. Za sobą słyszał ruch, szuranie, syczące szepty, od czasu do czasu kaszel. Podniósł oczy na krzyż ponad tabernakulum i coś w nim znowu drżało, gdy powracały jeszcze inne i jeszcze inne wspomnienia, a przecież nie odstąpił gdziew swojej ponurej decyzji powziętej na plebanii: Wargi jego się poruszyły.

- Ja się nie modlę - powiedział. - Zapomniałem, jak trzeba się modlić. I nie chcę się modlić. Ja tylko udaję na rzecz tych wszystkich wiernych tam.

To było impertynencją i wyzwaniem akurat w myśl jego intencji, utwierdzeniem woli, żeby być sobą, Jimem Carmody, nie popędzanym, nie zmuszanym, nie idącym na kompromisy. Wypowiedział te zuchwałe słowa i nadal pozostał na klęczkach. Żaden piorun go nie trafił, żaden surowy, potępiający głos nie odpowiedział z Niebios na jego drwinę. A więc nie ma nic, nic w ogóle - jest tylko ołtarz, ten krzyż i tabernakulum, i są świece rzucające trochę blasku na obraz Chrystusa w Getsemani. Mógłbym teraz, gdybym chciał, wstać i pstryknąć palcami i nadal nic by się nie stało. Oto jeszcze jedna alternatywa. Mógłbym zrobić to albo coś innego, decyduję o tym ja sam. Jestem wszechmocnym człowiekiem.

Ale chłodny rozum, który przywiódł go tutaj i który formułował jego butne wypowiedzi, nagle w swojej strasznej bezstronności zadał mu zgoła niepożądane pytanie, bo potrafił szydzić z niego także. Jeżeli on już nie wierzy, co w takim razie wyzywa? Dlaczego nie śmieje się, nie wzrusza ramionami i nie idzie drwiąco do konfesjonału? Przyszedł tutaj, prawda? Więc dlaczego teraz się zastanawia? Skoro wszystko to przesady i bzdury ludowe i dziecinada... Dlaczego?

- Ja nie wiem - rzekł posępnie. - Jednak wiem, co zrobię.

W tym już nie było wyzywającego zuchwalstwa, ale nie było też pokornego uznania, że Bóg istnieje. Jego umysł, chociaż nie ustawał w narzuconym sobie rozumowaniu, też to zauważył. Oto Jim Carmody wpatrujący się w krucyfiks nijako; oto Jim Carmody wstający sztywno z klęczek i ruszający do ludzi, którzy na niego czekają.

Otworzył drzwiczki konfesjonału i pierwsi dwaj penitenci weszli z dwóch stron za zielone zasłony. Była tu smolista

ciemność, więc Jim Carmody nie widział nic. Sprawdził zamknięcie okienka z kratką, po czym domknął to z lewej strony i otworzył z prawej. Usłyszał czyjś głos, chiński głos zająkliwie mówiący po angielsku.

- Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłem...

Carmody skoncentrował się znowu. To było zadanie, które

zdecydował się wykonać, a nauczył się nie myśleć przy wykonywaniu zadań.

Nauczył się tego na koniu, gdy prowadził żołnierzy Mieh Janga. Zawsze uczył się, i to dosyć dokładnie wszystkiego, czego nauczyć się musiał - matematyki aeronautycznej i balistyki, i nawigacji. Uczył się kiedyś łaciny także, przez lata całe mnóstwo łaciny w szkole katolickiej i na katolickim uniwersytecie. Gdy tak niedobrze spisał się przy spowiedzi Li Kwana w tamtą pierwszą noc, przeszukał potem biblioteczkę księdza Colemana, tylko po to, by wiedzieć, jak powinien był to zrobić. Otóż ksiądz w czasie spowiedzi ma do roboty niewiele. Udzielić rozgrzeszenia po łacinie nietrudno. Wykuł tę formułkę na pamięć w ciągu kilku minut, nie dlatego, żeby zamierzał jeszcze kogoś w przyszłości wypowiadać, ale dlatego, że nie znał jej w chwili, gdy mu była potrzebna.

Znowu pycha - pomyślał. - Dobrze więc, to była pycha.

Zorientował się, że ta spowiedź dobiega końca. Nie usłyszał z niej ani jednego słowa.

- Za pokutę odmów pięć Ojcze nasz i pięć Zdrowaś Maryjo - powiedział.

Podniósł prawą rękę i w czasie aktu skruchy penitenta udzielił gładko po łacinie rozgrzeszenia. Potem zamknął to okienko i odwrócił się do okienka z lewej strony.

Druga spowiedź, a miało być w ten wieczór bardzo ich dużo.

Nie wiedział właściwie, kiedy przestał być Jimem Carmody. To się y nim stało w tym dusznym mroku bez dramatycznej nagłości spadającego pioruna. To przyszło tak, jak przychodzi starość, powoli i stopniowo i nie było przy tym chwili, w której by się zaznaczył przełom.

Grzechy tych ludzi dolatywały przez małe okienko, a Carmody nie mógł zamknąć przed nimi okienek swojej świadomości. Docierały do niego nagie i cuchnące, okropniej sze niż wizje zła, jakie przedstawiają symbolami malarze i poeci. Napierały

na niego, wiły się i skręcały. Gdy usiłował uciec od nich w ciszę wewnątrz siebie, łomotały o te okienka

107

świadomości i nie dawały się odepchnąć. Przynosiły je głosy ludzi, których zobaczyć nie mógł - głosy łagodne i szorstkie, piskliwe i stonowane.

Ci ludzie nie grzeszyli myślą, grzeszyli uczynkami. Grzeszyli wstrętnie i gdy nie znali nazw swoich grzechów, opowiadali

o nich dokładnie. Były niegodziwość i sprzedajność, perwersja

i nienawiść i okrucieństwo, przerażające okrucieństwo. Z takim ładunkiem postępków przychodzili w ciszę konfesjonau i przepychali je przez kratki w ciemność spowijającą Carmody'ego. On był ich księdzem, a im było mdło od własnej podłości, owoców złych przyzwyczajęń, słabości moralnej i pożądlivosti ciała. Było im mdło i wstyd i wierzyli w Boga, który ma wszelkie prawo wyrzec się ich jako stworzeń swoich. Pokorni i przestraszeni łaknęli uspokojenia i pociechy, odnowienia wiary, zapewnień, że Bóg jest miłosierny i że grzechy są im wybaczone. Przychodzili ze swymi grzechami do człowieka, który był ludzkim przedstawicielem Boga, pomazańcem obdarzonym mocą przebaczenia bądź zapamiętywania, rozwiązywania bądź związywania w Imię Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Nie taki człowiek siedział tutaj, ale oni tego nie wiedzieli i wiara miała wagę większą niż to.

Ich wiara krzyczała głośno jak ich grzechy, ale Carmody nie od razu usłyszał krzyk wiary. Pokonała go realność tego, co dawno już uznał za abstrakcję. „Tolerancyjny” świat intelektualny, który poznawał poza murami uniwersytetu przed wojną i po wojnie, przecież bawiło samo pojęcie grzechu. Są popędy i przymusy, pragnienia i frustracje, poczucie niższości, szeroki wachlarz kompleksów zależnych od przeżyć w dzieciństwie - człowiek po prostu ulega im, nie grzeszy. Grzech jest pojęciem średniowiecznym, powoli wygasającym w erze liberalizmu - w erze, która akceptuje zarówno Kanta jak Schopenhauera, przefiltrowanych przez ich uczniów, i która kłania się Freudowi i maszeruje pod różnymi jaskrawymi sztandarami. Carmody kiedyś prawie bezwiednie dostosował krok do tej defilady, teraz ujrzał ją w całej okazałości.



Intelektualiści i wolnomyśliciele, pełni pogardy wobec pojęcia grzechu, nigdy nie zasiadali w konfesjonale, nie byli zapędzeni w ciemny kąt kościoła misyjnego w dalekiej Azji.

To, o czym Carmody słuchał, nie potrzebowało uczonych nazw ani określeń klinicznych; to było folgowanie sobie,

108

jakiego dopuszcza się ciało w przytomności umysłu, który je rejestruje i wyjawia przed konfesjonalem.

Mając instynkt walki Carmody, chociaż zgnębiony, walczył. Najpierw odrazą przejmowały go okoliczności sprawiające, że całe to potworne zło musiało być wpychane jemu; potem znienawidził samo to zło, w końcu chwycił przeciwko temu złu za broń. Chwycił za broń swego głosu, bo tylko taką dysponował. Mówił ludziom za kratkami konfesjonału, że ich uczynki są nieczyste, obrzydliwe i obrażają Boga, który stworzył człowieka na podobieństwo swoje. Po omacku szukał w pamięci prawie zapomnianych urywków ze szkolnych lekcji religii, z kazań rekolekcyjnych i rad spowiedników i wykorzystywał wszystko, cokolwiek sobie przypomniał. Głosem chłostał penitentów, surowość wyznaczanej przez niego pokuty wzrastała. Później jednak modlił się nad każdym z nich i udzielał rozgrzeszenia po łacinie coraz mniej płynnie, coraz mniej automatycznie, bo znajdował w tych słowach sens, żarliwość, błaganie.

Przerwał raz pod koniec godziny. Zamknął okienko i nie otworzył drugiego. Był spocony i przypomniał sobie obraz przedstawiający mękę w Ogrójcu, ponieważ po raz pierwszy w życiu zrozumiał ją. Poznanie, bliskie poznanie podłości człowieka jest ukrzyżowaniem umysłu i duszy. Żył w wojsku, przebywał w towarzystwie Mieh Janga pewny, że wie wszystko o występkach i nałogach mężczyzn i kobiet, ale dopiero tutaj w tym mroku ujrzał całokształt. Przestał być dumny z tego, że jest Jimem Carmody i że jest człowiekiem. Ukrył twarz w dłoniach i drżał. Przyjął do wiadomości istnienie Boga i odmówił akt skruchy taki jak te, których słuchał, a potem podniósł głowę.

- Oni się spowiadają Tobie, a nie mnie - szepnął ochryple. - Oni wierzą, że jestem

księdzem. Wybacz im, błagam. Jeżeli przychodzą ze swoimi grzechami do mnie, to przecież ja tego chciałem. Nie miej im za złe. Robią tylko to, co mogą.

Skłonił głowę i otworzył okienko. Jim Carmody jest jeden, a tych ludzi jest dużo.

Pokonali go siłą swojej wiary, która odpieczętowała im usta, i obarczają go swoimi grzechami. Czekali na księdza, więc gdy zjawił się on, czynią księdza z niego, nadają mu postać przez nich oczekiwaną.

Gdy wyszedł z kościoła, kroczył jak robot i ścieżka wydłużała się przed nim. Jutro muszę odprawić mszę

109

W

W J\*

- myślał. Wiedział, że mszę odprawi i że jego pobudki nie będą takie, jakie były jeszcze kilka godzin temu, ponieważ sam już nie jest taki. Ci ludzie tutejsi, „nie umyć kulisi” jego pogardliwej pychy, i on, ten samowystarczalny, w jakiś mistyczny sposób połączyli się duchowo, zjednoczyli. Wspólne było ich i jego przeznaczenie.

Wszystko to wiedział bez żadnych sformułowań. Żadnym też sformułowaniem nie obejmował Boga i o Bogu nie myślał. Myślał o pewnej starej legendzie, prawie zapomnianej

- o łuczniku, który strzałę z łuku wystrzelił w niebo i został nią powalony, bo tracąc siłę, jaką jej nadał, wróciła do niego.

Ja jestem tym łucznikiem. To takie proste - myślał. Stało się - cóż za ironia losu.

Spadła na niego powinność czynienia tego, czego czynić nie miał prawa. Nie tylko przybrał rolę i przybrał tożsamość - przejął ponadto obowiązek zaspokajania duchowych potrzeb ludzkich. Już nie widział wyboru i nie przychodziło mu na myśl, że mógłby zawrócić. Gdyby nawet brał taką ewentualność pod uwagę, to chłodno, rzeczowo, z pełnym przekonaniem, że ta droga jest zamknięta. Sam ją zamknął.

Wszedł do pokoju, gdzie czekały książki, które musiał przestudiować. Msza, gdy przeglądał te książki wcześniej, wydawała mu się sprawą zbyt dużą i skomplikowaną, żeby ją wykuć na pamięć, ale teraz nauka była koniecznością.

Lampa w jego pokoju paliła się przez długie godziny. John Wong postawił sobie fotel pod drzwiami w sieni i patrzył na tę cienką kreskę światła pod drzwiami księdza.

Miał męczący dzień, dzień wędrówek od wsi do wsi, a potem krzątania się w kościele, ale coś mu nakazywało czuwać, dopóki ksiądz, któremu służył, nie śpi, więc w jakiejś chwili może będzie go potrzebował.

Senny, z wysiłkiem siedział wyprostowany. Od czasu do czasu jednak uśmiechał się dosyć dumnie: poczucie, że spełnia swój obowiązek, było dla niego nagrodą.

- Ten - myślał - to dobry ksiądz. Bardzo pobożny.

## CZĘŚĆ DRUGA

### KOBIETA

1

1

Kościół Maryi Panny miał srebrny dzwon, który kiedyś należał do klasztoru taoistów. Zwykle w niedzielę ten dzwon zaczynał bić pół godziny przed pierwszą i przed drugą niedzielną mszą. Bił teraz, gdy Anne ubierała się po kąpieli. Zegarek leżał na toaletce. Sprawdziła, która godzina.

- Do licha! - mruknęła. - Nic ze śniadania. Nie zdążę zjeść w żadnym razie. Może tylko łyknę trochę kawy.

Obejrzała pod światło cenną ostatnią parę nylonów. Były bez skazy, przezroczyste, beżowobrazowe. Ostrożnie włożyła je na nogi. Miała dobre nogi, dobre do krzątania się przy chorych i rzeczywiście ładne. Czasami martwiła się o nie. Od stania zbyt długo robią się żyłaki.

Jeszcze nie zdejmując z głowy ręcznika zawiązanego jak turban, popatrzyła w lustro na swoją twarz. Chiny, o ile sama mogła to stwierdzić, nie szkodziły jej zanadto, poza tym, że była teraz o rok starsza. Suche powietrze na tej wysokości-'geograficznej nie służyło jednak jej cerze. Natłuściła twarz białym kremem i zaczęła go wklepywać. Zmarszczyła czoło, ale wklepywaniem kremu wygładziła te zmarszczki.

Miała twarz trójkątną, jak się to mówi „twarz w kształcie serca”, cerę gładką, ładny rozstaw oczu, tylko usta - niestety - za szerokie. Ale o tym, żeby być piękną, przestała marzyć już w pierwszej klasie liceum. Ściągnęła turban z głowy; włosy jej

opadły potargane. Energicznie je wy-szczotkowała i ułożyła, zręcznie skręcając na grzebieniu. Odeszła o krok i z powagą oceniła w lustrze rezultat.

111

- Ujdę w tłoku - powiedziała.

Poczuła się jeszcze lepiej, gdy wkładała wzorzystą złoto-zieloną sukienkę, właściwie za lekką, ale to był, przynajmniej formalnie, dzień wiosenny. Pod lekkim szarym płaszczem sukienka akurat w sam raz. Do tego czarne lakierki. Prawie nie noszone. Tak rzadko nosi się w misjach czółenka na wysokich obcasach. Ozdobiła uszy złotymi klipsami, rękę bransoletką z zegarkiem i znów popatrzyła w lustro, gotowa. Ze srebrnej ramki na toaletce jak zawsze uśmiechał się do niej ciemnooki, szczupły, młody mężczyzna. Czasami przed wyjściem przesyłała mu całusy, ale teraz bardzo się spieszyła.

W jadalni Beryl Sigman kończyła śniadanie. Spojrzała na zegarek.

- Musisz zjeść prędko - powiedziała. - John Wong ekskomunikuje za spóźnienie.

- Jeżeli kiedykolwiek pozwolę ekskomunikować Johnowi, raz dwa zabraknie tu katolików. - Anne wzięła grzanekę. Nie traciła czasu na sięganie po masło. - On jest bardziej świętobliwy niż sam biskup.

Beryl podając jej filiżankę z kawą pociągnęła nosem.

- Shalimar - zauważyła. - Myślałam, że już ci się skończyły wszystkie perfumy.

- Troszeczkę mi ich zostało.

Beryl uniosła brwi.

- Do kościoła? I zrobiłaś się na bóstwo w dodatku.

Anne splonęła rumieńcem.

- Jeszcze niezupełnie wiosna, ja wiem, ale czuję się jakoś wiosennie.

- Tak też wyglądasz. Ten nowy ksiądz ma szalony, czysto samczy sex appeal.

Nie powinno być takich księży. To marnotrawstwo.

Filiżanka w ręce Anne głośno szczęknęła o spodek.

- Beryl!

- Wiem. Prawie bluźnię. Ale nic na to nie poradzę. On ma sex appeal. Coś nie tylko w oczach chyba. Wy katolicy używacie określenia „ciało uduchowione”. Otóż

do niego to się nie odnosi.

- Beryl, proszę cię. Nie możesz tak mówić.

- Oczywiście, że mogę. Sama musiałaś to zauważyć czy wyczuć. Ja mu przecież nic nie zarzucam. Jest dobrym

112

księdzem, bo inaczej nie przyjechałby do tej głuszy. Ale jeśli można o kimś powiedzieć, że ma w sobie jakiś magnetyzm, to właśnie o nim. Tak jest i już. I on nic na to nie poradzi.

Anne zaniepokojona dopiła kawę. Obie się spieszyły. Beryl Sigman zawsze chodziła z Anne na mszę. Fakt, że one były jedynymi białymi kobietami w tej misji, stanowił ścisłą więź. Były zdane na siebie nawzajem, jeśli chodzi o plotkowanie i pogawędki babskie, o ratowanie się przed przygnębieniem i o wielkie Nieuchwytnie. Beryl nie bujała w obłokach, chodziła po ziemi i zwykle miała rację, ale dzisiaj?

- Słuchaj, Beryl - rzekła Anne - ksiądz O'Shea jest księdzem. Ty wiesz, co to znaczy dla mnie. Ja w nim nie widzę mężczyzny. Nie mogę. Już mnie okropnie zdenerwowałaś, nie potrafię myśleć jasno i głupio mi, że tak się wystroiłam. A tyś nie zrozumiała, dlaczego. Nie myślałam ani o księdzu O'Shea, ani o niczym. Po prostu wystroiłam się dlatego, że dziś jest specjalna okazja i że czuję się wiosennie.

Beryl słuchała rozbawiona.

- Wiem. Ja też dzisiaj trochę się odszykowałam, chociaż ty tego nie spostrzegasz. A wcale mi nie chodzi o naciągnięcie na coś Dave'a. Chodźmy! Wyszły w poranek rozmigotany słońcem. Puszyste cumu-lusy wisiały na ogromnej błękitnej połaci nieba na wschodzie i mgielka mieniła się tęczowo na wysokich stokach gór. Forsycja kwitła przy ścieżce za kościołem, kilka białych i żółtych krokusów dołączyło się do różowych kwiatów w ogrodzie Johna Wonga. Anne głęboko wciągnęła w płuca powietrze.

- Beryl - powiedziała - rzeczywiście jest wiosna.

Beryl stanęła także oczarowana, ale po chwili roześmiała się i zeszła ze schodków.

- Śmieję się, bo myślałam, że nie masz co do tego wątpliwości.

Do kościoła nadciągali gromadnie ludzie z siedmiu wiosek: młodzi i starzy,

mężczyźni i kobiety, gdzieniegdzie dzieci. Rozmawiali swoim śpiewnym językiem, ich głosy podnosiły się i zniżały, twarze mieli ożywione. Panował nastrój nieomal karnawału, radosny, pełen podniecenia. Szli dumnie w ten wielki dzień, ubrani w co kto miał najlepszego. Rolnicy

8 — Lewa ręka Boga

113

i tragarze w długich niebieskich kitlach albo bluzach brezentowych, niektórzy w dużych słomkowych kapeluszach; handlarze i rzemieślnicy w ciemnych, bawełnianych marynarkach, spodniach do kompletu; kobiety w sukniach jedwabnych ze stójkami przy szyjach, w długich spódnicach albo w sukienkach kretonowych w jednakowy deseń - im młodsze, tym barwniej ubrane. Z północy i z południa przybywali drogą, z zachodu przychodzili przez most - trzy strumienie stapiające się w jeden na ścieżce przed kościołem.

Anne i Beryl szły przez teren misji. Teraz zwolniły kroku, gdyż oczekiwano od nich pewnej stateczności. Ludzie roz-stępowali się, żeby je przepuścić, i witali uśmiechami. Anne promieniała.

- To podniecające, Beryl, ale wydaje się jakieś pogańskie, prawda?

Beryl przytaknęła i odpowiedziała dosyć zuchwale:

- Bo to przecież jest pogańskie. Czemuż by więc miało się takie nie wydawać?

W kruchcie John Wong złożył im ukłon z namaszczeniem, zanim wykonał w tył zwrot jak żołnierz o szczególnie sztywnym karku i poprowadził je do ławki. Beryl Sigman szła przez nawę za Anne. Zauważyła, że szary kapelusz dziewczyny został ozdobiony zielonym piórkiem. Lekki zapach perfum Shalimar wisiał w nieruchomym powietrzu. Uśmiechnęła się.

Samice - pomyślała. - Prosta sprawa biologiczna. Ciało niewiele sobie robi z ducha. Z zakrystii wyszedł ministrant w czarnej sutannie i białej komży i zapalił świece na ołtarzu. Dzwon należący kiedyś do taoistów zadźwięczał znowu srebrzystym upomnieniem, żeby przynaglic tych, którzy w drodze do kościoła marudzą.

Czas na mszę.

W zakrystii Jim Carmody powoli wkładał szaty liturgiczne. Jeszcze nie ochłonął z lekkiego wstrząsu, jakiego doznał odkrywając, że te szaty są uszyte z nylonu spadochronowego. Rekwizyty wojny krążą po dalekich zakątkach Azji obracane

114

na różny użytek i w różnorodnych celach. Przepasał na sobie długą, luźną albę. Z pomocą ministranta włożył ornat.

Przyszło mu na myśl, że chętnie któregoś dnia opowie ministrantom historię tych szat kościelnych. Też służył do mszy dość długo, zanim się dowiedział, że to jest odzież z czasów, gdy Chrystus żył na ziemi, przy czym każda jej część sama przez się symbolizuje człowieka innego stanu: zwykłego obywatela, sędziego i - ornat - prawdopodobnie żołnierza czy też władcę. Fascynująca historia, kiedy się już o tym pomyśli: ksiądz ubrany w odzież wszystkich ludzi, dla zaznaczenia, że Chrystus zstąpił, żeby zbawić wszystkich.

Podnosząc wzrok na krucyfiks, Carmody, chociaż miał znów popełnić świętokradztwo, był pełen czci. Już nie walczył ze sobą. W tę noc w czasie żmudnej pracy coś - na dobre czy na złe - zostało rozstrzygnięte.

Butnego Corteza już nie było. Nie było też owej filozofii ochronnej, pozbawiającej znaczenia w chwilach krytycznych wszystko, co nie jest troską o samego siebie.

Ciemność w konfesjonale, głosy zza kratki pokonały Corteza, ukształtowały kogoś nowego. Bardzo jasno przypominał sobie teraz, czym był przed laty i co wtedy myślał z żarliwym przekonaniem o Bogu i o wierze, i o wieczności.

Srebrny dzwon, który kiedyś wzywał na modlitwę mnichów taoistów, dźwięczał teraz ponaglając katolików. Carmody wpatrywał się w krucyfiks i poruszał wargami.

- Odprawię to nabożeństwo tak godnie, tak uroczyście i z pietyzmem, jak tylko zdołarti - szeptał. - Jestem gotów.

Był gotów w takiej mierze, w jakiej można przygotować się przez godziny jednej tylko nocy. Wypisał sobie wszystko, co trzeba, na kartce i włożył ją do mszału na ołtarzu, zadziwiająco jednak dużo nauczył się na pamięć. Łacina po ośmiu, jakkolwiek dawnych, latach kucia tego przedmiotu w szkole najmniej sprawiała mu trudu, a poza tym większość swoich wiadomości zawdzięczał ojcu Josephowi

McCarthy, jezucicie.

Przypomniał sobie tego starego jezuitę o czerwonej twarzy i oczach ciskających gromy na lekcjach religii w drugiej klasie licealnej. Ojciec McCarthy poświęcił całe półrocze, żeby wpoić w uczniów dogłębną znajomość mszy, a był nauczycielem zdecydowanym i twardym.

115

- Zbyt wielu katolików nie ma pojęcia o tym, co się dzieje przy ołtarzu - grzmiał - chociaż wiedzą dobrze, co się dzieje na boisku baseballu czy piłki nożnej!

Nazywamy to mszą. Ale to nie jest msza. To jest składanie uświęconej Ofiary. Słowo msza, czyli missa, znaczy, że coś zostaje uczynione, dopełnione, zakończone.

Składanie ofiary nigdy się nie kończy. Składanie ofiary jest prawem życia. Będziecie się uczyć, czym jest to składanie wielkiej Ofiary w każdej jej części. Już ja dopilnuję, żebyście to raz na zawsze zapamiętali.

No i oni zapamiętali rzeczywiście! Ojciec Joseph McCarthy rozrzucił ziarno, ale oszczędzony mu został widok tego, co z jego ziarna kiełkuje dzisiaj w tym kościele misyjnym w dalekiej Azji.

& Dwaj ministranci, uroczyści mali Chińczycy, jedenasto-i dwunastolatek, patrzyli na Carmody'ego uważnie. Skinął głową i wtedy ruszyli gładko, skłonili się przed krucyfiksem i w drodze do ołtarza poprzedzili księdza. Oto - pomyślał - moje nowe wojsko, kawaleria, piechota i artyleria: ci dwaj malcy w sutannach i komżach... wojsko, którym mam dowodzić.

Nogi drżały mu trochę, gdy wchodził po stopniach ołtarza. Wyjął korporał z bursy i rozłożył. Na korporale postawił kielich, otworzył mszał na Introit i szedł ze stopni ołtarza. Przeżegnał się, usłyszał ruch i szmery za sobą, gdy wierni klękali, usłyszał własny głos dziwnie oschły i ochrypły:

- Introibo ad altare Dei.

Znaczenie tych słów - w istocie pięknych - zawisło nad nim pełne grozy. Ministranci seplenili po łacinie:

- Ad Deum, qui laetificat...

Brnął dalej, zamykając umysł przed wszelką inną rzeczywistością. Są ministranci



wyszkoleni na tyle, żeby oczekiwać pewnych słów i gestów z jego strony. Trzeba się koncentrować na tym, co się robi. Życie to głównie kwestia akcji i reakcji - działasz w myśl cudzych oczekiwań i odpowiadasz na cudze działanie. Powiedział:

- Kyrie eleison.

I padła odpowiedź ministrantów:

- Kyrie eleison.

I nie może być inaczej. Nawzajem wszyscy czynią zadość swoim oczekiwaniom.

Ponieważ mam na sobie szaty księdza,

116

ci ludzie przejęci osobistą swoją terażniejszością oczekują ode mnie odprawienia nabożeństwa, na które tu przyszli. Ja reaguję i reagując muszę posuwać się w tym coraz dalej, tak samo jak muszę mówić po łacinie to, na co ministranci czekają, żeby ze swojej strony zareagować.

Zdenerwowanie minęło, gdy dał się porwać wspaniałości i majestatowi tej Ofiary. Przedtem dręczyły go obawy, czy potrafi zachować kolejność gestów celebransa, i przygotowana „ściągaczka” dotyczyła przede wszystkim tego, ale stwierdził, że jego ręce jakoś same sobą się zajęły. W mszy jak w symfonii jest wątek melodii i rytm, porządek symfoniczny. Na ogół msza w swej najbardziej poruszającej formie jest śpiewana i tę muzyczność zachowują nawet msze ciche. Ksiądz, składając i rozkładając ręce, staje się niejako dyrygentem niewidzialnej orkiestry i każdy ruch jego rąk ma swoją treść. Dla Carmody'ego te gesty były czymś naturalnym i nieuniknionym.

Zwrócił nie widzące oczy ku wiernym i wiedział, że rozłożenie jego rąk to powitanie i uścisk, gdy wypowiadał słowa:

- Dominus vobiscum.

Potem już nie odwracał się do nich, dopóki przy ołtarzu nie przeczytał Ewangelii po łacinie. Gdy znów się odwrócił, trzymał w ręce mały ewangeliarz.

Do tej chwili tylko mgliście uświadamiał sobie, że w kościele są ludzie. Teraz powiódł wzrokiem zdumiony. Taki tłum tutaj! Stoją i wpatrują się w niego i bije od nich jak gdyby promienność tego wiosennego poranka. Koszmary ubiegłego

wieczoru rozwiały się razem z ciemnością. I przecież on wtedy nie widział żadnej twarzy tam, skąd dolatywały te głosy. To są ci sami ludzie - wiedział - a jednak nie ci sami. Nie ma w nich wszeteczeństwa, zepsucia, okropności, żadnego grzechu. To ludzie, którzy czczą Boga szczęśliwi, że odprawia się mszę. Z nimi również stało się coś wczoraj, coś, co zmieniło ich tak, jak jego zmieniło. Gdy uklękli przed człowiekiem i uświadomili sobie swoje grzechy, pycha ich umarła - pycha, pierwszy i największy grzech, rodzący wszystkie inne. Dzisiaj czują się rozgrzeszeni i czysti - i są czysti.

Przeczytał im Lekcję po angielsku, przy czym głos jego

117

1

rozbrzmiewał w kościele wśród zupełnej ciszy - ani przez chwilę nie było kaszlu, szurania, wiercenia się. Na czas czytania Ewangelii wstali i słuchali stojąc z pełną spokojem i godności powagą, którą by mogli zawstydzić wielu katolików amerykańskich, widywanych kiedyś przez niego. A przecież zaledwie kilku z nich znało choć trochę język angielski. Gdy znów usiedli, on stał i patrzył na nich.

Kazanie nie jest konieczne - wiedział o tym. Nie miał zamiaru wygłaszać kazania, ale ciążyła mu świadomość jakiegoś wielkiego długu. Samą swoją obecnością przy ołtarzu oszukuje tych ludzi, więc winien jest im wszystko, cokolwiek potrafi w roli księdza zrobić. Zrazu niepewnie, potem coraz płynniej przemówił do nich po chińsku. Ponieważ Ewangelia przypadająca na tę niedzielę była trudna, zaczął mówić o Lekcji.

- Przeczytałem wam przed chwilą list od dobrego waszego znajomego - rzekł po prostu. - Święty Piotr nie żyje już od wieków, ale napisał ten list do was, zanim umarł, i to jest mądry list.

Z zarem w głosie powtórzył treść tego Listu świętego Piotra, który napisał listów tak mało. W tłumaczeniu na język chiński okazało się to bardzo podobne do nauk Konfucjusza: „Wszystkich szanujcie. Braci miłujcie. Boga się lękajcie. Króla czcujcie. Słudzy, bądźcie poddani panom...”

Teraz zatrzymał wzrok na poszczególnych twarzach, widział rozbłyśnięte oczy. Ci ludzie

młodzi i starzy są gorliwi jak dzieci. On, gdy mówi słowa starego, bardzo starego listu w jednym z najstarszych języków świata, jest radiem i kinem, i teatrem dla tych prostaczków, którzy ani radia, ani kina, ani teatru nie mają. On, jako wysłaniec Boga, daje im nie tylko pokarm dla duszy, ale i rozrywkę. Słuchają zachwyceni. W pierwszej ławce zobaczył Anne Scott.

Patrzyła na niego tak samo, jak wtedy w wiosce, gdy wstał z klęczek po przyjęciu błogosławieństwa od starca. Odwrócił się z powrotem do ołtarza, wciąż jeszcze czując na sobie jej wzrok.

- Credo in unum Deum...

Sama wartkość tej łaciny porywała go, odsuwała myśli. Zbliżał się do wielkiej, ciężkiej próby. Ręce mu się trzęsły, gdy odkrywał kielich i brał w palce biały opłatek.

-Suscipe, Sancte Pater, omnipotens ae-terne Deus...

118

Trzymał opłatek, ofiarowując go wielkiej niewidzialnej Mocy, którą uznał. To tylko opłatek z nie zakwaszonego ciasta, ale nieodparcie nasuwający skojarzenia, budzący nabożną cześć. On wierzy i ci ministranci wierzą, i ci ludzie tam w kościele wierzą, że w chwili konsekracji, gdy ksiądz wzywa Boga, opłatek staje się w istocie mistycznym Ciałem Chrystusa. Trzymał opłatek i ta chwila jeszcze nie nadeszła, ale drżał.

To będzie nadal odrobina nie zakwaszonego chleba, cokolwiek on zrobi, jakiegokolwiek obrzędu on dopełni, ponieważ jemu nie wolno odprawiać mszy. Jestem aktorem grającym rolę księdza i niczym więcej - powiedział sobie. Łacina na jego ustach szydziła z niego.

- Lavabo inter innocentes...

Ministrant nalał księdzu wody na palce. Wycierając je ręcznikiem, Carmody pomyślał o Poncjuszu Piłacie, który to, że nie jest odpowiedzialny za swoją okrutną decyzję, wyraził tak samo jak on teraz gestem umywania rąk. Majestatyczna, dźwięczna łacina mszy rozbrzmiewała dalej: słowa wielkie, język władzy z czasów zarania chrześcijaństwa.

-Redime me et miserere mei... in eccle-siis benedicam te, Domine.

Jakież to naturalne - pomyślał Carmody. - Jakież właściwe jest to wszystko. I piękne!

Jak w ogóle mogłem zapomnieć o tym? Jak mogłem odejść tak daleko?

Wrócił przed środek ołtarza na Sekrety i Prefację, która kończy się uroczystym i dramatycznym Sanctus, San-ctus, Sanctus...

Jeden z ministrantów zadzwonił trzykrotnie. Moment, gdy ksiądz może wznieść osobiste modły do Niebios, zanim spełni najszczytniejszy obowiązek swego urzędu. Moment, którego Carmody wyczekiwał. Wierzył sercem i duszą, że jego życie i to, czym on ma być, osiągnie punkt kulminacyjny w tej właśnie minucie mszy. Rozłożył i podniósł ręce, skłonił się nisko przed ołtarzem i z rękami tak wyciągniętymi modlił się. Po odmówieniu modlitwy przepisanej odmówił swoją własną. Podnosząc wzrok zobaczył blask słońca w oknie z Ogrodem Oliwnym.

- Wysłuchaj mnie, Boże Wszechmogący, wysłuchaj, chociaż modłę się w szatach świętokradztwa. Moje rozumowanie, chociaż mylę się i błędę, jest jednak szczere. Kiedy oczy mi

119

Trzymał opłatek, ofiarowując go wielkiej niewidzialnej Mocy, którą uznał. To tylko opłatek z nie zakwaszonego ciasta, ale nieodparcie nasuwający skojarzenia, budzący nabożną cześć. On wierzy i ci ministranci wierzą, i ci ludzie tam w kościele wierzą, że w chwili konsekracji, gdy ksiądz wzywa Boga, opłatek staje się w istocie mistycznym Ciałem Chrystusa. Trzymał opłatek i ta chwila jeszcze nie nadeszła, ale drżał.

To będzie nadal odrobina nie zakwaszonego chleba, cokolwiek on zrobi, jakiegokolwiek obrzędu on dopełni, ponieważ jemu nie wolno odprawiać mszy. Jestem aktorem grającym rolę księdza i niczym więcej - powiedział sobie. Łacina na jego ustach szydziła z niego.

- Lavabo inter innocentes...

Ministrant nalał księdzu wody na palce. Wycierając je ręcznikiem, Carmody pomyślał o Poncjuszu Piłacie, który to, że nie jest odpowiedzialny za swoją okrutną decyzję, wyraził tak samo jak on teraz gestem umywania rąk. Majestatyczna, dźwięczna łacina mszy rozbrzmiewała dalej: słowa wielkie, język władzy z czasów

zarania chrześcijaństwa.

-Redime me et miserere mei... in eccle-siis benedicam te, Domine.

Jakież to naturalne - pomyślał Carmody. - Jakież właściwe jest to wszystko. I piękne!

Jak w ogóle mogłem zapomnieć o tym? Jak mogłem odejść tak daleko?

Wrócił przed środek ołtarza na Sekretę i Prefację, która kończy się uroczystym i dramatycznym Sanctus, San-ctus, Sanctus...

Jeden z ministrantów zadzwonił trzykrotnie. Moment, gdy ksiądz może wznieść osobiste modły do Niebios, zanim spełni najszczytniejszy obowiązek swego urzędu.

Moment, którego Carmody wyczekiwał. Wierzył sercem i duszą, że jego życie i to, czym on ma być, osiągnie punkt kulminacyjny w tej właśnie minucie mszy. Rozłożył i podniósł ręce, skłonił się nisko przed ołtarzem i z rękami tak wyciągniętymi modlił się. Po odmówieniu modlitwy przepisanej odmówił swoją własną. Podnosząc wzrok zobaczył blask słońca w oknie z Ogrodem Oliwnym.

- Wysłuchaj mnie, Boże Wszechmogący, wysłuchaj, chociaż modłę się w szatach świętokradztwa. Moje rozumowanie, chociaż mylę się i błędzę, jest jednak szczere. Kiedy oczy mi

119

się otworzyły, zaszedłem już za daleko. Gdybym cofnął się wtedy, zraniłbym zbyt wielu ludzi, tych ludzi tu w kościele, którzy mają więcej wiary w Ciebie niż ja. Więc daję im, Boże, te pozory przynajmniej, ponieważ jestem tutaj. Gdybym tu nie był, nie dostaliby nic. Ksiądz Peter John O'Shea umarł, kiedy chciał dojechać do tej misji, żeby czynić to, co ja teraz usiłuję czynić za niego.

Westchnął głęboko. Trudno stać przed straszliwą rzeczywistością istnienia Boga.

- Ja dla siebie o nic nie proszę, Panie - powiedział ochryple. - Już jeżeli, to tylko o siłę duchową... bo nie jestem godny prosić o cokolwiek. Nie proszę nawet o życie. Ono należy do Ciebie, jeżeli je chcesz. Ale przyjąłem rolę księdza i będę księdzem. Będę nim słowem i myślą, i uczynkiem tak całkowicie, jak potrafię temu podołać, dopóki Ty mnie nie zwolnisz czy też dopóki nie uda mi się zniknąć w taki sposób, żeby ci ludzie nie wiedzieli, że jestem oszustem i że świętość może być profanowana. Wszechmocny Boże, jeżeli ta ofiara jest zdradą wobec Ciebie, muszę stanąć przed

sądem Twoim. Ale nie popełnię zdrady wobec tych ludzi, którzy w Ciebie wierzą. Ślubuję to uroczyście przy Twoim ołtarzu. Będę żył jak ksiądz, skoro ci ludzie wierzą, że jestem księdzem.

Umilkł. Przypomniała mu się Anne siedząca w pierwszej ławce. Może ostatnia amerykańska dziewczyna na jego drodze...

- Nawet pod tym względem, Panie - powiedział. - Pod tym względem i pod każdym innym. Amen.

Przed laty ksiądz McCarthy mówił, że msza oznacza złożenie ofiary i że jedynie ta osobista ofiara nadaje życiu ludzkiemu znaczenie. Niech tak będzie! Człowiek składa w ofierze to, co ma. Coś podniosłego jest w świadomości, że się daje nie prosząc w zamian o nic. I jest spokój w uznaniu swojej winy. Nawet pokuta może przyczynić się do odczuwania radości życia. Ma w sobie godność. Carmody potrząsnął głową. To były dziwne myśli, ale nasuwały mu się i nie wątpił o ich słuszności.

W kościele panowała cisza i Carmody przy ołtarzu odegrał pierwszą z kilku ról, które miał teraz grać w tym szybko się rozwijającym dramacie. Z nie zakwaszonym chlebem przed sobą, był owym chłopcem z pięcioma jęczmiennymi chlebami, wznoszącym oczy, błagającym o cud.

120

- Cóż to jest na tak wielu?

I był kapłanem według obrządku Melchizedeka ofiarowującym w chlebie i winie Umęczonego na Górze Kalwarii, gdy sygnaturka podzwaniała uroczyście.

W końcu był głosem Boga-Człowieka, biorąc na swoje usta słowa Jezusa Chrystusa w odtworzeniu tamtej sceny na wysokościach - w szczytowym momencie mszy, w najbardziej uroczystej sekundzie, jaką znać może wiara.

-Hoc est enim Corpus Meum... Hic est enim Calix Sanguinis Mei...

Rozdał Komunię wiernym i wypowiedział nad nimi słowa błogosławieństwa. Potem odszedł od ołtarza, oszołomiony, zwiotczały, wyczerpany. W ciągu czterdziestu minut przeżył życie. Poznał bojaźń, rozterkę, uniesienie, cześć, poruszał się w jakimś wielkim cieniu i widział oślepiającą światłość. Zapragnął teraz wyciągnąć się na

wznak na podłodze, dać obolałym mięśniom odpocząć, powitać ciszę w swojej duszy, nie pamiętać i pamiętać. Zamiast tego odwrócił się spokojnie do ministrantów i rzekł:

- Dziękuję.

Po czym zaczął zdejmować szaty liturgiczne.

3

V

Anne Scott wracała z kościoła przez teren misji, patrząc kamiennym wzrokiem przed siebie, zaciskając pięści. Beryl szła przy niej ze swobodnym, trochę opieszalym wdziękiem zawodowej modelki. Od czasu do czasu zaglądała przelotnie w twarz tej niższej niż ona dziewczyny.

- Gniewasz się na mnie? - zapytała wreszcie. Anne przeszła kilka kroków, zanim odpowiedziała:

- Owszem. I to tak, że nie mogę mówić.

- Możesz mówić. O co?

Anne szła uparcie. Nie patrzyła na Beryl.

- Popsułaś jedno z najpiękniejszych przeżyć w moim życiu - oświadczyła.

- Tym, co powiedziałam o księdzu?

Anne znów milczała. Gdy doszły do domu, Beryl otworzyła

121

r,

i przytrzymała drzwi. Potem stanęła w chłodzie saloniku przed nią, powoli zdejmując rękawiczki.

- Przepraszam - rzekła. - Znasz mnie dosyć dobrze, mam nadzieję. Nie musisz wszystkiego, co mówię, traktować poważnie.

- Jak mogłabym potraktować to inaczej? Wbiłaś mnie w kompleks uwagami o moim stroju, o tych piekielnych Shalimar, i w ogóle! Popsułaś...

- Słuchaj! Zejdź na ziemię! Zwyczajnie po babsku żartowałam. Kto oprócz mnie poczułby zapach Shalimar? Kto by zauważył, jak się ubrałaś? To ci nie przyszło do głowy?

- Przyszło. - Anne miała oczy przymglone, ale gniewne.

- I nie chodzi o strojenie się ani o nic. Chodzi mi tylko o to, co powiedziałaś o księdzu O'Shea. Zupełnie jakbyś mówiła

O nowym gościu, który przyjechał na lotnisko, gdzie jest pełno sfrustrowanych kobiet. Podłe, okropne, niegodne ciebie. Błuzniercze...

- Nie sędzę. - Beryl zdejmowała teraz drugą rękawiczkę.

- Słuchaj, skarbie...

- Nie będę słuchać! - Anne przeszła przez pokój, zakręciła

1 zawróciła. - Nigdy o żadnym księdzu nie myślałam w taki sposób. Nie myślałam o księdzu O'Shea jak o mężczyźnie. Nigdy!

Zdjęła szary kapelusz z piórkiem i gwałtownie rzuciła na stolik. Jak gdyby ten gest do pewnego stopnia ją uspokoił, zatrzymała się pośrodku pokoju.

- Było pięknie! - powiedziała głosem zachrypniętym ze wzruszenia. - W życiu nie przejęłam się tak żadną mszą. On odprawiał tę mszę z taką czcią, tak powoli.

Wcale mu się nie spieszyło. Wydawało mi się, że to będzie trwało wiecznie, i chciałam, żeby trwało wiecznie... i chyba gdyby tak trwało, nikt by nie wyszedł z kościoła. - Urwała i przygryzła wargi.

- A potem, kiedy popatrzył na ludzi i zaczął mówić do nich tak po prostu, tak łagodnie po chińsku tłumaczyć im wszystko, aż mnie coś w gardle ścisnęło. Ja...

Beryl wpatrywała się w nią szeroko otwartymi ciemnymi oczami.

- To robiło duże wrażenie - przyznała. - Sama miałam przyjemny dreszcz.

- Przyjemny dreszcz - Anne znów zeszywniała.

122

Beryl niecierpliwie machnęła ręką.

- Są różne przyjemne dreszcze. Mówię o takich, jakie się ma, kiedy trębacz o zachodzie słońca trąbi capstrzyk. Tego rodzaju! Coś mięknie w krzyżu i nie wie się, dlaczego. Ksiądz O'Shea to sprawia. On gra na trąbce swojej wiary i nawet ja, chociaż w nic nie wierzę, czuję, że on wierzy... że wy wierzycie.

Anne odwróciła się od niej.

- Słowa! - powiedziała - znakomicie operujesz słowami, Beryl. Żałuję, że zaczęłam o tym mówić. Nie mogłam zapomnieć tego, co mówiłaś. Pamiętałam i ty



tam siedziałaś przy mnie, i dalej tak myślałaś, i zbrukałaś to idealne piękno...

Beryl westchnęła.

- Teraz już bzdurzysz, Anne. Byłam w czasie waszej mszy pełna szacunku. A przedtem tylko trochę pośmiałam się z kobiet w ogólności. Nasze reakcje są dosyć łatwe do przewidzenia. Stroimy się i iskrzymy dla mężczyzny, choćbyśmy szczególnie się nim nie interesowały. Spójrz na mnie! Czy ja się interesuję kimkolwiek poza Dave'em?

Anne spojrzała na nią. Beryl była ubrana elegancko i starannie umalowana. Nie zawsze tak dbała o swój wygląd. Miewała okresy abnegacji nieraz ciągnące się tygodniami. Anne uparcie potrząsnęła głową.

- On jest księdzem - przypomniała.

- Wiem. Po wieki wieków w celibacie! Szkoda poniekąd! Sęk w tym, że ty nie musisz żyć w celibacie ani celibatu nie ślubowałaś i jesteś młoda. Idiotka z ciebie, że siedzisz tutaj, gdzie mężczyźni to albo Chińczycy, albo żonaci lekarze, albo księża.

Anne patrzyła na nią, a potem odwróciła wzrok. Wzięła kapelusz ze stolika tak gwałtownie, że piórko na nim pod-frunęło.

- Ja nie wiem - powiedziała. - Wiem tylko, że w tej chwili czuję się rzeczywiście jak idiotka... a to mi się nie podoba.

Odeszła szybko, gniewnie do swojego pokoju.

- Otóż to - mruknęła Beryl. - To i coś więcej jeszcze. Chciałabym znaleźć jakieś określenie zamiast słowa „normalne”, jakieś określenie, które by moja inteligencja przyjęła.

Potem już cicho siedziała z papierosem w fotelu przy mrocznym palenisku kominka.

Wyrzucając niedopałek

123

skręciła go w palcach mocno i zgmiotła, przy czym usta miała zaciśnięte. Potem wstała, wyszła z domu i wolno ruszyła do szpitala.

Doktor David Sigman nie uznawał dnia odpoczynku. W niedzielę nie operował, jeśli operacja nie była konieczna natychmiast, ani nie otwierał przychodni, ale nie lubił się wylegiwać. Wstawał o tej samej porze, co w dzień powszedni, i zamiast na zwykły

obchód lekarski szedł do swego ukochanego laboratorium. Tam też zastała go teraz Beryl. Weszła bez pukania i usiadła na jednym z emaliowanych stołków w kącie. Dave Sigman dolewał pipetką trzy krople jakiejś bezbarwnej cieczy do probówki zawierającej purpurowy płyn. Nie zwracał na żonę uwagi, dopóki nie włożył pipetki z powrotem do fiolki. Uniósł jedną brew.

- Chcesz porozmawiać? - zapytał.

Beryl potrząsnęła głową

- Chciałabym tylko trochę tu posiedzieć, Dave.

To nie wymagało odpowiedzi. David Sigman napisał dwie linijki w notatniku, spojrzął na zegarek i wziął z podstawki probówkę z płynem żółtym. Kapnął kroplę tego płynu na szklaną płytkę i zaczął oglądać pod mikroskopem. Beryl przyglądała mu się. To także jest obrzęd - pomyślała. - To także jest człowiek oddany swojej sprawie. Dave krząta się przy stole laboratoryjnym podobnie jak ksiądz przy ołtarzu. Ręce ma niewiarygodnie urzekające, zwinne, żywe, nieomal samoistne. I doprawdy bardziej kapłańskie niż silne ręce tego mężczyzny, który odprawiał dziś nabożeństwo. Długo siedziała w milczeniu, gdy Dave Sigman pracował, nie pamiętając o jej obecności. Ale wreszcie zapisał całą stronicę w notatniku i odwrócił się, żeby umyć ręce. Przerwała ciszę.

- Teraz chciałabym porozmawiać, Dave - rzekła.

Spojrzał przez ramię.

- No to zaczynaj.

- Myślałam o księdzu O'Shea, Dave. On nie kłamie.

- Nie? Skąd wiesz? Jakieś osobiste objawienie?

- Obserwowałam go na mszy. Dostyc to było wstrząsające. Próbuję to zanalizować. Nie mogę uchwycić. On ma w sobie coś, czego się nie da określić, i jest szczery. Ta szczerość wprost od niego bije. On nie mógłby kłamać.

124

Dave Sigman, starannie wycierając ręce, odwrócił się do niej.

- Kobiety to frajerki, jeśli chodzi o obrzędy. Ulegają czarowi.

- Ja nie jestem taka frajerka.

- Jesteś kobietą. Dobry obrzęd wymierzony jest w ośrodki nerwowe. Po prostu zdrowo reagujesz.

- Nie w tym rzecz. Tam przecież byli mężczyźni, wielu mężczyzn. Ich zaczarował także. Wyczuwało się to.

- Chińczycy. Na pół rozhisteryzowani, jeszcze zanim msza się zaczęła.

- Nie, Dave.

Popatrzyli sobie w oczy.

- Może naszej Scotty przystoi mieć widzenia i bzdurzyć

o cudach, ale przecież nie tobie. Ja na to nie pozwolę.

Beryl uśmiechnęła się. Zapalił papierosa i mówiąc zaczął nim wymachiwać jak batutą.

- Rozmawiałem z O'Shea. I ty także z nim rozmawiałaś.

I on siedział przy naszym stole. I żadna szczerość od niego nie biła ani w ciebie, ani we mnie. Coś w nim nie grało i tyś to wyczuwała tak samo jak ja. Z dnia na dzień przecież nie zmienił charakteru. Scotty potrafi fantazjować, ale my nie. Szczerość jest drzewem, które potrzebuje dużo czasu, żeby wyrosnąć, rozwinąć się. On z dnia na dzień nie wyhodował drzewa.

Dave Sigman obrócił w palcach papierosa - tę swoją batutę - wziął go do ust po raz drugi, zapalił zapalkę o paznokieć. Beryl uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- W każdym razie twoja szczerość nie ulega wątpliwości - zauważyła. -

Rozpłomieniasz się jak zapalka.

Doktor się zaciągnął. Zmarszczył czoło.

- Masz za dużo rozsądku, żeby cię porywały takie bożyszcza - powiedział już spokojnie. - Wiadomo, co on dzisiaj robił. Występował przed mnóstwem ludzi, prezentował szaty kościelne, złote naczynia przy dźwiękach dzwonek i deklamował poezję łacińską tak, żeby wytworzyć nastrój. Wiedział, co robi, i umiał to zrobić.

Przyciągnął twoją uwagę, był przekonujący. Nawet dla ciebie!

- Hipnoza, Dave?

125

- Coś cholernie zbliżonego do hipnozy.

Beryl potrząsnęła głową.

- On w to wierzył. Wierzył w ten rytuał. To się wyczuwało. Ksiądz Coleman wierzył także. Był szczery, Dave.

Dave Sigman popatrzył na swego papierosa z odrazą. Udawał. Naprawdę lubił księdza Colemana bardzo i Beryl o tym wiedziała.

- Łatwo jest - rzekł powoli - ściągnąć tych ludzi do kościoła. Bo i czemuż by nie? To przyjemność dla nich, przerwa w jednostajności. Tylko że to nie prowadzi do żadnego ostatecznego dobra. Ściągnięcie ich do kościoła nie wydaje mi się celem godnym, żeby tak ryzykować, znosić niewygody, tak ciężko pracować w misji.

Gdyby O'Shea zażądał od nich czegoś rzeczywiście trudnego, oni by od niego odeszli w jednej chwili... ale chodzić do kościoła przyjemnie im, ja ci mówię. To jeszcze niczego nie dowodzi.

Beryl zadumała się. Nie taki obrót chciała nadać rozmowie, ale była zadowolona. Mnie ta rozmowa ożywia, a Dave'owi służy - pomyślała. - Od czasu do czasu on powinien mieć jakieś dobre ujście dla tych wszystkich wzruszeń i urazów, które inaczej w nim twardnieją.

- A spowiedź, Dave? - zapytała. - Spowiedź nie jest łatwa. Nie mów mi, że to łatwo przychodzi nawet tym Chińczykom.

Dave Sigman milczał. Lewą ręką drapał się w szczękę.

- To jest pewna ulga... taka jak, powiedzmy, po przecięciu wrzodu.

Nieprzyjemne to i niełatwe, ale ulga. Jedna z najzdrowszych rzeczy w Kościele katolickim. Nawet skuteczna kuracja. Z samym już tylko takim narzędziem do dyspozycji Kościołowi powinno powodzić się lepiej, niż się powodzi.

Odjął rękę od twarzy i podniósł wymownie.

- Ale Kościół prawdopodobnie nie wie, jak sobie z tym narzędziem radzić - powiedział kwaśno. - Przeciętny ksiądz w konfesjonale prawdopodobnie pojęcia nie ma, co robić z kimś, kogo trzeba naprowadzić na właściwą drogę.

Beryl parsknęła śmiechem. Śmiała się głośno, bez żenady.

- Chciałbyś spróbować - wykrztusiła. - Widzę to przecież. Biedny, cholerny grzesznik zwraca się do ciebie i...

Śmiech nie pozwolił jej dokończyć. Dave Sigman patrzył na nią i nagle uśmiechnął się.

126

- Do diabła - powiedział. - Ja bym to robił należycie.

Beryl, jeszcze się śmiejąc, wstała ze stołka. Dave sięgnął po notatnik.

- Dobrze - stwierdził. - Jesteś wyleczona. Mogę znów zająć się swoją pracą. Ale mam dwa ładne problemiki natury moralnej, które zamierzam dać do rozwiązania szczeremu, wielebnemu księdzu O'Shea w niedalekiej przyszłości. Coś w rodzaju quizu.

Beryl przestała się śmiać.

- Zostaw go, Dave. Bądźmy przyzwoici.

- To będzie przyzwoite. Podobno zadaniem religii jest rozwiązywanie problemów moralnych.

- Chyba tak.

Beryl ruszyła ku drzwiom. Jeżeli Dave chce kogoś zapędzić w kozi róg, to przecież nic go nie powstrzyma. Zresztą Beryl nie starałaby się zanadto go powstrzymać, nawet gdyby mogła. Od wielu lat żyjąc wśród lekarzy i pielęgniarek, wyrobiła w sobie podejście zawodowe. Uważała, że każdy zawodowiec w swojej dziedzinie musi umieć dawać sobie radę sam. Przy drzwiach odwróciła się i ręką przesłała pocałunek temu mężczyźnie nad stołem laboratoryjnym.

- Dziękuję za to, że ożeniłeś się ze mną, Dave - powiedziała.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Proszę bardzo. Chętnie zrobię to znowu, kiedy tylko zechcesz.

Wyszła, nawet nie napomykając o kłopotcie, z którym przyszła do laboratorium, ale pomimo to jakoś przecież została od tego kłopotu uwolniona. Zdrowy wydawał jej się świat mający do niej i do Dave'a taki sam stosunek, jaki oni mają do świata.

Uważała, że oni oboje są symbolami wielu innych, im nie znanych, którzy żyją i kochają tak jak oni. Zawsze odnawiała swoją wiarę w ludzkość przy własnym ognisku domowym.

Popatrzyła na drugi koniec polany, gdzie ludzie już wychodzili z kościoła po drugiej mszy. Zdziwiła się, że tak długo siedziała w laboratorium, i pomyślała, że ksiądz musi być głodny - wciąż jeszcze na czczo, chociaż zbliża się południe. Wchodząc do domu, nuciła cicho melodię

127

z operetki Oklahoma, którą widziała w teatrze dawno temu, z operetki o jednym ze stanów bardzo teraz dalekich.

Na otwartej przestrzeni przed kościołem Jim Carmody stał przez kilka minut i wdychał chłodne powietrze. Błękit nieba jaśniał bezchmurny, ale chyba zanosilo się na deszcz. Jim Carmody usiłował nie widzieć gromadki ludzi wokół niego, zerkających, zbyt onieśmielonych, żeby go zagadnąć. Nie chciał teraz rozmawiać. Pozostawał pod urokiem tych dwóch mszy i w głowie mu się kręciło z głodu i niewyspania. Kościół, dziedziniec misji, wydarzenia ubiegłych kilku godzin stanowiły jedną ogromną rzeczywistość - jakąś sekwencję snów, która jak mgła, jak dym przysnuwała mu myśli.

Spojrzał w stronę bramy i powoli, bardzo powoli skoncentrował wzrok i władze umysłowe. Tam pod murem stał człowiek wyodrębniony z tej nierealności majaków sennych, postać groźna, rzeczywista jak śmierć.

Wysoki, głowę miał kulistą i nos przypłaszczony. Był w waciaku, w grubych, watowanych niebieskich spodniach. Widząc, że Carmody patrzy na niego, szybko splunął w piach. Carmody zmrużył oczy. Zapomniał, że jest w sutannie, zapomniał o roli księdza i o fizycznym osłabieniu, które przyprawiało go o zawrót głowy jeszcze przed kilkoma sekundami. Podszedł do tego człowieka wyzywająco.

- Co robisz tutaj? - zapytał.

Ten człowiek przysunął się do muru. Carmody nie znał go, ale widywał już wielu podobnych. W tych wąskich oczach wyczytał muzułmański zabobonny lęk i nienawiść do obcych praktyk religijnych. W twardej linii ust wyczytał pogardę i butę. Prawa ręka sama zacisnęła się Carmody'emu w pięść. Za mniejszą bezczelność Jim Carmody jednym uderzeniem pięści powalał takich zuchwalców. Ale gniew na razie tylko zabrzmiał w jego głosie.

- Nie masz tu nic do roboty - powiedział. - Kto cię przysłał?

Muzułmanin zamrugał i spuścił wzrok. Popatrzył na ziemię, jak gdyby zastanawiając się, czy splunąć znowu i okazać tym splunięciem, że ani mu się śni szanować religię niewiernych, czy też udawać, że ją szanuje. Pod rozchylnym

128

waciakiem błysnęła srebrna pochwa noża u jego pasa. Zdecydował się i splunął.

Carmody uderzył go. Walnął go tak jak tego nieuważnego stajennego na dziedzińcu klasztoru łamów, tak jak walił innych, którzy mogliby go zakłuć nożem czy zastrzelić, tylko że nie odważali się na to. Przyzwyczajenie do uległości podwładnych nakazało mu zadać ten cios, mięśnie ramienia dokonały reszty - z łatwością i rozmachem, brutalnie, bezmyślnie.

Uderzając opamiętał się. Jestem księdzem. Przyswoiłem sobie tę rolę, ślubowałem, że będą ją grać, i tak zaraz o tym zapomniałem.

Powalony przeturlał się w kurzu u jego stóp, a on już wiedział, że w pobliżu stoją pokorni jego parafianie i że tą samą prawą ręką jeszcze kilka minut przedtem ich błogosławił. Ale knykcie go piekły i przerażenie minęło.

Był przecież sobą, gdy uderzył - nie będąc sobą byłby niczym. Można ślubowaniem wziąć siebie na smycz, ale zdarza się, że tej smyczy nie sposób utrzymać. Tak bardzo istota ludzka pragnie pozostawać sobą, że nawet pojęcie nieśmiertelności musi się dla niej łączyć z pojęciem przetrwania własnego „ja”. Piotr zapomniał o ślubowaniu, przez chwilę był tylko sobą, gdy pchnął okrutnie mieczem sługę najwyższego kapłana. Jezus Chrystus, ten współczujący, zrozumiał i odruch przebaczył. Carmody podmuchał na swoje obolałe knykcie.

Muzułmanin patrzył na niego z ziemi, już nie butny i nie wzgardliwy. W oczach miał strach. Potem odwracając się zatoczył się pod mur, podkulił nogi, wstał i uciekł.

Kilku z tych, którzy po mszy jeszcze ociągali się z odejściem, podbiegło do księdza. Carmody odprawił ich machnięciem ręki.

- W porządku - rzekł.

Wcale jednak tak nie uważał. Stał wyprostowany, ale nie mógł nie patrzeć na tę oddalającą się postać. Wiedział teraz, że Mieh Jang o nim pamięta. Wiedział, że ma

tylko tyle czasu, ile Mieh Jang z jakichś tam swoich powodów zechce mu dać. Jest śledzony najbystrzejszym okiem w tych górach, jest więźniem pod strażą muzułmanów, którzy rozeszli się po górskich wioskach na wszystkie strony.

Marzenia, jakie snuł

9 — Lewa ręka Boga

129

o ucieczce, to mrzonka. Nawet przybycie karawany handlowej nie może go uratować. Wzruszył ramionami i skierował się ku plebanii.

Rzecz dziwna, ale nie było w nim lęku ani rozpacz. Po prostu się nie przejmował.

Spośród żałobników na mszy przed pogrzebem siostra Anne Scott żegnała Li Kwana najserdeczniej. Mniej niż dziesięć osób z personelu misji było w kościele, a i to nie wszystkie Li Kwana znały. Anne klęczała w pierwszej ławce i myśli jej poddały się powolnemu rytmowi mszy żałobnej, odprawianej na intencję odpuszczenia grzechów i wiecznego odpoczynku u Boga.

Widziała twarz Li Kwana, tę spokojną twarz, za którą kryło się coś nieposkromionego. Widziała jego oczy - pytające, bolesne, wyrozumiałe, rozbawione. Li Kwan nie miał wykształcenia. Przez całe życie, zanim go poznała, ciężko pracował. Gdy z nią rozmawiał, nic nie świadczyło, że jest w nim coś z Konfucjusza, z Mencjusza, czy z Lao-tse. Nie odznaczał się mądrością ani dowcipem, nie potrafił układać epigramów. Prawdopodobnie w każdym czasie i w każdym kraju uznano by go za nieuka, prostaka nieoświeconego, nieważnego. A przecież jedna cecha nadawała mu wielką godność - jego głęboka wiara. Li Kwan wierzył w nieśmiertelność swojej duszy i walcząc ze śmiercią, żeby dożyć przyjazdu księdza i dostać rozgrzeszenie, wznosił się na wyżyny człowieczeństwa... On, który chyba nigdy nie miał powodów do dumy, okazał u kresu życia dumę cierpliwości, dumę ze znoszenia bólu. On, który rzadko kiedy, jeśli już w ogóle, zwyciężał, odniósł w tym ostatnim rozdziale bytowania na ziemi doniosłe zwycięstwo nad wątłością własnego ciała, nad fizycznym zniedołężnieniem.

Dzisiaj przed ołtarzem tego Kościoła Li Kwan w swojej godności jest równy papieżom, prezydentom, cesarzom i królom. Bogactwo i władza nie mogłyby



podporządkowa sobie Kościoła bardziej niż właśnie to, że ofiarę mszy skład

130

się za duszę Li Kwana i że ten proch, który w proch się obraca, zostaje na pożegnanie pobłogosławiony.

Oczy ją piekły od łez. Nie żałowała, że Li Kwan zmarł. To były łyzy wzruszenia wywołane pięknem - pięknem obrzędu, pięknem myśli, pięknem osiągnięcia. Aż ją coś dławiło w gardle na tej mszy uroczystej, głęboko poważnej i dopełniającej się powoli. Nigdy nie filozofowała i nie odczuwała potrzeby roztrząsania owych „jak” i „dlaczego” swoich przekonań. Wystarczało jej samo przekonanie, bez rekwizytów i ozdób, jakie nadaje mu rozum. Nawet kursy pielęgniarские nauczyły ją kwestionować w swojej pracy rolę własnego rozumu jako przewodnika, gdyby w ogóle miała kiedykolwiek takiego przewodnika szukać. Medycyna, ta rzekoma przeciwniczka wiary, nakazywała jej surowo wypełniać ściśle polecenia lekarza, wierzyć w nie, nigdy nie próbując interpretować ich swobodnie, zawsze trzymając się niezbitych medycznych faktów. Na wykładach teorii wciągano przyszłe pielęgniarki w pułapkę wysnuwania wniosków niedorzecznych i śmiesznych, jeśli tylko zaczynały rozumować, i okazywało się wtedy, jak zawodna bywa ludzka logika. Tylko że ona tych pokazów nie potrzebowała.

Klęcząc pokornie w ławce, Anne Scott utożsamiała się duchowo z Li Kwanem. Jestem - myślała - tak nieważna, jak on był. Nie czuła w sobie talentu do niczego, żadnych wybitnych zdolności. Pochodziła z rodziny niebogatej, zgoła nieświatłej. Była muzykalna i przez dwa lata studiowała w konserwatorium. Ale gdy pojęła, jak trudno jej ojcu, niższemu urzędnikowi państwowemu, pokrywać koszty tych studiów, stanęła przed problemem, czy rzeczywiście ma zdolności, które by usprawiedliwiały pozostawanie w konserwatorium przez dwa lata następne. Ostatecznie poszła na kursy dla pielęgniarek i zaczęła przyczyniać się do kształcenia swoich młodszych dwóch sióstr i dwóch braci. Teraz jej najmłodsza siostra miała zdawać maturę. Rodzina nadal potrzebowała pieniężnej pomocy.

Wszystko to - myślała Anne Scott - jest prozą życia. Ludzie stają wobec problemów, które dla nich samych są zasadnicze, ale dla innych śmiertelnie nudne, więc każdy

musi radzić sobie sam i nie czekać na owacje, na wywieszanie flag. Niektórzy, tacy jak Li Kwan i ja, nie dorastają do tego,

131

Jß

żeby być postaciami dramatu. Ja również nie lituję się nad sobą... a już jeżeli, to tylko czasem, kiedy mi bardzo smutno. W istocie Anne, ilekroć sobie na to pozwalała i uświadamiała to sobie, czuła, że jakoś traci godność, i była na siebie zła. Usiłowała więc odzyskać autorytet we własnych oczach, z rozmysłem zabierając się do zrobienia czegoś trudnego czy też czegoś, czego nie chciało jej się zrobić. Anne Scott była prostoduszną dziewczyną.

Nieraz przy wspaniale pewnej siebie, obytej i wykształconej Beryl Sigman czuła się niezdarna, niepewna, niedojrzała, chociaż już pasowała się z trudnościami wieku dojrzałego. Ale zawsze, gdy wątpiła o własnych możliwościach, zaczynała czerpać siłę z zewnątrz - czego Beryl nie potrafiła. Wprawdzie oparciem dla Beryl, gruntem, na którym mocno stała, był Dave Sigman z całą swoją siłą, zadufaniem i szorstkim rozsądkiem mężczyzny, to jednak Beryl musiała być sobą, nakładała swoje odbicie na odbicie męża, widząc w tym lustrze siebie i przyjmując to wspólne odbicie jako sumę tego, co osiągają oni oboje. Anne nie umiałaby nikomu wyjaśnić, jaka jest Beryl, a przecież znała ją, ceniła, lubiła, szanowała i ufała jej, i nie dawała się nabierać na pozory. Beryl - myślała teraz - bywa nieraz apodyktyczna, nierozsądna i paskudnie kobieca, ale tak czy owak nie miała żadnych złych intencji, kiedy wczoraj wygłaszała te swoje uwagi, a zresztą ja sama mogłabym mieć sobie wiele do zarzucenia.

Anne poczuwała się do winy. Jeszcze nie przeprosiła Beryl, nie lubiła przeproszać, to wisiało nad nią i było czymś, z czym musiała się uporać. Wiedziała, że ostatecznie się z tym upora.

Msza dobiegła końca. Tak nagle, że zaskoczyło to Anne Scott. Ksiądz zszedł ze stopni ołtarza i stanął przy trumnie w nawie. Anne widziała teraz z bliska jego szczupłą męską twarz, bliznę na czole bardzo białą i oczy bardzo posępne. Głos

jednak miał pełen siły:

-Non intres in iudicium cum servo tuo, Domine...

Skłoniła głowę. Ksiądz O'Shea zmizerniał, pomyślała. Chyba jest strasznie zmęczony. Modli się za Li Kwana, a ja nie odmówiłam w ciągu tej całej mszy nawet kilku Zdrowa-

132

siek. Patrzyłam na ołtarz, zajęta swoimi myślami, kiedy powinnam modlić się za Li Kwana, tak jak ksiądz O'Shea. Potrząsnęła głową, ale nie zdołała narzucić sobie skupienia.

Życie Li Kwana się skończyło, i to pięknie, nutą triumfu. Moje życie trwa nadal, jestem niespokojna, w głowie mam zamęt. Moje życie pod żadnym względem nie jest takie, jak kiedyś marzyłam. Może to wcale nie dziwne, że śmierć każe myśleć o życiu tak, jak ja myślę teraz, ale czyż nie wydaje się brakiem szacunku dla poważnych obrzędów takie rozproszenie, kiedy myśl mi przelatuje to tu, to tam, jak koliber zatrzymuje się tylko na krótko i znów leci gdzie indziej.

Na dworze padał ulewny deszcz. Anne włożyła gabardynową pelerynę z kapturem, który nasunęła na głowę, żeby nie zmokły jej włosy. Ksiądz O'Shea, co od razu zauważyła, włożył stary płaszcz nieprzemakalny z połyskliwego żółtego plastyku, należący przedtem do księdza Colemana. Ten płaszcz był dla niego za mały, za ciasny w ramionach, za krótki i rękawy mu sięgały ledwie za łokcie. Deszcz lał jak z cebra, a on przy grobie skrapiał trumnę wodą święconą.

Ksiądz O'Shea nie ma ani jednej rzeczy na swój rozmiar, ani jednej rzeczy porządnej - myślała Anne. - A pomimo to tyle w nim jest godności. I coś szalenie młodzieńczego. Człowiek, który wcale nie myśli o sobie. Chyba na tym właśnie polega prawdziwa pokora.

Skłoniła głowę znów stwierdzając, że zapomniała o Li Kwaniu. Przecież to pogrzeb Li Kwana i powinna modlić się za jego duszę.

Jim Carmody, wpatrzony w trumnę, odmawiał ostatnią modlitwę. Pamiętał, jak przybył do misji w czasie deszczu i zastał Li Kwana umierającego - w taki to sposób Li Kwan stał się kluczową postacią jego przeznaczenia. Gdyby żadnego Li Kwana

nie było, może wszystko przybrałoby inny obrót i on już by szedł inną ścieżką niż ta, którą wybrał. Może tak, a może nie. Bóg raczy wiedzieć.

Li Kwan, gdziekolwiek znajduje się teraz - myślał Carmody - niewiele ma powodów, żeby mi życzyć dobrze. Nawet pomijając tamtą pierwszą noc, jest przecież dzień dzisiejszy. Jim Carmody był pokorny - Anne Scott nie myliła się - ale jego pokora wynikała z tego, że wiedział, jak kiepsko się spisuje, jak nieudolnie wypełnia zadanie, na które się porwał.

133

Odprawienie mszy żałobnej przekraczało jego możliwości. Beznadziejnie mu się pokręciły zmiany Introit i zaczął Credo, zanim sobie przypomniał, że Credo w mszy żałobnej nie ma. Popełniwszy jeszcze kilka błędów, już nie wątpił, że ministranci i żałobnicy powinni powstać jak jeden i otwarcie go oskarżyć. W tym zamięcie ponadto doznał olśnienia, że przy odprawianiu dwóch mszy niedzielnych poprzedniego dnia też sporo przeoczył i przekręcił.

Zważywszy taką nieudolność, jego ślubowanie, że myślą, mową i uczynkiem będzie księdzem, wydawało mu się rażącą arogancją. Stał przed ołtarzem w całym swym zarozumiałstwie i ślubował z naciskiem, że będzie robił to, czego robić nie potrafi, czemu nie podola.

Czuł do siebie odrazę, gdy stał teraz przy grobie i usiłował modlić się szczerze, ale modlitwom jego jakoś brakło celu. Jeżeli Li Kwan, żeby osiągnąć chwałę wiekuistą, potrzebuje mojej pomocy - myślał - to los Li Kwana naprawdę jest rozpaczliwy.

Zdenerwowany tą myślą, podniósł wzrok na groźne, szare niebo.

- Proszę Cię, Boże - pomodlił się - chociaż nie mogłem dać mu rozgrzeszenia, przyjmij go i uchronń wszystkich takich jak on przed moją nieudolnością. Naucz mnie, jaki powinienem być, a Li Kwanowi okaż miłosierdzie.

Rozłożył ręce, uczynił nad trumną znak krzyża i obawy w nim ucichły. Bóg jego i Li Kwana to Bóg miłosierny, bezgranicznie współczujący, a nie Bóg rytuału. Obrzęd przydaje piękna oddawaniu czci, uwidacznia tę wspaniałość i majestat, ale skrzydłami modlitwy jest przecież intencja. Cztery mężczyźni opuścili trumnę na pasach do grobu. Gdy dotknęła dna, podniósł głowę i trafił spojrzeniem prosto w

oczy Anne Scott.

Uświadamiał sobie jej obecność chwilami w czasie mszy i dojmująco uświadamiał sobie jej bliskość przy grobie w deszczu. Oprócz tych czterech, którzy nieśli trumnę, nikogo innego nie było. Obu ministrantów zwolnił, bo nie potrzebował ich, a lało nieprzerwanie. Zobaczył teraz, jak woda spływa z czubka kaptura dziewczyny i nagłą falą ogarnęła go czułość.

Oto - pomyślał - istota dziwnie wrażliwa jak na pielęgniarkę. Nie powinna się tak przejmować jakimś starym

134

Chińczykiem. Pozwala sobie odczuwać cudze cierpienia, a to niedobrze. Każdy z nas i tak ma porcję cierpień własnych. Ciekawe, co jej nakazało przyjść za trumną tutaj.

Nikt by tego od niej nie wymagał, nawet sam Li Kwan.

Podszedł do niej.

- Lepiej chodźmy już stąd - rzekł łagodnie.

Ruszyła u jego boku i wyczuł, że trudno jej mówić. Wiele lat minęło od czasów, gdy starał się, bo musiał, rozumieć kobiety, ale teraz ją rozumiał. Szli aleją cmentarną grząską, gliniastą i trzymając rękę na jej ramieniu prowadził ją tak, żeby stąpała tylko po kamieniach i wysepkach twardszej ziemi. Jego dotknięcie w pierwszej chwili przeraziło ją, aż drgnęła, ale nie spojrzała na niego. I po sekundzie już przyjmowała jego pomoc jako rzecz samą przez się zrozumiałą. Doszli do bramy cmentarza i na ścieżce wysypanej żwirem puścił jej ramię. Odetchnęła głęboko.

- Dziękuję księdzu.

Przeszła kilka kroków, po czym spojrzała na niego. Wydawała się blada. Ale deszcz zmył jej makijaż - pomyślał - więc to pewnie dlatego.

- Chcę także księdzu podziękować - powiedziała - za wszystko, co ksiądz zrobił dla Li Kwana. Może nie powinnam...

Potrząsnął głową.

- Pani zrobiła dla niego znacznie więcej niż ja.

- Nie.

Patrzył na kałuże przed sobą. W kopercie, którą Anne Scott mu dała, prosząc go o odprawienie mszy za Li Kwana, i którą schował do szuflady komody, było pięć dolarów. Dziwną wymowę miał ten pięciodolarowy banknot. Mocno pozałamywany, jak gdyby złożony we czworo nosiła w garści przez długi czas.

- Na to, co pani dla niego zrobiła, jest określenie - rzekł. - „Ponad i poza głosem obowiązku”.

- Ten, kto się zatrzymuje, ilekroć uważa, że spełnił obowiązek, nie spełnia swoich obowiązków wcale.

Te słowa Anne wypowiedziała stanowczo i z pewnością siebie. Pielęgniarka w niej doszła do głosu: oto jak ona pracuje. Carmody już milczał. Tak dużo chciałby jej powiedzieć, tak mało mógł. Wiedział, że rozmawiać z nią może

135

wyłącznie jako ksiądz, a nie bardzo znał granice tej możliwości.

Ścieżka rozwidlała się - jednym łukiem na przestrzeni kilku jardów biegła do szpitala, drugim na plebanię. Dziewczyna przystanęła nagle, podniosła podbródek.

- Muszę pędzić, proszę księdza - powiedziała - zwolnić moją zastępczynię. W tym tygodniu jestem na dziennej zmianie. Ale...

Urwała przygryzając wargi, i wyczuł, że to oświadczenie jest wstępem do czegoś, co trudno jej poruszyć. Nie chciał rozmowy na żaden temat trudny dla niej, zwłaszcza na pewien temat przejmujący go zgrozą.

- Czy są wśród tych Chinek pielęgniarki wykwalifikowane?

- zapytał.

Oczy jej rozblęły.

- Och, tak. Aż trzy. My je szkolimy. Jedna z nich jest starsza stopniem ode mnie. Znów umilkła, po czym zaczęła mówić tak szybko, że nie zdołał tego przerwać, zboczyć z tematu.

- Proszę księdza, chcę coś wyjaśnić. Ksiądz na pewno dziwił się. Nie byłam u Komunii wczoraj ani dziś za Li Kwana. Nie byłam u spowiedzi. Zobaczył, że jest rzeczywiście blada. W proteście podniósł rękę.

- Nie myślałem o tym - powiedział.

A jednak myślał o tym i lękał się. To właśnie ta groza tak nad nim wisiała. Przecież by nie mógł wysłuchać spowiedzi tej dziewczyny i później żyć w spokoju ducha.

Anne Scott przy konfesjonale nie byłaby bezimienna jak tamci inni, tamten chaos głosów w ciemności. Jedyna tutaj katoliczka Amerykanka, z tym lekkim odcieniem akcentu z Południa. Stali oboje, deszcz padał i ona patrzyła na niego.

- Na razie jeszcze nie mogę, proszę księdza - powiedziała.

- Jestem jakaś zdeorientowana.

- Wszyscy chwilami jesteśmy zdeorientowani. Może byśmy pomówili o tym kiedyś nie w kościele, tylko po prostu spacerując tu po terenie misji.

Mówił spokojnie, ale czuł wielki niepokój. Coś w nim krzychało: Powiedz jej, że wcale nie musi iść do spowiedzi! Coś innego go upomniało: Przecież ślubowałeś, że myśłą,

136

mową i uczynkiem będziesz księdzem, a żaden ksiądz by jej spowiedzi nie odradzał.

Ten pierwszy głos odezwał się znowu: Każdy ksiądz odradzałby jej spowiedź u kogoś, kto księdzem nie jest.

Drugi głos był zgorzony. To na nic - uciał głos - bo od wszystkiego można się wykręcać takimi kruczkami.

A tymczasem Carmody stał spokojnie, patrzył na Anne Scott i uśmiechał się.

Odpowiedziała mu przytakując z zapalem:

- Bardzo chętnie, proszę księdza. Ksiądz jest bardzo dobry. I wyrozumiały. Bardzo dziękuję.

Odwróciła się szybko i pobiegła do szpitala z głową opuszczoną pod strugami deszczu. Carmody poszedł na plebanie. W butach mu chlupało i ociekał wodą.

John Wong czekał z gorącą herbatą, z pantoflami domowymi i suchą sutanną. Te doczesne wygody ksiądz O'Shea przyjął wdzięcznym sercem.

- Cudownie, John - powiedział. - Znacznie więcej niż to, co przeciętny mężczyzna dostaje od żony.

John Wong stał przez chwilę z głupią miną, a potem nagle podniósł głowę i

uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Kościelny pracuje dla księdza jak żona. Bardzo dobrze.
- I spoważniał raptownie. - Bo żona dla księdza to niedobrze
- dodał.

Carmody pił herbatę.

- Chyba tak - powiedział. - Jest coś, co kobieta mogłaby swoim dotknięciem zniszczyć.

Przedtem nie przychodziło mu to na myśl, ale teraz nagle uderzyło go. Z wszystkich prac, jakie mężczyźni wykonują na tym padole, jedyną pracą zawsze od początku do końca męską jest właśnie praca księdza. Ksiądz poza wypełnianiem obowiązków kapłańskich żyje w świecie mężczyzn, takich jak on. Kobiety i mężczyźni świeccy stają się dla niego po prostu ludźmi. Wszelkie wady fizyczne, umysłowe czy psychiczne sprawiające, że mężczyzna nie jest całkowicie męski, są dyskwalifikacją do stanu duchownego. Ksiądz musi wykonywać pracę mężczyzny wkładając w nią pełne zdolności mężczyzny. Myśl o tym ukazała Carmody'emu w straszliwym świetle przyrzeczenie celibatu. John Wong patrzył na niego.

- Przynieś mi spisy, John.

137

r

Carmody nie chciał myśleć o celibacie i nie chciał myśleć o Anne Scott. Musi przecież być coś więcej w tym zadaniu, którego się podjął - pomyślał - niż samo tylko napięcie, zdenerwowanie i rozterka. Dla chwilowego odprężenia sięgnął po swoje berło władzy. John Wong wyszedł i wrócił przynosząc spisy.

- Dalej dużo chrztów - powiedział.

W porządku. Jeśli chodzi o chrzty, Carmody nie miał skrupułów. Każdy, ksiądz czy człowiek świecki, może ochrzcić niemowlę będące w niebezpieczeństwie. Otóż chińskim niemowlętom od chwili urodzenia śmierć grozi nieustannie, choćby już dlatego, że urodziły się Chińczykami.

- To jest ważne, John - powiedział. - Sprowadź ich tutaj, nie daj im dłużej z tym zwlekać. Powinniśmy na chrzty zarezerwować sobie poranki, cały poranek



codziennie, zaraz po mszy, jeżeli będzie trzeba. Śluby?

John Wong z powagą spojrział na spis.

- Koniecznie prędko - powiedział. - Niejedna narzeczona w ciąży.

- Co?

Kościelny podniósł wzrok.

- Długo nie było księdza - wyjaśnił.

Carmody zastanowił się nad tym. John Wong, drobiazgowy aż do przesady pod tyloma względami, podchodził bardzo realistycznie do tej zasadniczej sprawy.

Księdza nie było, gdy wiele par oznajmiało w misji, że chce zawrzeć związek małżeński i wpisywało swoje nazwiska w rejestr Johna Wonga. Cóż więcej mogły te pary zrobić? W tym kraju człowiek chyli głowę przed cnotą, po czym akceptuje konieczność.

- Dobrze, będą te śluby - powiedział Carmody. - Ale chcę, żeby przedtem przyszli do spowiedzi. Rozumiesz to? Skoro są katolikami, muszą żyć po katolicku. John Wong złożył ukłon dwukrotnie. Stanowczość w głosie Carmody'ego wyraźnie mu się podobała.

- Poważna sprawa - powiedział. - Zawiadomię ich. Wszyscy ze spisu mają być u spowiedzi w sobotę.

Powiedział to stanowczo i Carmody uśmiechnął się w duchu. Wyobraził sobie surowy głos Johna Wonga, chodzącego po wszystkich wioskach na wzgórzach. Tymczasem kościelny wahał się, ale po chwili zapytał:

138

- Te święte śluby małżeńskie w przyszłą niedzielę?

Carmody potrząsnął głową.

- Rubryki nie pozwalają, John. Żadnych mszy ślubnych w niedzielę.

John Wong spojrział zdumiony.

- Rubryki wiedzą najlepiej - rzekł z powątpiewaniem.

- Chyba.

Carmody uśmiechnął się, ale też przelotnie ogarnęło go zdumienie. Cóż za głupota

powoływać się na przepisy i kanony, roztrząsać, czy wolno, czy nie wolno odprawić mszę ślubną w niedzielę - jemu, który w ogóle nie ma prawa odprawiać żadnej mszy w żadnym dniu tygodnia. Po namyśle jednak uznał, że to nie jest głupie, wprost przeciwnie, jest rozsądne. Jeżeli przyjmuje się jakąś odpowiedzialność - przyjmuje się ją w całości. Mogę robić tylko to, co robiłby na moim miejscu ksiądz - pomyślał. John Wong miał minę strapioną.

- Ludzie pracują - rzekł - muszą pracować. Przeważnie są biedni. A w niedzielę nigdy nie pracują.

To była ludzka strona tego zagadnienia. Wiele trudności sprawiłoby tym ludziom przyjście do kościoła w dzień powszedni. Zapewne przyszliby, wydawało się jednak, że niesłusznie byłoby nalegać na to. Carmody machnął ręką.

- Nie musimy przecież odprawiać dla nich mszy ślubnej, John. Najważniejsze, żeby się pobrali. Będę dawał śluby po mszy w niedzielę. Ile ich jest?

- Pięćdziesiąt trzy mam w spisie. Może jeszcze więcej dojdzie.

Carmody znów się zastanowił. Ta nieparzysta liczba oznacza pary, a nie jednostki, czyli jest ich sto sześćdziesięć. Odrzucił odruchową myśl ugoszczenia nowożeńców śniadaniem weselnym. Gest miły, ale on już coś niecoś wiedział o konieczności oszczędzania, kryjącej się pod dzielnie wystawnym przyjęciem, jakie misja mu zgotowała. Doprawdy instytucja to niezamożna.

- Dobrze - powiedział. - Co z wezwaniem do chorych?

John Wong zobojętniał. Nawet nie spojrział na spis.

- Starzy ludzie - powiedział.

- Ilu tych starych? Na co chorują?

- Mieszkają daleko, wszędzie daleko. Na północ stąd i na południe, i na zachód.

Są bardzo starzy.

139

- Bliscy śmierci, John?

John Wong spuścił oczy i podniósł je znowu.

- Bardzo zła pogoda - rzekł bez ogródek. - Odwiedzanie chorych zabiło księdza

Colemana.

Carmody przyglądał mu się.

- Nie to jest istotne. Czy jesteśmy im potrzebni?

Odpowiedź padła niechętna, wymuszona.

- Dwie osoby umrą raz dwa. Trzy jeszcze prędzej.

Było jakieś logiczne rozróżnienie w tym „raz dwa” i „jeszcze prędzej”. To, co John Wong miał na myśli, nie ulegało wątpliwości. Carmody popatrzył w okno. Wiatr z wysoka chłostał strugi deszczu. Przytulnie tu w tym pokoju. Prawdziwy ksiądz jednak by wyszedł i chodził po wzgórzach, żeby dotrzeć do ludzi, którzy mogą go potrzebować. Ksiądz Coleman, starzec, czynił to. Łatwiej dowodzić żołnierzami Mieh Janga, wtedy nie musiałem podejmować takich decyzji

- pomyślał Carmody - i spojrzął na Johna Wonga. Kościelny też patrzył teraz w okno.

- Pogoda bardzo zła - powtórzył.

- Dusze bardzo ważne.

John Wong zaskoczony tym, że się go przedrzeźnia, odwrócił głowę. Carmody dopił herbatę.

- Śmierć nie czeka, John, żeby deszcz przestał padać

- powiedział. - Idziemy do nich.

Deszcz padał przez cały tydzień. Mgła wstawała z powierzchni rzeki i przysłaniała ciemny masyw Góry Dwóch Sióstr. Misja była wyspą w tej mgle, oświetlone okna zdawały się istnieć same przez się, niezależnie od budynków. Miniaturowe jeziora lśniły na dziedzińcu i chodniki z desek pływały, i plaskały w błocie, gdy się po nich stapało. Szum deszczu nużył jednostajnością Przez cały ten czas wierni nie przestawali przychodzić do misji, nie sobie nie robiąc zarówno z trudności swoich wędrówek, jak i z tego, że pozostawiają kałuże wody na podłodze, a smrodliwa para buchająca z ich mokrej odzieży napęlnia pokoje, do których wchodzi.

Liczba pacjentów w przychodni powiększała się z dnia na dzień. W zakrystii, gdzie John Wong sporządzał spisy, prawie zawsze było pełno.

Odwiedzając chorych, Carmody widywał ludność tych siedmiu wiosek przy pracy.

na stromych zboczach góry uprawiano i te poletka wznosiły się szeregami teras.

Mężczyźni w spodniach do kolan harując tam bez wytchnienia, żeby deszcz nie zmył plonów, przeprowadzali kanałami wodę deszczową, która spływała z wyższych teras na niższe. Przy pracy nieodmiennie śpiewali w powolnej kadencji i głosy ich to wznosiły się, to cichły wśród wzgórz.

W wioskach szumiało jak w ulu. Warsztaty tkackie postukiwały, koła garncarzy się kręciły, płonęły ogniska kowali, migały nad długimi stołami igły krawców i hafciarzy. Ci ludzie sami szyli sobie odzież, robili narzędzia i uprawiali pola, musieli jednak pracować nie tylko na własne potrzeby, ale i po to, by mieć czym handlować, gdy przejeżdżały karawany. Potrzebowali bądź pragnęli pewnych rzeczy z zewnątrz, a także istniała konieczność uzyskania gotówki, która miała być owocem lat ich pracy i zabezpieczeniem, jeżeli choroba czy starość zmusi ich do zaprzestania produkcji.

Carmody w czasie swych długich wypraw do chorych i umierających widywał, jak to działa. Tych siedem wiosek było małym ludzkim laboratorium, a raczej próbówką, do jakiej ograniczał się tu proporcjonalnie system gospodarczy świata. Były społeczne nierówności, ale nie było bogaczy. Byli bankierzy, siłą rzeczy, bo handel wymienny stał się bardzo skomplikowany i niektórzy swoją pracą w przyszłości zobowiązywali się płacić za terazniejsze świadczenia. Niewiele było, jeśli już w ogóle, wyzysku człowieka przez człowieka,

0 ile Carmody mógł się zorientować, a przecież mężczyźni pracowali ciężko, doznawali obrażeń, zaczynali się garbić

1 zginać we dwoje. Harówka niszczyła ich, ale harowali bez sprzeciwu. W tym małym światku przyczyna i skutek tak ściśle się ze sobą łączyły, że wszyscy rozumieli moc owego prawa: Trzeba ciężko pracować, inaczej nie będzie z czego żyć, każdy więc pracuje tak, jak może i potrafi. Człowiek, który zasługuje na miejsce w tej społeczności pracując przy krosnach, mógłby nie zasługiwać na nie, gdyby

stanął do pracy w polu. Najwyraźniej oni mieli przynajmniej to, czego się spodziewali, jeśli już nie to, czego pragnęli, i to im wystarczało, dopóki nikt nie wydzierał im tej odrobiny.

W razie sporu, a często spory wszczynano, sąd sprawowała starszyzna wioskowa.

Była religia. Ci ludzie chcieli mieć religię. Kiedyś, tak jak

141

J

ich przodkowie, popierali kapłanów Konfucjusza, mnichów taoistów, buddystów i jainistów. Teraz w tych siedmiu wioskach było dużo wierzących, posłusznych, prostych i pobożnych chrześcijan. Chociaż praktyczni, zmysłowi, jednak odczuwali potrzeby ducha, rozpoznawali je i nadawali im godność. Religia dla tych ludzi nie była opium ani gwiazdką z nieba - była koniecznością życia codziennego.

Carmody wkraczał w ich niedolę i smutki, przynosząc radość. Widział tę radość na twarzach, gdy przychodził, przemoknięty i sam raczej nie uradowany. Oni nie liczyli na to, że będzie leczył ich fizyczne dolegliwości czy usuwał bóle. Wiedzeni jakimś subtelnym instynktem, rozumieli jego zadanie i prosili tylko o rzeczy duchowe, godzili się z tym, że są pielgrzymami i żmudna jest ich wędrówka. Chcieli, żeby on był przewodnikiem, żeby wyjaśniał im znaczenie krajobrazu wokoło, mówił o miejscu, do którego wędrują.

Carmody nie miał pewności, czy miłują Boga po chrześcijańsku, ale stwierdzał, że bardzo lubią Jezusa Chrystusa, że lubią Go szczerze i podziwiają. Nawet ciężko chorzy chcieli słyszeć opowieści o Jezusie, o Jego cudach, o Jego wędrówkach i nauczaniu. Z prostotą i ufnie jak dzieci przyjmowali fakt, że Jezus Chrystus jest Bogiem, i zdumiewali się, że On zadawał sobie tyle fadygi dla ludzkości, wykonując pracę człowieczą i znosząc złą pogodę na człowieczej ziemi, jadając jęczmienne podkłomyki i ryby. Rozumieli Galileję: to była jakby część Chin znana im przecież. Tamci ludzie też byli biedni, mężczyźni trudnili się rybołówstwem, pracowali na polach i w małych osadach. Tam również byli żołnierze, takie samo utrapienie i groźba dla wszystkich ludzi pracujących jak żołnierze teraz. Jezus Chrystus pracował jako cieśla, więc był jednym z tych pracujących. Żołnierze zabili Go. Poncjusz Piłat i

Herod, i Kajfasz oczywiście byli niezależnymi zarządcami wojskowymi, ciemieżcami. Wszystko razem było bardzo smutne, ale też i bardzo cudowne, skoro Jezus Chrystus zmartwychwstał i nadal żyje w tabernakulum kościoła, gdzie pali się czerwona lampka.

Tak minął tydzień doprawdy pracowity. Rankiem Carmody chrzczył niemowlęta, po południu odwiedzał chorych.

142

Witał zaczynające się życie i patrzył, jak dwie osoby umierają. Wieczorem czytał brewiarz z całą sumiennością księdza. Ta dyscyplina uspokajała go i czytając niezmienną łacinę, język tysiącleci, którego każde słowo znaczy nadal to samo, co wtedy, gdy zostało napisane, odczuwał dawne zadowolenie. I rad był, że codziennie musi odprawiać mszę. Z każdym dniem czuł się przy ołtarzu coraz bardziej swojsko i we wszystkim, co robił, znajdował nowe znaczenie. Przeczytał dziennik księdza Louisa Colemana i odkrył, że jego poprzednik miał zwyczaj odwiedzania chorych w szpitalu we wtorki i w czwartki. Więc w czwartek wybrał się do szpitala.

Anne Scott siedziała przy biurku w świetle lampy z zielonym kloszem. Była sama, gdy wszedł, i wypełniała kartę choroby. Twarz miała gładką jak maska, twarz pielęgniarki. Ale zawsze widział w niej przede wszystkim świeżość, rzeźkość, zdrowie. Jej włosy były jedwabistą aureolą w tym świetle, cera aksamitna, złocista. Zatrzymał się, nie dochodząc do biurka.

- Wolno odwiedzić chorych? - zapytał z uśmiechem.

Podniosła wzrok i zobaczył w jej oczach zdumienie, nieomal przerażenie.

- O, proszę księdza! - powiedziała. - Nie słyszałam, jak ksiądz wchodził.

- Myślałem, że pielęgniarki słyszą nawet, jak trawa rośnie.

- Niestety nie. Myślę, że słyszymy tylko to, co spodziewamy się usłyszeć.

Już stała z włosami odrzuconymi do tyłu i jedną rękę trzymała za sobą, zaciskając palce na oparciu krzesła, jak gdyby musiała się podeprzeć. Chodzi o tę spowiedź - pomyślał Carmody. - Wolałbym, żeby ona tego nie poruszała. Potem już nigdy nie będzie naturalna ani swobodna wobec mnie. Powiedział:

- Obawiam się, że dotychczas zaniedbywałem pani... siostry pacjentów.
- Och, nie. Mamy szczęście. W tej chwili nikt tutaj nie jest w złym stanie.

Inaczej wezwaliśmy księdza. Ale wszyscy ucieszą się z tych odwiedzin.

Poprowadziła go przez salę i odzyskała swoją zawodową równowagę, gdy przedstawiała księdza chorym i pomagała

143

r

im przewycięzać onieśmienie. Przed wyjściem Carmody znów zatrzymał się przy biurku.

- Czy chciałaby pani być druhną? — zapytał.

Szeroko rozwarła oczy.

- Jak to, proszę księdza?

- Czymś w rodzaju druwny, powiedziałbym, hurtowej. Pięćdziesięciu trzech panien młodych.

- Och! - roześmiała się, ale nie był to śmiech zupełnie swobodny, śmiech odprężenia. - Będzie mi bardzo miło, bylebym nie musiała iść przez kościół pięćdziesiąt trzy razy.

- Nie będzie pani musiała. Potrzebny jest urzędowy świadek. Może się pani ubrać, jak tylko pani zechce. W niedzielę po drugiej mszy. Chciałbym, żeby to wyszło ładnie.

- A drużbą kto ma być, proszę księdza?

- Jak się pani zdaje?

- John Wong.

- Właśnie.

- Ojej, muszę odbyć próbę. John na pewno dokładnie wie, co powinna robić druwna.

Carmody śmiał się z nią razem. Odwracając się do drzwi pomyślał, że ona potrafi być zabawna: dobry z niej kompan, aż szkoda, że ten jej dar marnuje się tutaj w misji i jeszcze bardziej szkoda, że nie stać jej już na zupełną swobodę w jego obecności.

Tego dnia wieczorem, gdy uczył się w swoim pokoju, zapukał John Wong.

- Doktor przyszedł do księdza, księżę Oszi.

Doktor Sigman stał za Johnem.

- Może by ksiądz zagrał w szachy? Ksiądz w ogóle gra?

- zapytał.

- Trochę - Carmody wstał. - Zmęczyły mnie książki

- powiedział. - Jest pan gościem mile widzianym.

- To dobrze. Cieszę się, że ksiądz gra. Szachy nie są grą księży. Znałem tylko jednego, który rzeczywiście dawał sobie radę przy szachownicy. To był Niemiec, jezuita nazwiskiem Koenig.

Dave Sigman rozłożył szachownicę na stole, postawił szkatułkę z szachami.

Zobaczył te dwie książki, które tak zmęczyły Carmody'ego. Wziął ze stołu jedną z nich i prychnął pogardliwie.

144

- Święty Augustyn! - wykrzyknął.

- Zna pan to?

- Czytałem. On stał się filozofem ze strachu przed ogniem piekieł. Nędzny powód, proszę księdza.

Wziął drugą książkę. Była to Summa theologiae świętego Tomasza z Akwinu.

Marszcząc brwi przerzucił stronicę; potem przez kilka minut stał w milczeniu i czytał stronicę wybraną na chybił trafił.

Zamknął książkę.

- To mi ksiądz kiedyś pożyczysz - rzekł. - Zagłębię się w niego. On pisze tak, że to przemawia. Nie ma tu bicia się w piersi i lamentów jak u Augustyna.

Carmody odpowiedział uśmiechem. Zniechęcił się już do czytania świętego Augustyna i świętego Tomasza. Uznał, że nie jest odpowiednio przygotowany. W liceum przed laty studiował jednego i drugiego, ale studiował tylko po to, by zdać egzamin. Może jeszcze za wcześnie dla niego było na taką lekturę. Szekspira, na przykład, którego w liceum uważał za beznadziejnego nudziarza, potem na uniwersytecie zaczął po prostu wielbić. Może do filozofów trzeba dorosnąć. Cóż, kiedy nawet teraz nie dorósł.



- Jestem zdumiony, panie doktorze - powiedział - że pan czytuje Augustyna i Akwinatę.

- Sam jestem tym zdumiony. Może to dlatego, że mam taką zasadę: jeśli wiele ludzi słucha kogoś albo czyta jego dzieła jeszcze po tylu latach, najwidoczniej ten ktoś miał rzeczywiście coś do powiedzenia. Zawsze chcę wiedzieć, co to takiego. Ale przeważnie doznaję rozczarowania, bo to się okazuje czymś, -Czego nie mogę strawić. Siadajmy do szachów.

- Chętnie.

Rozstawili szachy i zaczęli grać. Szachy to gra głównie dla wojskowych. Carmody setki wieczorów grał w szachy z Mieh Jangiem. Gdy teraz wygrał po raz drugi, Dave Sigman odchylił się na krześle. Uśmiechnął się cierpko.

- Chyba zanadto zadzierałem nosa - powiedział. - Ksiądz gra lepiej niż ten Niemiec Koenig. To mi rzuca nowe światło na księdza. Ksiądz zaniedbuje albo teologię, albo modlitwy.

- Pan też gra dosyć dobrze. Więc co pan zaniedbuje... diagnozę czy rokowanie? Zmierzyli wzrokiem jeden drugiego, uśmiechając się prawie

10 — Lewa ręka Boga

145

życzliwie, serdecznie nawet. Dave Sigman, jeżeli nie narzucał sobie z zawziętością zajęcia jakiegoś stanowiska, łatwo ulegał nastrojom. Ale przypomniało mu się nagle, że nie szachy miał na myśli, gdy zaplanował tę wizytę.

- Jesteśmy pod tym względem bardzo podobni, proszę księdza - rzekł potoczyście. - Ksiądz ma swoją triadę, ja mam swoją. Ksiądz wymienił tylko dwie z moich trzech... diagnozę i rokowanie, a jest także terapia. Wydaje mi się, że jeśli chodzi o leczenie, ja ciężko pracuję, a ksiądz nie.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Kiedy ksiądz ich już ściągnie do kościoła, może ksiądz odpoczywać. Ściąganie ich jest trudną częścią zadania, więc ksiądz ma już swoje trudności za sobą. Oni to albo katolicy, albo katechumeni. Dalej działa sam ich nawyk. Natomiast dla mnie, kiedy ich ściągnę do szpitala, największe trudności dopiero się zaczynają.

- Podchwytliwe ma pan porównania. To nie jest tak.
  - Chyba jest. Ale dobrze, niech to będzie porównanie w dziedzinie, w której nasze drogi się krzyżują. - Doktor Sigman zapalił papierosa i założył nogę na nogę. - Kiedyś, proszę księdza, ściągałem tu niemało wenerycznych. Jest w wiosce numer trzy pewien dom z czterema kobietami. Ksiądz wie o tym?
  - Nie. Nie wiedziałem.
  - Jest taki dom. I właśnie stamtąd były moje przypadki chorób wenerycznych. Sprowadziłem te kobiety do szpitala, leczyłem je i zrobiłem awanturę wioskowej starszyźnie. Potem, kiedy mówiłem, że któraś z tych kobiet musi wyjść z obiegu, dopóki jej nie zwolnię po kuracji, ona rzeczywiście z obiegu wychodziła. Te kobiety zgłaszają się teraz na badania kontrolne co tydzień, a dużo obcych tędy nie przejeżdża. W praktyce więc problem chorób wenerycznych został rozwiązany. Carmody także zapalił papierosa. Wyczuł wyzwanie, ale jeszcze nie wiedział, na jakiej płaszczyźnie ma walczyć.
  - Dlaczego - zapytał - zrobił pan tylko awanturę, panie doktorze, zamiast zmusić starszyznę wioskową do usunięcia tych kobiet z obiegu całkowicie?
- Doktor Sigman potrząsnął głową.
- Zmuszać nie mogłem. Wykroczyłbym poza moje kom-
- 146
- petencje. Mogę nie pozwalać na to, by zarażone kobiety szerzyły chorobę. Ale nierząd to już nie moja sprawa. To jest problem moralny.
- Rozumiem. Pan uważa, że ja powinienem coś na to zaradzić.
  - Niekoniecznie. Ja tylko powiedziałem księdzu, co załatwiłem na swoim terenie. Możliwe, że te kobiety nie są katoliczkami. Jeżeli katolicy księdza chodzą do nich, ksiądz dowie się od nich o tym na spowiedzi i zrobi swoje. Naprawdę księdzu łatwiej leczyć niż mnie.
- Triumf błyszczał w ciemnych oczach doktora Sigmana. Carmody zmarszczył brwi nad papierosem.
- Pan nie rozumie sakramentu pokuty - powiedział.
  - Sama spowiedź bez postanowienia poprawy nic nie daje. Jeżeli ktoś idzie do

spowiedzi po szachrajsku, nie ma wybaczenia, odpuszczenia grzechów. Człowiek może oszukać księdza, który musi przyjmować jego słowa, ale przecież spowiada się nie księdzu, tylko Bogu. Więc to oszustwo nie ujdzie bezkarnie.

- Dobrze. To argumentacja akademicka. Faktem jest, że ów człowiek bywa u tych kobiet, a potem przychodzi do księdza. I może jest szczerzy. Może żałuje. Ksiądz wypełnia swoje zadanie, słuchając jego spowiedzi i udzielając rozgrzeszenia. Ale te kobiety są tam nadal. Wun Hung Lo wie

o tym i zaczyna znów bywać u nich. Ksiądz prawdopodobnie będzie siedział w tej swojej dusznej budce przez cały rok

i słuchał, jak nieborak wciąż się spowiada z tego samego cholernego grzechu. Doktor Sigman umilkł, strząsnął popiół z papierosa.

- Byłem w takiej właśnie sytuacji, proszę księdza. Aż dosyć już miałem oczyszczania tego tak po trochu. Więc dotarłem do źródła. Oczyszciliem same te kobiety.

W oczach mu błyszczało otwarte wyzwanie. Carmody spuścił wzrok na papierosa, żeby ukryć wyraz oczu.

- Rad jestem, że znam teraz tę sprawę, panie doktorze

- powiedział. - Wejrzę w nią.

Doktor Sigman zakołysał się z krzesłem.

- Odkąd postanowiłem księdzu powiedzieć, zastanawiałem się, co ksiądz z tym zrobi. Ksiądz wie, jaka to wspólnota te siedem wiosek. Ściśle ze sobą powiązane.

Każdy przy pracy

147

na swoim odcinku. Rzecz jasna, nikt żadnej z takich kobiet nie pojmie za żonę ani nie zatrudni. Wszyscy przecież wiedzą o nich. - Wydmuchnął kółko dymu i patrzył, jak ono ulatuje. - Starożytną metodą w takim właśnie społeczeństwie jak to było ukamienowanie. Jestem pewny, że ludność wiosek uczyni zadość życzeniu księdza. Oczy Carmody'ego stwardniały.

- Inaczej ten problem rozwiązał Chrystus.

- Przypuszczam. Ciekawe, jak On to rozwiązał rzeczywiście. Jak Maria

Magdalena zarabiała potem na życie, gdy On ją nawrócił? Ksiądz przypadkiem nie wie?

Carmody patrzył bez słowa. Doktor najwyraźniej zabawiał się. Zgniół niedopałek i zapalił następnego papierosa.

- Przychodzi mi na myśl jeszcze jedno rozwiązanie - powiedział. - Gdyby tak ksiądz zdołał nawrócić na katolicyzm całe te wioski, a potem wszcząć prawdziwą kampanię ognia i siarki piekielnej. Zaszczepić im lęk przed piekłem! Żeby wszyscy się przestraszyli jak Augustyn. Wtedy może mężczyźni przestaną chodzić do tych kobiet. - Wzruszył ramionami. - Ukamienowanie, oczywiście, byłoby szybsze, bardziej czyste i miłosierne. Czy ksiądz widział kiedy zwłoki kogoś zagłodzonego na śmierć, proszę księdza?

Wstał i zebrał szachy, ułożył je porządnie w szkatułce. Carmody, patrząc na niego, uśmiechnął się posepnie.

- Nic dziwnego, że ja z panem wygrałem w szachy - powiedział. - Pan wcale o szachach nie myślał. To jest zreżymowany problem, panie doktorze.

Dave Sigman wziął szachownicę ze stołu i złożył ją. W oczach miał błyski złości.

- Prawdopodobnie ksiądz zawstydzi mnie jakimś wspaniałym rozwiązaniem. Ostatecznie ma ksiądz za sobą Augustyna i Akwinatę, i Hieronima, i wszystkich papieży, i mądrość Kościoła. Ale powie mi ksiądz, jak ksiądz to rozwiąże?

- Powiem - Carmody uściśnął mu rękę. - I dziękuję za przyniesienie szachów, panie doktorze. Pysznie ten czas spędziłem.

Odkładając filozofów z powrotem do biblioteczki usłyszał, jak Dave Sigman chichocze na schodach.

148

Nic, co by dotyczyło problemu prostytutki, nie znalazło się w dzienniku księdza Colemana, który pracował w tej misji przez wiele lat. Jim Carmody czytał jego dziennik wytrwale i z determinacją. Były to nużące, suche, drobiazgowo zapiski dotyczące małych wydarzeń, ale ostatecznie sama waga powtarzania i sumienność, z jaką ksiądz Coleman prowadził kronikę swojej szarej codzienności, sprawiły, że

dziennik ten miał szczególną wymowę. Jakoś to urzekało, chociaż Carmody nie wiedział, dlaczego.

Ksiądz Coleman nie grzeszył polotem; lubił matematykę. Wiedział i dokładnie zapisywał, ile spowiedzi wysłuchał w dany wieczór, ilu komunikujących uklękło przy Stole Pańskim na każdej z dwóch mszy niedzielnych, ilu ubogich przyjęto do pracy w misji, ilu pacjentów leczy się w przychodni, ile łóżek jest zajętych w szpitalu. Zapisywał również temperaturę powietrza co dzień rano i wieczorem, jakie kwiaty zakwitły, jakie przekwitają i to, że liście się rozwijają i że deszcz pada czy śnieg. Z początku Carmody brnął przez te powtarzające się zapiski zniecierpliwiony, ale absolutna uczciwość matematyki była w oczy, więc wkrótce zaczął zwracać uwagę na wzrastanie podawanych liczb bądź zmniejszanie się ich i zastanawiał się nad przyczynami. Relacja z każdego dnia była nudna, komentarze do wydarzeń w tym cichym zakamarku świata były nieciekawe, a przecież ciągłość im także nadawała znaczenie. Obejmowały ponadto te zapiski rejestr życia i śmierci, narodzin i zgonów w siedmiu wioskach, które stanowiły świat księdza Colemana. Rzadko wkradła się jakaś nuta osobista, ale jeśli się wkradła, owo zdanie utrwalone na papierze wyjawiało wiele. Ten sumienny kronikarz miał najwidoczniej swoje chwile zwątpienia i walki.

Pewnego dnia w połowie zimy, gdy misja była prawie zasypana śniegiem, ksiądz Coleman napisał:

Czasami nie wiem, dlaczego Bóg powołał mnie do tych wsi. Wydaje mi się, że siły moje byłyby lepiej spożytkowane w Buffalo czy w Peorii czy w Duluth, gdzie wśród ludzi mojego pokroju mógłbym mieć nadzieję, że wywrę większy wpływ na

149

Nic, co by dotyczyło problemu prostytutki, nie znalazło się w dzienniku księdza Colemana, który pracował w tej misji przez wiele lat. Jim Carmody czytał jego dziennik wytrwale i z determinacją. Były to nużące, suche, drobiazgowo zapiski dotyczące małych wydarzeń, ale ostatecznie sama waga powtarzania i sumienność, z jaką ksiądz Coleman prowadził kronikę swojej szarej codzienności, sprawiły, że

dziennik ten miał szczególną wymowę. Jakoś to urzechało, chociaż Carmody nie wiedział, dlaczego.

Ksiądz Coleman nie grzeszył polotem; lubił matematykę. Wiedział i dokładnie zapisywał, ile spowiedzi wysłuchał w dany wieczór, ilu komunikujących uklękło przy Stole Pańskim na każdej z dwóch mszy niedzielnych, ilu ubogich przyjęto do pracy w misji, ilu pacjentów leczy się w przychodni, ile łóżek jest zajętych w szpitalu.

Zapisywał również temperaturę powietrza co dzień rano i wieczorem, jakie kwiaty zakwitły, jakie przekwitają i to, że liście się rozwijają i że deszcz pada czy śnieg.

Z początku Carmody brnął przez te powtarzające się zapiski zniecierpliwiony, ale absolutna uczciwość matematyki biła w oczy, więc wkrótce zaczął zwracać uwagę na wzrastanie podawanych liczb bądź zmniejszanie się ich i zastanawiał się nad przyczynami. Relacja z każdego dnia była nudna, komentarze do wydarzeń w tym cichym zakamarku świata były nieciekawe, a przecież ciągłość im także nadawała znaczenie. Obejmowały ponadto te zapiski rejestr życia i śmierci, narodzin i zgonów w siedmiu wioskach, które stanowiły świat księdza Colemana. Rzadko wkradła się jakaś nuta osobista, ale jeśli się wkradła, owo zdanie utrwalone na papierze wyjawiało wiele. Ten sumienny kronikarz miał najwidoczniej swoje chwile zwątpienia i walki.

Pewnego dnia w połowie zimy, gdy misja była prawie zasypana śniegiem, ksiądz Coleman napisał:

Czasami nie wiem, dlaczego Bóg powołał mnie do tych wsi. Wydaje mi się, że siły moje byłyby lepiej spożytkowane w Buffalo czy w Peorii czy w Duluth, gdzie wśród ludzi mojego pokroju mógłbym mieć nadzieję, że wywrę większy wpływ na

Nic, co by dotyczyło problemu prostytutki, nie znalazło się w dzienniku księdza Colemana, który pracował w tej misji przez wiele lat. Jim Carmody czytał jego dziennik wytrwale i z determinacją. Były to nużące, suche, drobiazgowo zapiski dotyczące małych wydarzeń, ale ostatecznie sama waga powtarzania i sumiennność, z jaką ksiądz Coleman prowadził kronikę swojej szarej codzienności, sprawiły, że dziennik ten miał szczególną wymowę. Jakoś to urzechało, chociaż Carmody nie

wiedział, dlaczego.

Ksiądz Coleman nie grzeszył polotem; lubił matematykę. Wiedział i dokładnie zapisywał, ile spowiedzi wysłuchał w dany wieczór, ilu komunikujących uklękło przy Stole Pańskim na każdej z dwóch mszy niedzielnych, ilu ubogich przyjęto do pracy w misji, ilu pacjentów leczy się w przychodni, ile łóżek jest zajętych w szpitalu.

Zapisywał również temperaturę powietrza co dzień rano i wieczorem, jakie kwiaty zakwitły, jakie przekwitają i to, że liście się rozwijają i że deszcz pada czy śnieg.

Z początku Carmody brnął przez te powtarzające się zapiski zniecierpliwiony, ale absolutna uczciwość matematyki biła w oczy, więc wkrótce zaczął zwracać uwagę na wzrastanie podawanych liczb bądź zmniejszanie się ich i zastanawiał się nad przyczynami. Relacja z każdego dnia była nudna, komentarze do wydarzeń w tym cichym zakamarku świata były nieciekawe, a przecież ciągłość im także nadawała znaczenie. Obejmowały ponadto te zapiski rejestr życia i śmierci, narodzin i zgonów w siedmiu wioskach, które stanowiły świat księdza Colemana. Rzadko wkradła się jakaś nuta osobista, ale jeśli się wkradła, owo zdanie utrwalone na papierze wyjawiało wiele. Ten sumienny kronikarz miał najwidoczniej swoje chwile zwątpienia i walki.

Pewnego dnia w połowie zimy, gdy misja była prawie zasypana śniegiem, ksiądz Coleman napisał:

Czasami nie wiem, dlaczego Bóg powołał mnie do tych wsi. Wydaje mi się, że siły moje byłyby lepiej spożytkowane w Buffalo czy w Peorii czy w Duluth, gdzie wśród ludzi mojego pokroju mógłbym mieć nadzieję, że wywrę większy wpływ na

umysły. Wydaje mi się czasami, że moja praca tutaj jest pisaniem na piasku, i kiedy czytam gazety czy magazyny ze Stanów Zjednoczonych, widzę jasno, że potrzebni są misjonarze tam w kraju, bo ludzie tam odwracają się od Boga i szukają bogów, którzy nie wymagają od nich trudów ani ofiary, oddawania czci ani wierności. W takich momentach zadaję sobie pytanie: czyżby nie było w Buffalo czy w Peorii, czy w Duluth żadnych dusz cenniejszych w oczach Wszechmogącego niż te dusze tutaj powierzone mi pod opiekę?

Po takim zapisie dziennik włókł się przez całe miesiące ciężki od liczb, od jednostajnej statystyki nabożeństw, chrztów, pogrzebów i odwiedzin u chorych. Z pewnym wszakże uniesieniem ksiądz Coleman pisał o sierocińcu i o szkole pielęgniarek, tych dwóch instytucjach wyraźnie bliskich jego sercu. Często po wpisaniu wzrastającej liczby dzieci w sierocińcu stawiał wykrzyknik albo nawet dwa wykrzykniki. Zwyczajny zapis, że był w sierocińcu na lekcji katechizmu, opatrzył uwagą: Radość dzisiaj. One uczą się w lot.

Carmody rozumiał ten wyrażany powściągliwie entuzjazm. Sam zaczął bywać na lekcjach katechizmu w sierocińcu tak jak ksiądz Coleman - co dwa tygodnie.

Zobaczył te sieroty, w myśl wszelkich przewidywań właściwie same dziewczynki - nierealne niczym lalki, piękne dzieci, onieśmiałe obecnością księdza, ale uradowane tym, że mają popisać się przed nim recytując katechizm. Nauczycielkami były starsze dziewczęta przeszkolone w misji. Obie kierowniczkami ukończyły misyjną szkołę pielęgniarek. Beryl Sigman prowadziła administrację. Dzieci uczyły się angielskiego, pisania, arytmetyki i robót ręcznych.

Innym razem po wizytacji w szkole sierocińca ksiądz Coleman napisał zagadkowo: Lampę oświecenia ręce przekazują rękom. Ziarno dojrzewa i rodzi ziarno do przyszłych zasiewów.

A jednak - myślał Carmody - ksiądz Coleman nie zmierzył się z faktem prostytucji. Ja też nie chcę się z tym faktem zmierzyć, ale uśmiechnięty pan doktor po prostu mnie wobec tego faktu postawił. Jeżeli kiedyś wreszcie deszcz przestanie padać, zrobię to, co on zrobił: spróbuję szczęścia, spróbuję dotrzeć do źródła.

150

Deszcz padał nieustannie i nic nie wróżyło, że kiedykolwiek ustanie. Pomimo to, w ślad za rodzicami pragnącymi chrztu dla swoich dzieci, w życie Carmody'ego wkroczyła nowa i złożona grupa ludzi. Ci pragnęli sami zostać przyjęci na łono Kościoła.

Zjawiali się jak nieproszeni goście, uśmiechem pokrywając zakłopotanie - ludzie płci obojga, którzy chcieli chodzić do kościoła, a od krewnych i sąsiadów już słyszeli, że



zanim zaczną czcić Boga, muszą przedtem poznać religię i uczyć się jej. W tych ludziach Carmody widział odbicie swojej księżej reputacji. Przedtem w siodle, z wysokości konia Mieh Janga, traktował takich wieśniaków i kulisów pogardliwie, ale odkąd przywdział sutannę, nie szczędził im dowodów życzliwości i sympatii, a nawet szacunku. Więc przychodzili do niego i kierowali do niego innych.

John Wong żył wyraźnie w błogostanie. Miał nowy komplet spisów i obowiązek wypytywania chętnych, klasyfikowania ich, oddzielania tych zupełnie nie oświeconych od tych, którzy kiedyś zaczęli naukę, ale odpadli. Organizował grupy, wyznaczał czas na lekcje religii i krążył wokół Carmody'ego, usiłując odgadnąć jego potrzeby. Teraz przyszedł dumnie z nowym spisem.

- Dużo nowych katolików - powiedział. - Wiadomość się rozchodzi.

Carmody przytaknął. Oczywiście, wiadomość się rozchodziła. Wszystko, co robił, zdawało się urastać do legendy i, jak to bywa w takich wypadkach, ludzie ściągali gromadnie, żeby go zobaczyć, złożyć swoje uszanowanie jemu i Mocy przez niego reprezentowanej. To, że uderzył muzułmańskiego zbira, było najzwyczajszym w świecie postępkem porucznika zarządcy wojskowego - porucznika, który nigdy nie godził się na bezczelność niższych stopniem - ale oczy świadków widziały w tym słuszny gniew i potęgę świętego Kościoła. Cokolwiek by zrobił Jim Carmody w odzieży księdza Petera Johna O'Shea, nie byłoby to uznane za niewłaściwe. Ci ludzie przystrajali go w girlandy cnoty, przychodzili do niego z dziecinną ufnością, znosili mu worki swoich grzechów i patrzyli na niego pałającymi oczami wiary. Pragnęli czegoś większego niż ich własne skromne istnienia, czegoś, czym mogliby się szczycić, i on im to dawał - abstrakcyjnie w tajemnicach Kościoła, konkretnie w swojej osobie.

r

Czasami był tym przerażony, ale niebezpieczeństwo zależnie od okoliczności wyostrza człowiekowi albo zmysły, albo umysł. Jemu niebezpieczeństwo, w którym żył, właśnie wyostrzyło umysł. Uświadomił sobie, że ci ludzie służą mu, żeby on ze swojej strony mógł im służyć, i że taki jest układ wszelkiego życia nie tylko w

Chinach, ale wszędzie, gdzie istota ludzka spotyka istotę ludzką w dumie czy pokorze.

Gdy wychodził z misji do chorych, przyglądał się wzbierającej rzece. Jeżeli rzeka będzie wzbierała nadal, może za kilka tygodni być powódź. A więc dałoby się zniknąć. Ksiądz ginie w czasie przeprawy do chorego czy umierającego i fakt jego zatonięcia w rzece niewiele by wymagał dowodów potwierdzających: wystarczy, powiedzmy, jego kapelusz znaleziony gdzieś wśród skał, sutanna wyrzucona przez wodę gdzieś na brzeg w dole rzeki.

Byłby to sposób dobrotliwy, miłosierny i przyzwoity - raczej opuścić tych ludzi razem z księdzem, którego będą opłakiwać, niż zostawić ich ze świadomością, że otworzyli serca przed oszustem. Tylko że trudno byłoby przetrwać po „zatonieciu”. Trzeba by przedzierać się całymi dniami i tygodniami samotnie przez góry. I znów Carmody widział przed sobą trudności, jakie już raz miał do pokonania, uciekając z klasztoru łamów.

Nie sądził, żeby takie zniknięcie było złamaniem jego przysięgi przed ołtarzem. Grał rolę dobrego księdza i grał ją szczerze; jego śmierć w roli księdza zakończyłaby ten rozdział. Cóż, kiedy taki plan, chociaż desperacki, dawałby jakieś szanse, tylko gdyby on był człowiekiem przeciętnego wzrostu. Wprawdzie są muzułmanie także wysocy, ale on nie wygląda na muzułmanina. W żadnym też razie ze swoim wzrostem i budową nie mógłby wydawać się Chińczykiem. Po zniknięciu księdza O'Shea już nie byłoby dla Jima Carmody przebrania.

Usiłował przemyśleć i rozwiązać ten problem, ale kończyło się na tym, że myśl jego zawsze powracała do Anne Scott.

Widywał ją w ciągu dnia często, jednak sam z nią przebywał tylko myślami przed zaśnięciem. Doznawał wrażenia, że zna ją lepiej, niż kiedykolwiek znał jakąś dziewczynę, a jednocześnie nie zna jej wcale. Okazywała mu szacunek jako księdzu, ilekroć się spotykali, a przecież wyobrażał sobie, że

152

wie, jak ona by zachowywała się i mówiła, gdyby mógł wobec niej być Jimem Carmody. Uklekła przy nim, gdy jakiś starzec umarł w pierwszą jego noc w misji, i

szła u jego boku, gdy wybrał się do pierwszej wioski. Pod wieloma względami układ stosunków między nimi pozostaje niezmienny od tamtej pory, ograniczony, nierozszerzalny. I ani jemu, ani jej wykroczyć poza tę granicę nie wolno.

- Mógłbym się w niej zakochać - powiedział raz cichym ścianom swego pokoju.

- Ona ma w sobie właśnie to, czego ja chcę od życia. I to jest nie tylko seks. Od samego seksu już odszedłem.

Skłął się za dopuszczanie takich myśli do głowy. Wstał, zapalił papierosa i zaczął chodzić po pokoju w ciemnościach. Szum deszczu był jak przytłumiony ciągły ryk i w pokoju pachniało ciepłą wilgocią. Przecież włączyłem Anne Scott do mojego ślubowania przy ołtarzu - przypomniał sobie i natychmiast zaniepokoiło go pytanie tego szyderczego wewnętrznego głosu, dlaczego to zrobił, jeżeli ona jest dla niego nieważna. Zaklął znowu. Z papierosem żarzącym się w ciemnościach usiadł na krawędzi łóżka.

- Sam siebie oszukujesz, ty głupcze! - powiedział zawzięcie. — To jest seks. Nic tylko seks! Przecież wcale tej dziewczyny nie znasz. Nic nie wiesz o niej. Ona ci mówiła, że pielęgniarzkami tutaj są Chinki. Jeżeli masz bodaj trochę oleju w głowie, od tej chwili niech ona także będzie Chinką.

Zgasił papierosa i położył się z powrotem. Same wysiłki, jakie czynił, żeby nie myśleć o Anne Scott, sprawiały, że Anne Scott zajmowała nadal poczesne miejsce w jego świadomości.

Była w biblioteczkę książka, która drwiła z niego w żywe oczy, ale nigdy po tę książkę nie sięgał. Czytał tylko tytuł wytłoczony złotymi literami na grzbiecie czarnej okładki: Droga celibatu. Nie związany ślubami kapłańskimi, młody, zdrowy, normalny, przecież już szedł tą drogą. W klasztorze miał po temu wystarczające swoje powody. W misji sytuacja jednak była inna. Tutaj odczuwał pociąg nie do kobiet, tylko do pewnej kobiety.

Leżał wyczerpany w wąskim łóżku i myślał o Anne Scott. Nie znał jej przeszłości.

Znał wyłącznie jej teraźniejszość. Nie wiedział, dlaczego przyjechała do Chin.

Wiedział tylko,

że to, cokolwiek ją w życiu spotkało, nie wpłynęło źle na jej charakter. Anne Scott ma w sobie tę promienną pogodę ducha, roziskrzoną żywotność, jaką daje dobre samopoczucie fizyczne, a zarazem przejawia spokojną godność i oddanie, owe cechy duchowe, zakorzenione głęboko w duszy. Doktor Sigman jednak powiedział, że ona jest idiotką, bliżej tego nie wyjaśniając.

- Ona to Chinka - mruknął do siebie Carmody ponuro. - Wszystkie tutejsze pielęgniarki to Chinki. I już skończmy z tym, Carmody, na litość Boską. Starajmy się dawać sobie radę z tym, co musimy robić!

Długo jeszcze nie mógł zasnąć.

6

Rano przed mszą jak co dzień Carmody wykapał się, wrócił do sypialni i podszedł do łóżka. I jak co dzień leżała już na łóżku rozłożona dla niego odzież. Ale tym razem były to rzeczy zupełnie nowe: trzy ubrania, jedno wełniane i dwa bawełniane, dwie czarne koszule i na podłodze para butów. Buty wyglądały dziwnie, nieco jednak przypominały jego własne i prawdopodobnie stanowiły owoc wielkiego trudu wiejskiego szewczyny. Dotknął lekko tych ubrań i podniósł oczy.

W drzwiach stał John Wong bez swego zwykłego porannego uśmiechu. Minę miał strapioną. Zatarł ręce i rzekł niepewnie:

- Ksiądz Oszi potrzebuje ubrania. Dar od parafii.

Carmody znów ogarnął wzrokiem rzeczy na łóżku, unikając spojrzenia kościelnego. Było jakieś wyczulenie w tej niepewności Johna Wonga, bo też istotnie taki dar mógłby księdza urazić. W pewnym sensie stanowił akt miłosierdzia czy już w najlepszym razie świadczył, że zdaniem maluczkich ten kapłan stojący ponad nimi jest ubrany źle i ubogo. Carmody odwrócił się.

- Doskonała garderoba, John - powiedział. - Jestem wdzięczny parafii.

John Wong odetchnął z ulgą. Żrenice mu zaświeciły.

154

- Dużo ludzi się złożyło - powiedział. - Zrobiłem spis.

Pokazał listę. Były tam nazwiska ludzi z poszczególnych wsi i symbole tożsamości zamiast podpisów. W zbiorce wzięło udział wszystkie

siedem wiosek. Carmody trochę się nasrożył.

- Chyba nie chodziłeś po domach i nie prosiłeś, John?

Kościelny spojrział na niego ze zgrozą.

- Nie - odpowiedział - stanowisko w Kościele zabrania. Szen Tien-Yich zaczął robić spis. Ten młynarz w wiosce numer dwa. Ksiądz tam był u jego chorej matki. Ona umarła.

Carmody przytaknął. Matka Szena była drugą z kolei chorą osobą, którą odwiedzał. Później poszedł tam, gdy ją chowano na rodzinnym spłachetku za wioską. Lało tamtego dnia okropnie i jego odzież rzeczywiście mogła nie wyglądać imponująco. Wybrał jedno z nowych ubrań bawełnianych.

- To dziś włożę, John - powiedział. - Chcę podziękować im wszystkim.

Pójdziemy do nich razem.

Wong potrząsnął głową.

- Podziękowania krępują ludzi. Nazwiska są w spisie. Oni proszą o modlitwy przy mszy.

Stanowczość brzmiała w jego głosie, więc podziękowania osobiste zapewne nie byłyby formą właściwą. Jeżeli John coś odradza - pomyślał Carmody - oczywiście robić tego nie należy. John Wong to żywa rubryka „Rady Ciotki takiej a takiej” w tygodniku. Włożył spodnie. Były dostatecznie długie i nie za ciasne. Włożył czarną koszulę i koloratkę, i marynarkę do kompletu. Ramionami mógł ruszać swobodnie i rękawy sięgały mu do nadgarstków. Przeszedł się po pokoju.

Hojny dar od tych ciężko pracujących, oszczędnych wieśniaków; w zamian oni chcą tylko być wymienieni w modlitwach - w j e g o modlitwach, na j e g o mszach!

Wyrzwał przez okno i myśli miał pełne gorczy. Po chwili odwrócił się.

- Bardzo wygodne to ubranie, John - powiedział. -Parafia jest bardzo dobra.

John Wong złożył ukłon i teraz pozwolił sobie na uśmiech.

- Dobry ksiądz, dobra parafia - wyjaśnił.

Wargi Carmody'emu zdrętwiały. Idąc do drzwi klepnął Johna Wonga po ramieniu.

- John, mówisz jak Benjamin Franklin.

Deszcz jeszcze padał w tę niedzielę, ale na godzinę przed

pierwszą mszą ustał. Białe słońce przeświecało przez płynne masy szarych chmur, tak że nie było w tych słonecznych przebłyskach ani ciepła, ani radości. Chodniki z desek na terenie misji nadal pływały i brudna woda stała w każdym zagłębieniu.

Oblubienice i oblubieńcy nadciągali uroczyście drogą i przez most.

Byli młodzi na ogół, żałośnie młodzi - dziewczęta o twarzyczkach jak kwiat albo jak księżyc w pełni, o nieśmiało spuszczonej oczach: chłopcy kulistogłowi o twarzach nalanych bądź mizernych, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, niezdarni, niepewni siebie. Więcej niż połowa oblubienic była wyraźnie w ciąży, ale prawie wszystkie ubrały się na biało. Ołtarz z obu stron przystrajały wonne kwiaty.

Stojąc przed nowożeńcami i czytając im Ewangelię, Carmody myślał o domu czterech kobiet i o ryzyku, na jakie narażone są tu związki małżeńskie - mniejsze ono, być może, niż byłoby gdzie indziej, ale zawsze ryzyko. Patrzył na tych młodych, miał na sobie odzież otrzymaną w darze od tej parafii i lękał się, że modlitwy, jeśli on je odmawia, są fałszerstwem. Nie wiedział, czy może łączyć węzłem małżeńskim ślub udzielony przez niego, wiedział tylko niezbicie, że one dobrali się wiedzeni instynktem i że ich obecność w kościele jest świadectwem wiary i dążenia do uzyskania godności. Więc nawet on może dać im trochę godności, i gdy wyjdą z kościoła, będą małżeństwami przynajmniej godniej-szymi niż stadła ich wioskowych sąsiadów niechrześcijan.

Denerwował się, bo uważał, że ponosi za nich odpowiedzialność; patrzyli na niego i w sposób widoczny denerwowali się także.

Inni, którzy nie mieli wziąć ślubu, nie okazywali żadnego zdenerwowania. Zapełniali wszystkie ławki, tłoczyli się w przejściu i za ławkami i powietrze było naelektryzowane ich podnieceniem. Mieli swoją chińską fiestę. Czekali na wydarzenie doniosłe, podniecające, Ważne w życiu ich i ich wiosek, krewnych i przyjaciół. Zaślubiny tych młodych przeważnie już się odbyły zgodnie z miejscowym obyczajem, przy czym bawiono się na weselach i składano dary. Ale ślub tutaj w kościele oznaczał coś innego. Musiał być czymś większym, czymś bardziej sensacyjnym. Tutaj ksiądz łączy oblubieńców świętym sakramentem. W tym jest

Bóg.

156

Po mszy wszyscy zostali w kościele. Carmody wrócił do zakrystii, zdjął szaty liturgiczne i na czarną sutannę wkładał białą komżę, gdy wszedł John Wong z Anne Scott. John przyniósł wypisane świadectwa ślubu. Już je podpisał jako świadek i Anne podpisała je również. Nazwiska zostały wciągnięte do kościelnej księgi. Oczy Anne pały i biło od niej takie samo podniecenie, jakie Carmody wyczuwał w powietrzu w czasie mszy.

- Szalenie mi się to podoba, proszę księdza - powiedziała Anne. - Tak się cieszę, że ksiądz mnie zaprosił na drużnę. Widział ksiądz te małe panny młode? Niektóre z nich są tak biednie ubrane. Och, gdybym wiedziała, że nie mają w co się ubrać...

Carmody pomyślał o swoim nowym garniturze pod sutanną.

- Oni wszyscy mnie martwią - powiedział. - Tacy jacyś są przerażeni. Nie przychodzi mi na myśl nic, co mógłbym im powiedzieć.

Anne błysnęła oczami rozbawiona.

- Ja wiem, co ksiądz powinien im powiedzieć, proszę księdza.

- Co?

- Niech im ksiądz solennie obieca w imieniu Kościoła, że nie potkną się i nie upadną na twarz, kiedy będą podchodzić do ołtarza. Przecież właśnie tego się boją. Carmody patrzył na nią przez chwilę, a potem parsknął śmiechem. Usiadł nad stosem tych świadectw ślubu, które musiał podpisać, i wciąż jeszcze śmiał się.

- Dobrze - powiedział. - Wygrała pani! Ja próbowałem wymyślić jakieś nudne rady.

Nadal chichotał składając podpis: Peter John O'Shea na pięćdziesięciu trzech świadectwach. To jest zupełnie proste. Był w życiu drużbą trzy razy. Tamci nowożeńcy, chociaż dobrzy chrześcijanie, wspaniali ludzie i pełni jak najlepszych intencji, doprawdy w poranek swojego ślubu nie myśleli wcale o obowiązkach, jakie nakłada na nich małżeństwo. Nad głowami wszystkich krążyły ponure widma: obawy, że się upuści obrączkę, że się nadeptnie na welon panny młodej bądź upadnie, że w doniosłym momencie kichnie się czy dostanie czkawki. W takim świetle ujrzał

teraz swoich

157

młodych Chińczyków, nagle bardziej ludzkich i bardziej rozumiały. Polubił ich i zapragnął, żeby ta uroczystość była piękna i żeby wspominali ją mile.

Wyszedł z zakrystii przed ołtarz i uśmiechnął się do nich. Wtedy uśmiechnęli się do niego. Wszystko poszło dobrze.

Później powiesił sutannę i komżę w zakrystii i gdy spokojny i swobodny wychodził z kościoła głównymi drzwiami, Anne czekała na schodach. Wyglądała bardzo ładnie w zielono-złocistej sukience i w małym kapelusiku z przygiętym rondkiem. Wydawało się, że stoi na palcach.

- Niech ksiądz popatrzy - rzekła. - Kwiaty dla drużny!

Słońce już się przedarło przez zaporę chmur. Kałuże

parowały i pnącze na ogrodzeniu kwitło czerwono, spłachetki za bramą jaśniały niebieskimi makami i bratki były wszędzie. Świat promieniał obmyty i odnowiony.

Carmody roześmiał się.

- A co dla drużby? Czy jemu też wolno wachać te kwiaty?

- Jeżeli będzie zachowywał się należycie. Cóż, kiedy on prawdopodobnie woli śniadanie. Wiem, bo mnie samej chce się jeść. - Spoważniała. - Zapomniałam, proszę księdza! Ksiądz jest na czczo. Dwie msze, a potem od razu te wszystkie śluby! To straszne! Ksiądz na pewno kona z głodu.

- Owszem. Chciałem najpierw hojnie nakarmić rzesze. Potem odkryłem, że to są rzeczywiście rzesze i spuściłem z tonu. - Popatrzył, jak ostatnie pary nowożeńców w otoczeniu krewnych odchodzą drogą. - Drużnie jednak coś się należy. Zje pani śniadanie u mnie?

Anne zawahała się.

- Z przyjemnością, proszę księdza, ale...

- Dokończy mi pani to mówić już po śniadaniu.

Zszedł ze schodów kościoła i dziewczyna ruszyła z nim.

Tych kilka minut sprawiło, że jego wątpliwości, obawy, niezdecydowanie minęły i serce miał lekkie. Czuł się dobrze w nowym ubraniu i stwierdził, że łatwo mu



rozmawiać z Anne Scott. W wesołym blasku słońca ona nie przedstawia sobą żadnego problemu: ot, po prostu urocza młoda Amerykanka, którą zaprosił na śniadanie. Powrócił nastrój tamtego pierwszego dnia, gdy szli razem do wioski. Zasiedli w plebanijnej jadalni. John Wong im podawał, a oni gawędzili o sprawach misji, o Sigmanach i o książkach,

158

które kiedyś czytali. Po śniadaniu zabrali filiżanki z kawą do saloniku i zapalili papierosy. Carmody patrzy! na dziewczynę siedzącą naprzeciw niego.

- Dzisiejszy poranek - powiedział - był taki, że warto by się zastanowić nad tym wyświechtanym komunalem: często druhna, nigdy panna młoda. Ile dziewcząt na świecie było druhnami pięćdziesięciu trzech panien młodych naraz?

Anne Scott pochyliła się w fotelu.

- Ja już byłam panną młodą, proszę księdza - rzekła cicho.

- Pani?

Zapatrzył się w nią. To by mu nigdy na myśl nie przyszło, tego sobie nie wyobrażał. Podniosła wzrok, oczy intensywnie błękitne.

- Tak, proszę księdza. Właśnie dlatego jestem w Chinach. On był lotnikiem. Latał nad Himalajami. Zawiadomili mnie, że zaginął. Nie... - głos jej się lekko załamał - ...nie odnaleźli go. I nie dostałam żadnego dowodu, że nie żyje. Kiedy w gazetach przeczytałam te historie o plemionach Lolo i pogłoskach, że kilku lotników amerykańskich jest jeszcze u nich w niewoli... - Urwała i wzrokiem poprosiła o zrozumienie. - No, chciałam tu przyjechać.

Nie było to tak nedorzeczne, jak się wydawało. Carmody wiedział. Sam słyszał takie pogłoski i niestworzone opowieści. Przez rok prawie po powrocie do zdrowia, w klasztorze łamów żywił nadzieję, że zdoła odnaleźć i uwolnić owych lotników z niewoli. Ostatecznie jednak nabrał przekonania, że żadnych lotników w niewoli nie ma i nie było, przynajmniej w tej ogromnej prowincji Mieh Janga.

- Dowiedziałam się, gdzie i jakie są misje - ciągnęła dziewczyna. - I odkryłam tę tutaj, na skraju okolic Lolo. - Na pół przepraszająco, zbytecznie zaznaczyła swoje słowa ruchem prawej ręki. - Byłam pielęgniarką, oczywiście. Zawładnęła mną głupia,

romantyczna myśl, że może Toma przywiozą kiedyś do szpitala misyjnego, że los... moja obecność to sprawi...

- I władze misyjne pozwoliły pani tu przyjechać?

Potrząsnęła głową.

- Starano się mi to wyperswadować. Wysuwano argumenty, że gdyby mój mąż się odnalazł, ja wcale nie muszę być

159

przy tym. I że to jest wysoce nieprawdopodobne, i że jestem fantastką. Ale ja byłem bardzo uparta.

Patrzyła mu prosto w oczy. Z łatwością uwierzył, że ona potrafi być bardzo uparta, i zaakceptował ten upór jako niezbędny ludzki czynnik wszystkiego, co się na nią składa, wadę raczej niedużą, może nawet miły rys charakteru.

- Więc przyjechała pani wbrew sprzeciwom.

- Przyjechałam, bo w końcu mi pozwolili. Doktor Sigman i Beryl już byli tutaj i chętnie zgodzili się przyjąć pomoc.

- Rozumiem.

Chłodno i spokojnie było w tym saloniku na plebanii. Dziewczyna patrzyła gdzieś w dal.

- Chyba przez cały czas wiedziałam, że Tom nie żyje - powiedziała cicho. -

Chciałam wiedzieć... mieć pewność... ale w głębi serca chyba przez cały czas wiedziałam. Nie doznałam żadnego wstrząsu, kiedy stwierdziłam, że moje pojęcie o szpitalach misyjnych było bardzo romantyczne, takie zresztą, jakie mi wpojono. Już po niecałym tygodniu pobytu tutaj wiedziałam, że Toma nigdy nie przywiozą do tej misji i że nikt tu nie wierzy, żeby Lolo trzymali u siebie jakichś jeńców Amerykanów.

- Ale pani tu została.

- Cóż mogłam zrobić innego? Doktor Sigman i Beryl bardzo potrzebowali pomocy. Ksiądz sam wie, jak jest tutaj. Cała praca misyjna czekała na księdza. Tak samo mnóstwo pracy czekało na mnie. Koniecznej pracy.

Carmody wiedział. To chytra pułapka. Człowiek robi prostą jakąś konieczną rzecz i natychmiast wyskakuje wokół niego sto innych rzeczy do zrobienia, równie

koniecznych, i każda jest też sama w sobie prosta, ale wszystkie razem są sprawą bardzo złożoną. Anne stała się potrzebna nieodzownie. Dla pewnych natur to dostateczne więzy, żeby im uniemożliwić wyrwanie się z przymusu okoliczności na wolność.

Myśląc o niej, Carmody powiedział:

- Anne Scott.

I nagle coś mu się odezwało w pamięci. Prawie wstrząśniętym popatrzył na nią.

- Mąż pani miał na imię Tom? - zapytał. - I był lotnikiem. Tom Scott?

160

Natarczywość w jego głosie, ten pośpiech były nie do opanowania. Dziewczyna wyczuła to i zbladła.

- Tak! Tom Scott. Ksiądz go znał, proszę księdza? Ksiądz go zna?

Omam nie chwyciła go za marynarkę. Carmody machnął ręką przed twarzą. To był typowy księży gest, trochę jak błogosławieństwo, tylko że za szybki. On tym gestem nie chciał wyrazić niczego. Odpędzał od siebie chwilę zapomnienia, sypnięcia się, oby nie fatalnie.

- Nie, nie! - powiedział. - Oczywiście ja go nie znałem! Po prostu poruszyło mnie pani opowiadanie. Żałuję, że nie mogę pomóc...

Wstyd mu się zrobiło tej czystej obłudy, tej improwizacji aktora, który pokręcił coś w swojej roli. Jim Carmody znał Toma Scotta bardzo dobrze: z nim odbył swój pierwszy przelot służbowy nad Chinami. Przypominał sobie wyraźnie - Tom Scott: wysoki, chudy i niezgrabny młody człowiek, swobodnie uśmiechnięty, leniwie przeciągający słowa. Co więcej, wiedział, że Tom Scott nie żyje, z całą pewnością nie żyje. Jednak ksiądz Peter John O'Shea nie wiedziałby nic

0 Tomie, więc on też nie może wiedzieć.

Dziewczyna powiedziała:

- Aha.

Jakoś przygasła i wydawała się Carmody'emu mała i bezbronna. Patrzył na nią bezradnie. Powstrzymał odruch taki sam jak na cmentarzu. Nie przytulił jej, nie zaczął pocieszać. Tego przecież w żadnym razie zrobić by nie mógł. Dla niej jest

1 będzie księdzem, o ile, rzecz jasna, nie zostanie zdemaskowany. Gdyby tak się stało, byłby czymś wstrętnym i nieczystym w jej oczach - człowiekiem, który splugawił świętości.

- Kiedyś - powiedział - pewien stary kapłan mi mówił, że zawsze jest jakiś cel... i że ludzie umierają, ale cel zawsze zostaje osiągnięty.

Nie powiedział jej, że to mówił kapłan buddyjski. Patrzyła na niego, po czym odwróciła wzrok. Przygryzła dolną wargę.

- Nie - powiedziała. - Nie! To niemożliwe.

- Dlaczego?

Znów spojrzała na niego.

- Przepraszam księdza, myślałam o czymś innym. Byłoby przyjemnie wierzyć w...cele.

n

— Lewa ręka Boga

161

- Nie zawsze możemy je zobaczyć. Doktor Sigman, na przykład, nie widzi żadnego celu w prowadzeniu tej misji.

- Nie ma racji. Dobry lekarz, wspaniały chirurg, ale co do tego nie ma racji. - Anne Scott zgmiotła chustkę do nosa w małą kulkę. - Coś z siebie zostawimy tutaj, proszę księdza. Dajemy siebie po cząsteczce ludziom. Jeżeli jest w nas coś dobrego, to ci ludzie też będą dobrzy. - Poruszyła prawą ręką, jak gdyby po omacku szukała słów. - Choćby w drobiazgach. Powiedzmy, dobrze się robi zastrzyki albo nastawia złamane kości. Ja mam pewną znajomość takich rzeczy... daję to z siebie i inni mają z tego pożytek... może będą mieli już zawsze. Będziemy tutaj wszyscy, proszę księdza, przynajmniej coś z nas zostanie jeszcze bardzo, bardzo długo dzięki temu, że ta misja istnieje.

Carmody wpatrywał się w nią.

- Mówi pani jak o Eucharystii - powiedział. - Bóg siebie rozdaje, a przecież pozostaje w całości. Możemy mieć w sobie Boga, jeżeli chcemy. Podobnie ci Chińczycy mogą mieć odrobinę z pani, odrobinę ze mnie, odrobinę z doktora

Sigmana.

Raczej myślał głośno, niż mówił do Anne Scott, czując trochę bojaźni i czci wobec prostoty tej myśli, którą ona wyraziła, a on sparafrazował. Teologowie prawdopodobnie ujmowali to inaczej, ale nie znał teologii. Dziewczyna już nie miała chusteczki, rozwarła dłoń i wstała.

- Nie daję Bogu zbyt wiele możliwości, proszę księdza - rzekła. - Nie przyjmuję Komunii. Nie chodzę do spowiedzi.

Carmody wstał również.

- Nie o tym myślałem - powiedział. - Pani jest w porządku. Wiem, że pani jest w porządku. Jest pani lepszą katoliczką niż większość z nas. - Widząc jej nagłą panikę, zdobył się na uśmiech. - Jeszcze musimy pójść na ten spacer, który sobie zaplanowaliśmy. Wtedy porozmawiamy o dezorientacji duszy. Teraz niech się pani nie przejmuję.

Dawał czas sobie samemu, odkładał to, o czym wprost nie mógł myśleć. Anne Scott uśmiechnęła się:

- Ksiądz był łaskaw wysłuchać tej okropnej historii. To było z mojej strony nie na miejscu właśnie dzisiaj.

- Przeciwnie, jak najbardziej się nadawało na dzisiejszy dzień. Żałuję, że nie mogłem w jakiś sposób pani pomóc.

162

- Pomógł ksiądz. - Uśmiechała się nadal, ale oczy jej przysnuwała mgielka. - I to śniadanie przepyszne, proszę księdza. Dziękuję, że mnie ksiądz zaprosił.

Odprowadził ją do drzwi wyjściowych. Gdy wrócił do pokoju, pustego, zdawało się, i bez życia, usiadł i patrzył tam, gdzie przed chwilą siedziała. Dziwną przykrość sprawiło mu to, że Anne była mężatką. Odsunął myśl o niej związanej z Tomem Scottem. Znał Toma Scotta.

Wziął papierosa i zanim zapalił, stwierdził, że ta woń jeszcze wisi w powietrzu - delikatna woń perfum, których ona używa i które poczuł już przedtem, gdy stanął przy niej. Odłożył nie zapalonego papierosa do pudełka i wsparł głowę na dłoniach. Siedział tak i oddychał tą dziewczyną, Anne Scott.

W pierwsze wolne popołudnie, jakie Carmody miał w misji, było bardzo gorąco. Dziedziniec cętkowały niebieskie i żółte kwiaty, kałuże dawno wyschły, chodniki z desek leżały na suchej, spieczonej ziemi. Carmody siedział na schodkach kościoła i obserwował, jak skrzydlate owady startują, wznoszą się, nurkują, krążą, schodzą ślizgowym lotem do lądowania. Pszczoła o szerokim kadłubie i małej rozpiętości skrzydeł wylądowała, żeby nabrać paliwa na pomarańczowej lilii niedaleko od niego. Podziwiał system hamulcowy pszczoł. W przeciwieństwie do większości owadów pszczoła to nie helikopter czy autożyro, pszczoła rzeczywiście lata.

Myślał dużo o lataniu, gdy odzyskiwał siły w klasztorze łamów i gdy zaczął tam jeździć konno, tęsknił do latania, prawie chory z braku możliwości, zdesperowany jak mucha w butelce. Ale ta tęsknota ucichła w ubiegłym roku. Teraz przypominał sobie swoje loty tak, jakby to było coś ze snu - coś nierealnego, co robił kiedyś na jakiejś innej planecie, odległej od tego świata łańcuchów górskich i niebotycznych szczytów, głębokich wąwozów i wąskich szlaków.

Nadal kochał stworzenia latające - wszystkie ptaki i większość owadów. Gdy znalazł martwą pszczołę, zbadał jej rozmiary i zanalizował je. Pszczoła z punktu widzenia

163

- Pomógł ksiądz. - Uśmiechała się nadal, ale oczy jej przysnuwała mgielka. - I to śniadanie przepyszne, proszę księdza. Dziękuję, że mnie ksiądz zaprosił.

Odprowadził ją do drzwi wyjściowych. Gdy wrócił do pokoju, pustego, zdawało się, i bez życia, usiadł i patrzył tam, gdzie przed chwilą siedziała. Dziwną przykrość sprawiło mu to, że Anne była mężatką. Odsunął myśl o niej związanej z Tomem Scottem. Znał Toma Scotta.

Wziął papierosa i zanim zapalił, stwierdził, że ta woń jeszcze wisi w powietrzu - delikatna woń perfum, których ona używa i które poczuł już przedtem, gdy stanął przy niej. Odłożył nie zapalonego papierosa do pudełka i wsparł głowę na dłoniach. Siedział tak i oddychał tą dziewczyną, Anne Scott.

W pierwsze wolne popołudnie, jakie Carmody miał w misji, było bardzo gorąco.

Dziedziniec cętkowały niebieskie i żółte kwiaty, kałuże dawno wyschły, chodniki z desek leżały na suchej, spieczonej ziemi. Carmody siedział na schodkach kościoła i obserwował, jak skrzydlate owady startują, wznoszą się, nurkują, krążą, schodzą ślizgowym lotem do lądowania. Pszczoła o szerokim kadłubie i małej rozpiętości skrzydeł wylądowała, żeby nabrać paliwa na pomarańczowej lilii niedaleko od niego. Podziwiał system hamulcowy pszczół. W przeciwieństwie do większości owadów pszczoła to nie helikopter czy autożyro, pszczoła rzeczywiście lata.

Myślał dużo o lataniu, gdy odzyskiwał siły w klasztorze łamów i gdy zaczął tam jeździć konno, tęsknił do latania, prawie chory z braku możliwości, zdesperowany jak mucha w butelce. Ale ta tęsknota ucichła w ubiegłym roku. Teraz przypominał sobie swoje loty tak, jakby to było coś ze snu - coś nierealnego, co robił kiedyś na jakiejś innej planecie, odległej od tego świata łańcuchów górskich i niebotycznych szczytów, głębokich wąwozów i wąskich szlaków.

Nadal kochał stworzenia latające - wszystkie ptaki i większość owadów. Gdy znalazł martwą pszczołę, zbadał jej rozmiary i zanalizował je. Pszczoła z punktu widzenia

163

aeronaautyki jest nieprawdopodobieństwem. Potrafił udowodnić czarno na białym, że pszczoła nie może wzlecieć z ziemi. A jednak jest ona cudownym lotnikiem i silnik ma fantastyczny. Kłopot z analizowaniem martwej pszczoły polegał na tym, że nie dało się obliczyć mocy silnika. Musi to jednak być mnóstwo koni mechanicznych, zważywszy tę całą niemożliwą konstrukcję.

Pszczoła, na którą patrzył teraz, właśnie włączyła silnik, przyspieszyła obroty i wystartowała. Odleciała, stopniowo wzbijając się coraz wyżej. Westchnął. Chętnie zapaliłby papierosa, ale Chińczykom wyczerpały się zapasy tytoniu, bo już od dawna kupcy tędy nie przejeżdżali. Niektórzy Chińczycy palili, rzecz jasna, on jednak nigdy nie palił publicznie. Nie chciał popisywać się zbytkiem przed ludźmi odczuwającymi braki.

Chociaż siedział w cieniu kościoła, słońce, odbijając się od ziemi, rozgrzewało go. To sprawiało mu przyjemność. I dobrze było tak siedzieć na schodkach beczynnie, snuć długie myśli na krótkie tematy. Gdybym urodził się w Meksyku - myślał - służyłbym

za model tych małych meksykańskich figurek ceramicznych, popularnych w Stanach. W wielkim kapeluszu nasuniętym na oczy siedziałbym oparty plecami o drzewo i gąsior miałbym pod ręką. I kiedy już bym wypił wszystko z gąsiora i znużyłoby mnie opieranie się

o drzewo, wchodziłbym do domu na sjęstę.

Ale Jim Carmody nigdy nie był nawet przejazdem w Meksyku. Wydawało mu się, że już wie, na czym polega zasadniczy bład. Nie urodziłem się w Meksyku - wielka szkoda. I fatalne jest to, że ja zawsze odrzucam wszystko, co życie ofiarowuje w miejscach, gdzie przypadkowo jestem.

W klasztorze łamów miał dobre życie. Mężczyzna nie mógłby pragnąć lepszego. Długie tygodnie spokoju, mnóstwo tytoniu i wyśmienitych trunków, szachy wieczorami, polowania na wzgórzach, wędkowanie w jednym czy drugim z wartkich pobliskich strumieni, wygodne łóżko, urozmaicony jadłospis, wszelkie usługi na każde skinienie. Praca też była dobra. Dostawał rozkaz od Mieh Janga, wkładał mundur

1 znoszono go w lektyce do koszar na niższym poziomie klasztoru łamów. Żołnierze spieszyli się, gdy kazał im się spieszyć; nie lubili go, ale okazywali mu szacunek i nawet

164

bali się go trochę. I miał tam dobre samopoczucie fizyczne, podbudowane owym szacunkiem i lękiem brutalnych żołnierzy. I w klasztorze łamów dostarczono by mu tyle kobiet, ile by tylko chciał, czy też jedną kobietę, gdyby chciał tylko jedną. Był Cortezem i wojownikiem, a tam było „samotnie w zimne noce”.

A więc miał to wszystko, ale brał z tego mniej, niż mógł brać, i nie odczuwał zadowolenia. Ani do tego nie przywykł, ani się temu nie poddał i w końcu zaryzykował życiem, żeby uciec.

Przez kilka minut bez szczególnego zainteresowania patrzył na maleńkiego jerzyka. - Cholerny helikopter! - powiedział.

Nie było nikogo na dziedzińcu misji. Ze schodków, na których siedział, widział skrzydło szpitala. Okropnie chciało mu się palić i już sięgnął do kieszeni po



papierosa, ale się rozmyślił. Chińczycy patrzą na mnie - pomyślał - nawet gdy ich nie widać. Przykre to dla wiernych nie mających tytoniu patrzeć, jak ich ksiądz pali. Zresztą czy papieros mi potrzebny, kiedy słońce tak przygrzewa i mogę sobie odpoczywać?

Ludzie nie interesowaliby się nim ani jego zachowaniem, gdyby siedział tak rozleniwiony ciepłem słońca, będąc tylko kimś, kto nazywa się Jim Carmody. To magia kapłaństwa wzbudza zainteresowanie. A kapłanem jestem po prostu strasznym! - ubolewał. - Niebiosa muszą być pełne zgrozy wobec takiego widowiska. Znam łacinę i nieźle potrafię nauczyć się obrzędów na pamięć, ale na tym koniec. Brak mi zasad filozoficznych księdza, znajomości Pisma Świętego i nie mam ani krzty misjonarskiego instynktu. Byle seminarzysta z drugiego roku wiedziałby lepiej, jak radzić sobie z misyjną pracą. W tę niedzielę, gdyby Anne się nie wtrąciła, zacząłbym głądzić głupio o świętości małżeństwa gromadzie chińskich dzieciaków. Na razie mogę coś zdziałać życzliwością i dobrą wolą, ale zadanie księdza jest ogromne i wymaga długiego przygotowania. Ja nie mam przygotowania wcale. Do diabła, nie mam nic! Jestem tylko katolikiem, który odszedł od katolicyzmu, za słaby duchem, żeby to, co raz posiadał, utrzymać.

W zasięgu jego wzroku nie było teraz żadnych ciekawych owadów latających, ale były mrówki, które miały swoją

165

kwaterę przy ścieżce i poważne sprawy do załatwienia wszędzie wokoło. Biegały tam i z powrotem, nieraz z ciężarami większymi od nich.

- Biedni cholerni cywile! - powiedział Carmody.

I zastanowił się, dlaczego życie nie podsunęło mu czegoś takiego, zajęcia w tym rodzaju. Może byłby bardzo dobrą mrówką w którymś z wielkich miast amerykańskich i to by mu dawało satysfakcję i radość. To chyba coś na jego miarę. Nie jest na tyle poganinem, żeby żyć tylko ciałem, i nie dość jest uduchowiony, żeby osiągnąć wyżyny. Nie potrafiłby ani tarzać się beztrosko w grzechu, ani pogrążyć się w modlitwie. Więc nie poganin i nie chrześcijanin, w ogóle nic, a gdy już usiłuje sprostać jakimś ideałom, takim na przykład jak stan duchowny, śmiertelnie się

denerwuje i traci swoje poczucie humoru. Kiedyś, dawno temu, tak łatwo znajdował zadowolenie.

Obserwował mrówki - one najwyraźniej wiedziały, co robią, mając tym samym wielką przewagę nad Jimem Carmody. Przypuszczał, że nauczyłyby się prowadzić takie życie jak one: biegać na wszystkie strony, uwijać się przy pracy przez cały dzień, a potem wieczorem wracać do domu, do kogoś w rodzaju Anne Scott. Czyż mógłby mężczyzna marzyć

o lepszym życiu - dosyć dla ciała, dosyć dla ducha, nie za dużo ani jednego, ani drugiego? Kiedyś on to już prawie osiągnął, ale nie z Anne. To działo się bardzo dawno i tamta dziewczyna była zupełnie inna niż Anne. Myśl o tym sprawiła, że przestał się interesować mrówkami. Mrówki zawsze po chwili są nudne. Popatrzył na mgiełkę upału nad drogą.

- Brak ci gorliwości, Carmody - powiedział. - Już wiesz, dlaczego siedzisz tutaj. W gruncie rzeczy pszczoły i kwiaty,

1 mrówki wcale ciebie nie obchodzą. Nie jesteś myślicielem. Po prostu próżnujesz w ciepłe słońca, bo nie chce ci się iść do wioski numer trzy, żeby rozwiązać problem prostytutki, który tak ładnie ci podsunął doktor.

Nadal siedział na schodkach, zgrzany w upale bijącym od ziemi, owiewany wonią kwiatów, leciutkimi podmuchami wiatru wiejącego równolegle do fasady kościoła. Za rzeką w migotliwej mgiełce, od której droga i ogrodzenie też migotały, widział małe figurki ludzi przy pracy na górskich

166

piętrach pól. Lepiej być pseudoksiędzem i siedzieć tutaj - pomyślał - niż włączyć tam na zbocza.

Nie chciało mu się iść do domu tych czterech kobiet. Nie wiedział, co ma z nimi zrobić, ani co im powiedzieć. W Stanach Zjednoczonych jest takich domów mnóstwo, i to przeważnie o większej liczbie lokatorek. Wydaje się dosyć niemądre w upalny dzień wojować z faktem, że jeden mały domek publiczny istnieje tu wśród wzgórz odległego zakątka świata, dokąd nikt z zewnątrz nie dociera.

Gdyby ten cholerny doktor nie wywlókł tej sprawy, wszystko byłoby w porządku.

Ale doktor uczynił z tego problem moralny. Uczynił z tego rozgrywkę medycyny z religią. Wykorzystując ten nieszczęsny dom, chytrze, paskudnie, podstępnie wystawił Kościół katolicki i całą katolicką doktrynę na próbę. Czy ktokolwiek, kto nosi koloratkę, nawet jeśli jest szarlatanem i nosi ją bezprawnie, mógłby takie wyzwanie zignorować? Trzeba je przyjąć.

Więc siedział w blasku słońca i myślał o tym.

No, jaką w ogóle postawę zająć wobec prostytutek? W wojsku żartuje się na ich temat. Chyba to właśnie w wojsku zaczął odstępować od religii. Kobiety były przedmiotem żartów. Łagodzona brutalność tego, wyłączając matkę, siostry i może parę znajomych dziewcząt i uznając nawzajem swoje wyjątki. Więc owa milcząca ugoda sprawiała, że podejście do pewnych kobiet pozostawało czyste, ale o wszystkich innych wypadało mówić źle. Rozumiało się samo przez się, że żołnierz sypia z kobietami przy każdej sposobności, gdy tylko służba daje mu na to czas. Ten, kto tego nie robił, udawał, że robi, więc wychodziło na jedno.

Było kilku wojskowych psychiatrów, którzy unosili brwi, jeżeli żołnierz powiedział, że nie chodzi do takich domów i nigdy nie miał kobiety. Ledwie przestawali unosić brwi, zaczynali powątpiewać, czy ów żołnierz jest normalny i dojrzały. Żołnierz o nie dość normalnych popędach nie nadawał się, ich zdaniem, na oficera ani nie był typem zdolnym do poprowadzenia samolotu w ogniu bitwy. Oczywiście niektórzy z psychiatrów Armii i Sił Powietrznych nie mieli z psychiatrią nic wspólnego, po prostu znaleźli się w tym dziale niewydarzeni medycy, zbyt nerwowi, żeby posługiwać się skalpelem czy postawić przyzwoitą diagnozę. Jeden z nich

167

piętrach pól. Lepiej być pseudoksiędzem i siedzieć tutaj - pomyślał - niż włączyć tam na zbocza.

Nie chciało mu się iść do domu tych czterech kobiet. Nie wiedział, co ma z nimi zrobić, ani co im powiedzieć. W Stanach Zjednoczonych jest takich domów mnóstwo, i to przeważnie o większej liczbie lokatorek. Wydaje się dosyć niemądre w upalny dzień wojować z faktem, że jeden mały domek publiczny istnieje tu wśród

wzgórz odległego zakątka świata, dokąd nikt z zewnątrz nie dociera.

Gdyby ten cholerny doktor nie wywlókł tej sprawy, wszystko byłoby w porządku.

Ale doktor uczynił z tego problem moralny. Uczynił z tego rozgrywkę medycyny z religią. Wykorzystując ten nieszczęsny dom, chytrze, paskudnie, podstępnie wystawił Kościół katolicki i całą katolicką doktrynę na próbę. Czy ktokolwiek, kto nosi koloratkę, nawet jeśli jest szarlatanem i nosi ją bezprawnie, mógłby takie wyzwanie zignorować? Trzeba je przyjąć.

Więc siedział w blasku słońca i myślał o tym.

No, jaką w ogóle postawę zająć wobec prostytutek? W wojsku żartuje się na ich temat. Chyba to właśnie w wojsku zaczął odstępować od religii. Kobiety były przedmiotem żartów. Łagodzona brutalność tego, wyłączając matkę, siostry i może parę znajomych dziewcząt i uznając nawzajem swoje wyjątki. Więc owa milcząca ugoda sprawiała, że podejście do pewnych kobiet pozostawało czyste, ale o wszystkich innych wypadało mówić źle. Rozumiało się samo przez się, że żołnierz sypia z kobietami przy każdej sposobności, gdy tylko służba daje mu na to czas. Ten, kto tego nie robił, udawał, że robi, więc wychodziło na jedno.

Było kilku wojskowych psychiatrów, którzy unosili brwi, jeżeli żołnierz powiedział, że nie chodzi do takich domów i nigdy nie miał kobiety. Ledwie przestawali unosić brwi, zaczynali powątpiewać, czy ów żołnierz jest normalny i dojrzały. Żołnierz o nie dość normalnych popędach nie nadawał się, ich zdaniem, na oficera ani nie był typem zdolnym do poprowadzenia samolotu w ogniu bitwy. Oczywiście niektórzy z psychiatrów Armii i Sił Powietrznych nie mieli z psychiatrią nic wspólnego, po prostu znaleźli się w tym dziale niewydarzeni medycy, zbyt nerwowi, żeby posługiwać się skalpelem czy postawić przyzwoitą diagnozę. Jeden z nich

167

chciał tylko, żeby żołnierze opowiadali mu sprośne historyjki ze swego życia osobistego. Jeżeli nie opowiadali, mógł być niebezpieczny, więc opowiadali jak nakręceny. Prawdopodobnie wyszedł z wojska z materiałem na książkę, od której włos by się jeżył: miał mnóstwo informatorów obdarzonych bujną fantazją.

Chłopcy w wojsku wcale nie byli zepsuci. To tylko atmosfera była niezdrowa. Oficer musiał dopilnować, żeby żołnierze wychodząc na przepustkę brali ze sobą przydziały środków profilaktycznych, czy chcieli, czy nie. W świecie, który znał żołnierz, wartości moralne jakoś traciły znaczenie. Ręka sięgająca do spraw duchowych osuwała się nie od razu, ale się osuwała.

Więc ostatecznie Carmody w to słoneczne popołudnie nie wiedział, jak rozwiązać problem prostytutki, bo nigdy nie znał nikogo ani nawet nie słyszał o nikim, kto by w części bodaj ten problem rozwiązał.

Oczywiście nie musiał znaleźć rozwiązania. Nie musiał nawet szukać. Był świadom, że zawsze jakiś muzułmański pasterz kóz czy poganiacz mułów leży na brzuchu przy ogrodzeniu misji. Że zawsze ktoś w pobliżu śledzi go nie dlatego, że on jest księdzem, ale dlatego, że księdzem nie jest; nie dlatego, że jest Peterem Johnem O'Shea, ale dlatego, że jest Jimem Carmody. Wkrótce ci szpicle znikną, bo już nie będą potrzebni. Pogoda dzisiaj ładna, wkrótce będzie doskonała. Więc oddział muzułmanów Mieh Janga, którzy nie są ani pasterzami owiec czy kóz, ani mulnikami, tylko twardymi żołnierzami, przyjedzie tu na wzgórze i zabierze Jima Carmody z powrotem do klasztoru łamów. Rzeczywiście Jim Carmody, niech to diabli, nie musi robić nic! Może siedzieć sobie, dopóki oni nie przyjadą, i wygrzewać się w słońcu, ponieważ niczym sytuacji nie zmieni.

Patrzył, jak mucha gnojka startuje z czubka pomarańczowej lilii za ścieżką. Gnojka to samolot dwusilnikowy. Wyłącza raptownie lewy silnik i zwiększa obroty prawego. Pięknie zarzuca zmieniając kierunek, nurkując, i wraca prosto na lilię. Widywał już takie akrobacje much gnojek.

Ciekawe, dlaczego ona tak robi? - zastanowił się. - Może to samczyk i popisuje się przed samiczką czy może popisuje

168

się tylko przed sobą, czy też może zawraca, bo coś jej się przypomniało.

Tylko ta mucha знаła odpowiedź na to. Z brzękiem odleciała i już jej nie było.

Carmody wstał. Odruchowo przeciągnąłby się, ale księżom stojącym na schodkach kościoła przecież to nie przystoi. Spokojna popołudniowa godzina się skończyła.

Wyobraził sobie, że jego nagły niepokój jest trębaczem Boga, aniołem, który uważa, że i on powinien coś zrobić z tym wyzwaniem rzuconym przez doktora i z tymi nierządnicami. Wyprostował się i poszedł ścieżką do drogi.

Na drodze było mu bardziej gorąco, bo słońce świeciło prosto na niego. Powietrze tylko trochę poruszały powiewy od rzeki, zbyt słabe, żeby je nazwać wiatrem. Miał na sobie jedno z dwóch nowych lekkich ubrań bawełnianych i ten czarny kapelusz z szerokim rondem. Spotkał kilka osób na drodze witających go uśmiechem i głębokimi ukłonami, okazywano mu też mnóstwo względów w wiosce numer dwa. Po przejściu dwóch i pół mili od bramy misji doszedł do wioski numer trzy. Tam również witano go radośnie, dopóki nie zobaczono, że idzie ścieżką na niewysokie wzgórze za osadą. Wtedy wszyscy wyraźnie się stropili i Carmody rozumiał to. Sam się zdenerwował.

Wioska numer trzy leżała na wschód od rzeki w miejscu, gdzie rzeka zakreślała ostro jeszcze dalej na wschód, aż wydawało się, że jest od rzeki na północ. U stóp góry za wioską przysiadły trzy wzgórza, jak gdyby góry niemowłące, które rzeka oddzieliła od pasma rodzicielskiego i dlatego nigdy nie wyrosły. Wspólna ich chińska nazwa w dosłownym tłumaczeniu znaczyła „trzy piersi” - koncepcja oryginalna, leżąca w charakterze tego ludu, gotowego wierzyć we wszystko. Były różnej wielkości; najbliższej wioskowej ulicy wznosiło się średnie wzgórze.

Carmody, poinformowany przez doktora, wiedział, którądy iść.

Szedł pod górę i kręta ścieżka wiodła go w cieniu karłowatych sosen, wśród których gdzieś sterczał zakurzony świerk. Było tu chłodniej niż na drodze czy w wiosce, panował spokojny bezruch i wydawało się, że świat ludzi jest gdzieś bardzo daleko. Tak przyjemnego spaceru Carmody się nie spodziewał. Przeszedł kilkaset jardów i zza rzednących

169

drzew zobaczył wąski spłachetek łąki i żółty dom z cegły wypalanej w słońcu. Nikomu nie chciało się uprawiać tego spłachetka, porośłego mnóstwem dzikich niebieskich maków. Przy samym domu kwitły lilie i pysznił się krzak forsycji. Urocze miejsce, urocze jak żadne inne w tych okolicach. Stał i patrzył.

Bóg nie wyróżnia - pomyślał. - Bóg zsyła swoje piękno na ziemię i rozrzuca je wszędzie. I wszędzie jest ziemia Boga, tylko że jeden człowiek buduje na niej misję, a inny buduje dom publiczny.

Pogodny nastrój się rozwiął. Carmody ruszył do żółtego domu. Te kobiety widziały go z daleka; jedna z nich wyszła i stanęła przed drzwiami - wychudzona, średniego wzrostu kobieta w jasnoniebieskim kimonie. Kimono się rozchyliło, a ona nie miała pod spodem nic. Brzuch jej sterczał, zwisały sflaczałe piersi. Nie mógł odgadnąć jej wieku, ale ostrość rysów tej twarzy, wyraz oczu i cienkich ust nie świadczyły o młodości.

- Pieniądze masz? - zapytała ochryple.
- Nie. Nie mam pieniędzy.
- To idź stąd! Nie chcemy ciebie tutaj!

Carmody nie zatrzymał się. Zawsze zachowywał zimną krew, gdy był w ogniu, zawsze okazywał swoją najlepszą formę, gdy zdarzyło się komuś budzić w nim ducha walki. Za tą pierwszą kobietą już stały jej trzy współlokatorki. Żadna nie była młoda, ale jedna miała twarz okrągłą i oczy błyszczące. Tę przynajmniej coś oblekało, sarong zawiązany w talii i szal przerzucony w poprzek piersi. Dwie pozostałe wystąpiły ubrane tak skąpo jak ta pierwsza, która przemawiała w ich imieniu. Po chwili Carmody przystanął na łące, w odległości może dziesięciu kroków od nich.

- Jestem księdzem z misji katolickiej - powiedział.
- Wiemy, ktoś ty. Nie potrzebujemy księdza ani misji. Idź stąd!
- Przyszedłem, żeby was zaprosić do kościoła.

Zagapiły się, a potem wybuchnęły śmiechem. Najmniejsza, ta w sarongu, plunęła na niego. Stał tam, a one dalej się śmiały. To zupełnie coś innego - pomyślał - niż problem doktora, który ma autorytet. Doktor mógł je ściągnąć do szpitala i wcale nie musiał ich przekonywać. Po zastrzykach

170

czy też czymś tam, co im aplikuje, odsyła je z powrotem i niczym nie narusza ich obyczajów, nawyków, egzystencji. Natomiast ja bez autorytetu mam dokonać ataku

frontalnego na wszystko, co one robią.

- Taki sposób życia nie jest dobry - powiedział. - Ja mogę wam ofiarować lepszy sposób. Postaram się, żebyście miały pracę przez czas, kiedy będziecie się tego nowego sposobu uczyły.

Jak dotąd sprawę przemyślał. Postanowił, jeżeli one przyjdą, zatrudnić je w misji, choćby wszyscy tam protestowali, ale w głębi duszy nie spodziewał się, że przyjdą. Teraz już wiedział na pewno, że nie. Wszystkie cztery zaczęły wrzeszczeć, obrzucać przekleństwami jego i jego misję. Część przekleństw rozumiał, większości jednak nie znał wcale. Ta mała kobieta plunęła na niego znowu. Ta pierwsza, chuda, przekrzyczyła towarzyszkę.

- Jesteś naszym wrogiem! - wrzasnęła. - Zabraniasz mężczyznom przychodzić do nas! Zawsze przychodzili, a teraz ty im zabraniasz.

Ujrzał nienawiść w jej oczach, w wyrazie twarzy, ale również i lęk. Nie pojmowała ani pojąć by nie mogła, dlaczego ktoś miałby hamować normalny bieg rzeczy. Tak samo jak i te trzy stojące za nią, żyła z tego, co uważa się za niezbędną konieczność dla mężczyzny, i jak każde żywe stworzenie była gotowa bronić źródła swego utrzymania. Nie chciała zmiany, nie chciała robić nic innego: chciała, żeby je zostawiono w spokoju i żeby ich życie biegło nadal tym samym torem. Dla niej takie abstrakcje jak „występek” i „moralność” nie istniały - potrafiła pojmować tylko funkcje ciała. Słuchając jej szorstkiego głosu, Carmody rozumiał ją lepiej, niż ona rozumiała siebie - i litował się nad nią.

- Ja nie jestem waszym wrogiem - rzekł.

Bezradnie szukał słów, pragnął rozwinąć to swoje proste oświadczenie, uzasadnić, ale żadnych słów nie znajdował. Nie mógł walczyć z tym, nad czym się litował, nie mógł zmienić tego, co zastygło już w nadanych sobie kształtach. Mężczyzna jak garncarz przez wiele lat obracał te kobiety na garncarskim kole swoich żądź. Ulepił je i wypalił. Teraz były niezdolne do przyjęcia myśli o jakimkolwiek przeobrażeniu. Poniósł klęskę, ale stał tam jak wrośnięty w ziemię



i w nagłym olśnieniu patrzył na drugą stronę tej sprawy. Układ życia jest dwoisty: klęska to coś, za co kupuje się zwycięstwo. Zobaczył zwycięstwo w tej samej sekundzie, w której stwierdził, że został pokonany, ale nie zdążył tego rozważyć.

Kobiety nie dały mu czasu.

Znów zaczęły miotać wyzwiska. Ta w sarongu przecisnęła się obok tej chudej w drzwiach i wybiegła na łąkę. Pochyliła się, podniosła kamień i zaraz tamte dwie dołączyły się do niej. Chuda stała niezdecydowana, w rozterce pomiędzy nienawiścią i lękiem. Carmody się wyprostował.

Oto odwrotność opowieści ewangelicznej, bardzo ponura odwrotność: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamień”. Kobiety podniosły kamienie z ziemi i już nie przeklinały. Carmody ujął się pod boki.

- Odłóżcie te kamienie! - zażądał.

Takim tonem rozkazywał żołnierzom, więc popatrzyły na niego zdumione. Nie odrywał od nich oczu i nie bał się, ale wiedział, że one, ponieważ to kobiety, a nie mężczyźni, gdy tylko ochłoną ze zdumienia, zaczną rzucać kamieniami. I właśnie wtedy usłyszał, że ktoś biegnie ścieżką. Na łąkę wbiegł mały chłopiec.

Był to jeden z ministrantów. Nawet nie zerknął na kobiety z żółtego domu.

- Do chorej wzywają, proszę księdza - wykrztusił. - Umiera...

Tamte cztery stały zagapione. Trzy jeszcze z kamieniami w rękach. Żadna nie spróbowała przysłonić nagości wobec małego chłopca, a on tę ich nagość ignorował. To był esej i komentarz. Carmody skinął chłopcu głową.

- Dziękuję - powiedział. I bezgłośnie dodał: „Dziękuję ci serdecznie”.

Już nie spojrzął na cztery kobiety. Usiłował słuchać tego, co mówi chłopiec. Ludzie widzieli, wyjaśniał mały, jak ojciec duchowny idzie na to wzgórze, więc on tu przybiegł. Pędził co sił w nogach. Owa umierająca, o ile już nie zmarła, kobieta, nazywała się Pao Czu i była córką Czang-Czi-Pina, handlarza cukierków, żoną Czun Tiena, rolnika, i ciotką tego ministranta, chłopca imieniem Dan.

- Dwóch chłopaków poszło po doktora - zakończył. - Ja biegłem bardzo prędko po ojca duchownego.

f: , >

- Dobrze się spisałeś. - Carmody przytaknął z powagą. Interesująca proporcja - pomyślał. - Dwaj chłopcy po doktora, a po księdza jeden.

8

Dom Czun Tiena, tego rolnika, niski, szeroki, zbudowany z wypalanej cegły, stał na południowym zboczu najwyższego wzgórza wioski numer trzy. Pod domem czekała gromadka kobiet. W domu dwie duże izby rozdzielało przepierzenie z heblowanych belek. W pierwszej izbie samotnie siedział oparty plecami o przepierzenie barczysty młody człowiek, kryjąc swą ogoloną kulistą głowę w dłoniach. Nie podniósł głowy, gdy Carmody wszedł, i wtedy Dan, ten ministrant, wyjaśnił:

- To Czun Tien. Nie jest grzeczny, bo ma takie wielkie zmartwienie.
- Nie będziemy mu przeszkadzali martwić się, Dan.

Carmody wszedł do drugiej izby. Powietrze tam było ciężkie od zapachu krwi. Pao Czu leżała na sienniku ze słomy, młodziutka, z twarzą zupełnie białą. Cztery kobiety siedziały przy niej: jej matka, matka Czun Tiena i dwie podstarzałe położne wioskowe. Dziecko Pao Czu nie chciało się urodzić, poinformowały, i zabiło ją, z niejedną położnicą tak się stało. Pao Czu żyła i nie straciła przytomności, ale te kobiety mówiły o jej śmierci, jak gdyby już umarła. Wpatrując się dużymi piwnymi oczami w Carmody'ego, Pao Czu przeżegnała się.

- Pu kan tan...

Chciała spowiedzi, Carmody ruchem ręki odprawił kobiety i ukląkł przy niej.

Wyglądała na niewiele starszą od jego ministrantów, mogła mieć najwyżej czternaście lat. Jej oczy wydawały się ogromne w białej twarzyczce, szeptała z trudem.

Ta spowiedź była prostą sprawą, bardzo prostą - spowiedź dziecka. Carmody uczynił nad nią znak krzyża i wypowiedział słowa rozgrzeszenia. Nie miał ze sobą Wiatyku ani Olejów świętych.

- Co mogę zrobić dla ciebie, Pao Czu? - zapytał.

Chwyciła go za rękę, którą do niej wyciągnął.

- Opowieść, proszę, Szen Fu.
- O czym chciałabyś posłuchać?
- O stajence, o Matce i o świętym Józefie.

Słońce świeciło na południowe zbocze, w izbie panowała duchota przesycona odorem krwi, a ona chciała usłyszeć opowieść o Bożym Narodzeniu - o tym, jak Dzieciątko cudownie się narodziło, jasna gwiazda na niebie obwieszczała Jego Narodzenie, aniołowie śpiewali i na wzgórzach radowali się pasterze. Jej dzieciątko się nie urodziło, ale ona leżała na sienniku ze słomy i wiedziała o ludziach pasących stada na wzgórzach, więc ostatecznie to była opowieść o niej.

Carmody opowiadał jej o gospodach, gdzie nie było wolnych miejsc, i o zrozbitym człowieku, który stukał do wszystkich drzwi, i o cierpliwości Maryi, i o schronieniu w stajence. Opowiadał o zwierzętach w stajence tamtej nocy.

Chociaż słyszał, jak kobiety wracają do izby i mąż Pao Czu wchodzi także, ani na chwilę nie przerwał opowiadania, ponieważ światło w oczach Pao Czu dogasało.

Mówił jej

O głosach niebiańskich, gdy skoła.

Kobiety rozpoznały śmierć natychmiast. Podniosły lament

1 od razu zawtórowały im te, które stały w blasku słońca przed domem. Wtedy też właśnie coś zaczęło dudnić, aż izba się trzęsła. Carmody delikatnie wysunął palce z uścisku małej rączyny zmarłej i wstał z klęczek.

To Czun Tien, trzymając się mocno jedną ręką nadproża drzwi, walił głową o grube kłody przepierzenia. Krew zalewała mu twarz, ale on dalej walił głową o kłody, przy czym napięte mięśnie jego szyi wyglądały jak kable.

Buch! Buch! Buch!

Carmody podszedł jednym długim krokiem. Chwycił tego człowieka za potężne, umięśnione lewe ramię i oderwał od nadproża, odrzucając do tyłu. Musiał w to włożyć całą swoją siłę i Czun Tien popatrzył na niego wzrokiem oszołomionego zwierzęcia. Potem przysiadł z rękami rozłożonymi jak zapaśnik i pochylił głowę, żeby zaatakować.

Carmody uderzył. Krótkim lewym sierpowym trafił Czun Tiena w podbródek, nie dość mocno, żeby go powalić, ale dostatecznie mocno, żeby to poczuł. Czun Tien wstrząśnięty zakołysał głową z boku na bok i zanim zdążył ją znów

174

pochylić, Carmody wyprostował się, opuścił ręce i wskazał zmarłą.

- Uklęknij, Czun Tien! - rozkazał. - Odmów Ujij różaniec.

Czun Tien zachwiał się i znów zakołysał głową. Szurając

nogami cofnął się przed Carmodym ze skowytym, jak zranione zwierzę, ukrył twarz w dłoniach i padł na kolana. Carmody ukląkł patrząc na niego i usłyszał, jak kobiety też klękają za nim. Zaczął odmawiać różaniec.

- Ojczy nasz, któryś jest w niebie...

Głosy ich brzmiały:

- Chleba naszego powszedniego...

- Zdrowaś Maryjo...

- Święta Maryjo...

To była modlitwa i to był monotony śpiew, to było ujście dla wzruszeń, to była dyscyplina dźwięku i oddźwięku, to była pełnia pradawnych pobożnych zaklęć, krążących jeszcze we krwi tych ludzi, i błaganie, i łagodny czar, i wielki spokój. Czun Tien kołysał się w tył i w przód do taktu: przy czwartym dziesiątku zajakliwie wziął udział w modlitwie. Gdy się skończyła, bezwładny padł w poprzek pryczy i leżał cicho. Carmody wstał.

Zobaczył stojącego w drzwiach doktora Sigmana. Nie miał pojęcia, od kiedy doktor tam stoi. Dave Sigman, nachmurzony, skinął krótko głową wchodząc do izby.

Carmody wyszedł w blask słońca przed domem.

Doktor wyszedł dopiero po pół godzinie. Miał głębokie bruzdy na szerokiej twarzy i oczy tak gniewne, że aż matowe.

- Chodźmy, proszę księdza. Już nic więcej żaden z nas nie może zrobić.

Prawda tego stwierdzenia była oczywista. Carmody zrównał z nim krok, nie czując się powołany do komentowania. Popadł w nastrój ponury, skwaszony, na co sobie nie pozwalał, odkąd przywdział sutannę. Dave Sigman pomimo swej tuszy chodził

dobrze, kroczył zamasyście.

- Świetnie ksiądz postąpił z tym historykiem - rzekł. - Kobiety mi opowiedziały. Nigdy nie jest łatwo ich usadzić, a ten w dodatku jest silny jak byk.

- Żal mi go.

- Na żałowanie tych ludzi szkoda znacznych uczuć. - Dave Sigman zaklął pod nosem, a potem głośno: - Niech diabli

175

porwą te akuszerki! Głupie, ciemne, stare baby! To najbardziej zacofana cholerna wiocha z tych wszystkich tutaj! W innych mamy dziewczęta z naszej szkoły pielęgniarek. One by mnie wezwały w porę. To dziecko zostało zarżnięte.

- Zaklął znowu siarczyście, okrutnie, z pasją. A przecież był człowiekiem, który uważał, że nie warto żałować ludzi. Po chwili rzekł: - Przepraszam księdza.

- W porządku. Ale na gniew także szkoda znacznych uczuć.

Carmody patrzył prosto przed siebie, wciąż jeszcze w tym niedobrym nastroju. Czuł też' jakąś twardą, pełną napięcia wrogość wobec doktora. Dave Sigman spojrzał na niego zdumiony. Zmarszczył brwi i prawie zaraz twarz mu się rozjaśniła.

- Zupełnie zapomniałem - powiedział. - Ksiądz przecież poszedł tam na wzgórze do żółtego domu, prawda? Nie jest ksiądz rad z tego. - Zachichotał. - Nie ma dość jasnej światłości na tej drodze do Damaszku.

- Byłem rad! I światłość na tej drodze do Damaszku była bardzo jasna. -

Carmody przystanął zwrócony do doktora, który również się zatrzymał. Widzieli wioskę już w dole i pętlę rzeki wokół niej. Carmody wskazał podbródkiem jedno ze wzgórz. - Tam są cztery kobiety - powiedział.

- Cztery żalosne flądry, raczej leciwe! Młode dziewczyny, które mogłyby tam być, są w misji, ponad czterdzieści w szkole sierocińca, osiemnaście w szkole pielęgniarek. Oto, jak Kościół rozwiązuje małą zagadkę. Pana, panie doktorze, a nie moją. Pan mówił, że dotarł pan do źródła, ale tak nie jest. Dotarł pan tylko do kobiet, które już były prostytutkami. Kościół natomiast dotarł do źródła, do tych, które prostytutkami mogłyby zostać, do małych dziewczynek, które teraz będą szerzyły to,

co my im dajemy, a nie choroby weneryczne. Czyż nie dosyć światłości na drodze do Damaszku?

Dave Sigman stał w rozkroku, pochylony. Oczy miał wciąż jeszcze matowe.

- Cztery Magdaleny! - powiedział. - Więc mówi mi ksiądz, że Kościół z nich zrezygnował? Medycyna nie rezygnuje, proszę księdza. Medycyna wkracza wszędzie, gdzie tylko znajduje to, z czym walczy.

- Ja wkroczyłem! To nadal tam jest. Mogło mi się nie udać. Kościołowi może się nie udawać czasami. - Carmody

176

wysunął sztywno palec wskazujący i stuknął doktora w pierś.

- Kiedy medycyna, panie doktorze, osiągnie ten punkt, w którym będzie mogła powiedzieć, że nigdy nie walczy beznadziejnie z rakiem czy z gruźlicą, czy z paraliżem, wtedy niech pan przyjdzie do mnie i znów zgani Kościół za to, że jakieś raki duchowe zostają nie wyleczone! A ja wtedy przyjmę tę naganę bez sprzeciwu. Odwrócił się i rozkołysanym krokiem poszedł ścieżką biegnącą ze zbocza. Po paru minutach usłyszał za sobą kroki doktora. Zaczęli iść znowu razem na ulicy wioskowej. Milczeli. Dopiero po wyjściu z wioski doktor odezwał się

- już bez zawziętości.

- Powinienem był wiedzieć, proszę księdza, że nie zagnę tak dobrego szachisty. Brawo! Jestem zdumiony, że ksiądz mnie nie pobił moją własną uwagą o tych akuszerkach. Gdybym miał w tej nieszczęsnej wsi jakąś pielęgniarkę, ona przecież byłaby przeszkolona w misji.

Carmody popatrzył na niego. Już nie był rozgniewany; wzruszenie, które zdławiał po śmierci Pao Czu, znalazło ujście i minęło.

- Sam mógłbym dać się zagiąć, panie doktorze. Ostatecznie te pielęgniarki uczą się pod pana kierunkiem. Pana udział w tej pracy misyjnej, o jakiej mówiłem, jest bardzo duży.

To było zawieszenie broni i David Sigman tak to zrozumiał. Zachichotał cicho.

- Żałuję, że ksiądz nie jest metodystą. Chciałbym usłyszeć kazanie księdza o ogniu i siarce piekieł. Przez chwilę czułem zapach siarki. - Powiedział to wesoło, ale

patrzył tak, jakby coś obmyślał, -y Ja też mam wezwania do chorych - powiedział. -  
Idę teraz na tamten brzeg rzeki. Nie sądzę, żeby ksiądz zechciał pójść ze mną. Ten  
chory to nie katolik.

Carmody spojrzął za rzekę. Na szczycie porosłego drzewami wzgórza była jakaś  
świątynia, dach z czerwonych dachówek wznosił się strzeliście nad lasem.

- Chętnie pójdę, jeżeli nie będę panu przeszkadzał.
- Nie będzie mi ksiądz przeszkadzał.

Dave Sigman wydłużył krok i narzucił szybkie tempo na wąskim moście. Nucił pod  
nosem. Za mostem u stóp wzgórza ściągnął na siebie pasek. Oczu już nie miał  
matowych i twarz mu lśniła od potu.

12 — Lewa ręka Boga

177

- Oto, jak dbam o kondycję, kiedy nie mogę grać w golfa - powiedział.  
Prędko szedł ścieżką - ociążały, barczysty, w popielatej marynarce, którą pot znaczył  
na plecach ciemną smugą. Wokoło kwitło mnóstwo kwiatów, ale mniejszych niż po  
misyjnej stronie rzeki i na smuklejszych łądogach - kwiatów bardzo jaskrawych.  
Świątynia stała wśród drzew i wyglądała na opuszczoną. Doktor zatrzymał się i  
chustką do nosa wytarł spocone dłonie. . ""

- Zapomniałem księdzu powiedzieć - rzekł wesoło. - Ten chory to trędowaty.
- Trędowaty!

Zgroza ogarnęła Carmody'ego i zabrzmiała w jego głosie. Dave Sigman schował  
chustkę do kieszeni. W oczach miał błyski.

- To nie jest przyjemne - rzekł. - Nie ma oczywiście powodu, dla którego ksiądz  
miałby tam wejść. Jak już księdzu mówiłem, on nie jest katolikiem. To kapłan taoista.  
W tym głosie, w tym tonie gładkim i grzecznym znów czaiło się coś wyzywającego.  
Lekarz chodzi do chorych bez względu na ich wyznanie, ksiądz chodzi tylko do  
swoich owieczek. Carmody wzruszył ramionami.

- Proszę, doktorze - powiedział. - Idę za panem.
- Trąd jest dosyć wstrętny, proszę księdza.
- Tak słyszałem.

Dave Sigman uśmiechnął się i skręcił ze ścieżki na wąski zarośnięty szlak. Świątynia była dużym, mocnym budynkiem z cegły wypalanej w słońcu, większym niż kościół misji. Ziało z niej jednak opuszczeniem i martwością; zduszony roślinnością szlak prowadził na tyły, do jej skrzydła krytego dachem prawie sięgającym ziemi. Z drzwi wyjrzał wysoki człowiek o podłużnej głowie i mizernej twarzy. Miał na sobie brązową szatę z jakiegoś szorstkiego materiału, przypominającego surowe płótno, i sandały na nogach. Złożył ukłon doktorowi, obojętnie popatrzył na Carmody'ego i cofnął się od drzwi.

Krótki kamienny korytarz prowadził do chłodnego półmrocznego pokoju, gdzie światło przenikało tylko przez dwa wąskie otwory wysoko w ścianie. Pokój był bardzo czysty, podłoga zamieciona, ale odór buchał nieznośny. Dave Sigman podszedł do łóżka, Jim Carmody stanął obok "iego.

178

- Oto, jak dbam o kondycję, kiedy nie mogę grać w golfa - powiedział.  
Prędko szedł ścieżką - ocieślały, barczyste, w popielatej marynarce, którą pot znać na plecach ciemną smugą. Wokoło kwitło mnóstwo kwiatów, ale mniejszych niż po misyjnej stronie rzeki i na smuklejszych łądkach - kwiatów bardzo jaskrawych. Świątynia stała wśród drzew i wyglądała na opuszczoną. Doktor zatrzymał się i chustką do nosa wytarł spocone dłonie.

- Zapomniałem księdzu powiedzieć - rzekł wesoło. - Ten chory to trędowaty.  
- Trędowaty!

Zgroza ogarnęła Carmody'ego i zabrzmiała w jego głosie. Dave Sigman schował chustkę do kieszeni. W oczach miał błyski.

- To nie jest przyjemne - rzekł. - Nie ma oczywiście powodu, dla którego ksiądz miałby tam wejść. Jak już księdzu mówiłem, on nie jest katolikiem. To kapłan taoista. W tym głosie, w tym tonie gładkim i grzecznym znów czaiło się coś wyzywającego. Lekarz chodzi do chorych bez względu na ich wyznanie, ksiądz chodzi tylko do swoich owieczek. Carmody wzruszył ramionami.

- Proszę, doktorze - powiedział. - Idę za panem.  
- Trąd jest dosyć wstrętny, proszę księdza.



- Tak słyszałem.

Dave Sigman uśmiechnął się i skręcił ze ścieżki na wąski zarośnięty szlak. Świątynia była dużym, mocnym budynkiem z cegły wypalanej w słońcu, większym niż kościół misji. Ziało z niej jednak opuszczeniem i martwością; zduszony roślinnością szlak prowadził na tyły, do jej skrzydła krytego dachem prawie sięgającym ziemi. Z drzwi wyrzwał wysoki człowiek o podłużnej głowie i mizernej twarzy. Miał na sobie brązową szatę z jakiegoś szorstkiego materiału, przypominającego surowe płótno, i sandały na nogach. Złożył ukłon doktorowi, obojętnie popatrzył na Carmody'ego i cofnął się od drzwi.

Krótki kamienny korytarz prowadził do chłodnego półmrocznego pokoju, gdzie światło przenikało tylko przez dwa wąskie otwory wysoko w ścianie. Pokój był bardzo czysty, podłoga zamieciona, ale odór buchał nieznośny. Dave Sigman podszedł do łóżka, Jim Carmody stanął obok "lego.

178

Człowiek, który leżał w łóżku pod szarym kocem, miał całą twarz oprócz oczu zasłoniętą białym płótnem. Może nawet już nie twarz, bo płótno leżało prawie płasko i nie zaznaczały się żadne kontury tam, gdzie powinny być kości policzkowe, nos, podbródek. Ale oczy były pełne życia. Dave Sigman wyjął z celofanowej koperty parę gumowych rękawiczek i nasunął je na ręce.

- Jak bóle? - zapytał.

Te oczy popatrzyły na mnicha w brązowej szacie. Mnich pochylił się, jak gdyby czytając ich polecenie, i odpowiedział doktorowi.

- On mówi, że nie ma dużych bólów.

- Byłyby duże, gdyby nie zażywał tych tabletek. Dzisiaj też mu je przyniosłem.

Mnich znowu pochylił się i wyprostował.

- On dziękuje panu za tabletki.

Doktor Sigman odwrócił się do Carmody'ego.

- Niefortunne powikłania - powiedział. - Nerki i pęcherz. Strasznie bolesne. -

Spojrzał na mnicha. - Jak często używacie kateteru?

- Bardzo często.

Doktor Sigman nie mówił po chińsku dobrze, ale ten mnich w brązowej szacie jakoś dziwnie się skupiał. Raczej odgadywał znaczenie słów, niż rozumiał rzeczywiście poszczególne słowa. I albo czytał nieproste przecież odpowiedzi chorego z jego oczu, albo może znał go przedziwnie dobrze. Po takim przekazaniu jeszcze jednej odpowiedzi nagle złożył ukłon Carmody'emu.

- On pyta, czy jesteś kapłanem Chrystusa?

- Jestem.

- On mówi, żeby ci powiedzieć, że to Chrystus zesłał na niego tę chorobę, kiedy misja Chrystusa tu przybyła i ludzie opuścili jego świątynię. On mówi, że nie czuje z tego powodu nienawiści do Chrystusa, ale uważa, że to nie powinno być zesłane na niego.

Doktor Sigman tymczasem podniósł szary koc i teraz badał chorego. Zaduch w pokoju był okropny, przyprawiający o mdłości. Carmody wprost nie mógł oddychać. Nie patrzył, co robi doktor. Napotkał spojrzenie oczu znad białej maski.

179

r

- Chrystus nie zesłał na ciebie trądu - powiedział stanowczo.

Oczy zwróciły się do mnicha. Mnich przekazał:

- On pyta, skąd wiesz o tym, skoro to się stało, zanim tu przybyłeś.

- Wiem. I powiem, dlaczego.

Stojąc przy tym łóżku Carmody nie był wcale zakłopotany, nie uważał się za szalbierza. Patrzył w te umęczone oczy i zaczął opowiadać o dziesięciu trędowatych w pewnym miasteczku w Samarii czy w Galilei i o tym, jak Jezus oczyścił ich z choroby, i o tym, jak jeden z tych dziesięciu wrócił, żeby wyrazić wdzięczność. Przez cały ten czas oczy nie odrywały się od jego twarzy. Potem, gdy już skończył mówić, patrzyły długo w oczy mnicha. Mnich złożył ukłon.

- On mówi - przekazał Carmody'emu - że to dobra opowieść. Dziękuję ci za to.

Rad jest, że to nie Chrystus zesłał na niego tę chorobę. Ale nie chce być z choroby oczyszczony przez Chrystusa. Mówi, że nauczysz się czegoś dużo wartego dla ciebie, jeżeli poczytasz Lao-tse, bo Lao-tse pokazuje prawdę.

Carmody złożył ukłon mnichowi, a potem trędowatemu.

- Przykro mi, że jesteś chory - powiedział - i że nie znałem cię, zanim zachorowałeś.

Doktor już położył szary koc z powrotem i schował gumowe rękawiczki do innej celofanowej torebki, wyjętej z kieszeni. Powiedział coś trędowatemu wesoło i dał pudełeczko tabletek mnichowi, który mu podziękował ukłonem. Gdy Carmody wychodził z pokoju, mnich zatrzymał go i szepnął:

- On mówi, że wkrótce umrze. Doktor jest bardzo dobry. Oddaj to doktorowi, proszę.

Carmody wziął dwa małe zawiniątka. Dave Sigman już oddychał głęboko na świeżym powietrzu. To powietrze było tak świeże i tak czyste, że Carmody czuł zawrót głowy przez dobrych parę minut. Schodził ze wzgórza z doktorem, najpierw szlakiem, potem tą szerszą ścieżką. Pokój trędowatego z całą swoją grozą i zaduchem, z tym czytaniem myśli i uprzejmymi zdaniem był jak sen, z którego on powoli się budził. Doktor szedł w swoim własnym transie. Powiedział łagodnie, wcale nie złośliwie:

- Ksiądz stoi na wysokości zadania. Nie żałuję, że zabrałem  
180

księdza ze sobą. Ale wydaje mi się, że kiedy wasze dwie religie tam się zderzyły, ksiądz nie wygrał.

- Możliwe. Niełatwo jest wygrać z człowiekiem, który umiera. Co wtedy jest do wygrania?

- Musiałbym się nad tym zastanowić. Hmm... Można śmierć uczynić łatwiejszą do przyjęcia.

- Nie każdy chce tego. Pan przegrał bitwę, doktorze.

Carmody wręczył doktorowi te dwa zawiniątka w białym płótnie. Najwidoczniej zawierały one wszystkie środki uśmierzające ból, które doktor kiedykolwiek przynosił trędowatemu. Dave Sigman popatrzył na nie i zaklął pod nosem. Carmody nie odczuwał triumfu: po prostu patrzył na bardzo interesujący, dramatyczny fakt.

- On jest kapłanem swojej religii, panie doktorze - powiedział - i zaakceptował swoje cierpienia. Nie pozwoliliby nikomu zabrać ich sobie.

- To głupie.

- Być może. Ale wspaniałe.

Szli ulicą wioski. Dave Sigman pokiwał wolno swą dużą głową.

- Tak, to jest wspaniałe.

Droga wyciągała się przed nimi i słońce już opadło za góry. Nadeszła owa godzina pomiędzy światłem dnia i światłem lampy, a oni musieli przejść jeszcze dwie i pół mili do bramy misji. Połączyło ich wobec tych mil jakieś koleżeństwo.

- Sądziłem, że pana nie lubię, doktorze - powiedział Carmody. - Myliłem się. Dzięki panu staję się bardzo dobrym katolikiem.

Doktor Sigman uznał to za żart, dosyć stosowny ze strony księdza. Roześmiał się i basowe buczenie jego śmiechu odbiło się echem od ciemniejących wzgórz.

- Ja lubię księdza także i miło mi, że ksiądz poprzestaje na nawracaniu siebie samego, nie próbując nawracać mnie. Szkoda, że ksiądz nie pije. Bardzo bym chciał upić się z księdzem.

Carmody odpowiedział uśmiechem. Chętnie by się upił z Dave'em Sigmanem, ale na to pozwolić sobie nie mógł. Ramię w ramię szli drogą i światła w domach na zboczach wzgórz już migotały jak robaczki świętojańskie, zanim doszli do misji. To był dzień wart zapamiętania.

181

9

Deszcz znów zaczął padać. Przez tydzień padał bez przerwy, rzeka wezbrała i ryczała groźnie. Wieczorem siódmego dnia Dave i Beryl Sigman siedzieli sami w swoim mrocznym saloniku - doktor wyciągnięty w wielkim leniwcu, ze szklanką whisky z lodem w ręce. Daleko na jednym ze wzgórz ponad wioską numer trzy dzwon w niskiej tonacji obwieszczał żałobę. Jego dźwięki dolatywały słabe, przytłumione do tego cichego pokoju. Dave Sigman zakołysał szklanką, aż kostka lodu szczęknęła.

- Utraciłem pacjenta - powiedział.

- Kogo?

- Nie znałaś go. Trędowaty.
- Trędowaty?
- Tak. Dostać się z nim zaprzyjaźniłem.
- Cóż znaczy trochę trądu pomiędzy przyjaciółmi.
- Niewiele. Niełatwo się tym zarazić. W każdym razie on umarł. Jemu bije ten dzwon.
- Dobrze dla niego. Powinny być orkiestry dęte, kiedy trędowaty umiera.
- Być może. Ale ten dzwon ma lepsze brzmienie. Tak czy inaczej, on jest moim drugim pacjentem zmarłym dzisiaj. Słyszałaś o tych dwóch tragarzach, którzy spadli z górskiej drogi?

Beryl przytaknęła.

- Przez cały dzień pracowałam dziś w sierocińcu, ale coś słyszałam.
- Jeżeli słyszałaś coś, to słyszałaś wszystko. Poza tym, że umarł nie ten właściwy.

Beryl podkulila nogi pod siebie.

- Jak to? - zapytała.
- Tak to, że miał nietypowe podroby. - Doktor Sigman żałośnie potrząsnął głową. - Szkoda, że nie wiedziałem o nim przedtem. Gdybym mógł wziąć go na obserwację, uwieczniłbym to na papierze. Ten małpizson miał nie tylko serce z prawej strony, ale w dodatku odwrócony żołądek. Wyobrażasz sobie, jak niewiele jest szans na takie połączenie.

Beryl uśmiechnęła się.

- Masowa produkcja, Dave. Z pewnością tę anomalię

182

jeszcze można tu gdzieś znaleźć. Co z drugim tragarzem?

- Normalny chiński organizm. Nic ciekawego. Potłukł się jednak dosyć fatalnie. Przez całą godzinę miałem go na stole.

Zainteresowanie Beryl nie było duże. Dave rzadko mówił o pacjentach. Więc gdy już mówił, uważała, że powinna udawać, że interesuje się żywo, ale jakiś głębszy instynkt szeptał jej, że należy umożliwić Dave'owi w tej spokojnej godzinie ucieczkę

od dnia pracy, i to całkowitą. W ten wieczór najwyraźniej nie potrafił uciec. Znów nalał sobie whisky do szklanki i znużony usiadł z powrotem.

- Szkoda, że O'Shea nie chce pić - powiedział smętnie.

- Ten chłopak po prostu nie umie się odprężyć. Biega po deszczu przez cały tydzień na byle głupie wezwanie i chudnie. Pracuje intensywniej niż ksiądz Coleman. A Colemana także ostrzegałem.

Beryl patrzyła na niego w zadumie. Dave ostrzegał wszystkich, tylko nie siebie.

Gdyby komuś innemu w jego wieku przybywało na wadze tak jak jemu, narobiłby wściekle dużo hałasu. Zrozumiały jednak, dlaczego tyje. Smutek, leżący u podstaw jego pracy tutaj, sprawia, że dla odprężenia pobłaża swoim słabostkom, żeby nie myśleć o sytuacjach, których rozwiązanie przekracza jego możliwości. Jednak jest z nim lepiej ostatnio, bo więcej ma do roboty. Nie chciała mu swoimi uwagami utrudniać wszystkiego jeszcze bardziej.

- Ta troska o księdza O'Shea to coś nowego - rzekła.

- Nigdy bym nie przypuszczała. Myślałam, że go nie lubisz.

- Nie lubiłem. Mogłem przecież się mylić. On robi to, co ma robić.

- I bije od niego sex appeal na dokładkę. Czysty i prawdziwy samczy magnetyzm.

- To mu nic nie daje.

- Wiem. Czy też może nie wiem. Zależy, co on chce zdziałać, Dave. Dlaczego musi żyć w celibacie?

- Dlatego, że jest księdzem. Jedną z zasad, na których opiera się Kościół katolicki. Wszystko albo nic, i Kościół oczywiście idzie na całość, konsekwentny co do joty pod tym względem: małżeństwo nierozzerwalne; rozwód, choćby wszystko nie grało, wykluczony. Seks tylko z myślą o potomstwie...

183

- Wiem. Niejedno z tego ma swój sens, to trzeba przyznać, nawet jeżeli nie jest się katolikiem. Ale kiedy myślę o celibacie, ciarki mnie przechodzą, Dave. Zupełnie jak tygrys w klatce. Wiesz, celibat jest klatką tygrysa, ponieważ księża są mężczyznami.

Doktor Sigman parsknął śmiechem.

- Ja sam nie pochwalam celibatu na płaszczyźnie fizycznej. Ale nie podpiszę się pod tą twoją koncepcją z tygrysem. To czysta próżność kobieca.

- Nie rozumiem.

- Większość kobiecych pojęć o seksie wynika z próżności. Do diabła, Beryl, ksiądz jest na to przygotowany. Nie wchodzi w to ślepo. Ma swoje rekompensaty, może nie takie, jakie ja bym sobie cenił, niemniej rekompensaty. I może się skupić wyłącznie na swojej pracy. O'Shea przyjechał tutaj nie obciążony zadaniem pocieszania kobiety, że życie w misji nie jest takie złe i że ostatecznie można żyć na tym zadupiu. O'Shea nie musi się martwić, jak dawać sobie radę z tobą i Scotty. On nie ma nic na głowie poza swoim katolickim duszpasterstwem. To już cholernie dobrze. On wie o tym.

- Mówiłeś o kobiecej próżności. Po co ta dygresja?

Dave Sigman uśmiechnął się.

- Tygrysy spacerujące w klatkach, które ty widzisz, to próżność, kochanie. Wszystkie kobiety je widzą, niekoniecznie w klatkach celibatu. Na ogół biedny cholerny tygrys tak spaceruje, bo lubi swoją klatkę albo po prostu chce nabrać apetytu na obiad. Czy też może łapa mu zdrętwiała.

Beryl wzruszyła ramionami.

- Mężczyźni sami siebie oszukują - powiedziała. - Ręczę, że ksiądz O'Shea przeżywa trudne chwile. Za dużo ma w sobie nie z księdza.

- Nie twoja sprawa ani nie moja. Mnie złości tylko to, że on nie dba o swoje zdrowie. - Dave Sigman wypił whisky. - On wyłapuje dusze tak samo jak przedtem ksiądz Coleman. Nurkuje po każde ziarnko piasku, jakie spada na dno rzeki. Do diabła! Przecież ten kraj to ogromna farma hodowlana, wyrzuca ludzi w strumień życia prędzej, niż można ich zliczyć. Ludzi z duszami na dokładkę, jeżeli ktoś woli tak to widzieć. Nikt nie zdoła wyłapać ich wszystkich,

184

ale w każdej chwili dzisiaj, w przyszłym tygodniu czy w przyszłym roku O'Shea może raz po raz zanurzać swoje wiadro w tym strumieniu i wydobywać tyle piasku,

ile tylko zechce czy też zdoła udźwignąć. Więc doprawdy nie musi się zabijać dziś ani w tym tygodniu. Te dostawy są niewyczerpane. Ale czyż ja mogę mu to powiedzieć?

Beryl popijała whisky wolno. Lubiła burzliwe nastroje Dave'a, ponieważ mu służyły - uwalniały go od napięcia, od koncentracji, jakiej wymagała jego praca. Była jednak zaintrygowana tą nagłą troską o księdza O'Shea, tym zainteresowaniem dosyć późno zbudzonym i - w jej przekonaniu - nieproporcjonalnym. Spokojnie przerwała Dave'owi ciskanie gromów.

- Mówiłeś, że miałeś jakiegoś połamanego tragarza na stole operacyjnym przez godzinę. Nie dokończyłeś mi... Będzie ten tragarz żył?

Teraz Dave Sigman wzruszył ramionami.

- Oczywiście! Dostałem go jeszcze w porę.

Beryl uśmiechnęła się.

- Ale to mnóstwo fatygi - powiedziała. - Poświęcenie całej godziny na operację jednego Chińczyka! Dlaczego to robisz, jeżeli za sekundę urodzi się nowy Chińczyk? Doktor Sigman popatrzył na nią przez pokój, zrazu wojowniczo, a potem już mniej wojowniczo. Uśmiechnął się powoli.

- Dobrze, wygrałaś. On także jest ziarnkiem piasku.

Beryl już zwalczyła własny nastrój. Uspokojona wypila resztę whisky duszkiem i wyprostowała podkulone nogi. Była kobietą uródną do życia w Nowym Jorku, kobietą, która szalenie lubiła małe cocktail-bary, ekskluzywne pokazy mód, eleganckie suknie i tych, którzy na suknie zwracają uwagę, lubiła pewność jutra i możliwość okazywania takiej odrobiny kobiecej arogancji, do jakiej uprawnia kobietę szczęśliwy związek małżeński z zamożnym, wziętym, utalentowanym chirurgiem. Właśnie to wszystko miała przez wiele lat! Podparła podbródek stulonymi dłońmi.

- O co nam chodzi, Dave? - zapytała cicho.

- Nie wiem. - Dave Sigman patrzył w szklanekę. Potrafił dobrze odbierać nastroje Beryl, a swoje fajerwerki już wystrzelił. - O'Shea powinien znać odpowiedź na to. Sądzę jednak, że nie zna. Robimy to, co musimy robić.



- Kto nas zmusza?

Znowu wzruszył ramionami. W oczach miał zadumę.

- Człowiek jest niewolnikiem okoliczności. Ujmijmy to w taki sposób: ludzi głupich, tych bezmyślnych, trzyma w niewoli ich własny brak logiki. Każdy potrafi to zobaczyć. - Napotkał wzrok Beryl i ona przytaknęła. - A więc człowiek stara się rozwinąć umysł i zdolność inteligentnego kierowania swoim postępowaniem I co się dzieje? Rozwijamy w sobie przy okazji również poczucie odpowiedzialności, chociaż o odpowiedzialności nie myśleliśmy wcale. A właśnie poczucie odpowiedzialności bierze nas do niewoli... w której nieraz musimy służyć tym głupcom, tym bezmyślnym.

Rozłożył ręce jak gdyby zaznaczając, że do tego właśnie wszystko się sprowadza?, ale jednocześnie swym leniwym uśmiechem zdrwił z tak nieporadnego uproszczenia tej sprawy.

Beryl zapaliła papierosa i długo w zadumie potrząsała zgaszoną już zapalką.

- Jest jeszcze coś, Dave, tylko że ja nie wiem, co to. Może jakiś wspólny cel, któremu musimy służyć, czy chcemy, czy nie chcemy. - Potrząsnęła papierosem tak niecierpliwie jak przedtem zapalką. - Do diabła! Że też zaczęliśmy snuć takie refleksje. To chyba przez ten deszcz...

- Możliwe, że przez ten deszcz. Pamiętasz... to jakaś sztuka Maughama. Deszcz lał tak cholernie, że kaznodzieja uganiał się za pewną kurewką po całej wyspie.

- Nie sądzę, żeby po wyspie. W pensjonacie, o ile sobie przypominam. Ale nieważne! Nasz kaznodzieja nie ugania się za dziewczynami, czy deszcz leje, czy nie leje. Nadal jednak uważam, że on przeżywa trudne chwile.

Dave Sigman pokręcił głową. Był pełnokrwistym, zmysłowym mężczyzną bez pretensji do uduchowienia czy bodaj do głębszego zainteresowania się religią, a jednak wymagał od ludzi, żeby dorastali do etykietek, jakie na sobie noszą. Potrafił tolerować, nawet przyjmować zupełnie obojętnie występki, sprawiające, że ludzie przychodzili do niego na leczenie, ale też potrafił być nieubłagany dla tych, którzy nie wypełniali swoich obowiązków. Uznawał fakt, że postępowaniem duchownych

katolickich rządzą surowe przepisy, łącznie

186

- Kto nas zmusza?

Znowu wzruszył ramionami. W oczach miał zadumę.

- Człowiek jest niewolnikiem okoliczności. Ujmijmy to w taki sposób: ludzi głupich, tych bezmyślnych, trzyma w niewoli ich własny brak logiki. Każdy potrafi to zobaczyć. - Napotkał wzrok Beryl i ona przytaknęła. - A więc człowiek stara się rozwinąć umysł i zdolność inteligentnego kierowania swoim postępowaniem I co się dzieje? Rozwijamy w sobie przy okazji również poczucie odpowiedzialności, chociaż o odpowiedzialności nie myśleliśmy wcale. A właśnie poczucie odpowiedzialności bierze nas do niewoli... w której nieraz musimy służyć tym głupcom, tym bezmyślnym.

Rozłożył ręce jak gdjdy zaznaczając, że do tego właśnie wszystko się sprowadza?, ale jednocześnie swym leniwym uśmiechem zdrwił z tak nieporadnego uproszczenia tej sprawy.

Beryl zapaliła papierosa i długo w zadumie potrząsała zgaszoną już zapalką.

- Jest jeszcze coś, Dave, tylko że ja nie wiem, co to. Może jakiś wspólny cel, któremu musimy służyć, czy chcemy, czy nie chcemy. - Potrząsnęła papierosem tak niecierpliwie jak przedtem zapalką. - Do diabła! Że też zaczęliśmy snuć takie refleksje. To chyba przez ten deszcz...

- Możliwe, że przez ten deszcz. Pamiętasz... to jakaś sztuka Maughama. Deszcz lał tak cholernie, że kaznodzieja uganiał się za pewną kurewką po całej wyspie.

- Nie sędzę, żeby po wyspie. W pensjonacie, o ile sobie przypominam. Ale nieważne! Nasz kaznodzieja nie ugania się za dziewczynami, czy deszcz leje, czy nie leje. Nadal jednak uważam, że on przeżywa trudne chwile.

Dave Sigman pokręcił głową. Był pełnokrwistym, zmysłowym mężczyzną bez pretensji do uduchowienia czy bodaj do głębszego zainteresowania się religią, a jednak wymagał od ludzi, żeby dorastali do etykietek, jakie na sobie noszą. Potrafił tolerować, nawet przyjmować zupełnie obojętnie występki, sprawiające, że ludzie przychodzili do niego na leczenie, ale też potrafił być nieubłagany dla tych, którzy

nie wypełniali swoich obowiązków. Uznawał fakt, że postępowaniem duchownych katolickich rządzą surowe przepisy, łącznie

186

z nakazem celibatu, i tym samym oczekiwał ze strony tych duchownych pełnej akceptacji przepisów - dla nich przecież wprowadzonych. On by sobie nie pozwolił na taką uwagę, jaką wygłosiła Beryl; nawet przez myśl by mu to nie przeszło.

Beryl znała go, zrozumiała więc, dlaczego teraz kręcił głową.

- Moim zdaniem Anne powinna wrócić do kraju - powiedziała. - Już za długo jest tutaj.

- W ogóle nie powinna była tu przyjeżdżać. Ale co z nią? Wydaje mi się, że wszystko w porządku.

- Owszem. Fizycznie! Tylko psychicznie jest skotłowana bardziej, niż sama przypuszcza, nic poza tym. Robi z księdza O'Shea bohatera. Nawet nie wie, że wciąż mówi o nim. To ją dosyć odkrywa, Dave.

Dave Sigman zaklął cicho. Nalał sobie znowu whisky do szklanki, starannie dozując.

- Niezły pasztet - powiedział. - Potrząśnij nią trochę. Potrafisz to zrobić lepiej niż ja.

- Nie jej wina, Dave. Jak ci powiedziałam, ten człowiek ma w sobie wiele z samca. Pociąga ją, ale rozum jej wie, że on jest księdzem, i nie akceptuje tego pociągu fizycznego. Więc biedna Anne głupieje, bo jej mózg składa sprzeczne meldunki.

- Kobiety! - Dave Sigman machnięciem ręki wyraził, jaka to beznadziejność. - Dobrze. Ona jest świetną pielęgniarką, ale nie możemy dopuścić, żeby w Chinach dostała bzika. Odeślemy ją do kraju, kiedy tylko będą przejeżdżali kupcy.

- Uważam, że powinniśmy.

Oboje umilkli, patrząc na siebie. Oboje myśleli, że „do kraju” to magiczne dwa słowa, które znaczą Stany Zjednoczone, znaczą Nowy Jork. Jeszcze trzynaście miesięcy pozostaje im do odsłużenia, a każdy rok tutaj jest długi. Beryl przygryzła wargę.

- Poczucie odpowiedzialności trzyma nas w niewoli u tych głupich i

bezmyślnych, zaiste! - powiedziała. - Może i my dostaniemy bzika.

Doktor Sigman odstawił szklanę na stolik, już się nie interesując whisky. Głos miał zachrypnięty.

- Będiesz tutaj tak długo jak ja - powiedział - i nie dostaniemy bzika. Miałem nadzieję, że zamkną tę misję. No

187

cóż, nie zamkną. Czy szanowałabyś mnie, gdybym poprosił o zwolnienie?

Wstał z fotela, gdy zadał to pytanie. Beryl zobaczyła, jak idzie do niej przez pokój, i wstała, wyszła mu na spotkanie.

- Nie, Dave - odrzekła.

Znalazła się w jego objęciach i popłakała trochę, ale jej ręka oparta o to mięsiste ramię nie drżała. Nie ogolony zarost drapał ją w policzek.

10

Deszcz przestał padać o godzinie pół do ósmej tegoż wieczora. Wiatr z wysoka, wiejąc poprzez szczyt Góry Dwoch Sióstr, rozplątał grube skłębione chmury i rozrzucił je po zaczynającym wypogadzać się niebie. Księżyc wyjrzał po raz pierwszy od tygodnia i wydawało się, że pędzi z tą kawalerią chmur, ukazując się spoza nich i świecąc przez chwilę, a potem za nimi znikając, żeby wynurzyć się znowu w złudzie szybkiego ruchu. Poniżej dolinę, nie tkniętą tym gwałtownym troposferycznym wiatrem, spowijała cisza i okna budynków misji jaśniały już nie pośród mgły.

Jim Carmody szedł ze szpitala do swojej kwatery. Tragarz po wielu dokonanych rano przez doktora Sigmana trudnych zabiegach odzyskał przytomność, ale Carmody wolałby, żeby tak nie było. „Jutro”, o którym Chińczyk myśli rzadko, zawisło nad łóżkiem tego człowieka i nieborak bardziej martwił się o te miseczki ryżu nie wiedząc, jak zarobi na nie, niż o swoją duszę. To był tragarz umiejący tylko nosić ciężkie ładunki po górskich szlakach, nie zaprawiony do żadnej innej pracy. Tym razem ładunek spadł z nim razem ze zbocza góry, przywalił go na dole i definitywnie położył kres pracy tragarza, ale życie przecież w nim zostało.

Rozwiązania tego problemu Carmody nie mógł znaleźć.

Przystanął na dziedzińcu uświadamiając sobie, że niebo jest ogromne, zapach mokrej ziemi jest miły, a powietrze bardzo czyste. Dziwnym uczuciem wyzwolenia napawało to, że deszcz już nie leje, że znów widać Górę Dwoch Sióstr po drugiej stronie rzeki i że na niebie świeci księżyc i gdzienie-

188

cóż, nie zamkną. Czy szanowałabyś mnie, gdybym poprosił o zwolnienie?

Wstał z fotela, gdy zadał to pytanie. Beryl zobaczyła, jak idzie do niej przez pokój, i wstała, wyszła mu na spotkanie.

- Nie, Dave - odrzekła.

Znalazła się w jego objęciach i popłakała trochę, ale jej ręka oparta o to mięsiste ramię nie drżała. Nie ogolony zarost drapał ją w policzek.

Deszcz przestał padać o godzinie pół do ósmej tegoż wieczora. Wiatr z wysoka, wiejąc poprzez szczyt Góry Dwoch Sióstr, rozplątał grube skłębione chmury i rozrzucił je po zaczynającym wypogadzać się niebie. Księżyc wyjrzał po raz pierwszy od tygodnia i wydawało się, że pędzi z tą kawalerią chmur, ukazując się spoza nich i świecąc przez chwilę, a potem za nimi znikając, żeby wynurzyć się znowu w złudzie szybkiego ruchu. Poniżej dolinę, nie tkniętą tym gwałtownym troposferycznym wiatrem, spowijała cisza i okna budynków misji jaśniały już nie pośród mgły.

Jim Carmody szedł ze szpitala do swojej kwatery. Tragarz po wielu dokonanych rano przez doktora Sigmana trudnych zabiegach odzyskał przytomność, ale Carmody wolałby, żeby tak nie było. „Jutro”, o którym Chińczyk myśli rzadko, zawisło nad łóżkiem tego człowieka i nieborak bardziej martwił się o te miseczki ryżu nie wiedząc, jak zarobi na nie, niż o swoją duszę. To był tragarz umiejący tylko nosić ciężkie ładunki po górskich szlakach, nie zaprawiony do żadnej innej pracy. Tym razem ładunek spadł z nim razem ze zbocza góry, przywalił go na dole i definitywnie położył kres pracy tragarza, ale życie przecież w nim zostało.

Rozwiązania tego problemu Carmody nie mógł znaleźć.

Przystanął na dziedzińcu uświadamiając sobie, że niebo jest ogromne, zapach mokrej

ziemi jest miły, a powietrze bardzo czyste. Dziwnym uczuciem wyzwolenia napawało to, że deszcz już nie leje, że znów widać Górę Dwoch Sióstr po drugiej stronie rzeki i że na niebie świeci księżyc i gdzienie-

cóż, nie zamkną. Czy szanowałabyś mnie, gdybym poprosił o zwolnienie?

Wstał z fotela, gdy zadał to pytanie. Beryl zobaczyła, jak idzie do niej przez pokój, i wstała, wyszła mu na spotkanie.

- Nie, Dave - odrzekła.

Znalazła się w jego objęciach i popłakała trochę, ale jej ręka oparta o to mięsiste ramię nie drżała. Nie ogolony zarost drapał ją w policzek.

Deszcz przestał padać o godzinie pół do ósmej tegoż wieczora. Wiatr z wysoka, wiejąc poprzez szczyt Góry Dwoch Sióstr, rozplątał grube skłębione chmury i rozrzucił je po zaczynającym wypogadzać się niebie. Księżyc wyjrzał po raz pierwszy od tygodnia i wydawało się, że pędzi z tą kawalerią chmur, ukazując się spoza nich i świecąc przez chwilę, a potem za nimi znikając, żeby wynurzyć się znowu w złudzie szybkiego ruchu. Poniżej dolinę, nie tkniętą tym gwałtownym troposferycznym wiatrem, spowijała cisza i okna budynków misji jaśniały już nie pośród mgły.

Jim Carmody szedł ze szpitala do swojej kwatery. Tragarz po wielu dokonanych rano przez doktora Sigmana trudnych zabiegach odzyskał przytomność, ale Carmody wolałby, żeby tak nie było. „Jutro”, o którym Chińczyk myśli rzadko, zawisło nad łóżkiem tego człowieka i nieborak bardziej martwił się o te miseczki ryżu nie wiedząc, jak zarobi na nie, niż o swoją duszę. To był tragarz umiejący tylko nosić ciężkie ładunki po górskich szlakach, nie zaprawiony do żadnej innej pracy. Tym razem ładunek spadł z nim razem ze zbocza góry, przywalił go na dole i definitywnie położył kres pracy tragarza, ale życie przecież w nim zostało.

Rozwiązania tego problemu Carmody nie mógł znaleźć.

Przystanął na dziedzińcu uświadamiając sobie, że niebo jest ogromne, zapach mokrej ziemi jest miły, a powietrze bardzo czyste. Dziwnym uczuciem wyzwolenia napawało to, że deszcz już nie leje, że znów widać Górę Dwoch Sióstr po drugiej

stronie rzeki i że na niebie świeci księżyc i gdzienie-

cóż, nie zamkną. Czy szanowałabyś mnie, gdybym poprosił o zwolnienie?

Wstał z fotela, gdy zadał to pytanie. Beryl zobaczyła, jak idzie do niej przez pokój, i wstała, wyszła mu na spotkanie.

- Nie, Dave - odrzekła.

Znalazła się w jego objęciach i popłakała trochę, ale jej ręka oparta o to mięsiste ramię nie drżała. Nie ogolony zarost drapał ją w policzek.

Deszcz przestał padać o godzinie pół do ósmej tegoż wieczora. Wiatr z wysoka, wiejąc poprzez szczyt Góry Dwóch Sióstr, rozplątał grube skłębione chmury i rozrzucił je po zaczynającym wypogadzać się niebie. Księżyc wyjrzał po raz pierwszy od tygodnia i wydawało się, że pędzi z tą kawalerią chmur, ukazując się spoza nich i świecąc przez chwilę, a potem za nimi znikając, żeby wynurzyć się znowu w złudzie szybkiego ruchu. Poniżej dolinę, nie tkniętą tym gwałtownym troposferycznym wiatrem, spowijała cisza i okna budynków misji jaśniały już nie pośród mgły.

Jim Carmody szedł ze szpitala do swojej kwatery. Tragarz po wielu dokonanych rano przez doktora Sigmana trudnych zabiegach odzyskał przytomność, ale Carmody wolałby, żeby tak nie było. „Jutro”, o którym Chińczyk myśli rzadko, zawisło nad łóżkiem tego człowieka i nieborak bardziej martwił się o te miseczki ryżu nie wiedząc, jak zarobi na nie, niż o swoją duszę. To był tragarz umiejący tylko nosić ciężkie ładunki po górskich szlakach, nie zaprawiony do żadnej innej pracy. Tym razem ładunek spadł z nim razem ze zbocza góry, przywalił go na dole i definitywnie położył kres pracy tragarza, ale życie przecież w nim zostało.

Rozwiązania tego problemu Carmody nie mógł znaleźć.

Przystanął na dziedzińcu uświadamiając sobie, że niebo jest ogromne, zapach mokrej ziemi jest miły, a powietrze bardzo czyste. Dziwnym uczuciem wyzwolenia napawało to, że deszcz już nie leje, że znów widać Górę Dwóch Sióstr po drugiej stronie rzeki i że na niebie świeci księżyc i gdzienie-

gdzie są gwiazdy. Oddychał głęboko. Pamiętał, obiecał temu biedakowi w szpitalu pomodlić się za niego, ale jakoś nie chciał myśleć o modlitwie. Był tylko aktorem w widowisku wiary świętej; uważał swoje modły za daremne.

•Doleciały dźwięki dzwonu z opuszczonej świątyni taoistów nad wioską numer trzy. Nadal stał słuchając. Zrozumiał, że trędowaty kapłan już nie żyje. Wolno po chwili ruszył na plebanie.

Ubiegły tydzień był bardzo trudny dla Carmody'ego, ponieważ opętał go nowy diabeł. Odkąd Dave Sigman w drodze powrotnej z wioski numer trzy napomknął lekko

o whisky, Carmody zaczął odczuwać pragnienie. Przypomnił sobie, jak alkohol smakuje, jak rozgrzewa przełyk, a potem żołądek, przypomniał sobie to powolne odprężenie nerwowe

1 mężczyzn, z którymi pił, i mgliście ów nastrój, ową beztroskę. Kiedyś przy whisky śpiewał, wdawał się w długie poważne dyskusje i gdy krążyła mu w żyłach, zapuszczał się do nie znanych barów, tajemniczych zaułków wielkomiejskich. Czasami chorował potem, męczył się przerażająco żałośnie w niejeden skacowany poranek, ale nigdy whisky nie wyzwalała w nim agresywności ani nie wybierała za niego kobiet. W sumie pił dobrze, zwłaszcza szkocką, która mu służyła, więc zapragnął znowu poczuć, jak ona smakuje i kopie, podnieść swoją szklanekę, powiedzieć: Doktorze, na zdrowie!

Prawdopodobnie nie nazywałby Sigmana w takich okolicznościach doktorem, mówiłby „Dave” i czułby się wspaniale, gdyby tylko nie był tym kimś, kim rzekomo jest. W istniejącym stanie rzeczy lepiej jednak o tym nie marzyć. Doktor Sigman to. człowiek bystry, chytry, myślący i zapewne ma mocną głowę. Jim Carmody swobodny, gdy pije, przestałby przecież być księdzem Peterem Johnem O'Shea, ledwie by go ogarnęło ciepło whisky, przyjemna ospałość. Och, wtedy by księdzem Peterem Johnem O'Shea nie był wcale.

Ale pragnął wypić. Wmawiał sobie, że chodzi tylko o jeden duży łyk, cóż, kiedy wiedział swoje. Wiedział, że w żadnym razie nie poprzestanie na jednym, jeżeli już



zacznie. Nigdy nie był pijakiem ani alkoholikiem nawet w klasztorze łamów, gdzie wszystko temu sprzyjało, ale raz już zaczynając pić, pił z zapałem.

189

Wieczorami w ciągu tego tygodnia zastanawiał się, czy nie łyknąć sobie mszalnego wina. Miał je pod swoją kontrolą - dobre wino, obojętne, czemu służy, czekające, żeby je poświęcić albo żeby je wypić. W przyływach przewrotnego dobrego humoru zastanawiał się również, czy nie byłoby zabawnie wypić z Johnem Wongiem. Wprost nie potrafił sobie wyobrazić Johna Wonga pijanego, pełnego radości, sprowadzonego do wymiarów ludzkich. Siedząc nad winem z Johnem Wongiem mógłby tworzyć historię.

Gdy dręczyły go takie myśli, pojmował, że traci wytrzymałość, że brak mu siły, jakiej wymaga praca księdza, i że znów zaczyna być Jimem Carmody. Jedną tylko odpowiedź znajdował dla swego zbuntowanego ciała: obarczał się jeszcze większym nawalem pracy. Był spokój i było piękno mszy porannych, były lekcje katechizmu w sierocińcu, odwiedzanie chorych w wioskach, ciągle studiowanie swojej niedoskonale przecież opanowanej roli, wykłady dla nawróconych, spowiedzi co sobota. I wizyty w szpitalu.

Stał teraz na dziedzińcu misji, gdy żałobne dźwięki dzwonu Tao zęgały trędowatego kapłana. Popatrzył w stronę szkoły misyjnej, budynku, tak jak kościół, z cegły wypalanej w słońcu, i wiedział, że jego rozterki wynikają z czegoś zupełnie innego i że tęsknota do whisky jest po prostu łaknieniem jakiegoś środka znieczulającego, mogącego przytępić głębszą potrzebę, uciszyć ją.

Szkoła, drugi z kolei najstarszy tu budynek misyjny, miała kształt litery U ze swoim małym patio i kiedyś służyła jako plebania, a potem jako pierwszy szpital misji, teraz jednak była szkołą i w jednym jedynym oknie po północnej stronie patio świeciło się. Wiedział, że tam jest Anne Scott. W swój wolny dzisiaj dzień ma lekcję dla młodszych dziewczynek, uczy je obowiązków pomocnicy pielęgniarki. Tydzień pracy tego misyjnego personelu nigdy nie ogranicza się do czterdziestu czterech godzin. Spojrzał na zegarek.

Anne skończy tę lekcję za dziesięć minut. Poczul idiotyczną chęć zobaczenia jej,

posłuchania jej głosu, porozmawiania z nią. Działy uroki tego wieczornego świata obmytego deszczem, powietrze ożeźwiało tak cudownie. Był znużony problemami, obowiązkami i odpowiedzialnością. Miał dla

190

siebie dzień dzisiejszy, wieczór należący do tego dnia i noc, ale jutro zapowiadało się raczej groźbą niż obietnicą, biegnąc w zaułek bez wyjścia, więc wołał o tym nie myśleć. Powoli skierował się ku szkole, wszedł do południowego skrzydła patio.

Pierwszy pokój w tym południowym skrzydle litery U przeznaczono kiedyś na lekcje muzyki i od czasu do czasu używano go w nadziei, że z miejscowych sił da się wykrzesać chór kościelny. Jednak - może dlatego, że ta nadzieja była bezpodstawna, a może dlatego, że nauczyciele nie potrafili temu zadaniu sprostać - chór nadal pozostawał mrzonką, którą symbolizowało pianino przymglone kurzem.

Ośmioboczną lampę na postumencie za taboretom łatwo było zapalić. Pianino w tej niedostępnej misji w górach nie dziwiło Carmody'ego. Mieh Jang miał dwa - przy czym jedno z nich, jakkolwiek wydawało się to nieprawdopodobne, pochodziło z łupów zagarniętych na Drodze Birmańskiej. Wiele razy Carmody grał na pianinie w klasztorze łamów, ale na tym tutaj nie grał jeszcze nigdy. Dotknął teraz lekko klawiszy, nie kwapiąc się do grania, ale ciesząc się przez chwilę, że ma instrument pod ręką i że mógłby wydobyć z niego melodię.

Powróciło wspomnienie muzyki, między innymi dobrej muzyki. Przesunął palcami po klawiaturze i niepewne dźwięki nagle zaczęły harmonijnie się łączyć. Odrzucił w tej muzyce abstrakcje, tak jak je odrzucał w życiu. Poszukał palcami czegoś konkretnego: melodii będących wytyczonym torem dla śpiewającego głosu, może nie znaczących wiele jako muzyka, ale coś przecież oznaczających razem z tekstem.

Ponieważ Chiny jakoś mu to nasunęły, zagrał parę taktów Drogi do Mandalay, ale atmosfera misji nie sprzyjała temu i przerwał w pół taktu. To była ulubiona piosenka Mieh Janga i sam często na prośbę Janga ją śpiewał. Mary Yin lubiła ją także. Więc natychmiast zaczął grać melodie ze Statku komediantów, nieuniknienie i Missisipi. Sam śpiewał barytonem, przypominał więc sobie piosenki przede wszystkim z repertuaru barytonów. Mieh Jang lubił Mis-sińpi, także i Drogę chwały i Burlaków.

Jim Carmody żałował teraz, że tak szafował swoim repertuarem, w tamte wieczory w klasztorze łamów. Jakaś plama pozostała na

191

tych wszystkich, dawniej ulubionych piosenkach, czyniąc je teraz czymś poniekąd złym. Czymś nie na miejscu i nie na czasie.

Uświadomił sobie, że minuty mijają, i uświadomił sobie, dlaczego gra. Chciał zobaczyć Anne, słuchać jej i mówić do niej. Oczywiście nie mógł jej z lekcji wywołać, ale ona przecież nie byłaby istotą ludzką, gdyby słysząc muzykę w pobliżu, nie zajrzała tutaj.

Palce same odnalazły melodie z operetek Gilberta i Sulliva-na i grały je uporczywie, chociaż to były trudne melodie. Nigdy nie grał ich dla Mieh Janga, bo ich nie pamiętał zbyt dobrze. Pewne fragmenty operetki Mikado pasowały do atmosfery, w jakiej teraz żył, cóż kiedy mu się wymykały. Dobrze jednak pamiętał Fartuszek, chociaż tego nie lubił, i niektóre melodie z Piratów. Potem błądzące jego palce nagle wyczarowały Halabardników, coś, co po wojnie zna niewiele chyba osób. On jednak występował jako Jack Point w tej wesołej operetce na scenie szkolnej przed ukończeniem liceum.

Więc zagrał teraz refren Oto człowiek wesoły. Nie słyszał, jak drzwi się otworzyły. Podniósł wzrok od pianina dopiero wtedy, gdy Anne podchodziła do niego. W drzwiach kilka małych Chincek stało uśmiechając się od ucha do ucha. Anne też była uśmiechnięta.

- Nie mogłyśmy się domyślić, proszę księdza, kto tutaj gra - powiedziała. - Nikt nigdy...

Carmody patrzył na nią zakłopotany. Wydało mu się, że ten jego fortel, tak skuteczny, jest przecież młodzieńczym wyglupem. Siedzę tutaj - pomyślał - zupełnie jakbym się popisował w nadziei, że dziewczyna zwróci na mnie uwagę. Ponieważ wiedział, że właśnie o to mu chodziło, usiłował wytłumaczyć się nawet przed sobą jakoś inaczej.

- Ja odpoczywam w ten sposób. Od dłuższego czasu nie grałem.

Tymczasem jego palce samowolnie usiłowały pokryć zakłopotanie, jak nieraz to czynią palce albo przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu papierosa, albo gryzmołąc

coś na papierze. Teraz grały cicho wstęp do arii Jacka Pointa, piosenki Błazen. Iskierki w oczach Anne Scott zdradziły, że ona przypomina sobie tę melodię. A więc należy do osób znających starą przedwojenną operetkę.

192

- Czy ksiądz śpiewa? - zapytała.

Uśmiechnął się, wyczuwając jakieś wyzwanie, i zagrał teraz już śmiało. Zaczął:  
Zaśpiewać ci coś chcę!

I sam rzucił wyzwanie, zagrał z kolei akompaniament dla sopranu. Czy ona to zna rzeczywiście, czy tylko słyszała kiedyś?

Nagle zabrzmiał jej głos czysty i ładny:

Proszę, zaśpiewaj więc!

Palce popędziły po klawiszach. Ależ przyjemność! Tak dawno Jim Carmody nie śpiewał duetów. Tak dawno nie śpiewał z dziewczyną. Głos miał niski, dźwięczny, niezły baryton. Zaśpiewał jej:

Księżycowa to pieśń, serce roni łzy z miłości,  
gdy świat z niej drwi.

To była piosenka głupca i rozum Carmody'emu powiedział: Wściekle stosowne!

Tylko że zapomniałem, jakie są dalej te słowa. Ale śpiewał:

Marzył, by ta pani serce dała mu

i Anne zawtórowała w refrenie. Rozgrzał się znowu, zagłuszył szydarczy rozum.

Anne śpiewała:

Zaśpiewać ci coś chcę!

Odpowiedział jej:

Proszę, zaśpiewaj więc!

Anne zaśpiewała swoje:

To weselna jest pieśń,

taka pieśń na ślub,

gdy kocha się aż po grób, och!

Trochę zarumieniona, głos teraz miała raczej niepewny. Zająknęła się przy tych słowach, dalszego ciągu już nie pamiętając, i machnęła ręką zrezygnowana.

- Ksiądz górą. Dalej zapomniałam.
- I tak zadziwiła mnie pani. Co pani zna jeszcze?

Oboje byli przejęci, podnieceni jak przypadkowi partnerzy tenisowi po niespodziewanym wygraniu meczu czy też pływacy po wyścigach do łódki, a właściwie jak dwoje ludzi: mężczyzna i kobieta, którzy ni stąd, ni zowąd razem coś przeżywają i znajdują w sobie nawzajem jakieś niespodziewane możliwości. Ale Anne przecież wyszła z lekcji dla przyszłych pomocnic pielęgniarek.

- Och - powiedziała - moje dziewczynki! Zatrzymuję je niepotrzebnie. Muszą zaraz wracać, mieszkają w sierocińcu. Tam się sprawdza, o której one są w łóżkach. Uczennice stały rzędkiem pod ścianą, uśmiechnięte, zachwycone tą przypadkową rozrywką, czymś o wiele ciekawszym niż mierzenie gorączki i sterylizowanie instrumentów. Carmody wstał od pianina i przemówił do nich. Anne niechętnie, ale sumiennie już je wyprowadzała. Powstrzymał ją ruchem ręki.

- Trafiać przecież do sierocińca same - powiedział. - Pani nie grozi sprawdzanie, czy pani już jest w łóżku.

- Tak. - Zawahała się. - Ale ja też nie mam prawa zostawać tutaj po lekcji.

- Bzdura.

Mówił jak mężczyzna, i to mężczyzna, który dobrze się bawi. Dopiero gdy Anne powoli zawróciła do tego pokoju, przyszło mu na myśl, że przecież odkąd przybrał autorytet księdza tej misji, utracił przywilej zwykłej autorytatywności męskiej. Teraz jego rzeczą jest ustanawiać tu przepisy albo je anulować zawsze zależnie od aprobaty bądź dezaprobaty swojej małej społeczności. Nikt, bez względu na to, jakim cieszy się autorytetem czy jaką sprawuje władzę, nie zdoła wpłynąć na orzeczenia tych, którzy patrzą na niego, służą mu, bądź mają z nim do czynienia.

Przemknęło mu to przez myśl, tak samo zapewne jak tej dziewczynie, gdy się wahała. Ale po chwili Anne zdecydowała się zostać i on wrócił do pianina.

- Co jeszcze pani zna? - powtórzył pytanie.

Potrząsnęła głową.

- Żadnych ról operetkowych, tylko piosenki, które śpiewałam sama.

194

- Letni dzień, Bohaterowie, Dymek z papierosa, Rosemary?

Patrzył na nią pytająco. Roześmiała się.

- Toujours l'amour, Synku mój.

Przytaknęli oboje, zadowoleni. Poddała tonację i Carmody wybił pierwsze werblowe nuty piosenki Noc i dzień, ale to im nie odpowiadało i jego szukające palce nie znajdowały nic odpowiedniego. Ta chwila już się wyczerpała. Nie zdołali uchwycić na nowo spontaniczności pierwszego duetu i czuli teraz skrępowanie. Nie było nastroju.

Palce Carmody'ego dotykały klawiszy coraz wolniej, aż się zatrzymały.

- Oklapliśmy - powiedział.

- Wcale nie. Po prostu ja nie mogę śpiewać z księdzem. Nie śpiewam zbyt dobrze.

- Śpiewa pani doskonale. O mało nie spadłem z taboretu, kiedy mi pani odpowiedziała tym fragmentem z Gilberta i Sullivana.

Śmieli się, ale już nie tak swobodnie jak przedtem. Na kilka minut ulecieli w obłoki, rzeczywistość jednak nakazywała, żeby wrócili na ziemię. Anne otworzyła drzwi, Carmody zgasił lampę. Wyszli w księżycową poświatę. Brama misji rzucała wielki, potworny cień. Mur był oślepiająco biały i wszystkie bajorka i kałuże na dziedzińcu pokrywała jak szron srebrzysta powłoka. Anne szybko, gwałtownie wciągnęła oddech.

- Wprost czary - powiedziała - jak gdyby wszystko się przeobraziło za jednym skinieniem różdżki.

Carmody patrzył też poruszony. Oto noc wiary w cuda. Nie istnieje ani czas, ani przestrzeń, jest tylko poświata księżycy. Łatwo uwierzyć, że same Chiny są złudzeniem i że można przejść przez te niezliczone lusterka nocy i wydostać się stąd.

- Niech ksiądz spojrzy na tę górę!

Anne powiedziała to drżącym głosem. Podniósł wzrok. Wierzchołek góry, zwykle

zamazany cieniem albo mgiełką słoneczną, chmurą albo mgłą, teraz rysował się ostro. Niezaprzeczalnie były to dwie głowy - zarysy dwóch głów kobiecych, czarnych na tle jasnego nieba. Ciemiona się stapiały, ale twarze z profilu były bardzo wyraźne, jak gdyby w zadumie zwrócone jedna na północ, druga na południe ponad górami.

195

- Więc dlatego ta nazwa: Góra Dwóch Sióstr. A ja się zastanawiałem, dlaczego.

- Ja także. Jestem tu od półtora prawie roku, proszę księdza, a nigdy dotąd tej góry tak nie widziałam.

Carmody popatrzył na nią, na jej podniesioną głowę i duże oczy, rozchylone wargi. Widok tego górskiego szczytu budził w niej bojaźń i wydawało się, że zapomniała o obecności Carmody'ego. Była w białym kitlu i czepku pielęgniarki, ponieważ dawała dzieciom lekcję pielęgniarstwa. Wykroch-malona biel dziwnie dramatyzowała jej kobiecość tym właśnie, że zasłaniała jej kształty.

- Dwie Siostry się pojawiły, żeby posłuchać, jak śpiewamy - rzekł z powagą.

- Myśli ksiądz? - Oczy jej błysnęły, gdy zwróciła się do niego. - Ciekawa jestem, co by o tym pomyślały.

- Spodobałoby im się. Gilbert i Sullivan powinni być zupełnie zrozumieli dla Chinek.

Anne rozważyła to i przytaknęła.

- Ksiądz ma rację z pewnością. Ale jak by ksiądz przetłumaczył te słowa?

- Tekst Gilberta na czterotonowy język mandarynów? I to do muzyki Sullivana?

- Potrząsnął głową. - Nie, dziękuję.

Rzucając długie cienie przed sobą, szli do bramy, jak gdyby to uzgodnili. O wiele łatwiej rozmawiać na spacerze. Nawet zrobiło im się wszystko jedno, o czym rozmawiają. W księżycowej poświacie nieprzerwanie brzęczały nocne owady i lekki wiatr niósł zapach kwiatów wiosennych. Po chodnikach z desek doszli do bramy i stanęli w jej kraciastym cieniu. Kontury łuku nad bramą z wdzięcznie wygiętymi w górę końcami rzucały niejako osobny cień, który leżał jak smok na ziemi. Świat był srebrzysty i biały, i cichy.

Ta poświata księżycowa rozlewała się niczym powódź z jakimś silnym podwodnym prądem. Carmody odczuwał ów prąd, ową falę całym swoim jestestwem i mięśnie mu się napinały. Widział, że dziewczyna też to odczuwa - tak jakoś szczególnie podnosiła głowę. Przeciwwstawiała się temu, a przecież jej umysł nie przyjmował do wiadomości tego, co odczuwała.

- Chciałam kiedyś być kompozytorką - mówiła - i to było bardzo głupie, bo z takimi zdolnościami, jakie mam, zdoła-

196

ła bym komponować w najlepszym razie jakieś zwykłe melodyjki.

- Światu są potrzebne zwykłe melodyjki.

- Niekoniecznie, proszę księdza. Wątpię, czy świat chce ich dużo, czy dużo ich potrzebuje. Myślę, że Beaumarchais słusznie powiedział: „Dzisiaj wszystko, co nie jest warte powiedzenia, śpiewa się”. Nie chciałabym pisać muzyki do czegoś, co nie jest warte powiedzenia.

- A przecież cieszyła nas operetka, sama w sobie nie mająca szczególnej wartości.

- Cieszyła nas rzeczywiście, prawda?

Anne spojrzała na Carmody'ego i nagle przerażenie odbiło się w jej oczach.

Zobaczył, że ona już sobie uświadamia niebezpieczeństwo, jakim jest ta wezbrana w nim fala. To było dla niej wstrząsające, więc zrobiło mu się jej żal. Zarazem jednak, czując nieprzepartą potrzebę jej bliskości, nie chciał, żeby odeszła.

- Musimy jeszcze kiedyś tak pomuzykować - powiedział.

Westchnęła głęboko i okazała się mocniejsza niż on.

Wiedziała, gdzie jest, i na wszelki wypadek zboczyła z toru.

- Jeżeli ksiądz śpiewa sumę - powiedziała - mogłabym chyba być solistką w chórze. Są stare organy...

Jim Carmody znów stał się księdzem O'Shea, gdy padły te słowa, znów ujrzał nieprzekraczalną zaporę. Fala odpłynęła, zostawiła ich na mieliźnie. On nigdy nie śpiewałby sumy, bo byłoby to dodatkowym i zbytecznym ryzykiem, i przecież nie mszę tak pragnął śpiewać z Anne.



- O tym porozmawiamy później - powiedział. - Teraz tyle jest...

- Oczywiście, proszę księdza. Ksiądz i tak pracuje za dużo.

Już w jej głosie nie brzmiało uniesienie, nogi niosły ją, niechętną, ku domowi.

Oprócz latarni przy bramie paliło się tylko parę lamp w szpitalu. Poświata, w którą znów weszli, nie była już tak stężona. Śpiew, przejście przez dziedziniec i rozmowa zabrały niepostrzeżenie dużo czasu, zrobiło się późno. Szli onieśmieleni, daleko od siebie, i milczeli. Czuli się tak samo jak w chwili, gdy zażyłość przy muzyce minęła, spontaniczność prysła i nie pozostało nic.

Zatrzymali się przed drzwiami domu doktora, gdzie Anne

197

mieszkała. Dziewczyna podniosła głowę, ale cokolwiek zamierzała powiedzieć, nie powiedziała tego i szybko odwróciła wzrok. Carmody stał niezręcznie, sztywno, z rękami zwieszonymi. Wstrząśnięty, sformułował mimowolne myśli: Boże, ona też to czuje! Tak jak ja! To jest pomiędzy nami, ten magnes, ale jej się wydaje, że tylko z jej strony. I poczuwa się do winy. Dzisiejszy wieczór był błędem. Moim błędem.

Bezradny, nie znajdował słów dla niej. Jednak odezwała się ochryple, dosyć cicho.

- Dobranoc księdzu. Wieczór taki miły..!.

Urwała nagle i uciekła w popłochu. Wbiegła na schodki domu. Carmody patrzył, ale się nie obejrzała. Powiedział:

- Dobranoc, Anne.

Nie słyszała. Gdy odwrócił się, księżyc nadal jasno świecił, ale cienie padały już nie tak ostre, biel budynków i ogrodzeń zszarzała widmowo. Dziedziniec misji był samotnym miejscem z dwiema dymiącymi latarniami przy bramie i wodą deszczową w kałużach.

Carmody szedł na plebanię i coś się w nim wywracało, jak po nadmiarze alkoholu wypitego zbyt pośpiesznie. Aż musiał przystanąć, żeby zwalczyć mdłości. Człowiek w koloratce nie może na dziedzińcu misji po prostu zwymiotować. Ta niemożliwość doskonale jednak symbolizowała jego rolę.

Więc stał wyprostowany i walczył ze sobą. Nie żałował tego, co go spotkało. Warto przecież wiedzieć, że istnieją dziewczyny, ujrzeć w przeblysku, czym można by dla nich być. Ale żałował tego, co spotkało Anne. Ona zakochała się w kimś, kogo w ogóle nie ma, udręczona poczuciem winy, przekonaniem, że ciężko grzeszy. Patrząc na świat tak, jak patrzy, musi winić wyłącznie siebie. Na pewno czuje wstyd, że widzi mężczyznę tam, gdzie oczy wiary powinny widzieć tylko księdza, i na pewno jej wstyd zmieniłby się w zgrozę, gdyby wiedziała, że on jest w niej zakochany. Nic nie mógł zrobić, niczym jej pomóc.

Zmusił się, żeby o niej nie myśleć, i mdłości mu przeszły. Odetchnawszy głęboko, ruszył dalej.

Idąc myślał o tym, że Tom Scott nie żyje, i o małych niepewnościach losu, krótkich chwilach niepowodzenia, które zmieniają życie mężczyzn i kobiet. Gdyby Jim Carmody nie żył, a Tom Scott żył, nigdy by się nie stało w tej misji coś

198

takiego, jak dzisiaj. Anne mieszkałaby w Stanach Zjednoczonych, prawdopodobnie z Tomem, o ile Tom by jej nie zawiódł, tak jak pewna dziewczyna zawiódła Jima Carmody. Ale nawet i zawiedziona, chyba by została z Tomem i dumnie dźwigałaby swój krzyż. I Li Kwan, nie mając przy sobie żadnej Anne, żadnego Carmody'ego, umarłby inaczej, niż umarł. Mieh Jang może byłby troszeczkę inny, gdyby sam bez dobrego zastępcy dowodził żołnierzami. Ksiądz O'Shea

- skoro już tyle elementów zmienia się w tym równaniu
- dojechałby tu szczęśliwie. I misji nie zbrukałoby świętokradztwo.

Jan Teng powiedział, że cel istnieje we wszystkim, ale trudno ów cel zobaczyć. Jeden kamień osunął się dziś rano pod nogą tragarza, ten człowiek potykając się pociągnął za sobą towarzysza i obaj spadli w dół ze zbocza góry z ciężkim ładunkiem, który nieśli. A gdyby to był krok na szlaku o cal bardziej w lewo czy bardziej w prawo...?

Carmody myślał o tym tragarzu leżącym w szpitalu. Ujrzał znów jego żalosne, błagalne oczy, usłyszał jego ochrypy szept: „Pomódl się za mnie, Szen Fu”.

Obiecał się pomodlić, a nie zrobił tego. Stał teraz u drzwi kościoła. Przedtem mówił sobie w duchu, że swoją modlitwą nie pomoże nikomu, bo aktor, który gra

rolę księdza, przecież modląc się tylko recytuje. Jednakże modlił się dawniej, gdy nawet mu się nie śniło, że grać będzie taką rolę. Sięgnął do kieszeni po klucze.

Zaprzagnął w tym momencie pomodlić się jako Jim Carmody.

W kościele panowała głęboka cisza, było chłodno i ciemno, tyle że czerwona lampka paliła się przy tabernakulum. Ukląkł przed ołtarzem i zaczął się modlić. Rola księdza opadła z niego. Żarliwie modlił się' za tego Chińczyka, którego nigdy nie nauczone robić nic poza noszeniem ciężarów, i za Anne Scott, i za wszystkich ludzi ufających mu, gdy on czyni to, do czego nie ma ani danych, ani prawa. Porwały go te modlitwy. Nie myślał, że czas mija, i nie słyszał, jak skrzypnęły duże drzwi powoli się otwierając.

W końcu wstał i odszedł od ołtarza. Beryl Sigman siedziała w ostatniej ławce i gdy zatrzymał się przy niej zaskoczony, wstała i wyszła z nim z kościoła.

- Nie wiedziałem...

199

Przerwała mu to pełne wahania zagajenie.

- Ma ksiądz rację. Ja się w kościołach nie modlę. Ale też nie mogę spać w takie księżycowe noce.

Stali we dwoje przed kościołem i wydawało się, że oprócz nich wszyscy ludzie na całym świecie śpią teraz. Carmody trzymał ręce splecione z tyłu i czuł się zmęczony. Beryl - przypuszczał - mówi mi na swój sposób, że nie spała w ciemnym domu i że widziała Anne i mnie, jak spacerowaliśmy po dziedzińcu. I może ǳławet słyszała wcześniej, jak śpiewaliśmy. Lekkomyślnie sobie poczynam z reputacją księdza Petera Johna O'Shea. Samym tonem Beryl Sigman mi to powiedziała.

- Blask księżycyca ma w sobie jakiś niepokój - rzekł - co tłumaczy pochodzenie słowa: lunatyk.

Beryl przytaknęła:

- Praca misyjna jest trudna, proszę księdza. Trzeba się w nią wciągnąć. Ksiądz pracuje za ciężko, odkąd tu przyjechał. Czy byłabym zarozumiała, gdybym coś księdzu doradziła?

Popatrzył na nią bystro. Jest przystojną kobietą. Jest kobietą z charakterem, która

splaca razem ze swoim mężem wielki dług danego słowa. Jest mądra - myślał - i tę mądrość nabyła na trudnej drodze. Nie walczy w duszy o koncepcje duchowe: jednoczy je z życiem codziennym, czego ja nie mogę robić. Oczy ma głębokie i więcej w nich zrozumienia, niż chciałbym widzieć. Jeżeli ja rozpoznałem ten magnes pomiędzy Anne i mną, możliwe, że i ona rozpoznała i po swojemu wytłumaczyła sobie mój spacer z Anne.

- Ceniłbym pani radę - powiedział.

Beryl spojrzała na Górę Dwóch Sióstr, teraz tylko ciemny masyw bez żadnych konturów głów na szczycie.

- Człowiek mający kłopoty, bądź zdenerwowany czy przepracowany potrzebuje towarzystwa kogoś ze swego kręgu, proszę księdza - powiedziała. - Żałuję, że nie ma gdzieś drugiego lekarza, z którym Dave mógłby się nagadać. No ale jestem ja i robię dla niego, co mogę. Ksiądz natomiast jest szczególnie samotny.

- To nie szkodzi.

- Nie wierzę.- Oderwała wzrok od gór i z powagą spojrzała mu w oczy. - O trzy dni drogi stąd jest mała misja

200

protestancka. Wielebny pastor Marvin ma problemy podobne do problemów księdza.

Umilkła, żeby jej rada sama się sformułowała tak, by trafić do tego człowieka.

Carmody stał w milczeniu, wiedząc, że ona jest życzliwa, ale nie zobowiązana do dalszej życzliwości. A on, chociaż potrafił z książek nauczyć się łaciny i obrzędów, nie może być w roli księdza dobry, dopóki nie zdoła myśleć tak, jak myśli ksiądz.

Dopóki uświadamia sobie istnienie Anne Scott. Spokojne, pełne zrozumienia oczy Beryl Sigman są dla niego niebezpieczeństwem. Nawet teraz analizują go, co nie przyszłoby do głowy nikomu innemu w misji. Uśmiechnął się pośepnie.

- Chyba ma pani słuszność - powiedział. - Wdzięczny jestem za tę radę.

- Zawsze jest ryzykownie przeprowiać się przez góry - powiedziała. - Ale jeżeli ksiądz weźmie dwóch służących i będzie podróżował otwarcie, wszystko powinno pójść dobrze. Ksiądz Coleman zrobił raz taką wycieczkę i pastor Marvin odwiedził go tutaj. Nawet najbardziej prymitywni Lolo boją się religii, każdej religii.

- Jestem pewny, że przejadę bez kłopotów.

Uśmiechnął się do niej i wcale nie był pewny, bo nie wiedział, jakie polecenie dostali ci pasterze, którzy go obserwują na rozkaz Mieh Janga. To jednak nie robiło dużej różnicy. Kiedyś w Czungcing słyszał powiedzenie: „Życie to gąsior napelnięty winem. Kiedy wina już nie ma, kto gąsior podniesie?” Sentencja niekatolicka i żaden ksiądz by tak nie pomyślał, ale on nie był księdzem. Chociaż gorliwie starał się myśleć jak ksiądz, wciąż mu się to nie udawało. Chociaż starał się modlić, trudno mu było wierzyć, że jego modlitwy zostaną wysłuchane. Odprowadził Beryl do jej drzwi. Innych doznawał uczuć, gdy do tych drzwi odprowadzał Anne, ale Beryl w przeciwieństwie do Anne miała głos spokojny, łagodny.

- Dobranoc - rzekła. - Przepraszam, jeżeli księdzu przeszkadzałam.

Carmody poszedł na plebanię. Nazajutrz rano wyruszył do misji protestanckiej. Była to podróż trzydniowa i w godzinę po jego odjeździe pewien cierpliwy muzułmanin wyruszył w podróż pięciodniową do Mieh Janga. W szpitalu doktor Sigman stał przy łóżku chińskiego tragarza, który przed

201

I

chwilą umarł. Doktor Sigman marszczył brwi nad kartą choroby.

- Coś tu się nie klei, Scotty. Co mu się stało?

Anne potrząsnęła głową.

- Wszystko wydawało się w porządku. Ja tylko zbadalam mu tętno i zmierzyłam gorączkę, jak pan widzi. Leżał zupełnie cicho. Nagle drgnął dwa razy i już nie żył. Dave Sigman wzruszył ramionami. Uśmiechnął się prawie usprawiedliwiająco. .

<•"

- No, w każdym razie - powiedział przytaczając stary lekarski dowcip - operacja się udała.

Odszedł przejściem pomiędzy rzędami łóżek. Miał cztery poważne operacje do zrobienia i z kancelarii dostał meldunek, że na badanie w przychodni zapisane są sześćdziesiąt dwie osoby. To właśnie lubił - zaczyn pracy trzymający człowieka w

zdrowiu psychicznym. Nie ma czasu na zastanawianie się nad wszystkimi „dlaczego”, kiedy tyle jest do roboty.

## CZEŚĆ TRZECIA

### ...I BÓG

i

Gabinet pastora w misji protestanckiej był pokojem pełnym godności, z ciemnymi boazeriami, z rzędami książek na półkach wbudowanych w ścianę i z dywanem turkiestańskim na podłodze. Stały tu trzy wygodne fotele i kanapa, i ogromny stół orzechowy, na którym piętrzyły się książki i czasopisma. Wielebny Thomas Marvin siedział w jednym z foteli patrząc na Carmody'ego siedzącego w drugim po przeciwnej stronie kominka.

- Lubię - rzekł po kolacji - tak poleniuchować, proszę księdza, i rzadko mam przyjemność pogawędzić z duchownym. Współpracowałem bardzo ściśle z waszymi duchownymi w Ningpo w czasie wojny. Byli tam księża francuscy i belgijscy, i ksiądz irlandzki. Nigdy go nie zapomnę...

Zaczął opowiadać, a Carmody dalej przyglądał mu się uważnie, jak przez to całe popołudnie i w czasie kolacji. Wciąż jeszcze nie miał pewności co do tego człowieka, wciąż jeszcze rozważał swoją na pół powziętą decyzję. Gdyby wyznanie prawdy wielebnemu Thomasowi Marvinowi okazało się błędem, straciłby ostatnią szansę - i jego sytuacja byłaby gorsza niż pozostawanie w misji katolickiej na uwięzi trudnych problemów jak mucha w pajęczynie.

Jednak owe problemy teraz, gdy był od nich daleko, nie wydawały się ani palące, ani nierozwiązywalne. Stały się raczej czymś ze snu, wspomnianym spokojnie na jawie. Jowialny pastor przyjął księdza O'Shea miło i Jim Carmody bez trudu mógł zachowywać tożsamość księdza, zwiedzając teren misji protestanckiej czy siedząc i gawędząc. Stwierdził

203

nawet, że w tych warunkach przyjemnie być misjonarzem, gościem sąsiedniej misji. Łatwo wmówić sobie, że się naprawdę jest księdzem. Więc po co poniżać się przed tym obcym, ściągając na siebie kłopot. Chyba lepiej czekać w niezmaconym spokoju,

aż kłopot sam zniknie, i mieć nadzieję, że może wcale nie zajdzie konieczność podjęcia decyzji.

Ale żołnierski instynkt w Carmodym zaprotestował: Raz już dałeś się złapać w pułapkę, bo nie miałeś gotowego planu, tylko liczyłeś na ślepe szczęście i swoją zdolność do improwizowania. No i taki był skutek, że od razu tamtej pierwszej nocy w misji szczęście i rozum cię zawiodły. Teraz pakujesz się w inną sytuację, znacznie bardziej ponurą, i to nawet tutaj, kiedy siedzisz w tym gościnnym, przytulnym pokoju. Przymykanie oczu i ufność, że szczęście sprzyja, nie zdadzą się na nic. Żołnierze, którzy liczą na to, że mają szczęście, nigdy szczęścia nie mają. Potrzebna ci jest pomoc z zewnątrz, bo myśleć potrafisz tylko w kółko wciąż to samo. Niezmierzone wrogie mile górskie, które cię otaczają - mówił instynkt - są rzeczywistością. Ci pokorni Chińczycy, którzy z ufnością powierzyli tobie swe najcenniejsze skarby duchowe, są rzeczywistością. I Anne Scott, i Beryl Sigman to rzeczywistość. Wreszcie Mieh Jang i ci muzułmanie, krążący wokół misji. To wszystko konkretnie istnieje i choćbyś przymykał oczy, istnieć będzie nadal. Jeżeli masz nadzieję panować nad biegiem wypadków, nie waz się czekać, aż wypadki potoczą się same. Rozpoczynaj śmiało. Bardzo wiele zależy od kalibru tego człowieka tutaj, w tym pokoju.

Pastor chichotał, ubawiony własnym opowiadaniem. Życzliwy, uprzejmy, dobrze już po pięćdziesiątce i szpakowaty. Miał miękkie usta i łagodne oczy. Nie sprawiał imponującego wrażenia, gdy siedział opowiadając anegdoty, ani nie wydawał się szczególnie potężny. Był małym, żylastym jegomościem w szarym miejskim garniturze. Przed pointą swojej opowieści umilkł dla efektu.

- Staliśmy na tym poharatanym murze - dokończył po chwili - i ksiądz Sweeny patrzył, jak tłum uchodźców wlewa się w bramę. Powiedział mi tonem pełnym urazy: „Jednak będziecie musieli, wy protestanci, wziąć ich więcej, niż macie prawo, a i tak wielu położy się spać na czczo dzisiaj wieczorem. Boże, wybacz nam wszystkim”.

204

Ogromnie to wspomnienie bawiło wielebnego Marvina. Carmody śmiał się z nim razem.

- Nie jest obyczajem katolickim dawać wam za dużo - powiedział.
- Doprawdy nie jest!

Pastor niespodziewanie stracił humor, odezwał się teraz dziwnie szorstko. Potem zacisnął wargi, wzruszył ramionami.

- Nie sędzę, księżę O'Shea, żeby księdzu bardzo imponowały nasze małe instytucje tutaj. Naszą izbę chorych trudno porównać z waszym szpitalem, niewiele też mamy udogodnień dla sierot...

Carmody'emu istotnie to nie zaimponowało, ale powstrzymał się od komentarza. Tę niewielką misję potrafił widzieć oczami wielebnego Thomasa Marvina. Wiedział, że pastor jest w Chinach już od dwunastu lat. Smutno poświęcić szmat życia i działać w tym czasie tak mało, oglądać słabe rezultaty swojej pracy, gdy możliwości rysują się duże, a środki pozostają niedostateczne. Na jednego nawróconego w misjach protestanckich przypada ośmiu nawróconych przez Kościół katolicki, mający wyraźnie lepszą organizację, nic więc dziwnego, że tacy misjonarze jak Thomas Marvin chwilami się buntują. Pastor rozłożył przepaszając ręce, a potem, jak gdyby uznał, że nie powinien przepaszać, znów zacisnął usta.

- Jednakże mamy tu niezłomnych nawróconych, zapewniam księdza - powiedział szybko. - Nasi ludzie są do głębi wierni nam i wyznaniu, którego ich nauczamy.

Grzecznie rzucił teraz rękawicę kapłanowi innego wyznania, dając do zrozumienia, że tylko mając środki można osiągnąć więcej. T<sup>o</sup> było ludzkje, więc Carmody uśmiechnął się szczerze. Nreprzyjęcie takiego wyzwania zakłopotaloby wyzywającego.

- Nasi Chińczycy też nie odejdą od nas, jeżeli nam ryżu dla nich zabraknie - powiedział.

Thomas Marvin zeszywniał, ale ostatecznie, chociaż powoli, odpowiedział uśmiechem na uśmiech Carmody'ego.

- Touché! - rzekł. - Zasłużyłem na to, księżę O'Shea. Zacząłem niejako uprawiać konkurencję.
- No właśnie.



Carmody zdecydował się. Człowiekowi, który ma poczucie humoru, można zaufać.

205

L

- Ja nie mam prawa - wyznał - konkurować z panem, panie pastorze.

Podniósł rękę i z całym rozmysłem zdjął z szyi koloratkę. Pastor patrzył na niego zdumiony, przeczuwając, być może, co nastąpi.

- Nie rozumiem. Co ksiądz właściwie chce przez to powiedzieć, księżo O'Shea?

- Chcę powiedzieć, że nie jestem księdzem O'Shea.

Niepotrzebnie głośno zabrzmiały słowa Carmody'ego w tym cichym pokoju. Życzliwość z wolna zniknęła z oczu wielebnego Thomasa Marvina. Miękka linia jego ust stwardniała.

- Więc kim pan jest?

- Byłem lotnikiem. Nazywał się James Carmody. Doznałem ciężkich obrażeń, kiedy wyskoczyłem z uszkodzonego samolotu. Znaleźli mnie żołnierze Mieh Janga. Potem pracowałem u Mieh Janga i to nie była dobra sytuacja. Ksiądz O'Shea został zabity przez dwóch głupich górali. Zobaczyłem wyjście dla siebie, skorzystałem...

- To znaczy, że pan podając się za tego księdza, udał się na jego stanowisko misyjne? Przedstawił się pan ludziom w tej misji jako ksiądz?

Pastor już nie był łagodny i uprzejmy. Mówił głosem pełnym zgorznienia. Patrzył surowo, potępiająco. Carmody przytaknął. Jego pobudki i przymus były dla niego dotychczas kryształowo czyste, ale nie umiał ich wytłumaczyć temu bystrookiemu pastrowi. Poczul się znów zamknięty w pułapce, spętany jak wtedy pierwszy raz w konfesjonale, z tą jednak różnicą, że teraz nie był spowiednikiem, tylko raczej penitentem. Łatwiej jest być penitentem, ponieważ spowiedź przynosi ulgę i zmniejsza odpowiedzialność; o wiele trudniej być spowiednikiem, przyjmować problemy cudze. Pastor patrzył na niego z wrogością.

- Był pan tak bezczelny i butny, że pełnił obowiązki księdza, wiedząc, że nie ma pan do tego żadnego prawa w oczach Boga i ludzi?

- Niestety.

- Potępiam to, panie Carmody.

Wielebny Thomas Marvin wstał i zaczął chodzić po pokoju. Atmosfera odprężenia i swobody nie przygotowała go na ten wstrząs. On, wyświęcony kapłan Boga, znalazł się

206

nagle twarzą w twarz z rzeczywistym świętokradztwem, przestępstwem, które wykraczało poza granicę dzielącą poszczególne wyznania i samym swoim charakterem obrażało je wszystkie. Powoli odwrócił się do Carmody'ego. Oburzony natrafił myślą na tekst z Jeremiasza i zacytował z głęboką naganą w głosie:

- „Biada pasterzom, którzy prowadzą do zguby i rozpraszają owce mojego pastwiska... wyrocznia Jahwe... Wy rozproszyliście moją trzodę, rozpędziliście i nie zatroszczyliście się o nią; oto Ja się zatroszczę o nieprawość waszych uczynków... wyrocznia Jahwe”.

Carmody podniósł głowę.

- Ja nie byłem takim pasterzem.

- Nie? - zapytał pastor nieprzejeźdzenie. - Więc jakim pasterzem pan był? Jakim pasterzem pan mógł być?

- Staralem się robić to, co w moim pojęciu robiłby ksiądz O'Shea. Na swoją obronę powiem tylko, że była tam praca, a wykonywać jej nie miał kto. To, co robiłem, znaczyło coś dla tych ludzi, a oni ze swojej strony sprawiali, że często pragnąłem być rzeczywiście księdzem.

Pastor złagodniał nieco. Bruzdy zawziętości na jego twarzy zmiękły. Usiadł znowu w fotelu, złożył ręce stykając je czubkami palców.

- Może byłem przykry - powiedział. - Chciałbym usłyszeć o tym. Dokładnie. Co pan robił?

Carmody zamknął oczy na chwilę i ujrzał misję tak, jak wyglądała tamtej pierwszej nocy, ujrzał pielęgniarkę stojącą w oświetlonych drzwiach. Było wtedy zimno i mokro, prawie ślaniał się z wyczerpania. Jakiś Chińczyk w szpitalu umierał.

Od tego zaczął opowiadanie i ciągnął je, nie szczędząc żadnych szczegółów z wyjątkiem swego uczucia do Anne Scott. Pastor wysłuchał go w milczeniu, po czym milczał jeszcze przez dobre pół minuty patrząc na niego.

- Niewiarygodna historia, panie Carmody - rzekł wreszcie. - Nie wiem, co panu powiedzieć. - Zaciśnął usta. - Nie muszę nadmieniać, że raczej nie mam sympatii dla Rzymu. Potępiam wiele praktyk misyjnych Kościoła rzymskokatolickiego. - Potrzęsął głową. - Ale pomijając to, skandal w jakiegokolwiek misji w Chinach szkodzi wysiłkom wszystkich misjonarzy. Pan wywołuje skandal.

207

To była ciężka chwila. Carmody siedział wyczerpany. Wszystko wyznał i nie zobaczył przed sobą żadnego przeblýsku światła zwiastującego wyjście.

- Jeszcze nie ma skandalu - rzekł posepnie. - Dlatego właśnie jestem tutaj. Ja osobiście postąpiłem źle, więc ja będę odpowiadał za to. Nie chcę zabijać wiary w tych ludziach. Miałem możliwość zrozumieć, czym jest dla nich wiara. Jak mam postąpić teraz?

Pastor wstał z fotela.

- Bóg wie, jeżeli my nie wiemy. Pomodli - się pan ze mną w kościele?

- Chętnie.

- Chodźmy więc, ale niech pan nałoży koloratkę. Wolałbym, żeby moi o tym wszystkim nie wiedzieli.

Określeniem „moi” wielebny Thomas Marvin obejmował swoją żonę, młodego człowieka, który mu pomagał i który sprawiał wrażenie raczej studenta niż pastora, oraz niewielki chiński personel misji. Każda odrobina pracy misjonarza wykonywana jest prawie bez widoków powodzenia i tylko coś Wielkiego Nienamacalnego czyni ją wartą trudu - wiara w coś poza zasięgiem zmysłów. Carmody jasno sobie teraz uświadamiał, że taki może być sposób życia i że, zważywszy nagrodę za te wszystkie trudy, której nie umiał zdefiniować, jest to lepsze niż dowodzenie żołnierzami. Nadal uważał jednak, że bardziej nadaje się na dowódcę żołnierzy.

Jak gdyby wyczuwając jego refleksje, pastor podniósł głowę.

- Życie w małej misji - powiedział - jest najbliższym możliwym dla człowieka naśladownictwem życia apostołów. Człowiek musi zachowywać czujność duchową. A pan wielce mnie zaniepokoił, panie Carmody.

- Wiem. Przykro mi.

Idąc za niziutkim pastorem, Carmody czuł się bardzo wysoki. Ale ta postać przed nim, chociaż nieduża, była potencjalnie dynamiczna. Niewykluczone - myślał - że czasami wielebny Thomas Marvin widzi siebie jako Pawła z Tarsu. To porównanie mogło nawet nie być zbyt przesadne. Z towarzyskiego spokojnego gawędziarza pastor zmienił się

208

To była ciężka chwila. Carmody siedział wyczerpany. Wszystko wyznał i nie zobaczył przed sobą żadnego przeblysku światła zwiastującego wyjście.

- Jeszcze nie ma skandalu - rzekł posepnie. - Dlatego właśnie jestem tutaj. Ja osobiście postąpiłem źle, więc ja będę odpowiadał za to. Nie chcę zabijać wiary w tych ludziach. Miałem możliwość zrozumieć, czym jest dla nich wiara. Jak mam postąpić teraz?

Pastor wstał z fotela.

- Bóg wie, jeżeli my nie wiemy. Pomodli się pan ze mną w kościele?

- Chętnie.

- Chodźmy więc, ale niech pan nałoży koloratkę. Wolałbym, żeby moi o tym wszystkim nie wiedzieli.

Określeniem „moi” wielebny Thomas Marvin obejmował swoją żonę, młodego człowieka, który mu pomagał i który sprawiał wrażenie raczej studenta niż pastora, oraz niewielki chiński personel misji. Każda odrobina pracy misjonarza wykonywana jest prawie bez widoków powodzenia i tylko coś Wielkiego Nienamacalnego czyni ją wartą trudu - wiara w coś poza zasięgiem zmysłów. Carmody jasno sobie teraz uświadamiał, że taki może być sposób życia i że, zważywszy nagrodę za te wszystkie trudy, której nie umiał zdefiniować, jest to lepsze niż dowodzenie żołnierzami. Nadal uważał jednak, że bardziej nadaje się na dowódcę żołnierzy.

Jak gdyby wyczuwając jego refleksje, pastor podniósł głowę.

- Życie w malej misji - powiedział - jest najbliższym możliwym dla człowieka naśladownictwem życia apostołów. Człowiek musi zachowywać czujność duchową. A pan wielce mnie zaniepokoił, panie Carmody.

- Wiem. Przykro mi.

Idąc za niziutkim pastorem, Carmody czuł się bardzo wysoki. Ale ta postać przed nim, chociaż nieduża, była potencjalnie dynamiczna. Niewykluczone - myślał - że czasami wielebny Thomas Marvin widzi siebie jako Pawła z Tarsu. To porównanie mogło nawet nie być zbyt przesadne. Z towarzyskiego spokojnego gawędziarza pastor zmienił się

208

błyskawicznie w ucieleśnienie gniewu, oburzony świętokradztwem popełnionym nie w jego Kościele. Trzymał losy Carmody'ego w swoich rękach, a Carmody jeszcze go nie rozszyfrował.

Misja znajdowała się na zboczach wzgórza ponad wioską leżącą jak zakrzywiona krótka szabla. Zmierzch już zapadł i kilka świateł się paliło. Była nieunikniona brama misji, miniatura wrót pagody. Złoty chiński napis na czarnym tle głosił: Czung Hua Czi Tu Cziao Hui - Kościół Chrystusa w Chinach. Kościół stał dosyć daleko od bramy, niski budynek z cegły wypalanej w słońcu, pomalowany na biało.

Wyposażenie kościoła stanowiły ławki ze śpiewnikami w schowkach i nagi pulpit. Na ścianach wisały zwoje modlitw po chińsku.

Nie było figur świętych, nie było płonącej czerwono lampki przed tabernakulum, nic z nastroju, jaki Carmody kojarzył sobie z modlitwą. Jemu ten kościół wydawał się bezbarwny i zimny, ale pastor, który klęczał obok niego w ławce, wznosił oczy ku Niewidzialnemu i bezgłośnie poruszał wargami. Carmody poczuł zbożną cześć na myśl, że ten człowiek modli się za niego. Klęczał i sam jakoś nie mógł się modlić, kościół jednak już wydawał mu się cieplejszy, bardziej życzliwy, i w powietrzu jak gdyby krążyły dobroczynne prądy. Potem Thomas Marvin wstał i Carmody wyszedł z nim w gęstniejącą ciemność.

- Czy znalazł pan jakieś własne rozwiązanie? - zapytał pastor.

Carmody potrząsnął głową.

- Nie.

- Przykro mi. Przyszły mi na myśl, kiedy się modliłem, słowa Pawła do Galatów. Przypomina pan sobie: „Nie łudźcie się: Bóg nie dozwoli z siebie szydzić. A co człowiek sieje, to i żąć będzie...”

Carmody zmarszczył czoło, zaintrygowany. Uderzyła go prostota pewników pastora. Chyba dobrze jest przyjmować Biblię jako absolutne Słowo Boże, znać ją dokładnie i w chwilach zmartwień czy trudności uwolnić umysł od własnych myśli, aż jakiś rozdział czy werset przypomni się w nagłym olśnieniu. Czułbym wtedy - pomyślał - że to Bóg przemówił, gdybym miał wpojona taką wiarę. Tylko że oczywiście interpretacja owych słów Bożych niełatwa jest dla człowieka.

14 — Lewa ręka Boga

209

- Jak pan rozumie ten tekst - zapytał - w odniesieniu do mojego problemu?

- Po prostu - odpowiedział wielebny Thomas Marvin idąc. - Musi pan ponieść konsekwencje swojego postępowania, panie Carmody. Nie może pan od nich uciec. Musi pan odłożyć osobiste plany i poddać się władzy, żeby uregulować swój duchowy rachunek. Popełnił pan przestępstwo wobec Kościoła katolickiego, więc musi pan poinformować misyjne władze katolickie, że pan oszukańczo odgrywa rolę księdza w jednej z ich misji. To będzie dosyć ciężkie. Pozostaje panu tylko czekać, dopóki władze nie zdecydują. Z tym, że władze podejmą odpowiednie kroki bardzo szybko, zapewniam pana.

Carmody patrzył na niego pełen zdumienia. Minęły wątpliwości i niezdecydowanie, Thomas Marvin nie był już ani rozgniewany, ani oburzony. Pomodlił się, otrzymał odpowiedź i przemówił autorytatywnie. Już nie zastanawiał się razem z Carmodym, co należy zrobić: on wiedział.

Carmody głęboko westchnął. To rozwiązanie oznacza, że trzeba porzucić myśl o zniknięciu, gdyby nadarzyła się po temu sposobność, porzucić myśl o odejściu z misji tak, żeby ludzie żałowali zmarłego księdza. To oznacza powrót do współpracy z doktorem Sigmanem, z Beryl i z Anne. To oznacza, że dalej trzeba słuchać spowiedzi, odprawiać msze, odwiedzać chorych, grać na strunach instrumentu księdza Petera Johna O'Shea, z pełną świadomością, że zakończy się to upokorzeniem. Gniew Kościoła będzie wielki, a on ma czekać cierpliwie, aż ten gniew na niego spadnie.

- Tak jest najśluszniej, oczywiście - rzekł w zadumie. - Powiniennem był sam

znaleźć takie rozwiązanie, ale ja go znaleźć nie chciałem. Chciałem coś zrobić na własny rachunek.

Zatrzymali się obaj i popatrzyli sobie w oczy. Wielebny Thomas Marvin wciąż jeszcze szacował Jima Carmody ani życzliwie, ani nieżyczliwie.

- Mogę panu podać nazwisko waszego biskupa, jeżeli pan go nie zna - powiedział. - I może pan w moim gabinecie napisać do niego, a już ja ten list wyślę. Mam kurierów do Cingciang. Stamtąd moją korespondencję wysyłają samolotem. Nikt jak dotąd temu nie przeszkadzał.

210

Carmody zdrętwiał. Pomyślał o czymś przelotnie, ale pastor zdążył tę myśl wyczytać w jego oczach.

- To jest możliwe, oczywiście - powiedział. - Pan sam mógłby dotrzeć do Cingciang i nie mieć tam trudności. I mógłby pan sobie załatwić przelot do Lanczan. Miasto Lanczan było początkiem wyjścia. Carmody wahał się przez chwilę.

- Nie - zdecydował. - Zbyt wielu ludziom sprawiłbym zawód.

Wielebny Thomas Marvin wyraźnie się uspokoił. Twarz mu się wygładziła, oczy złagodniały.

- Każdy swój cel może pan uczynić celem Boga, jeżeli dobrowolnie podda się pan następstvom - powiedział. - Rad jestem, że przyszedł pan do mnie, panie Carmody, i będę się modlił za pana.

Carmody podziękował uściskiem ręki. Wiedział, że Thomas Marvin to człowiek uczciwy, który sam wybrał trudną drogę dla siebie, zanim zaczął zalecać trudne drogi bliźnim - pełen wiary i dumy z tej swojej wiary i umiejący współczuć ludziom trochę chwiejnym w swoich przekonaniach. I wiedział, że Thomas Marvin uważa go nie za przyjaciela, tylko za grzesznika na ścieżce grzechu. To zrozumiałe również. Siebie Thomas Marvin uważa za apostoła, a apostołowie mogą sobie pozwolić na przyjaźń tylko z innymi apostołami; mają też autorytet. Uśmiechając się Carmody powiedział:

- Dziękuję. Ja nie obiecuję modlić się za pana, ale kiedyś może...

Pozostawił tę myśl niedopowiedzianą. Razem ruszyli dalej w stronę tego domu, tego gabinetu, gdzie czekała sprawa listu, który trzeba było napisać.

Mieh Jang już rozpoczął marsz. Z setką żołnierzy, nie spiesząc się, przebywał wzgórze. Kwaterował w osadach większych i mniejszych, które zawsze składały mu hołd i dostarczały żołnierzy, i których kwestie sporne zawsze bezapelacyjnie rozstrzygał. Podejmowano go teraz wszystkim,

211

czego chciał, a on folgował sobie w przyjmowaniu wszystkiego i z naczelnikami wioski, jeżeli raczył ich darzyć swoją łaską, nawet polował. Dni były małymi monetami do wydawania beztrąsko. Wyruszył z klasztoru łamów w pewnym celu, ale ten cel mógł poczekać, coraz bardziej z każdym dniem zwłoki atrakcyjny.

Więc Miech Jang napawał się godzinami terażniejszości i jednocześnie napawał się przewidywaniem godziny, jaka miała nadejść. To była mądrość zmysłów, której się nauczył: miłe oczekiwanie bynajmniej nie umniejsza tego, czego się oczekuje. Umiał odwlekać spełnienia, przydawać swoim przyjemnościom sporo finezji. Wiedział, na przykład, że ten ktoś, kim będzie się cieszył, też potrafi przewidywać. I napawał się owym cudzym przewidywaniem nie mniej niż własnym.

Pogłoski o jego przybyciu poprzedzały go tak, jak sobie życzył i przybierały wiele różnych form, ponieważ wiele różnych ust je przekazywało. W jednej z dalekich wioski na zachód od gór pewien poganiacz mułów usłyszał wersję, że zarządca wojskowy rozszerza swoją domenę i da się poznać po drodze w siedmiu wioskach na wschód od Góry Dwóch Sióstr, zanim pójdzie dalej. Przy ogniskach na postojach nocnych Miech Jang coś tam mówił i ci, którzy go słuchali, powtarzali to ludziom na wzgórzach, a znów ci, prowadząc handel wymienny, przynosili z kolei te wiadomości do ludzi w tych siedmiu wioskach.

Najpierw doszło to do wioski numer pięć, gdzie pędzono samogon. Muły wciąż chodziły w kółko i meły ziarno, był aparat destylacyjny, była mnogość kamionkowych gąsiorów. Muzułmaninowi Koran i słowa samego Allacha oraz zakaz Proroka nie pozwalają pić alkoholu ani próbować jakichkolwiek środków odurzających, jednakże muzulmanin cierpiąc na bóle brzucha może kupić



lekarstwo i jeżeli sprzedawca, jak przystało na sprzedawcę, przysięga, że to jest lekarstwo z ziół, które oczyszczają krew, wolno muzułmaninowi je wypić. Wielu więc muzułmanów piło i tak właśnie rzecz się miała z tym białowłosym, gdy przychodził do wioski numer pięć z powodu bóleści brzucha i zasiadał na własnej przyniesionej macie w odosobnionej izbie na tyłach domu Ta Hsi, sprzedawcy skutecznego lekarstwa. On właśnie powiedział, jakie krążą pogłoski.

212

f

- Doprawdy - westchnął - szkoda, że tego dobrego towaru wkrótce już tu nie będzie i że twój dom ci spalą i że twoje kobiety dostaną się w ręce żołnierzy. Przykro mi, ale Allah świadkiem, nie mogłeś spodziewać się niczego lepszego. Robisz sobie znaki chrześcijańskie na czole, klękasz na gołej ziemi przed tym człowiekiem w czarnej szacie, chodzisz do tego domu z obrazkami i słuchasz, jak ten w czarnej szacie sprawuje uroki. Doprawdy to wszystko jest zakazane! - Tu białowłosy pociągnął wielki łyk z gąsiora i potrząsnął głową. - Na brodę Mahometa! Brak mi ciebie będzie, Ta Hsi, bo dobry z ciebie niewierny i bardzo gościnnie. Ale na wszystkie imiona Allacha, jeżeli tak ci sądzono, będę patrzył z ciekawością, kiedy żołnierze Mieh Janga zaczną robić swoje. Jeżeli twoja śmierć będzie bardzo bolesna, uraduje mnie twoja dzielność i przy rozdziale łupów wezmę sobie tyle tego lekarstwa, ile zdołam udźwignąć, bo na pewno dobrze mi życzysz. I będę myślał o tobie, ilekroć przejdę koło pogorzeliiska twojego domu. Bo naprawdę, Ta Hsi, szkoda, że ty, taki dobry, zasłużyłeś sobie na takie nieszczęścia.

Pogłoska rozeszła się po wszystkich siedmiu wioskach, wywołała grozę. Ludzie przychodzili do kościoła drogą z północy i z południa, i przez most z zachodu, niosąc swój strach.

Jim Carmody siedział w smoliście czarnej samotni konfesjonału i słuchał. Już dawno pojął, że dla tych ludzi konfesjonał to miejsce, do którego przynosi się nie tylko grzechy, ale

1 obawy, i problemy osłepiające umysł. Więc zwalali mu teraz tę pogłoskę i całą panikę jaka ogarnęła ich dusze.

- Mówią, Szen Fu, że zarządca wojskowy nadchodzi. Ja mam córkę. Czy zgrzeszę, jeżeli wtedy zabiję?...

- Szen Fu, jestem stary i moja żona jest stara. Jeżeli ci zbójce przyjdą, to będzie za dużo zmartwienia dla nas. Zabijemy się oboje, Szen Fu, ale nie chcemy umrzeć w grzechu. Co mamy zrobić?

- Jestem młoda, Szen Fu, i kocham mojego męża. Czy będzie mniejszym grzechem, jeżeli w razie czego zabiję się, żeby mnie nie wzięli ci rozbójnicy? Takie były głosy w ciągu tych tygodni, a on nie miał nic do zaoferowania oprócz wiary w Boga, z którego przecież

213

zadzwonił. Więc przywoływał Boga i wiarę w Niego, gdy odpowiadał tym głosom nie kwestionując siebie ani swoich uprawnień w konfesjonale, ani swojej szczerości.

- Nie można Bogu służyć w grzechu - mówił im. - Trzeba w Niego wierzyć, ufać Mu i modlić się do Niego, a potem przyjmować to, co On zsyła. Ostatecznie wszystko wyjdzie na dobre, bo Bóg nie popełnia zdrady. Tylko ludzie zdradę popełniają. Pamiętaj, że nigdy nie może być inaczej. Modlitwy zostaną wysłuchane, ale Bóg odpowie na twoje modlitwy po swojemu, a nie po twojemu. Pamiętaj o tym, jeżeli ten bandyta przyjdzie, i nie przestawaj wierzyć.

Mówił to w konfesjonale raz po raz, pełen przekonania zrodzonego z własnej odzyskanej wiary. Kiedyś dawno, dawno temu słuchałby księdza mówiącego w ten sposób i przyjmowałby te słowa bez zastrzeżeń, chyląc głowę, odpowiadając: „Tak, ojcze duchowny”. W późniejszym okresie życia szydziłby niecierpliwie z takich słów, uważałby je za bzdurne frazesy obłudy, puste słowa bez wartości. Jeszcze później analizowałby je zimno i wyzywająco, jako nierealistyczne pojęcie abstrakcyjnego Boga w przeciwstawieniu do konkretnego ludzkiego niebezpieczeństwa. Teraz sam te słowa mówił i wierzył w nie, i całą duszą miał nadzieję, że zdoła im nadać w oczach tych ludzi taką realność, jaką one mają dla niego.

Nigdy nie potrafiłby opowiedzieć nikomu wielkiej przygody, jaką przeżywał, odkąd wrócił z misji protestanckiej, żeby podjąć to, co, jak wiedział, mogło się zakończyć tylko albo zdemaskowaniem i pohańbieniem, jeżeli Kościół dotrze do niego

pierwszy, albo pojmaniem przez Mieh Janga, jeżeli ten zarządca wojskowy wyprzedzi odpowiedź biskupa na list. To była największa przygoda w jego życiu, ale opowiadać o niej nie mógł, bo słuchanie takiej opowieści szalenie by żenowało każdego. Rzecz, oczywiście, dziwna. Poważne wypowiedzi na temat Boga zawsze rozmówców żenują i sprawiają, że czują się oni nieswojo i powątpiewają w szczerłość mówiącego. To jest sprawa do przyjęcia w Kościele, czy też jako część religii, ale przecież nie przygoda, nie przeżycie osobiste.

Myślał o tym, że mógłby gdzieś w jakimś pełnym ludzi salonie w Baltimore opowiadać o lotach, jakie odbył w paskudnym klimacie z Assam do Kunming jeszcze wtedy, gdy

214

kursowały samoloty pasażerskie, i wszyscy by słuchali, zadawali pytania i bardzo by im się to podobało. Mógłby im opowiadać o Mieh Jangu i o klasztorze łamów, utrzymywać ich zainteresowanie przez cały wieczór, gdyby chciał rzeczywiście rozwodzić się nad tym. Ale o Bogu... skądże?! Czuliiby się nieswojo, uznaliby go za fanatyka, bądź za świętoszka, za nudziarza. A przecież jego opowieść o Bogu byłaby ciekawsza i bardziej sensacyjna niż wszystko, co by opowiadał o samolotach czy o klasztorze łamów, czy o Mieh Jangu - po prostu miałyby głębszy sens.

Po wysłuchaniu ostatniej spowiedzi Carmody wyszedł z tej gorącej, ciemnej budki. W kościele było pusto, poza tym że kilkoro Chińczyków jeszcze odmawiało pokutę i John Wong właśnie wyszedł z zakrystii niosąc pudełko proszku. Carmody uśmiechnął się - niezapomniana była chwila, gdy po raz pierwszy zobaczył ten proszek. Stało się to w pierwszy niedzielny poranek jego wielkiego świętokradztwa. Odprawił pierwsze dwie msze, zdjął szaty liturgiczne i stając w drzwiach zakrystii zobaczył, jak kościelny rozsypuje biały proszek na ławkach.

- Co ty robisz, John? - zapytał wtedy.

John Wong podniósł głowę.

- Dużo ludzi przychodzi - wyjaśnił. Nanoszą dużo pluskiew.

No, oni nadal nanoszą dużo pluskiew, jeszcze jeden szczegół tej opowieści o Bogu.

Carmody ukląkł teraz przed ołtarzem, żeby się pomodlić, a John Wong poszedł dalej

przez nawę, żeby rozpylić proszek w konfesjonale. Oba te akty są częścią tej samej opowieści. Gdy się człowiek nauczy tolerować pluskwy i smród, i niechlujstwo osobiste, a przy tym kochać ludzi pomimo wszystko, to już jest krok bliżej do pojmowania Boga.

Klęcząc przed ołtarzem, Carmody podniósł wzrok na krucyfiks. Modlitwa już nie sprawiała mu trudności, ale lubił z nią zwlekać przez kilka cichych minut. To było trochę jak czekanie w przedpokoju, gdy się przychodzi do kogoś w ważnej sprawie, czas na to, by się przygotować, zebrać myśli.

Przypomniał sobie hasło, które kiedyś słyszał. Kojarzyło mu się z wojną domową w Hiszpanii, ale mogło pochodzić

215

r

z lat o wiele dawniejszych. „Lepiej umrzeć stojąc, niż żyć na klęczkach.” Brzmiało w tym coś mile chępliwego, coś zawadiackiego i byłoby łatwo mówić ludziom w salonie, ile zadufania jest w tej maksymie, i podniecić ich odważnie wyzywając owo zadufanie.

Rzeczywiście takie hasło to bzdura. Więcej trzeba mieć siły, odwagi cywilnej i męstwa, żeby paść na kolana, rzeczywiście paść na kolana przez Bogiem Wszechmogącym, niż utrzymać się na nogach, dysząc zawziętą niechęcią do ludzi. Człowiek stojący to postać dramatu, świadom swojej drama-tyczności, folgujący swojej pysze, czerpiący radość ze swojej buty. Żeby sobie folgować w pysze i w bucie, wystarczy czuć się wyższym niż inni, znaleźć niższych od siebie bądź zepchnąć równych sobie na niższe pozycje. Cóż więc z tego, że się stoi i gardzi klęceniem?

Człowiek na klęczkach poddaje swoją pychę Bogu Wszechmogącemu i w tym poddaniu staje się jednością ze wszystkim, co Bóg tworzy. Carmody, który kiedyś z wysokości konia patrzył na wieśniaków chińskich pogardliwie, nauczył się kochać ich, odkąd nauczył się klęczeć. „Miłość” w tym wypadku nie jest określeniem dość mocnym; cóż, kiedy nawet słowo „miłość” trzeba powiązać z seksem, jeżeli ludzie w salonie mają czuć się swobodnie. Miłość do Boga i miłość do człowieka są tylko

„gadką kościelną”, tego inteligentni ludzie nie lubią. Sam rozum przecież im mówi, że nie sposób kochać ludzi w masie czy też kochać jakieś pojęcie wielkie, dalekie, nienamacalne; toteż wszyscy, którzy chlubią się swoim intelektem, patrzą podejrzliwie na każdego pomyleńca, na każdego salonowego kaznodzieję, prawiącego im coś o miłości bez seksu. A przecież to proste, tak bardzo proste. Najmniej skomplikowane roszczenie chrześcijaństwa jest największą chrześcijańską prawdą - miłość stanowi najpotężniejszą siłę we wszechświecie.

Tylko ten, kto chce klęczeć, tę prawdę rozumie. Nigdy nie pokocha się ludzi, jeżeli się od ludzi bierze, jeżeli się ludzi wykorzystuje i używa do swoich własnych celów; gdy się jednak ludziom służy, gdy się ludziom ofiarowuje samego siebie, wtedy kocha się ich na pewno. I nie ma w tym nic zawilego, żadnej filozofii: to j e s t prawda.

Jezus Chrystus, który chodził po piaszczystych drogach

216

Galilei, musiał uważać potomków Sema za brudnych, niebacznych i oddanych występkom, akurat takich, jacy teraz są ci Chińczycy żyjący w cieniach Góry Dwóch Sióstr. Intelktualista, patrząc na rybaków, pasterzy owiec, przekupniów i drobnych sklepikarzy w Galilei i w Samarii, zapewne niewiele znalazłby do kochania, żołnierz na koniu po prostu gardziłby nimi, ale Jezus z Nazaretu kochał ich, ponieważ im służył i dawał im siebie, i w końcu udowodnił tę miłość. Jezus z Nazaretu był człowiekiem na klęczkach, a Poncjusz Piłat, ów chełpliwy, wspaniały dowódca rzymski, był człowiekiem stojącym. Ludzie głośno oddają cześć Jezusowi, ale w sercach swoich składają hołd Piłatowi i wszystkim jemu podobnym. Więc nadal można by mówić w zatłoczonym salonie o Rzymianinie takim jak Piłat, dowódcy żołnierzy, i nikt by nie czuł się zażenowany.

Carmody wpatrywał się w krucyfiks.

- Dziwne - powiedział - to bardzo dziwne. Tylko że ja nie mogę krytykować ani potępiać. Jestem jednym z nich. Dla mnie też zawsze coś mazgajowego było w człowieku, który idzie z Bogiem. Jakoś wydawało się to niedorzeczne w naszym nowoczesnym świecie.

Zmienił się całkowicie w pierwszy wieczór po swoim powrocie, gdy słuchał spowiedzi. Od konfesjonału przeszedł wtedy do ołtarza, tak samo jak teraz podniósł wzrok na krucyfiks i na złote drzwiczki tabernakulum i poczuł na wskroś go przenikającą straszną, budzącą cześć i bojaźń, niewiarygodnie piękną świadomość Boga.

On tam jest - pomyślał. -. Rzeczywiście jest. To nie koncepcja ani pojęcie, ani jakaś straszliwa wiara w przeznaczenie. On jest. I jest Bogiem, który mnie stworzył, i Jezusem Chrystusem, który chodził po takich drogach, po jakich ja chodzę.

Teraz, w ten wieczór, doznał takiego samego uczucia, tej samej cudownej pewności nie wymagającej ani dowodu, ani potwierdzenia zmysłów. To wprawiło go w uniesienie, rozradowało, napełniło wielkim jakimś spokojem. I nie uświadamiał sobie, że czas mija, że kolana go bolą od klęczenia na twardych stopniach ołtarza. To było wielkie duchowe przeżycie, taka chwila, jakiej mężczyzna szuka w bitwie, w seksie, w komponowaniu muzyki, w pisaniu

217

wierszy. To było spełnienie dla duszy, która jest wyższa ponad zaspokojenie pragnień ciała. I klęczał, modlił się bezgłośnie, szczęśliwy, zadziwiony tym, że ci inni ludzie, którzy znają to szczęście, nie potrafią zainteresować osób w salonie, lubiących słuchać opowieści o bitwach, o dziewczynach i żołnierzach.

Wiedział też, gdy tak klęczał, że klęczy na wyżynie. Wiedział, że nigdy by tej wyżyny nie osiągnął, wchodząc po stopniach z ksiązek filozofów czy jakiegokolwiek innej lektury, czy nawet po schodach rozumu. Wnieśli go na tę wyżynę prostaczkowie, których nauczył się kochać. Oni także swoją wiarą przywołali Chrystusa do ołtarza tam, gdzie on mógł wykonywać tylko pantomimę składania wielkiej Ofiary. Jeżeli świętokradztwo może kiedykolwiek być wybaczone, to tylko dzięki tym prostaczkom. Przeżegnał się i jego modlitwa była krótka, chociaż myślał długo.

- Panie - powiedział - dziękuję Ci za to, że dożyłem dzisiejszego dnia.

Wstał z klęczek i idąc przez nawę spojrzął na zegarek. Klęczał przy ołtarzu ponad

godzinę i było już bardzo późno. W ostatniej ławce John Wong z różańcem w rękach mocno spał. Do obowiązków kościelnego należało zgaszenie światła po wyjściu księdza, więc John Wong cierpliwie odmawiał różaniec i czekał, aż w końcu zmęczony całodzienną pracą zasnął. Jim Carmody pochylił się nad nim, po czym delikatnie położył mu rękę na ramieniu.

- Chodź, John - powiedział. - Musimy już iść.

3

Doktor David Sigman nie słyszał żadnych pogłosek i nie wiedział o zbliżaniu się Mieh Janga, dopóki „bilety wizytowe” zarządcy wojskowego nie pojawiły się w siedmiu wioskach. Tymi biletami wizytowymi byli przerażeni do utraty tchu kulisi, wychłostani przez żołnierzy różgami brzozowymi gwoli rozrywki w wioskach górskich. Przybyli obdarci i sponiewierani, szerząc zarazę lęku wśród ludzi, którzy ich przyjęli. Gdy trzeciego kulisa przyniesiono do szpitala, doktor Sigman zwołał w swoim domu radę wojenną.

218

wierszy. To było spełnienie dla duszy, która jest wyższa ponad zaspokojenie pragnień ciała. I klęczał, modlił się bezgłośnie, szczęśliwy, zadziwiony tym, że ci inni ludzie, którzy znają to szczęście, nie potrafią zainteresować osób w salonie, lubiących słuchać opowieści o bitwach, o dziewczynach i żołnierzach.

Wiedział też, gdy tak klęczał, że klęczy na wyżynie. Wiedział, że nigdy by tej wyżyny nie osiągnął, wchodząc po stopniach z ksiązek filozofów czy jakiegokolwiek innej lektury, czy nawet po schodach rozumu. Wnieśli go na tę wyżynę prostaczkowie, których nauczył się kochać. Oni także swoją wiarą przywołali Chrystusa do ołtarza tam, gdzie on mógł wykonywać tylko pantomimę składania wielkiej Ofiary. Jeżeli świętokradztwo może kiedykolwiek być wybaczone, to tylko dzięki tym prostaczkom. Przeżegnał się i jego modlitwa była krótka, chociaż myślał długo.

- Panie - powiedział - dziękuję Ci za to, że dożyłem dzisiejszego dnia.

Wstał z klęczek i idąc przez nawę spojrzął na zegarek. Klęczał przy ołtarzu ponad godzinę i było już bardzo późno. W ostatniej ławce John Wong z różańcem w rękach

mocno spał. Do obowiązków kościelnego należało zgaszenie światła po wyjściu księdza, więc John Wong cierpliwie odmawiał różaniec i czekał, aż w końcu zmęczony całodzienną pracą zasnął. Jim Carmody pochylił się nad nim, po czym delikatnie położył mu rękę na ramieniu.

- Chodź, John - powiedział. - Musimy już iść.

3

Doktor David Sigman nie słyszał żadnych pogłosek i nie wiedział o zbliżaniu się Mieh Janga, dopóki „bilety wizytowe” zarządcy wojskowego nie pojawiły się w siedmiu wioskach. Tymi biletami wizytowymi byli przerażeni do utraty tchu kulisi, wychłostani przez żołnierzy różgami brzoźowymi gwoli rozrywki w wioskach górskich. Przybyli obdarci i sponiewierani, szerząc zarazę lęku wśród ludzi, którzy ich przyjęli. Gdy trzeciego kulisa przyniesiono do szpitala, doktor Sigman zwołał w swoim domu radę wojenną.

218

Wchodząc tam Carmody zastał doktora, Beryl i Anne siedzących w milczeniu. Raczej nie kontaktował się z nimi, odkąd wrócił z misji protestanckiej, a szczególnie unikał Anne. Dave Sigman wstał, żeby go powitać.

- Niech ksiądz usiądzie i wybaczy, że darujemy sobie ceremonie wstępne. Czy ksiądz wie o tym niezależnym zarządcy wojskowym?

Carmody przytaknął.

- Już od tygodni.

- Od tygodni? I ksiądz nic nam nie mówił?

- Wydawało mi się - odpowiedział Carmody - że to raczej nie ma sensu. Tylko zaczęlibyście wcześniej się denerwować.

- Ale też zaczęlibyśmy się przygotowywać.

- Jak?

Doktor Sigman chodził po pokoju.

- To głupie pytanie, proszę księdza - powiedział. - Przecież musimy się bronić. Przewidywałem, że może dojść do czegoś takiego, jeżeli nie zamkniemy misji. No i doszło! - Beryl i Anne milczały. Patrzyły raczej na Carmody'ego niż na doktora, ale



doktor miał głos. - Rozmawiałem dzisiaj z przedstawicielami wszystkich naszych wsi. Ten Mieh Jang nadjeżdża za stoma tylko ludźmi. Możemy zwołać dwa razy tyle.

- W co ich pan uzbroi?

Dave Sigman rozplómił się.

- Mamy kilka karabinów. Niewiele to wprowadzie, ale co najmniej pięćdziesięciu czy może nawet stu mężczyzn z naszych wsi jest weteranami... służyli w wojsku tak czy inaczej, w armii Czerwonych albo w armii Czang Kai-szeka.

- Albo zarówno w jednej, jak w drugiej. - Carmody uśmiechnął się posępnie. - I prawdopodobnie niejeden z nich nawet nie wie, w której. Służba wojskowa, panie doktorze, jeszcze z takich ludzi nie czyni żołnierzy.

- Ale potrafią walczyć i my przecież mamy pozycje na wzgórzach. Można z karabinami czekać pod osłoną głazów na zboczach i walczyć jak Indianie. Kiedy żołnierze zarządcy wojskowego się rozproszą, możemy ich pokonać samą przewagą liczebną. Ci nasi ludzie produkują paskudne noże i przecież będą bronili własnych domów.

Carmody patrzył na Sigmana i myślał, jak znakomicie

219

musi w przekonaniu doktora wyglądać ten plan, przecież w gruncie rzeczy żałosny. Mieh Jang mając bodaj dwudziestu muzułmanów mógłby zająć wszystkie siedem wiosek. Lepsi wojownicy niż tutejsi wieśniacy próbowali już stosować indiańskie sztuczki zza skał wobec żołnierzy Mieh Janga i potem bardzo tego żalowali. A co do pokonania Mieh Janga przewagą liczebną...! - Potrząsnął głową.

- Ja tego nie będę sankcjonował, panie doktorze - powiedział - ani też nie będę tego doradzał. I jeżeli wydaje się panu, że dałoby się tę misję przemienić w twierdzę, w żadnym razie na to nie pozwolę.

Dave Sigman stojąc zsunął swoje krótkie nogi. Twarz miał ciemnoczerwoną.

- A więc - powiedział - nie byłoby żadnego wyjścia poza poddaniem się temu bandycie, jeżeli mówi ksiądz poważnie. Co właściwie ksiądz ma na myśli?

- To, że walczyć bez szans wygrania jest gorzej niż nie walczyć wcale.

Beryl wychyliła się z fotela.

- Ksiądz nie podchodzi realistycznie, proszę księdza - rzekła. - Ten bandyta to niemal zwierzę. Do szpiku kości niemoralny. Czy ksiądz zdaje sobie sprawę, co polityka potulności oznaczałaby dla naszych dziewcząt... i dla Anne... i dla mnie?

Carmody przytaknął:

- Owszem.

Poczuł na sobie wzrok Anne, ale nie mógł jej zobaczyć kącikiem oka. Wiedział tylko, że ona patrzy na niego z niedowierzaniem.

- Przecież, proszę księdza - powiedziała Anne - nie możemy wydać naszych ludzi na łaskę kogoś, kto nie wie, co znaczy łaska.

Oddała swój głos, więc już wszystkie głosy były za projektem doktora. Dave Sigman zwrócił się do Carmody'ego, wysuwając podbródek.

- Nie zamierzamy liczyć na jego łaskę - powiedział. - Stawimy mu opór.

Carmody spojrzał na blat stołu, zebrał myśli. To bardzo trudna sprawa. Oto czterech ślepców usiłuje opisać słonia, przy czym każdy wyobraża sobie inaczej jego rozmiary.

220

Dave Sigman, gdyby kiedykolwiek widział żołnierzy Mieh Janga w akcji, nie poświęciłby nawet pięciu sekund na planowanie oporu z pomocą mężczyzn z siedmiu wiosek. Cóż, kiedy Dave Sigman pojęcia nie ma o chyżości, brutalności, wprawie i okrucieństwie tych muzułmanów. Tak samo się nie da dzielić doświadczeniami z niedoświadczonymi - pomyślał - jak wiedzą o Bogu z tymi, którzy jej nie posiadają. Ten, kto sam czegoś nie przeżywał, zawsze jest pewny, że wie o tym czymś więcej, niż to jest możliwe.

Podniósł głowę.

- Słuchajcie - powiedział - my nie mamy żołnierzy, a zarządca wojskowy ich ma. Jeżeli zaczniemy od rozlewu krwi, ostatnia szansa powściągnięcia Mieh Janga przepadnie.

- Jaka jest ta ostatnia szansa? - zapytał Dave Sigman. - Księdzu się zdaje, że ksiądz go powściągnie swoimi modlitwami i wodą święconą?

Walnął dłonią w powietrze. Carmody patrzył na niego spokojnie.

- Może być lepsza broń niż ta, którą mają tu rolnicy i handlarze - odpowiedział - ale ja nie proszę, żebyście wierzyli w cuda. Bóg nie obiecuje żadnego bezpieczeństwa ciała, religia odnosi się do duszy. Proszę was tylko o to, żebyście pokładali wiarę we mnie. Pozwólcie, że ja to sam załatwię z tym zarządcą wojskowym.

Nie odrywając oczu od Dave'a Sigmana widział jego wyraźny gniew. Jednak to Beryl odpowiedziała:

- Jeżeli ksiądz zawiedzie, będzie ksiądz miał przynajmniej tę pociechę, że starał się, jak mógł. Ale gdzie pociecha dla nas?

- Jego modlitwy! - palnął Dave Sigman.

To było niczym eksplozja. Anne siedziała blada, wpatrzona w podłogę. Beryl podniosła głowę gniewna jak jej mąż. Carmody wstał. Rozumiał ich. W konfesjonale przez długi czas słuchał głosów rozpacz. Lęk pokornych, nieoświeco-nych ludzi z wiosek niewiele różnił się od lęku panującego teraz tu w pokoju. Tylko że tym ludziom tutaj nie mógł odpowiedzieć słowami, jakich używał wobec tamtych, a nic więcej nie miał do ofiarowania. Ucieczka jest niemożliwa, walka jest niemożliwa, pozostaje jedynie wiara.

- Przykro mi, że nie mogę ręczyć za nic i że wy nie

221

możecie mnie przekonać, ale muszę odrzucić całkowicie pomysł walki, która przecież tylko rozdrażni Mieh Janga. Wobec mojej dezaprobaty nie zwerbujecie pan, panie doktorze, tej daremnej armii.

Wszyscy wpatrywali się w niego. Dave Sigman zacisnął pięści, rozwarł je i znów zacisnął.

- Więc ksiądz nie aprobeuje obrony? - zapytał.

- Nie, panie doktorze. Przykro mi, ale nie mogę. I wszelkie dalsze dyskusje byłyby zbyteczne. Dobranoc..

Carmody odwrócił się i wyszedł z pokoju. To było nieprzyjemne, ale już nie pozwalał sobie na żaden kompromis. Alternatywa wyłoniła się jak najwyraźniej. Rozmowa już by jej nie zmieniła. W sensie wojskowym miał przecież więcej danych niż Dave

Sigman na to, by objąć dowództwo. A tylko słabością dowódcy są jakiegokolwiek wyjaśnienia. Czas i wypadki, nie rozmowa i nie domysły, udowadniają słuszość przewodnictwa.

W trzy dni później Mieh Jang ze swoją setką żołnierzy zjechał z gór do doliny. Rolnicy okoliczni i mieszkańcy wioski nadciągnęli drogą do misji o brzasku. Przybywały całe rodziny, dźwigając dobytek na grzbietach; co zamożniejsi mieli wozy i wózki bądź zwierzęta juczne. Na dziedzińcu misji zapanował taki tłok, że prawie nie sposób było przechodzić z budynku do budynku. Doktor Sigman pozamykał na klucz wszystkie drzwi przychodni, szpitala i swojego domu, zanim siłą przedarł się przez tę ciżbę na plebanię. Carmody chodził tam i z powrotem po gabinecie. Roletę w oknie od frontu podniósł wysoko, więc mógł tak chodząc patrzeć na drogę. Pomimo protestów Johna Wonga jak burza wpadł do pokoju Dave Sigman.

- Nie chciał ksiądz wpuścić tutaj mężczyzn, którzy by walczyli - powiedział gniewnie - ale temu całemu motłochowi pozwala ksiądz wejść! I co, zdaniem księdza, ten bandyta zrobi teraz... uszanuje to, że tacy debile uważają się tutaj za bezpiecznych?

Carmody potrząsnął głową.

- Uszanuje.

Dave Sigman usiadł w fotelu. Za późno już było na kłótnię, wiedział o tym. Zapalił papierosa. Palce mu drżały, ale nad głosem panował.

222

v

U \*

- Jesteśmy zbyt daleko na uboczu, żeby to mogło stać się incydem międzynarodowym - powiedział. - Ten nędzny generał nie jest wart kłopotu, jakim byłoby przysłanie tu ekspedycji dostatecznie silnej, i prawdopodobnie na to liczy. Więc nadjeżdża i diabli mnie biorą, że pozwoliłem księdzu zdecydować. Co teraz zrobimy?

Carmody wyjrzał przez okno. Kilku jeźdźców zatrzymało się na drodze naprzeciw misji. Obserwowali zatłoczony dziedziniec, ale siedzieli w siodłach nieruchomo.

Mieli karabiny na rzemieniach i takie czapki jak ta, którą Carmody sam kiedyś nosił. Najwyraźniej wcale im się nie spieszyło. Jeden z nich zawrócił w stronę wioski, pięciu zostało. Carmody wzruszył ramionami.

- Ten pana bandyta jest już we wsi, doktorze - powiedział. - Pójdę mu na spotkanie.

- Ksiądz zwariował.

- Nie sędzę.

Carmody podszedł do szafy. Był w czarnym ubraniu i po chwili wahania włożył sutannę. Denerwował się, ale czuł żar podniecenia - podniecenia, jakiego nie zaznawał od wielu miesięcy. Włożył czarny kapelusz z szerokim rondem. Dave Sigman niechętnie wstał z fotela.

- Jeżeli ksiądz mówi poważnie, pójdę z księdzem - rzekł.

Zacisnął szczęki ponuro, patrzył jednak z jakimś mdłym powątpiewaniem w oczach. Chciał ryzykować organizując zbrojny opór, choćby to były niedostateczne siły, bo cała jego natura buntowała się przeciwko sytuacji, w której inicjatywę i możliwość decydowania o losach misji miał ten zarządca wojskowy. Carmody tylko spojrział i poklepał go lekko po ramieniu.

- Dziękuję, panie doktorze - powiedział. - Lepiej jednak, żeby pan został tutaj. Nasze dziewczęta potrzebują pana.

Dopiero teraz przyznał, że zagraża niebezpieczeństwo, którego wolał nie ujmować w słowa. Czasami w swoich nastrojach Mieh Jang był zdolny do wszystkiego; zdolny też, niezależnie od nastroju, mógł być do wszelkich aktów gwałtu, byle tylko upokorzyć człowieka, który śmiał od niego uciec. Oczy Carmody'ego i Sigmana spotkały się. Doktor stał wyprostowany.

- Mam wojskowy automat — powiedział — i jeżeli

223

dojdzie do tego, żaden żółty bandyta nie weźmie Beryl ani Anne.

Carmody potrząsnął głową.

- Do tego nie dojdzie.

Odwrócił się i wyszedł w blask słońca. Na dziedzińcu zaszemrało. Stał przez chwilę i

patrzył na tych stłoczonych ludzi. Powoli uklękli wszyscy, fala za falą, i wtedy uczynił znak krzyża nad nimi. To gawiedź, zamazana jakaś masa, ale to jego ludzie, w sposób szczególny jego ludzie. Do konfesjonału każdy z nich przychodzi oddzielnie - ciało drżące i dusza pełna lęku. Zaszło mu w gardle. On im nie obiecywał osobistego bezpieczeństwa, bo nikt nikomu tego obiecywać nie może i nie ma tego w przymierzu pomiędzy Bogiem i człowiekiem. Ale podnosząc rękę nad nimi, poczuł wielki ciężar odpowiedzialności. W nim przecież oni pokładają całą nadzieję swego życia i szczęścia i ta nadzieja misternie przetyka jego wiarę. Pomodlił się bezgłośnie.

- Oni nie rozumieją, Boże. Jeszcze nie dosyć wiedzą, żeby rozumieć.

Ruszył ku bramie i wtedy ci jeźdźcy z twarzami bez wyrazu wyprostowali się czujnie w siodłach. Czterech znał, ale zignorował ich tak samo, jak oni udawali, że go nie znają. Za bramą na dziedzińcu misji ludzie głośno się modlili, gdy szedł drogą do wioski.

To była ta sama droga, którą szedł kiedyś z Anne, rozmawiając z nią o kinach i filmach zmienianych co dwa tygodnie. To była ta sama droga, którą odtąd chodził często, droga będąca też pierwszym etapem jego wyprawy do misji protestanckiej. Idąc teraz, usłyszał nagle jakieś szuranie za sobą. Kilkudziesięciu wieśniaków jeszcze przed godziną dość przerażonych, żeby szukać schronienia, teraz nabrało odwagi i ruszyło za nim. Oczywiście mogła nimi powodować ciekawość, ale wątpił w to. Ciekawość jest słabą mieszanką; znacznie bardziej stężonym paliwem, wprawiającym w ruch niechętnie nogi ludzi, jest wiara. Wyprostował ramiona. Nieraz mężczyźni szli tak za nim, ale byli żołnierzami - ci natomiast są bezbronni. Rzecz dziwna jednak - wpływa to na jego samopoczucie tak samo, dodają mu odwagi swoją obecnością.

Piaszczysta droga, wezbrana rzeka, smrodliwe szopy z eks-

224

krementami - aż w końcu wszedł do wioski. Na wioskowym placu muzułmanie, tutaj nie na koniach, niedbale i wzgardliwie rozciągali straż nad stertami łupów - garnków i tkanin - i nad tłumem nieszczęsnych, przestraszonych ludzi przycupniętych

bezradnie w małych gromadkach na ziemi. Minął tych strażników, którzy patrzyli na niego z wyzwaniem, ale nie uważali za konieczne - jak by to z pewnością uważali niżsi od nich stanem poganiacze mułów - spluwać w kurz. Byli uzbrojeni i mogli go po prostu zabić. A to, co można własnoręcznie zabić, czyż napawa lękiem? Inna sprawa oczywiście, gdyby on potrafił wywoływać złe duchy. Wąskie ich oczy patrzyły czujnie.

Mieh Jang siedział w fotelu pośrodku placu. Miał na sobie kurtkę oficerską i oficerski pas koalicyjny, brytyjskie bryczesy i buty z cholewami. Tygodnie marszu, pomimo używania sobie do woli w wioskach po drodze, sprawiły, że zeszczupłał: jego szeroka twarz już nie była spuchnięta i nalana. Brytyjska czapka garnizonowa przysłaniała zaczątki łysiny i wiele mówiący kształt głowy kulisa. Z surową miną słuchał błagalnego przemówienia najstarszego człowieka w wiosce.

Tego starca wyniesiono z domu, żeby w imieniu ludności błagał o łaskę. Miech Jang słuchał go, ponieważ to była ceremonia, a on zawsze ceremoniału przestrzegał.

Carmody zatrzymał się w pobliżu. Szepty tłumu najwidoczniej zorientowały Miech Janga, że on już idzie, i teraz dały znać, że przyszedł, ale Miech Jang panował nad sobą doskonale. Nadal słuchał błagań starca i nie podnosił wzroku. Starzec zająknął się i urwał, zerkając na Carmody'ego. Miech Jang surowo zabrał głos.

- Wasza wieś jest nędzna - powiedział. - Wasze towary niewarte nawet potu moich bydła. Wasi ludzie nie dość sprawni, żeby choć wylewać z moich kubłów pomyje, waszych kobiet by nie chciał najniezdarniejszy stajenny. To zarozumiałość z waszej strony prosić mnie, żebym myślał łaskawie o takim nędznym śmietniku jak ta wasza wieś, czy żebym troszczył się, co z nią będzie. Powinno się ją spalić, oczyścić ziemię, na której stoi.

I nagle spojrział na Carmody'ego - w oczach tliło mu się okrucieństwo. Przemówienie do starca nic nie znaczyło, zwykła formalność, słowa, jakimi mówił do wszystkich

naczelników czy starców wioskowych, żeby ich ukorzyć i pouczyć, że wszelkie nieszczęścia spadające z jego rozkazu i tak są dla nich dobrodziejstwem, bo mogłaby

to przecież być zagłada. Z Carmodym jednak miał porachunki osobiste, więc gdy już podniósł oczy, spojrzał nieobojętnie.

Carmody wyprostowany stał w milczeniu i czekał. Patrzył jak ów wyreżyserowany gniew na szerokiej twarzy Mieh Janga ustępuje miejsca zdumieniu. Mieh Jang opuścił wzrok z czubka czarnego kapelusza aż po skraj sutanny, po czym znów wlepił oczy w kapelusz. Już obudziło się w nim poczucie humoru, zachwyt wobec niespodziewanej rozrywki, na co Carmody przecież stawiał. Oto stoi ten groźny kiedyś przywódca patroli, ten grubiański brodaty Cortez, bez brody teraz, przyodziały w księżą sutannę. Mieh Jang, który nigdy nie śmiał się w obecności ludzi mających się go lękać, wstał z fotela. Był tak poważny jak Carmody; wiedział, że chwila jest dramatyczna i że rozrywkę trzeba odłożyć na później. Pojmani Chińczycy gapili się na tych dwóch mężczyzn niepewni, czy spodziewać się cudu, czy zbrodni. Muzułmanie stali nieruchomo jak zakłęci. Mieh Jang pstryknął palcami.

- Porozmawiam z Kościołem świętym - rzekł. - Przygotujcie dla nas odpowiednie miejsce!

Zrobiło to wrażenie na publiczności, dalej więc tak się zgrywał, dopóki nie został sam z Carmodym na pięterku w domu tkacza, najlepszym domu w całej wiosce.

Wtedy zaczął od pogładzenia sutanny.

- Kiepski mundur, Jimmy - powiedział. - Ja ubierałem cię lepiej.

- To dobry mundur, Jang. Lepszy, niż na to wygląda.

- Nawet Jan Teng nosi lepszy, a cóż znaczy kapłan buddyjski? Zszedłeś na psy na tym świecie, Jimmy.

- Nie doceniasz mnie.

Mieh Jang potrząsnął głową.

- Gdzie twoja męskość, Jimmy? Nosisz spódnicę. - Wygiął usta i urągliwie dotknął Carmody'ego. - Zawsze taki byłeś. Wałach w moim mundurze! Nie mogłeś zaspokajać kobiet. Teraz przynajmniej jesteś uczciwy. Nosisz spódnicę.

Przesuwając ręką po sutannie upewnił się, że Carmody nie

ma przy sobie broni. Usiadł z nogami skrzyżowanymi na jednej z mat tkacza i gestem



kazał Carmody'emu usiąść na drugiej. Rozkoszował się swoją władzą. Drwił z człowieka i z jego przebrania, nieustępliwymi oczami wypatrując reakcji. Carmody szacował nastrój Mieh Janga. Trzymał się w korbach, pełen znów owej nieustępliwości, jaką dawniej wzajemnie w sobie wywoływali. Ale tym razem jego nieustępliwść łagodziło coś, czego Mieh Jang by nie rozumiał. Jim Carmody występował w imieniu już nie tylko Jima Carmody. Narzucił sobie spokój - nie ma pośpiechu, rozmowa z tym zarządcą wojskowym to zawsze szachy i ceremonia.

- Dotychczas omijałeś terytorium misji, Jang. Dlaczego zmieniłeś mądrą taktykę?

- Dlatego, że tyś się znalazł na terytorium misji, Jimmy. Jesteś dezercerem. To mi się nie podoba.

- Tyłeś i tetryczałeś, kiedy ja wykonywałem całą pracę za ciebie. Moja dezercja wyraźnie ci posłużyła. Znowu jesteś w dobrej formie. Wyglądasz na brutala.

- Jestem brutalem. I nie podoba mi się, że odszedłeś. Jeżeli wrócisz i będziesz porządnie pracował, nie zastrzelę cię.

- Jak mógłbym dobrze pracować w twojej służbie, ja bez męskości?

- Może masz męskosc. Te spódnice ci nie przystoją. I obrażają mnie, Jimmy. Ich oczy się zderzyły. Carmody wzruszył ramionami.

- Jeżeli wrócę nie z dobrej woli, nie przydam ci się na nic. A zastrzelenie mnie tylko wywoła niepotrzebne gadanie. Przybrał ton muzułmanów z wiosek górskich: - Pracował dla zarządcy wojskowego taki jeden bardzo niebezpieczny, więc zarządca wojskowy aż mu s i a ł go zastrzelić.

Mieh Jang uśmiechnął się. Argument Carmody'ego nie należał do najlepszych, ale był jakimś wstępem do targów, a on to lubił, lubił targować się i handryczyć, kupować tanio to, co mógł wziąć siłą za darmo.

- A gdybym kazał, Jimmy, bykowcem obedrzeć cię ze skóry i powiesić za kciuki? Ludzie by przychodzili, żeby patrzeć na ciebie, i nie wyglądałbyś niebezpiecznie.

- To możliwe. Ale gdybym dzielnie wytrzymał te tortury, ludzie by mówili, że jestem silny i że Mieh Jang mnie nie złamał. Gdybym osłabł i rozkleił się,

wydziałiby, że taki

227

mięczak dowodził twoimi żołnierzami. I straciłbyś twarz, bo wtedy ci, którymi za ciebie dowodziłem, zaczęłyby się zastanawiać, czy przypadkiem ty też nie jesteś słaby. Zastanawianie się żołnierzy nad dowódcą jest bardzo niedobre, Jang.

Mieh Jang przytaknął z powagą, ale oczy mu błyszczały. To była taka rozmowa, jaką lubił. Brakowało mu tego, odkąd Jim Carmody go opuścił. Ludzie pełni lęku przed nim nudzili go, natomiast człowiek postawiony wobec możliwości tortur, bądź śmierci, rozmawiający o tym inteligentnie... to rzeczywiście była rozrywka.

- Wolałbym cię zastrzelić, Jimmy - powiedział. - Potrafiłbym nadać temu godność pełną prostoty, prawie smutku tutaj na tym placu wioskowym, gdzie wszyscy by zobaczyli, że zrobiłem rzecz konieczną, i to należycie. Opłaciłaby mi się ta moja kula.

- Sposób śmierci nie najgorszy, Jang. Ale ja uważam, że nie masz prawa mnie zabić.

- Chyba nie jesteś tak głupi, żeby tu mówić o prawach. Przecież głupi nigdy nie byłeś, Jimmy. Ja ciebie zastrzelić nie chcę. Ja chcę, żebyś znów dla mnie pracował.

- Ty chcesz! Jesteś teraz nie na swoim terytorium, tylko na moim. Jak ty się zachowujesz, Jang? Wypada ci przede wszystkim zapytać, czego ja chcę.

Mieh Jang uśmiechnął się szeroko.

- Tu rzeczywiście masz wspaniałych żołnierzy. Imponująco wyszkolonych, żeby siedzieć na ziemi, kiedy im się każe. No, więc, czego ty chcesz, Jimmy?

Wstęp do rozmowy prawie dobiegł końca. Carmody westchnął głęboko.

- Chcę bezpieczeństwa dla tej misji. Chcę bezpieczeństwa dla ludzi i ich mienia w tych siedmiu wioskach, pięciu po tej stronie rzeki i dwóch po tamtej stronie. Chcę, żebyś wrócił do swojej kwatery i zostawił ich w spokoju.

- Dużo chcesz. Co ofiarowujesz w zamian?.

- Nic!

Carmody patrzył prosto w oczy Mieha Janga, który wyraźnie coś sobie kalkulował.

Zawsze przy każdej grze Mieha Jang próbował przewidzieć co najmniej dwa

posunięcia przeciwnika. Tego jednak nie przewidział.

228

- Twoje żądania są zbyt nierozsądne - powiedział - więc wezmę to, czego ja chcę.

- Nie możesz. Pomyśl tylko. Będziesz miał to, czego w gruncie rzeczy nie chcesz: nędzne łupy z tych wiosek, niewarte, żeby je stąd wywozić, pożar w misji i mnóstwo złej woli.

- I te dwie białe kobiety - rzucił niedbale Mieh Jang, patrząc na Carmody'ego bystro, badając, ile to dla niego oznacza.

Ale Carmody miał minę obojętną.

- Ten lekarz sam je zastrzeli, zanim ty się dorwiesz do nich - powiedział. - Naprawdę nie miałbyś nic z tego, czego chcesz. Co najwyżej niewielką przyjemność zastrzelenia mnie, czym też nadszarpnąłbyś swój prestiż, w razie poddania mnie torturom. Więc jak możesz tu wygrać?

- Mogę cię zabrać z powrotem i zmusić do służby u mnie.

- Ale ja nie chcę ci służyć. Powtarzam, gdybyś zrobił ze mnie niewolnika, nie miałbyś ze mnie nic.

Carmody patrzył na Mieh Janga bez zmrużenia powiek. Zdawał sobie sprawę z siły swojej pozycji, tak samo jak z jej słabości. Mieh Jang miałby coś z niego tylko w wypadku, gdyby mógł mu ufać. Fakt, że Mieh Jang rzeczywiście pragnie jego powrotu, jest atutem.

Zarządca wojskowy przyglądał się Carmody'emu. Nienawiść i uraza zbladły, gdy rozmowa go pobudziła. Towarzystwo kogoś takiego jak Carmody, towarzystwo równego sobie, było przecież jedyną rzeczą, jakiej nie mógł zdobyć ani kupić. A tak bardzo potrzebował szermierza, z którym mógłby krzyżować szpady dyskusji, gimnastykować umysł. Odczuwał brak Carmody'ego. Cenił go tym bardziej teraz, ożywiony podsuniętą przez niego rozrywką, zagadką trudną do rozwiązania. Mógłby go mieć martwego w każdej chwili, ale też i korzyść byłaby żadna: natomiast Carmody żywy, podległy znowu, a przecież z rangą konieczną, żeby dochodziło do konfliktów tych dwóch umysłowości - to Mieh Jang mógł mieć tylko za zgodą

Carmody'ego. Umysłu nie można pojmać, a ciała posiadał wszystkie, jakie chciał.

Potrząsnął głową.

- Masz niewyczerpane możliwości, Jimmy - stwierdził.

229

- Nigdy mnie nie nudzisz. Więc słuchaj. Dam ci tę twoją misję i te twoje wioski, jeżeli wrócisz i będziesz mi służył wiernie przez trzy lata. To są dobre warunki.

Rzeczywiście to były dobre warunki. Carmody pomyślał

o ludziach, którzy siedzieli załęknieni pod strażą karabinów

- ludziach jeszcze mających nadzieję, ufających mu. Jednym skinieniem głowy mógłby zapewnić bezpieczeństwo im i ich domostwom, ale tymże samym skinieniem zabrałby im wiarę. Znał Mieh Janga. Mieh Jang słowa by dotrzymał, ale mając go znowu w swojej służbie, wystawiałby go na pokaz jako swojego człowieka i szydziłby z Kościoła, któremu go odebrał. Jest obowiązek posłuszeństwa wobec władzy ludzkiej i jest obowiązek posłuszeństwa wobec Boga. Mieh Jang jednak by mu nie pozwolił wypełniać tych obu obowiązków jednocześnie. Carmody czuł na sobie wzrok Mieh Janga. Propozycja już została wysunięta. Targi się skończyły.

Zacisnął szczęki.

- Wszystko albo nic, Jang - rzekł ponuro. - Wszystko, czego ty chcesz, albo wszystko, czego chcę ja. Twoje słowo się liczy, jeżeli zagramy, i tak samo moje.

Wyciągnij kości.

Mieh Jang rozchylił pulchne wargi. Och! jak on to lubił, a przecież nie przyszło mu to na myśl. Wspaniałe uwieńczenie rozrywki, która okazała się lepsza niż wszelkie uciechy w potulnych wioskach. Sięgnął do woreczka przy pasie

1 wyjął pięć kości do gry. Zagrzechotał nimi.

- Uzgodnione - powiedział. - Albo ja się wycofuję i zostawiam ciebie i tych nędzarzy, i ich cuchnące wsie, i twoją jaskinię przesądów, albo ty jedziesz dobrowolnie ze mną na trzy lata, bez żadnego już uciekania i żadnych dalszych zrad.

- Uzgodnione.

Oczy Mieh Janga błyszcząły podnieceniem hazardzisty i złośliwością. Jeżeli on

wygra, Carmody zobaczy, czym jest służba twarda, brutalna.

- Nie możesz wygrać w kości tak ubrany, Jimmy -zadrwił.
- Nie martw się. Rzucaj.

Mieh Jang z uśmiechem zwlekał. Pocierał kostki o bryczesy, potrząsał nimi w swej dużej ręce. Aż w końcu potoczyły się po twardej podłodze, szczęknęły i znieruchomiały. Wykrzyknął uradowany.

- Trzy szóstki! - Grubym palcem wskazywał jedną kostkę

230

po drugiej. Oczy jego szydziły z czarnej sutanny i z koloratki:

- Ojciec, Syn i Duch Święty - powiedział.

Carmody wzdrygnął się. Nie mógł już znieść bluźnierstwa. Miech Jang patrzył na niego, pozwalając kostkom leżeć tam, gdzie upadły. Zremisować trzy szóstki wyrzucone od razu było bardzo trudno, przebić je było raczej niemożliwością.

Carmody zdjął czarny kapelusz z głowy i delikatnie położył go z boku. Zebrał fałdy sutanny i przyklęknął na jedno kolano, zgarniając kostki. Nie pocierał ich ani nie grzechotał nimi. Patrzył spokojnie na Miech Janga, gdy obły się

0 podłogę. Na tej twarzy odczytał wynik.

Mieh Jang uniósł brwi, rozdziawił usta i zaklął. Wtedy Carmody spojrział na kostki.

Cztery trójki.

- Nie powinieneś być wyzywać Trójcy Świętej, Jang
- rzekł łagodnie.

Mieh Jang sięgnął do kieszeni po chustkę do nosa i otarł nią swą szeroką twarz, ścierając z niej zarazem wyraz konsternacji już wyraźniejszej niż gniew. Znów zapanował nad sobą. Oczy miał bez wyrazu.

- Tamta misja obejmuje tylko cztery wioski, jest mała
- powiedział- więc postaw za nią tylko dwa lata wierności. Jeszcze klęcząc na jednym kolanie, Carmody spojrział na

niego. Dopiero teraz przypomniał sobie misję protestancką

1 to, że Miech Jang przecież wie o jego tam wizycie. Następowala reakcja i czuł, jak w nim wszystkie nerwy dygoczą.

Protestancka misja nie miała dla niego znaczenia. Pomyślał, że wielebny Thomas Marvin może sam radzić sobie z własnymi problemami. Ale zobaczył na ustach Mieh Janga już igrający uśmiech. Wzruszył ramionami.

- Twój Bóg ma tylko jeden dom, Jimmy? - zapytał Mieh Jang.
- Nie.

Carmody zgarnął kostki. Ze swoim dylematem udał się do tego drugiego domu swojego Boga i otrzymał pomoc, jakiej szukał. Wielebny Thomas Marvin obiecał modlić się za niego, a Thomas Marvin, tak jak Mieh Jang i on sam, dotrzymuje słowa. Ja - pomyślał Carmody - nie mogłem mu obiecać modlitwy w zamian.

- Do ludzi w tamtej misji, Jang - powiedział - Bóg przemawia za pośrednictwem Biblii. I jest tam taki tekst:

231

po drugiej. Oczy jego szydziły z czarnej sutanny i z koloratki:

- Ojciec, Syn i Duch Święty - powiedział.

Carmody wzdrygnął się. Nie mógł już znieść bluźnierstwa. Mieh Jang patrzył na niego, pozwalając kostkom leżeć tam, gdzie upadły. Zremisować trzy szóstki wyrzucone od razu było bardzo trudno, przebić je było raczej niemożliwością.

Carmody zdjął czarny kapelusz z głowy i delikatnie położył go z boku. Zebrał fałdy sutanny i przyklęknął na jedno kolano, zgarniając kostki. Nie pocierał ich ani nie grzechotał nimi. Patrzył spokojnie na Mieh Janga, gdy obily się

o podłogę. Na tej twarzy odczytał wynik.

Mieh Jang uniósł brwi, rozdziawił usta i zaklął. Wtedy Carmody spojrział na kostki. Cztery trójki.

- Nie powinieneś być wyzywać Trójcy Świętej, Jang
- rzekł łagodnie.

Mieh Jang sięgnął do kieszeni po chustkę do nosa i otarł nią swą szeroką twarz, ścierając z niej zarazem wyraz konsternacji już wyraźniejszej niż gniew. Znów zapanował nad sobą. Oczy miał bez wyrazu.

- Tamta misja obejmuje tylko cztery wioski, jest mała
- powiedział- więc postaw za nią tylko dwa lata wierności. Jeszcze klęcząc na

jednym kolanie, Carmody spojrział na

niego. Dopiero teraz przypomniał sobie misję protestancką

1 to, że Mieh Jang przecież wie o jego tam wizycie. Następowwała reakcja i czuł, jak w nim wszystkie nerwy dygoczą.

Protestancka misja nie miała dla niego znaczenia. Pomyślał, że wielebny Thomas Marvin może sam radzić sobie z własnymi problemami. Ale zobaczył na ustach Mieh Janga już igrający uśmiech. Wzruszył ramionami.

- Twój Bóg ma tylko jeden dom, Jimmy? - zapytał Mieh Jang.

- Nie.

Carmody zgarnął kostki. Ze swoim dylematem udał się do tego drugiego domu swojego Boga i otrzymał pomoc, jakiej szukał. Wielebny Thomas Marvin obiecał modlić się za niego, a Thomas Marvin, tak jak Mieh Jang i on sam, dotrzymuje słowa. Ja - pomyślał Carmody - nie mogłem mu obiecać modlitwy w zamian.

- Do ludzi w tamtej misji, Jang - powiedział - Bóg przemawia za pośrednictwem Biblii. I jest tam taki tekst:

231

„Podzielili między siebie moje szaty, a los rzucili o moją suknię”.

Jang potwierdził to uśmiechem. Przez cztery lata studiował w Stanach Zjednoczonych.

- Wiem. Dwaj żołnierze rzucali kości. Ci żołnierze to teraz my, Jimmy.

Carmody popatrzył na kostki i rzucił je. Nie miał nawet jednej pary. Zrobiło mu się zimno. Zgarnął tych pięć kostek znowu i rzucił. Dwie piątki. Już nie patrzył na Mieh Janga. Zostawił te piątki i podniósł pozostałe trzy kostki. Miał jeszcze jeden rzut. Do dwóch piątek doszły teraz dwie. Przysiadł znowu na piętach i wszystkie mięśnie mu drżały.

- Cztery piątki w trzech rzutach - powiedział.

Mieh Jang wyrzucił najpierw dwie szóstki, a potem drugim rzutem jedną szóstkę. Potrzebował czwartej szóstki, a za trzecim razem mógł rzucić już tylko dwiema kostkami. Pogrzechotał nimi i oczy miał jak szparki. Kostki potoczyły się po

podłodze. Zatrzymały się i to były dwie jedyne.

- Twoje szóstki, Jang, są po odwrotnej stronie tych kości - powiedział Carmody. Już nie czuł nic: ani wiary, ani wdzięczności, ani triumfu, ani ulgi.

Mieh Jang siedział przez chwilę w kucki nad swoją przegraną. Napięty, z twarzą stężoną z zawziętości. Chyba doznawał bardzo silnej pokusy. Miał broń przy sobie i wiedział, że Carmody jest bez broni. I mógł wezwać swoich żołnierzy. I nie było żadnego świadka jego targów. Wyprostował się powoli, rysy twarzy mu zmiękły. Przestrzegał w życiu jednej zasady: skoro przegrał, musiał honorować swój hazard.

- Jimmy - poprosił - wróć ze mną! Podwoję ci żołd. Karawana kupiecka czeka o jeden dzień drogi stąd, dopóki nie wyjadę. Moi ją obserwują. Tam jest dwóch księży. Dwóch księży, których nie zdołasz oszukać, Jimmy.

Carmody potrząsnął głową.

- Z pewnością byś mnie któregoś dnia zastrzelił. Ja lubię być szefem, Jang. Przyszło mu nagle na myśl, że lubi Mieh Janga i że życie już nigdy nie będzie tak proste, pomimo całej swej pozornej krętości, tak otwarte i nieskomplikowane, jak było tam w klasztorze łamów. Mieh Jang to plugawy brutal, wszetecz-

232

ny i okrutny tyran, ale dotrzymuje każdej umowy i jest człowiekiem, dla którego słowo ma wartość, człowiekiem, który bardzo lubi wygrać, ale umie przegrywać. Wyciągnął rękę i Mieh Jang ujął ją bez wahania.

- Nie cieszyłoby mnie, Jimmy, zastrzelenie ciebie. Daleś mi rozrywkę. Spłaciłeś wszystkie twoje długi. - Wyprostował się na całą wysokość. - Wyjdę stąd jako dobroczyńca, zrobię z tego legendę, że musnął mnie Duch Święty. Wygłoszę przemówienie o świętym Kościele. To będzie zresztą dobre dla moich mahometan, którzy zaczynają opuszczać się w obowiązkach. To ich popędzi z powrotem do Koranu. Oni wierzą w Szejtana i kiedy zobaczą, co ja robię, będą pewni, że widzą go. Oni ciebie podejrzewali, Jimmy, odkąd włożyłeś tę szatę...

Już był znowu sobą, znajdował powody do rozbawienia nawet w swojej klęsce, już próbując ją odpowiednio udrama-tyzować. Wziął Carmody'ego pod rękę i odwrócił się do drzwi.



- Przegapiłeś Mary Yin, a to świetna dziwka - rzekł wesoło. - Opowiem ci pewne łóżkowe szczegóły, zdumiewające...

4

Paliły się świąteczne ogniska dziękczynne w tych siedmiu wioskach. Łuna ich oświetlała zbocza doliny. Od czasu do czasu trzaski fajerwerków rozlegały się jak wystrzały z małego pistoletu gdzieś daleko. Srebrny dzwon Szeng Mo Tangu, będący kiedyś dzwonem taoistów, dzwonił godzinami, aż wierny, podstarzały John Wong bardzo się zmęczył. To był dzień niepojętych wydarzeń i ogromnego zadziwienia i teraz noc o tym mówiła.

W przyszłości tę historię mieli opowiadać jej świadkowie, ciesząc się szacunkiem słuchaczy. Uzbrojeni żołnierze bandyty przyjechali zza góry i już wioski zostały splądrowane, a ludność wzięta do niewoli, gdy Osi Szen Fu z misji katolickiej wszedł do obozu zbrojnych i rozpedził żołnierzy, zmusił ich do uwolnienia pojmanyh, do zwrócenia łupów.

233

I nie mogło ulegać wątpliwości, że tak się stało naprawdę, ponieważ sam Mieh Jang, niezależny zarządca wojskowy, to ogłosił.

No bo czyż Mieh Jang nie powiedział publicznie, że musnął go Duch Święty? Carmody tam i z powrotem chodził po gabinecie na plebanii. Żenowało go to, że Dave Sigman i Beryl traktują go nieomal z czcią, i przerażało, że ludzie klękają przed nim, całują skraj jego sutanny. Wiedział, że jest po prostu błaznem w czapce z dzwoneczkami, jeszcze bardziej szarlatanem niż kiedykolwiek przedtem. Miał ręce świętokradcy dotykając naczyń liturgicznych, ale jeszcze większe świętokradztwo popełnił, gdy rzucał kości. A tu ludzie wielbią ziemię, po której on stapa, jego odzież to dla nich szaty uświęcone. Podnieśli go do rzędu świętych Pańskich, a już za niecałą dobę nastąpi rozliczenie jego rachunku z Kościołem, zdemaskowanie i okrycie niesławą.

Pocił się. Nie ma odwrotu. Każdym krokiem, każdym postępkim, każdym słowem pograżał się coraz bardziej w topiel bluźnierstwa i oszustwa. Spróbował uratować siebie, a przypisano mu zasługę uratowania duszy konającego Chińczyka, nie miał

odwagi wyjawic, kim jest, zeby nie byc posadzonym o zabicie tego ksiedza, pod ktorego postacią przybył, więc mu przypisywano dobro i akty miłosierdzia. Zagrał w kości z Mieh Jangiem i spowodował wydarzenie rzeczywiście niepojęte. Jutro cała ta budowla wokół niego runie w gruzy. Wzdrygał się przed tym.

Ci ludzie dali mu bardzo wiele. Nie chciał tej obfitości. Ale dlatego, że nauczył się ich kochać, zapragnął mieć tę odrobinę, na jaką uczciwie zasłużył. Chciał, żeby pamiętali go tak, jak on będzie ich pamiętał.

Tymczasem ogniska świąteczne się dopaliły i dawno już przebrzmiały radosne huknięcia ostatnich fajerwerków. Jedno po drugim światła misji zgasły. Carmody wyszedł na dziedziniec w przyjemny powiew wilgotnego wiatru. Góra za rzeką wznosiła się ogromna, bezkształtna i księżyc tej nocy słabo żeglował po niebie; skłębione chmury nadciągając zasłaniały go na długie minuty. Przed bramą stał lekki wózek ze złamanym dyszlem, porzucony chwilowo przez kogoś ze świętujących niepojęty dziw. Jutro ów ktoś miał przyjść po

234

swój wózek, ale jutro było dalekie i bez znaczenia. Teraz w wózku siedziała Anne. Podniosła głowę, gdy Carmody podszedł, blada w poświęcie księżyca. Stanął przy wózku, patrząc na nią.

- To raczej lekkomyślność z pani strony siedzieć tu samotnie - powiedział.  
- Nie sędę. Nie mogłam spać. - Wciągnęła głęboki oddech. - Chyba tylko ja jedna jeszcze nie podziękowałam księdzu za to, co ksiądz dzisiaj zrobił... dla nas wszystkich.

Wychyliła się ku niemu i to przeważało mały wózek. Mógł wyciągnąć rękę i dotknąć jej. Założył ręce na plecach, mocno je splatając.

- Nie powinno być podziękowań - powiedział.  
- Wszyscy wczoraj wieczorem byliśmy tacy arogancy, tak nam brakowało wiary. Chcieliśmy walczyć, wystawić siłę przeciwko sile. A ksiądz okazał nam tyle cierpliwości. - Głos jej drżał. - Myślę o świętym Franciszku Ksawerym, gdy myślę o księdzu. Wprost mnie przeraża to, że ja księdza znam, że ja...

Dalsze słowa ugrzęzły jej w krtani i odwróciła głowę. Była w szarym kostiumiku i w lekkim płaszczu narzuconym na ramiona. Wiatr potargał jej włosy. Złożyła dłonie.

- Wyjeżdżam z tą karawaną jutro. Zastanawiałam się, co powiedzieć przy pożegnaniu z księdzem.

Teraz Carmody wyciągnął ręce. Położył je na poręczy wózka i mocno zwarł palce. Jeszcze jest czas na wszystko pod słońcem, czas na spalenie mostów za sobą, na przełknięcie wszystkich konsekwencji swojego postępowania.

- Będiesz musiała poczekać na następną karawanę, Anne  
- powiedział - bo z tą wyjadę ja.

Patrzyła na niego zaskoczona.

- Ksiądz? Ależ oczywiście, że nie! Praca księdza tutaj dopiero się zaczyna. Po dzisiejszym dniu?

Spojrzał w jej żywe niebieskie oczy, po chwili jednak musiał spuścić wzrok.

- Moja praca tutaj już się skończyła - rzekł powoli.  
- Rozumiesz, Anne, ja nie jestem i nigdy nie byłem księdzem.  
- Nie! Co to znaczy, proszę księdza? Nie rozumiem.

W głosie jej był protest, w oczach jej było wszystko to, co przewidział: wstrząs, strach, niedowierzenie i - tak... zgroza!

235

swój wózek, ale jutro było dalekie i bez znaczenia. Teraz w wózku siedziała Anne. Podniosła głowę, gdy Carmody podszedł, blada w poświacie księżycy. Stał przy wózku, patrząc na nią.

- To raczej lekkomyślność z pani strony siedzieć tu samotnie - powiedział.  
- Nie sędzę. Nie mogłam spać. - Wciągnęła głęboki oddech. - Chyba tylko ja jedna jeszcze nie podziękowałam księdzu za to, co ksiądz dzisiaj zrobił... dla nas wszystkich.

Wychyliła się ku niemu i to przeważało mały wózek. Mógł wyciągnąć rękę i dotknąć jej. Założył ręce na plecach, mocno je splatając.

- Nie powinno być podziękowań - powiedział.  
- Wszyscy wczoraj wieczorem byliśmy tacy arogancy, tak nam brakowało

wiary. Chcieliśmy walczyć, wystawić siłę przeciwko sile. A ksiądz okazał nam tyle cierpliwości. - Głos jej drżał. - Myślę o świętym Franciszku Ksawerym, gdy myślę o księdzu. Wprost mnie przeraża to, że ja księdza znam, że ja...

Dalsze słowa ugrzęzły jej w krtani i odwróciła głowę. Była w szarym kostiumiku i w lekkim płaszczu narzuconym na ramiona. Wiatr potargał jej włosy. Złożyła dłonie.

- Wyjeżdżam z tą karawaną jutro. Zastanawiałam się, co powiedzieć przy pożegnaniu z księdzem.

Teraz Carmody wyciągnął ręce. Położył je na poręczy wózka i mocno zwarł palce. Jeszcze jest czas na wszystko pod słońcem, czas na spalenie mostów za sobą, na przełknięcie wszystkich konsekwencji swojego postępowania.

- Będiesz musiała poczekać na następną karawanę, Anne

- powiedział - bo z tą wyjadę ja.

Patrzyła na niego zaskoczona.

- Ksiądz? Ależ oczywiście, że nie! Praca księdza tutaj dopiero się zaczyna. Po dzisiejszym dniu?

Spojrzał w jej żywe niebieskie oczy, po chwili jednak musiał spuścić wzrok.

- Moja praca tutaj już się skończyła - rzekł powoli.

- Rozumiesz, Anne, ja nie jestem i nigdy nie byłem księdzem.

- Nie! Co to znaczy, proszę księdza? Nie rozumiem.

W głosie jej był protest, w oczach jej było wszystko to, co przewidział: wstrząs, strach, niedowierzenie i - tak... zgroza!

235

- Woląłem, żebyś już teraz o tym wiedziała. Chciałem ci to powiedzieć własnymi słowami. Przejdziemy się?

Odsuwała się od niego i twarz miała zupełnie białą. Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej zejść z wózka, ale przyjęła tę rękę dopiero po sekundach wahania. Podniósł ją za łokcie i postawił na ziemi. Jej waga nie stanowiła żadnej próby dla jego siły.

- Jest pewne wytłumaczenie - powiedział - nie ma jednak żadnego usprawiedliwienia.

Anne szła obok niego i oczy wlepiła w ziemię w cieniu pagodowej bramy.

Opowiedział jej swoją historię, nie oszczędzając siebie ani się nad sobą nie litując, podając fakty bez ogródek, nie prosząc o łaskę czy współczucie. Był tym, czym był, i nie powoływał się na nic. Ta dziewczyna widziała, jak profanował ołtarz Boga. Nie usiłował złagodzić jej tego wspomnienia. Potem nagle podniosła wzrok. Zaczęła patrzeć na niego.

- Napisałem do biskupa - zakończył - i teraz czekam na sąd jutro, kiedy ci dwaj księża przyjadą z karawaną.

Łagodnie zapytała:

- A co dzisiaj? Czy to wszystko, co pan dziś zrobił, było zgorzeniem i świętokradztwem?

- Było. - Carmody patrzył prosto przed siebie, nie widząc nic, rzeczowo zdał relację z wydarzenia w domu tkacza. Gdy doszedł do pointy, wzruszył ramionami.

- A więc ten wielki akt wiary i triumfu ducha - rzekł z goryczą - był po prostu szczęściem przy grze w kości.

- Pan w to wierzy?

Jej głos rzucił mu wyzwanie. Ostatecznie można ująć w słowa rzeczywistość, trudno jednak całkowicie wyprzeć się owej czci i bojaźni, jaką poczuł w duszy. Doznał teraz wstrząsu na myśl o tych czterech trójkach i zaraz ją odepchnął jako zabobonną.

Wstrząsnęło nim także wspomnienie własnej wiary przez te wszystkie tygodnie.

Słowami, które mówił ludziom, podtrzymywał siłę ducha zarówno w nich, jak w sobie. Nie lękał się ani nie wątpił, kiedy szedł do wioski na spotkanie z Mieh

Jangiem. A więc oparcie dawała mu wiara, przekonanie, że istnieje moc większa niż ta, którą posiada jakikolwiek człowiek. Uwierzywszy, czyż mógł temu przekonaniu zaprzeczyć teraz?

236

- Bo co? - zapytał.

- To, że pan starał się być księdzem, dobrym księdzem.

Spojrzał na nią i spuścił wzrok.

- Nie mogłem - powiedział ochryple. - Nie miałem prawa się starać.

- Ale starał się pan naprawdę i to się udawało. Nie ma w tym żadnego szczęśliwego trafu. Dzieło Boga za pośrednictwem pana. Pan nie zabiegał o nic dla siebie samego. Pan musiał wygrać! - Anne bez tchu machnęła swą małą piastką.

- Grając w kości, wszystko jedno w co, pan musiał wygrać...

- Mówiła gwałtownie i oczy jej pały. Nagle odwróciła się do niego, głowę trzymała wysoko. - Ksiądz czy nie - oświadczyła - jest pan najcudowniejszym człowiekiem, jakiego w życiu znałam.

Carmody patrzył na czarny masyw kościoła, na czarny krzyż rysujący się na tle nieba. Gdy odwrócił się do Anne, ogarnęło go zdumienie, taką czułość zobaczył w jej oczach. Ale słów mu zabrakło.

- Nie - powiedział.

Szli ramię w ramię i prąd elektryczny przebiegał między nimi. Carmody wpijał palce w boki. Zupełnie tak, jak tamtego wieczoru, kiedy śpiewali, czuł ów magnes, ów pociąg fizyczny, nie tylko swój pociąg do niej, ale i jej do niego. Teraz wiedział, dlaczego wyznał jej swój grzech: po prostu nie mógł znieść myśli, że ona usłyszy tę prawdę inaczej, nie od niego bezpośrednio. I gdy już wyznał, musiał bronić jej przed nią samą. Zdławić to, co powiedziec jej pragnął, mówić tylko to, co powiedziec powinien.

- Mam zapłacić pełną cenę tego świętokradztwa, Anne. Jest Bóg. Był tam zawsze na ołtarzu przy mnie. Czulem Jego obecność w moim pokoju nocą i nigdy od Niego nie uciekałem. Chodziłem w Jego cieniu i nieomal słyszałem Jego głos, który, niii rozkazywał! Bałem się Go, a przecież się nie bałem. Czulem, że On odracza wyrok i że ja jeszcze mogę coś zmienić. Nie wiem, co powinienem zrobić. Kościół prawdopodobnie mi powie. Cokolwiek powinienem zrobić, zrobię... wszystko. Był rad, że to zostało powiedziane. Przypomniiał sobie słowa Jan Tenga, że znajdzie duszę, jeżeli odejmiemy od tego równania ciało. Po tygodniach i miesiącach, w ciągu których

najtrudniejszym zadaniem, jakie kiedykolwiek przypadło mu w udziale. Chciał teraz tylko pożegnać się z Anne, zanim coś więcej zostanie ujęte w słowa. Wiedział, że ona już nie osądzi go surowo, a prosić ją o coś więcej nie miał prawa.

Chciał się odwrócić w stronę ciemnych budynków misji, w stronę szpitala, gdzie światło padało mgliście z drzwi prowadzących na dziedziniec, to samo światło, które wołało go wśród chlustania deszczu jakże dawno... ale dziewczyna lekko położyła mu rękę na ramieniu.

- Kim jesteś? - zapytała.

Wstrząśnięty, uprzytomnił sobie, że przecież ona nie wie. Spojrzał na jej wzniesioną ku niemu twarz.

- Jestem Jim Carmody, Anne.

- Jim. Jim Carmody - powtórzyła, jak gdyby uczyła się tego imienia i nazwiska na pamięć. Wargi jej drżały. - Dlaczego mi nie powiedziałeś od razu? - zapytała. - Nie czułeś potrzeby, żeby mi powiedzieć?

Dlaczego? Stał sztywno, patrząc jej w oczy, w te żywe niebieskie oczy, które co noc widział pomiędzy sobą i brewiarzem. To potrafił jej wyjaśnić.

- Egotyzm, być może - powiedział. - Pycha. Nie chciałem, żebyś myślała o mnie źle.

Potrząsnęła głową.

- Nie - odrzekła. - Nie tylko ty, Jimie Carmody, musisz odpokutować. Ja też muszę.

- Ty?

Zarumieniła się, ale spokojnie patrzyła mu w oczy.

- Ja byłem tak lekkomyślna, że pokochałam księdza.

Serce jego wzleciało na wstrzymanym oddechu. Widział w jej oczach piękno, zrozumienie, łagodność i wielkie zaufanie. Rozwarł ręce. Dziewczyna zrobiła krok ku niemu i wziął ją w ramiona, trzymał ją przy piersi, policzkiem dotykał jej włosów.

- Anne! - powiedział. - Anne! Ja nie mogłem ci powiedzieć. Nie mam ci nic do ofiarowania poza hańbą... nic...

Odchyliła głowę i spojrzała.

- Czego mi nie mogłeś powiedzieć?

- Tego, Boże, wybaczone, że kocham cię w każdej minucie od

238

pierwszej chwili... Odkąd stanęłaś w tych oświetlonych drzwiach...

- Niemożliwe.

- A jednak to prawda. Jakiś stary Chińczyk tyle dla ciebie znaczył. I każdy inny, kto cierpiał. Pracowałaś ciężko, a byłaś wesoła i nigdy nie roztkliwiałaś się nad sobą. Byłaś... jesteś... najbardziej uroczą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem...

Słowa wrywały się z ust same. Patrzył jej w oczy, a potem nagle opuścił ręce, odsunął ją.

- To także świętokradztwo - powiedział. - Świętokradztwo wobec wszystkiego, co święte w miłości. Nie mam prawa...

- Daję ci to prawo - Anne zawahała się, przetarła oczy. - Nie, przepraszam.

Błagam o przebaczenie. Jestem zwykłą dziewczyną. Nie mogę uwierzyć, że cokolwiek z tego stało się rzeczywiście. To wszystko sen, zły sen, żeby mnie ukarać. Grzeszyłam myślą, bo coś pociągało mnie do księdza. Zbudzę się z tego snu i ty będziesz nadal księdzem O'Shea, a ja...

Głos jej się załamał. Carmody zapragnął wziąć ją znów w objęcia i całować, i trzymać tuż przy sobie, i serce otworzyć przed nią, ale sutanna ciasno przylegała mu do ramion i krzyż kościoła czerniał na tle nieba, przypominając, gdzie on jest i czym jest. Otoczenie zatriumfowało, rola zapanowała nad aktorem. Carmody wiedział tylko - dziwne to było przekonanie - że jest księdzem czy przynajmniej pełnomocnikiem księdza, poddanym kapłańskiej dyscyplinie, dopóki nie zostanie zwolniony z tego obowiązku. Nie mógł rozerwać swoich więzów.

- Anne, to nie sen - powiedział. - Proszę cię, czekaj na mnie do jutra, bo jutro to się skończy. Wtedy będę mógł powiedzieć wszystko, co chcę...

- Jutro? - Anne wyprostowała się przerażona. - Co będzie jutro?

- Nie wiem. Chyba rzeczywiście niewiele mam tobie do zaoferowania.

- Czy ja o coś prosiłam? Jestem silna jak Beryl. Ślubowanie Dave'a to jej



ślubowanie. A przecież i moje grzechy wymagają ekspiacji.

Potrząsnął głową.

- Nie.

239

- Tak. I z czymkolwiek ty musisz się zmierzyć, ja chcę wiedzieć o tym.

- Będiesz wiedziała, Anne.

Uprzytomnił sobie, że stoi akurat w tym miejscu, gdzie pięścią powalił szpicla Mieh Janga. Miał i to w sobie, gdy grał rolę księdza. Czarne cienie muru zasłaniają mnie i ją teraz przed oczami świata - pomyślał. Czym prędzej tę niebezpieczną myśl odepchnął. Dotknął przedramienia Anne i z całym rozmysłem poprowadził ją wolno przez dziedziniec. Księżycowa poświata leżała na ziemi jak jasny dywan, tyle że musieli przejść przez czarny cień kościoła idąc do domu Sigmana, gdzie Anne mieszkała.

Zatrzymali się na chwilę, znów w siebie wpatrzeni, i on znów pomyślał o jej wierze, która z taką gotowością potępiła winę jej samej, ale pozwoliła stanąć w jego obronie, chociaż jego grzech był najcięższy z wszystkich grzechów, wprost niepojęty.

Możliwe, że nic nigdy nie miało być dla nich łatwe. Ale już szli swoją wspólną ścieżką, dokądkolwiek ta ścieżka ich wiodła. Jim Carmody przytknął palec do ust. A przecież powiedział:

- Bardzo cię kocham, Anne.

Podniosła na niego oczy pełne łez.

- Jim, będę się modliła za ciebie - powiedziała. - Całym sercem.

Odeszła. Patrzył, dopóki nie zamknęła drzwi za sobą.

- A więc do jutra - powiedział.

Dzień dzisiejszy był dniem niepojętych wydarzeń, ale on z radością czekał na dzień jutrzejszy, cokolwiek jutro mogło mu przynieść, ponieważ tak czy inaczej kończyła się jego maskarada, i to bynajmniej nie za wcześnie. Tej nocy przekonał się, że do życia w stanie duchownym wcale nie jest przygotowany, ale że rezygnując z przywłaszczonej roli jest po prostu niczym; nie może nawet okazać się godnym miłości, którą wbrew sobie samemu pozyskał.

Wchodząc znów w cień kościoła, przypomniał sobie, że jeszcze ma w kieszeni klucze, które jutro będzie musiał oddać. Wyjął te klucze i spojrzął na nie, a potem otworzył kościelne drzwi i wszedł w tę spokojną ciemność. Lampka przed tabernakulum paliła się, gdy podchodził do ołtarza Boga.

240

5

Wielkie kolumny nowoczesnych ciężarówek od dawna jeździły Drogą Birmańską i transport samochodowy stał się czymś pospolitym na równinach Chin, ale w tych odległych górach nadal były tylko szlaki i wędrowano nimi od stuleci nie poddając się żadnej innowacji. Karawana handlowa, która zajęła po drodze do misji katolickiej, składała się z wozów, objuczonych osłów, krzepkich kuców i kilku mułów.

Przewielebny ksiądz Timothy J. Cornelius, doktor teologii, był szczupłym człowiekiem średniego wzrostu. Miał zapadnięte policzki i wydatne kości policzkowe, wąską szczękę i nabrzmiałe niebieskie żyłki na skroniach. Jego szare oczy patrzyły czujnie spod krzaczastych brwi, ale w kurzu na szlaku dostał zapalenia spojówek i na białkach pojawiły mu się czerwone plamki. Podróżował w czarnym kapeluszu z szerokim rondem, w wojskowej kurtce polowej na księżym czarnym surducie, w bryczesach khaki i butach wojskowych. Jechał na kucu i dojrawszy wreszcie misję ucieszył się.

Odwrócił głowę do młodego księdza, który jechał za nim.

- Odkrywam ze smutkiem - powiedział - że nie jestem dość młody na jazdę tego rodzaju.

Ksiądz Joseph Keller, chudy, kościsty, miał lat dwadzieścia osiem, twarz szeroką i duże, zawsze wesołe usta.

- Sam jestem nie dość młody na to - powiedział. - Już chciałem wysłać pismo z protestem do świętego Krzysztofa.

Wozy i zwierzęta juczne rozciągały się jak okiem sięgnąć na tym bocznym szlaku, ale kupcy i tak zwani pasażerowie prowadzili, więc pierwsi wjechali w bramę misji.

Ksiądz Cornelius wyprostował zmęczone ramiona. Był osobistym przedstawicielem

biskupa i jako wysłannik władzy reprezentował cały majestat i splendor Kościoła świętego. Miał za sobą Dwunastu Apostołów, dwustu sześćdziesięciu sześciu papieży, Pałac Laterański i Watykan, Szymona zwanego Piotrem i obietnicę daną od Boga. A przecież tutaj na tę wysuniętą placówkę swojej wiary dojechał na parszywym kucu. Zsiadł z tego kuca sztywno, czepiając się dosyć rozpaczliwie łąku siodła.

Wysoki młody człowiek w koloratce wyciągnął rękę, żeby

16 — Lewa ręka Boga

241

pomóc. Cornelius podniósł wzrok i spojrzał w ciemne oczy Jima Carmody. Z wargami ściągniętymi skinął głową.

- Dzień dobry, księdzu - powiedział.

W tym momencie Carmody był opanowany, wcale jednak nie przygotował się na takie powitanie. Zbity z tropu przypomniał sobie jednak, że ludzie patrzą ciekawie.

Przecież nie będzie się tego omawiało publicznie - pomyślał - ku ogólnemu zgorzeniu. Ksiądz Cornelius - poprawny, grzeczny, daleki - przedstawił mu Josepha Kellera. Ten młody kapłan nie ukrywał ciekawości. Nie było podawania rąk.

Carmody tylko się uklonił.

- Jeżeli księży chcą się przebrać - powiedział - plebania czeka.

- Dziękujemy.

Z powagą szli we trzech przez szeroki dziedziniec misji, który zajęty już przez wygodnie usadowioną ludność wiosek teraz powoli przyjmował główny człon karawany. Na każdym kroku wieśniacy z uśmiechem kłaniali się Carmody'emu, przy czym na tych dwóch księży, którzy mu towarzyszyli, zerkali ciekawie. Ale ci obcy księży im nie imponowali - nie działo im nic nadzwyczajnego. Najgłębsze ukłony należały się księdzu O'Shea. Chociaż było już późne popołudnie, przed wejściem do przychodni lekarskiej utworzył się ogonek. Jakaś kobieta z bezwładnym niemowlęciem na ręku wybiegła z ogonka i zastąpiła drogę Carmody'emu.

- Szen Fu! - zawołała żałośnie.

Błagała, żeby pobłogosławił jej niemowlę. Carmody popatrzył na tę maleńką twarzyczkę wyglądającą jak wilgotna glina, zamknięte oczki, obwisłe blade usteczka.

Zacisnął wargi i spojrzeniem poprosił przedstawiciela biskupa. Ksiądz Cornelius podniósł rękę nad tym dzieckiem i na jego szczupłej twarzy odmalowało się współczucie. Uczynił znak krzyża, zmówił cicho modlitwę. Kobieta patrzyła z uwagą i czcią, ale w oczach jej widać było rozczarowanie. Przesunęła wzrok z księdza Corneliusa na Carmody'ego i wyciągnęła niemowlę ku niemu.

- Szen Fu! - wykrzyknęła.

To on bowiem był jej księdzem, sprawcą dziwów, a ona 242 wprost rozpaczliwie bała się o życie swego dziecka. Carmody wyprostował ramiona. Nie patrząc na towarzyszących mu księży, uczynił znak krzyża nad tym niemowlęciem tak jak ksiądz Cornelius i pomodlił się. Kobietę to uspokoiło i gdy ze współczuciem dotknął dziecka, oczy matki zajaśniały. Przytuliła niemowlę spokojna, ufna i pełna nadziei. Carmody'ego ogarnęły wyrzuty sumienia. Nie powinien był robić tego. Ona spodziewa się za dużo - pomyślał. Popatrzył uważnie wokół. Wierny John Wong szedł za nim, pokornie zamykając tyły.

- John - rzekł Carmody - zaprowadź tę kobietę do panny Scott do szpitala. Już panna Scott będzie wiedziała, co zrobić.

Ksiądz Cornelius odchrząknął głośno. Twarz miał zasepioną.

- Rad jestem, że pan jeszcze zaleca szpital - powiedział cierpko - i nie wprowadza swoich cudów w życie codzienne.

Carmody się zarumienił. Na to nie było żadnej odpowiedzi. Rozumiał niechęć, z jaką prawdziwi księża mogą odnosić się do niego i do szacunku, który ludzie mu okazują. Nie potrafił wytłumaczyć, że zrezygnowałby ze świata, nawet ze świata, gdzie jest Anne, gdyby tylko mógł być tym, czym się wydaje, zasługiwać rzeczywiście na szacunek i zaufanie. Jediną pociechę stanowiło to, że przecież tak bardzo zdradził zaufania pokładanego w nim przez tych ludzi. Odbyla się już krótka rozmowa w cztery oczy z księdzem Corneliusiem na plebanii, gdy ten zmęczony kapłan przebrał się po podróży w czystą odzież.

- Ci ludzie na dziedzińcu, proszę księdza... - powiedział wtedy Carmody ochryple. - Ksiądz ich widział. Wielu z nich połączyłem związkiem małżeńskim, chrzcilem ich dzieci, słuchałem ich spowiedzi. Czy ich wiara szła na marne, czy te

sakramenty są zupełnie bez znaczenia...?

Przedstawiciel biskupa patrzył chłodno.

- To pana trapi?

- Bardzo.

- Szkoda, że nie zaczęło pana trapić w porę. - Chuda twarz wyrażała bezkompromisowość. - Te sakramenty są z pewnością bez znaczenia, ponieważ wcale nie były sakramentami.

wprost rozpaczliwie bala się o życie swego dziecka. Carmody wyprostował ramiona.

Nie patrząc na towarzyszących mu księży, uczynił znak krzyża nad tym

niemowlęciem tak jak ksiądz Cornelius i pomodlił się. Kobietę to uspokoiło i gdy ze współczuciem dotknął dziecka, oczy matki zajaśniały. Przytuliła niemowlę spokojna, ufna i pełna nadziei. Carmody'ego ogarnęły wyrzuty sumienia. Nie powinien był robić tego. Ona spodziewa się za dużo - pomyślał. Popatrzył uważnie wokoło.

Wierny John Wong szedł za nim, pokornie zamykając tyły.

- John - rzekł Carmody - zaprowadź tę kobietę do panny Scott do szpitala. Już panna Scott będzie wiedziała, co zrobić.

Ksiądz Cornelius odchrząknął głośno. Twarz miał zasepioną.

- Rad jestem, że pan jeszcze zaleca szpital - powiedział cierpko - i nie wprowadza swoich cudów w życie codzienne.

Carmody się zarumienił. Na to nie było żadnej odpowiedzi. Rozumiał niechęć, z jaką prawdziwi księża mogą odnosić się do niego i do szacunku, który ludzie mu okazują.

Nie potrafił wytłumaczyć, że zrezygnowałby ze świata, nawet ze świata, gdzie jest Anne, gdyby tylko mógł być tym, czym się wydaje, zasługiwać rzeczywiście na szacunek i zaufanie. Jediną pociechę stanowiło to, że przecież tak bardzo zdradził zaufania pokładanego w nim przez tych ludzi. Odbyla się już krótka rozmowa w cztery oczy z księdzem Corneliusem na plebanii, gdy ten zmęczony kapłan przebrał się po podróży w czystą odzież.

- Ci ludzie na dziedzińcu, proszę księdza... - powiedział wtedy Carmody ochryple. - Ksiądz ich widział. Wielu z nich połączyłem związkami małżeńskimi,

chrzcilem ich dzieci, słuchałem ich spowiedzi. Czy. ich wiara szła na marne, czy te sakramenty są zupełnie bez znaczenia...?

Przedstawiciel biskupa patrzył chłodno.

- To pana trapi?

- Bardzo.

- Szkoda, że nie zaczęło pana trapić w porę. - Chuda twarz wyrażała bezkompromisowość. - Te sakramenty są z pewnością bez znaczenia, ponieważ wcale nie były sakramentami.

243

- Oni o tym nie wiedzieli, proszę księdza. Przychodzili do kościoła z wiarą, a zastawali mnie.

- Wiem. - Ksiądz Cornelius miał w oczach smutek, ale nie patrzył na Carmody'ego. Patrzył w ścianę, jak gdyby widział przez nią tych ludzi na dziedzińcu.

- Pan nie mógł nikomu dać rozgrzeszenia. Nie wystarczy, że penitent przychodzi do konfesjonału. Ksiądz jest konieczny. To ścisły nakaz Pana naszego i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa. „Weź-mijcie Ducha Świętego! Którym odpuszcicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane.”

Carmody wciągnął głęboki oddech.

- Ja zawiniłem - powiedział posepnie - ci ludzie, którzy się spowiadali, mają wszelkie powody po temu, by wierzyć, że grzechy zostały im wybaczone. Skąd mogli wiedzieć? Czyż można uważać ich za odpowiedzialnych?

Stary ksiądz Cornelius spojrział na niego z powagą.

- Jeśli o to chodzi - powiedział - opieramy się na miłosierdziu i sprawiedliwości Boga i na Jego bezgranicznej łasce. Szczera i pokorna dusza nigdy nie szuka tej łaski na próżno. - Zgarbił się, znużony. - W innych skomplikowanych sytuacjach, jakie pan wytworzył, Kościół postąpi tak, jak postępuje zawsze, przyjmując odpowiedzialność, gdy jego dzieci są oszukiwane w jego imieniu. Moim obowiązkiem jest rozpatrzyć wszystko, co pan zrobił, i unieważnić to, co się da unieważnić bez zgorznienia, bez zachwiania wiary. Będę zachęcał ludzi do spowiedzi generalnej. Czy to panu odpowiada?

Carmody uklonił się.

- Tak. Dziękuję księdzu.

Ale na tym rozmowa się skończyła. Ksiądz Cornelius jeszcze nic nie powiedział o samym Carmodym. Jeszcze nic nie zawyrokował. Nie pozbawił go koloratki i publicznie traktował jak księdza. Maskarada trwała, miecz nad Carmodym nadal wisiał. Wieczorem ku uszczęśliwieniu Johna Wonga, ksiądz O'Shea wydał na plebanii kolację dla dwóch dostojnych gości i państwa Sigman. Anne też dostała zaproszenie, ale odmówiła pod pretekstem, że jest potrzebna w szpitalu. Jim Carmody jako gospodarz przewidywał, że to będzie bardzo niemiły wieczór. Sigmanowie, którzy przyszli pierwsi, bynajmniej nie rozwiali jego obaw.

244

Dave Sigman w wojowniczym nastroju od razu przystąpił do sprawy, która go niepokoiła.

- Czasami, proszę księdza - powiedział - ci Chińczycy są dosyć bystrzy. Zawsze wiedzą, co piszczy w trawie. Krąży pogłoska, że ksiądz będzie tu miał następcę. Jak z tym właściwie jest?

Carmody zastanowił się. Bystre oczy niewątpliwie zauważyły panujący pomiędzy nim a gośćmi chłód i doszukały się znaczenia w pierwszeństwie księdza Corneliusa przy błogosławieniu tego niemowlęcia.

- To zupełnie prawdopodobne - odrzekł.

Dave Sigman zaklął.

- Cholerny skandal. Już ja im wygarnę. Ci księża to takie same zgagi jak lekarze. Niech tylko człowiek zrobi coś nowego albo coś mu się powiedzie, od razu dybią na niego i wołają „szarlatan”!

Carmody potrząsnął głową.

- Nie w ten sposób, Dave. Kościół ma przepisy i władzę. Są powody, dla których tak się dzieje.

- Powody! Niech mi ksiądz nie opowiada! Widzę przecież, co ksiądz robi tutaj. A mnie niełatwo było przekonać. Mam do czynienia przez całe życie z istotami ludzkimi, z ich krwią, ich kiszki i ich niemądrymi umysłami. Nie zmieni się

swego wnętrza, kiedy się na szyję włoży koloratkę.

Carmody potrząsnął głową.

- Nie. Ta zmiana następuje, zanim wolno ją włożyć.

Beryl wtedy pospieszyła mu na ratunek, ponieważ doktor znów był bliski wybuchu.

- Proszę cię, Dave - powiedziała. - Tylko utrudnisz wszystko księdzu O'Shea.

Spojrzała na Carmody'ego. - Zgadzam się z Dave'em, proszę księdza. Ja też tak to odczuwam, ale przecież nie możemy stawiać księdza w kłopotliwej sytuacji. Ksiądz musi poddać się. Ostatecznie ksiądz jest księdzem. Ale ksiądz wie, co my czujemy.

Carmody drgnął. Nic oprócz prawdy nie mogłoby zachwiać błędną lojalnością

Sigmanów, ale nie chciał, żeby poznali tę prawdę. Szmat drogi już przeszedł z

Dave'em i Beryl Sigmanami. W kilka minut później siedział u szczytu stołu i starał się uśmiechać.

Doktor Sigman opanował gniew, nie potrafił jednak dobrze

245

ukrywać wrogości. Ksiądz Cornelius wyczuwał tę wrogość i patrzył na niego chłodno i pytająco. Ksiądz Keller był po prostu młody i czuł się nieswojo. Tylko Beryl usiłowała ożywić ogólną rozmowę, ale niedługo. Dave Sigman obrócił wszelkie jej wysiłki wniwecz i zaczął wygłaszać wspaniałe przemówienie pochwalne o księdzu O'Shea, jego życiu i dziele.

Ksiądz Cornelius słuchał grzecznie i cierpliwie. Gdy doktor skończył wysoce dramatyczną opowieść o niepojętym wydarzeniu w wiosce i o wymarszu Mieh Janga, przedstawiciel biskupa uśmiechnął się ponuro.

- Słyszałem wiele wersji - rzekł chłodno. - Po drodze zatrzymaliśmy się w pięciu z siedmiu wiosek tej parafii. Pan to opisuje, panie doktorze, jak ową historię, kiedy król Francji wmaszerował na wzgórze i zaraz zszedł ze wzgórza z powrotem. Właściwie jak to było?

Dave Sigman, z twarzą pociemniałą, już chciał powtórzyć swoją wersję, żywo gestykułując, ale Beryl odezwała się szybko:



- Tylko ksiądz O'Shea może na to odpowiedzieć.

Carmody poczuł na sobie krytyczny wzrok obu księży i stronniczy wzrok swoich przyjaciół. Wiedział, że księża znają jego przeszłość u Mieh Janga. Znalazł się w kropce. Nie mógł opuścić całkowicie tych, którzy mu wierzyli.

- Niezależni zarządcy wojskowi są ostrożni w stosunku do misji - powiedział. - Ten łatwo uległ perswazji. Nie było w tym nic niepojętego. Przecież próbowałem to wytłumaczyć.

Beryl parsknęła śmiechem.

- Ten zarządca wojskowy jednak nie okazywał nadmiernej ostrożności. Jego uzbrojeni żołnierze stali tu u naszej bramy, a dobytek parafian piętrzył się na placu wioskowym.

Carmody wciągnął głęboki oddech.

- Była modlitwa - powiedział. Nie unikał wzroku księży. Przypominając sobie wiele szczegółów swojej rozmowy z Mieh Jangiem, już nie wierzył, że to on sam czy też ślepy traf wpłynął na obrót sprawy. - Mężczyźni z wioski, którzy schronili się w misji, szli za mną, kiedy szedłem, żeby się spotkać z zarządcą wojskowym. I idąc modlili się.

Przy stole zaległa cisza. Pomyślał, że księża z pewnością zarzucają mu obłudę, ale już był spokojny, już był znowu gospodarzem u siebie.

246

- Skoro mowa o modlitwie - powiedział - pamiętam przypowieść, którą opowiadał mi kiedyś pewien mnich buddyjski. Otóż nastąpiła wielka powódź i klęska głodu w Chinach i bogowie wysłali swoją najbardziej hyżą zwias-tunkę, złocistą czapkę, z symbolem nadziei dla tych ludzi, którzy modlili się o ratunek. Ale czapli skrzydła osłabły, więc musiała sfrunąć na ziemię. I znalazła się wtedy na grzbiecie żółwia. Ten żółw poniósł ją do samego celu jej drogi - Carmody popatrzył na swoich gości. - To dowodzi - rzekł łagodnie - że nawet w pogańskich prymitywnych wierzeniach modlitwy nigdy nie pozostają bez odpowiedzi, chociaż chyżej złocistej czapli, która niesie odpowiedź bogów, okoliczności mogą nadać tempo żółwie.

Znów zapanowało milczenie pełne napięcia. Ksiądz Cornelius uśmiechnął się słabo.

- Ja wolę wyciągnąć z tego wniosek chrześcijański - powiedział.

Beryl lekko pochyliła się ku niemu nad stołem.

- Jaki to wniosek?

- Do swoich celów Bóg używa dostępnych narzędzi.

Dave Sigman znów ruszył do ataku.

- Miał tu wczoraj godne narzędzie - powiedział.

Ksiądz Cornelius przełamał bułkę i spokojnie posmarował ją masłem.

- Narzędzia Boga zawsze godne są Jego celu, ponieważ łaską swoją On je godnymi czyni.

Kolacja zakończyła się tak samo nerwowo, jak się zaczęła. Przed wyjściem Dave Sigman odciągnął Carmody'ego na bok. Chociaż ogolił się w ten wieczór dokładnie, jego szeroka twarz już znowu była sina od zarostu. Oczy miał pełne niepokoju.

- Ten zimnooki diabeł księdza urządzi - powiedział. - Ale niech tylko ksiądz powie słowo, Beryl, Scotty i ja wybronimy księdza. Powiemy mu to. I to go usadzi. Carmody znów poczuł, że w gardle mu zasycha, że oczy go pieką. On ze Swojej strony nie mógł absolutnie niczym odpowiedzieć na taką przyjaźń i zaufanie. Nie wątpił, że od dziś czy od jutra nie będzie śmiał nawet skontaktować się kiedykolwiek z Dave'em Sigmanem, który uzna go raz na zawsze za niewdzięcznika.

247

- Skoro mowa o modlitwie - powiedział - pamiętam przypowieść, którą opowiadał mi kiedyś pewien mnich buddyjski. Otóż nastąpiła wielka powódź i klęska głodu w Chinach i bogowie wysłali swoją najbardziej hyżą zwias-tunkę, złocistą czapkę, z symbolem nadziei dla tych ludzi, którzy modlili się o ratunek. Ale czapli skrzydła osłabły, więc musiała sfrunąć na ziemię. I znalazła się wtedy na grzbiecie żółwia. Ten żółw poniósł ją do samego celu jej drogi - Carmody popatrzył na swoich gości. - To dowodzi - rzekł łagodnie - że nawet w pogańskich prymitywnych wierzeniach modlitwy nigdy nie pozostają bez odpowiedzi, chociaż chyżej złocistej czapli, która niesie odpowiedź bogów, okoliczności mogą nadać tempo żółwie.

Znów zapanowało milczenie pełne napięcia. Ksiądz Cornelius uśmiechnął się słabo.

- Ja wolę wyciągnąć z tego wniosek chrześcijański - powiedział.

Beryl lekko pochyliła się ku niemu nad stołem.

- Jaki to wniosek?

- Do swoich celów Bóg używa dostępnych narzędzi.

Dave Sigman znów ruszył do ataku.

- Miał tu wczoraj godne narzędzie - powiedział.

Ksiądz Cornelius przełamał bułkę i spokojnie posmarował ją masłem.

- Narzędzia Boga zawsze godne są Jego celu, ponieważ łaską swoją On je godnymi czyni.

Kolacja zakończyła się tak samo nerwowo, jak się zaczęła. Przed wyjściem Dave Sigman odciągnął Carmody'ego na bok. Chociaż ogolił się w ten wieczór dokładnie, jego szeroka twarz już znowu była sina od zarostu. Oczy miał pełne niepokoju.

- Ten zimnooki diabeł księdza urządzi - powiedział. - Ale niech tylko ksiądz powie słowo, Beryl, Scotty i ja wybronimy księdza. Powiemy mu to. I to go usadzi.

Carmody znów poczuł, że w gardle mu zasycha, że oczy go pieką. On ze swojej strony nie mógł absolutnie niczym odpowiedzieć na taką przyjaźń i zaufanie. Nie wątpił, że od dziś czy od jutra nie będzie śmiał nawet skontaktować się kiedykolwiek z Dave'em Sigmanem, który uzna go raz na zawsze za niewdzięcznika.

247

- Dave - powiedział - ksiądz Cornelius ma rację. Dostał trudne zadanie do wykonania. Musi je wykonać co do joty.

Dave Sigman zamrugął:

- A tak jest naprawdę, proszę księdza?

- Naprawdę.

- Dobrze. Chociaż wcale mi się to nie podoba.

Pożegnali się i Jim Carmody wrócił do saloniku plebanii.

Służący już odeszli. Ksiądz Timothy Cornelius siedział w fotelu pod wiszącym na ścianie srebrnym krucyfiksem. Ksiądz Keller siedział skromnie z boku. Fotel

naprzeciwko przedstawiciela biskupa był pusty, czekając najwyraźniej na Carmody'ego. A więc to będzie teraz. Carmody stanął przy tym fotelu. Ksiądz Cornelius podniósł wzrok.

- Pan rozumie, oczywiście, że jestem tutaj jako przedstawiciel jego ekscelencji biskupa. Czytałem pana niezwykle list. Wyraża się pan dobrze. Byłem skłonny uznać pana szczerą. - Urwał wpatrując się w twarz Carmody'ego.

- Takie świętokradztwo, jakie pan popełnił - powiedział

- jest wielką zdradą wobec Boga Wszechmogącego. Nie ma pan żadnego prawa spodziewać się łaski Bożej ani aprobaty ze strony Kościoła tylko dlatego, że pan odpokutuje i nie będzie pan trwał przy popełnianiu świętokradztwa ani usprawiedliwiał go, ani czerpał z niego chwały.

Carmody poczuł, że wargi mu drętwieją.

- Wiem o tym - powiedział.

- To dobrze, że pan wie. Żadne późniejsze wydarzenie nie usprawiedliwia grzechu, nawet jeśli zostało uznane za dowód łaski Bożej. Nie pozwoliłbym panu na zarozumiałość. Poza tym sprawę pozostawiam konfesjonałowi.

Przedstawiciel biskupa urwał znowu.

- To mówienie o niepojętych dziwach bardzo mnie niepokoi. Pana perora na temat modlitwy dzisiaj przy kolacji nappełniła mnie powątpiewaniem co do szczerości, którą panu przypisywałem. - Poważne oczy patrzyły zimno. - Właściwie jakie były warunki tej transakcji z pana byłym dowódcą, jaka cena owego rzekomego cudu czy tego, co pan nazwał odpowiedzią na modlitwę?

Carmody się zaczerwienił.

- Nie było żadnej transakcji. Zagrałem z nim w kości. 248

Stawką były z jednej strony trzy lata mojego życia, z drugiej rezultat, jaki jest księdzu znany.

Tym razem wyjątkowo ksiądz Cornelius najwyraźniej stracił swój sędziowski spokój.

- Trzy lata życia? Proszę mi o tym opowiedzieć. Pan zagrał. Jak?

Carmody opowiedział. Ledwie rozpoczął to opowiadanie, słowa same zaczęły

nabierać rozpędu. Opowiedział też, jak grali o „drugi dom Boga”, czyli misję protestancką, i jak przy pierwszej grze Mieh Jang zadrwił z Ojca, Syna i Ducha Świętego, wyrzuciwszy trzy szóstki. I jak upadały te cztery trójki, które je przebiły.

- Powiedziałem Mieh Jangowi, że on sam wyzwał Trójcę.

- Istotnie wyzwał.

Ksiądz Cornelius postukiwał paznokciami po poręczy fotela. Patrzył na Carmody'ego zdumiony, trochę zaniepokojony. Potrząsnął głową.

- Drogi Boże są niepojęte - rzekł łagodnie. - To, o co zabiegamy z człowieczą pychą, jest nam odmawiane. To, o co zabiegamy w pokorze dla dobra innych, przychodzi do nas, jakkolwiek środki mogą być dziwne.

Przez parę minut siedział z głową spuszczoną, po czym znów podniósł wzrok na Carmody'ego.

- Zdumiewa mnie pan pod wieloma względami - powiedział. - Otrzymałem w odniesieniu do pana polecenia od jego ekscelencji, ale wolałem przedtem pana wysłuchać. Pan uzurpował sobie kapłaństwo. Wyznaczał pan pokutę w konfesjonale. Więc teraz niech pan wyznaczy pokutę sobie samemu... czy też nie wyznaczy. Nie mam władzy, żeby zmuszać pana.

Carmody stał przed nim, ale oczy podniósł na krucyfiks. To była chwila, której się spodziewał. Mierzył się z tą chwilą przez całą ubiegłą noc, gdy modlił się sam w kościele. Mierzył się z tą chwilą częściowo i w inne noce, ale tej nocy zmierzył się z nią w całej pełni.

- Przykro mi - powiedział. - Mam nadzieję, że dokonałem czegoś dobrego, ale cel przecież nie uświęca środków. Nie zrobiłbym już nigdy tego, co zrobiłem.

Mógł to powiedzieć szczerze, chociaż pozornie wykreślał tym samym fakt, że istnieje w jego życiu Anne i ci lojalni

249

Stawką były z jednej strony trzy lata mojego życia, z drugiej rezultat, jaki jest księdzu znany.

Tym razem wyjątkowo ksiądz Cornelius najwyraźniej stracił swój sędziowski spokój.

- Trzy lata życia? Proszę mi o tym opowiedzieć. Pan zagrał. Jak?

Carmody opowiedział. Ledwie rozpoczął to opowiadanie, słowa same zaczęły nabierać rozpędu. Opowiedział też, jak grali o „drugi dom Boga”, czyli misję protestancką, i jak przy pierwszej grze Mieh Jang zadrwił z Ojca, Syna i Ducha Świętego, wyrzuciwszy trzy szóstki. I jak upadały te cztery trójki, które je przebiły.

- Powiedziałem Mieh Jangowi, że on sam wyzwał Trójcę.
- Istotnie wyzwał.

Ksiądz Cornelius postukiwał paznokciami po poręczy fotela. Patrzył na Carmody'ego zdumiony, trochę zaniepokojony. Potrząsnął głową.

- Drogi Boże są niepojęte - rzekł łagodnie. - To, o co zabiegamy z człowieczą pychą, jest nam odmawiane. To, o co zabiegamy w pokorze dla dobra innych, przychodzi do nas, jakkolwiek środki mogą być dziwne.

Przez parę minut siedział z głową spuszczoną, po czym znów podniósł wzrok na Carmody'ego.

- Zdumiewa mnie pan pod wieloma względami - powiedział. - Otrzymałem w odniesieniu do pana polecenia od jego ekscelencji, ale wolałem przedtem pana wysłuchać. Pan uzurpował sobie kapłaństwo. Wyznaczał pan pokutę w konfesjonale. Więc teraz niech pan wyznaczy pokutę sobie samemu... czy też nie wyznaczy. Nie mam władzy, żeby zmuszać pana.

Carmody stał przed nim, ale oczy podniósł na krucyfiks. To była chwila, której się spodziewał. Mierzył się z tą chwilą przez całą ubiegłą noc, gdy modlił się sam w kościele. Mierzył się z tą chwilą częściowo i w inne noce, ale tej nocy zmierzył się z nią w całej pełni.

- Przykro mi - powiedział. - Mam nadzieję, że dokonałem czegoś dobrego, ale cel przecież nie uświęca środków. Nie zrobiłbym już nigdy tego, co zrobiłem.

Mógł to powiedzieć szczerze, chociaż pozornie wykreślał tym samym fakt, że istnieje w jego życiu Anne i ci lojalni

249

prości ludzie, którzy pokochali go pełni ufności i oddania, i chociaż zarazem wykreślał całą swoją działalność w służbie tych ludzi. Jakaś głębsza mądrość powiedziała mu ubiegłej nocy, że mógłby być pozyskać od życia wszystko, na co

zasłużył, bez popełniania świętokradztwa, tylko pracując z takim samozaparciem, z jakim pracował w cieniu gniewu Bożego.

- Przyjmę pokutę w konfesjonale - rzekł - pokuta jednak jest wymierna... dzień, tydzień, miesiąc. Natomiast zadośćuczynienie to inna sprawa, może trwać aż do końca mojego życia.

Wiedział, że ksiądz Cornelius porusza się i wychyla z fotela i usłyszał skrzypnięcie krzesła księdza Kellera, ale nie spojrział na żadnego z nich. Wpatrywał się w krucyfiks pamiętając, jak głęboko groza wszystkiego, co ten symbol reprezentuje, poraziła jego duszę. Był krucyfiks nad jego łóżkiem i w ciemności konfesjonau, i nad ołtarzem - memento wszystkiego, co on zdradził. Ale teraz przypomniało mu się również, jak subtelnie ten symbol się zmieniał i jak Bóg gniewu w odpowiedzi na jego modlitwy złagodniał i dał mu odwagę i siłę, przywrócił mu dawno utraconą wiarę.

- Nikt nie mógłby po przeżyciu tego, co ja przeżyłem, pozostać taki sam, jaki był przedtem - powiedział. - Nauczyłem się, że służenie potrzebom innych jest najsowiciej wynagradzaną pracą w życiu na ziemi. Wiem też, że to jest praca trudna. Nie potrafię być księdzem; brak mi zbyt wielu cech, jakie ksiądz mieć powinien. Ale wyznaczyłem sobie pokutę. Znajdę jakąś dziedzinę służby w Kościele czy też podległą Kościołowi, gdzie będę mógł to, co mam, dawać ludziom, którzy tego potrzebują. Będę musiał poprosić pewną dziewczynę, żeby dzieliła takie życie ze mną, wiedząc, że ono nigdy nie da nam ani sławy, ani zaszczytów, ani dużo pieniędzy.

Teraz przesunął wzrok z krucyfiksu na przewielebnego księdza Timothy Corneliusa i już przywrócona mu została jego własna tożsamość - stał się człowiekiem, który może żyć bez wstydu, bez usprawiedliwiania siebie, bez przebrania w tym świecie, jaki sam sobie wybrał. Przedstawiciel biskupa patrzył na niego, ale teraz w oczach nie miał chłodu.

- To jest sprawa pomiędzy Bogiem i pana duszą - rzekł

250

łagodnie. I otrząsnął się, jak gdyby z jakiegoś uroku. - Jego ekscelencji biskupowi

mam do powiedzenia tylko to, że będzie pan nadal nosił koloratkę i podtrzymywał pozory i godność księdza, dopóki nie zobaczy się pan sam z jego ekscelecją. On wtedy porozmawia z panem, opierając się na sprawozdaniu, które mu złożę. I ułatwi panu wyjazd z Chin po cichu.

Carmody chwycił się mocno poręczy fotela.

- Czy to znaczy, że nikt tutaj się nie dowie, że nie jestem księdzem?
- Czy byłoby dobrze dla tych ludzi, gdyby wiedzieli?
- Nie.
- No właśnie. Wyjedzie pan jutro z karawaną. Ja zostanę z księdzem Kellerem, dopóki nie załatwimy dyskretnie pewnych koniecznych spraw. To jest nasze zadanie i nie musi pana interesować.

W szarych oczach przedstawiciela biskupa Carmody widział teraz dobrotliwość.

Skończyło się całe to straszne przejście. Kościół, służąc celom, które są czymś nieskończenie ważniejszym niż grzechy i głupstwa jednego człowieka, poprzestaje na tym, że usuwa go, pozostawia go Bogu i pozwala, żeby dobro, jakie dane mu było uczynić, przetrwało. Zawahał się. Te słowa przyszły mu z trudnością:

- Jest jeszcze jedna sprawa, proszę księdza...
- Panna Scott?
- Tak. Skąd ksiądz wie o tym?
- Domyśliłem się. Żyję już tak długo. Czy jej wiadomo, że pan nie jest księdzem?
- Tak. Od wczoraj.
- Nic przedtem nie zaszło między wami?
- Nie. Chciałbym z nią porozmawiać, powiedzieć jej...

Przedstawiciel biskupa potrząsnął głową.

- Ryzyko emocjonalne. Dopóki pan nie wyjedzie daleko i nie zdejmie koloratki na zawsze, proszę się uważać za zobowiązanego do dyscypliny... swojej własnej, jeżeli nie mojej. - Było w tych zmęczonych oczach zrozumienie. - Ja jej powiem o pana planach, żeby mogła pojechać za panem, jeżeli chce. Niech mi pan wierzy, tak będzie lepiej dla was obojga.



Nagle uczucie buntu szarpnęło Carmodym, ale tylko przelotnie.

251

- Ksiądz ma rację, oczywiście.

Carmody powiedział obu księżom dobranoc i obaj odpowiedzieli mu uściskiem dłoni. Gdy poszli na górę, on wyszedł w ciemność nocy. Na schodkach plebanii siedział ktoś skulony.

To John Wong, zbyt honorowy, żeby pozostać gdzieś blisko księży, gdzie mógłby podsłuchiwać ich rozmowę, siedział tu samotnie przed domem. Widząc Carmody'ego wstał pospiesznie. Wzburzenie malowało się na jego zwykle spokojnej twarzy, strapienie w oczach. Nie było nigdy żadnych pogłosek, których John Wong by nie słyszał.

- Shen Fu - zapytał - ksiądz odjedzie?

Carmody spojrzał w te ciemne oczy. Oto jeszcze jeden człowiek mający zawsze żyć w jego pamięci.

- Tak, John - rzekł. - Jutro.

- Jutro! - John Wong stał wyprostowany. Dwa razy otworzył usta zanim zdołał dobyć głos. Skłonił głowę. - Kościół wie najlepiej - powiedział.

Carmody położył mu rękę na ramieniu.

- Tak, John. Kościół wie najlepiej.

Wyszedł na rozległy dziedziniec misji. Karawana odjechała, żeby przez tę noc obozować w wiosce, i na terenie misji było bardzo cicho. Jaśniało tylko jedno okno szpitala i zasłonięte storą okno pokoju Anne. Stał w cieniu, patrząc w jej okno. Myślał o tym, że nie usłyszy odpowiedzi Anne przed wyjazdem. Ona jest nie dalej niż o pięćdziesiąt jardów, a przecież oddalona o całe miesiące. Anne będzie mu towarzyszyła w życiu tak, jak Beryl towarzyszy Dave'owi Sigmanowi i jak Beryl z Dave'em będzie dzieliła z nim wszystko. Tego był pewny. Czuł jednak jakiś pośpiech, ową niecierpliwość nazwaną przez spokojnego księdza ryzykiem emocjonalnym. Potrząsnął głową.

Już wiedział, że nie chce usłyszeć odpowiedzi Anne dzisiaj. Nie ma prawa nawet chcieć. Wystarczy, że ma prawo czekać na jej odpowiedź - prawo, które dotąd

wydawało mu się nieosiągalne.

I oto są przed nimi piosenki do śpiewania i filmy do oglądania, drogerie z wodą sodową w połyskliwych kulach szklanych i z czasopismami na drążkach. Stary świat, żeby we dwoje odkrywali go na nowo. Będą też musieli odkrywać

252

się wzajemnie w owym świecie, w który wkroczą już nie umundurowani, i będą musieli uczyć się, co pamiętać, a o czym zapomnieć. I nade wszystko jest przed nimi praca do wykonania wspólnie, życie do ułożenia po swojemu. To jak ponowne narodziny. Serce drżało Carmody'emu z niecierpliwości, ale stanowczo odwrócił się i odszedł.

Za bramą misji po raz ostatni poszedł na most przerzucony nad rzeką. W tamtą pierwszą noc w deszczu zsiadł z osła, bo jego drugi osioł, juczny, zatrzymał się w połowie mostu ze swoim oślim uporem. Pod mostem rzeka płynęła. Kiedyś chciał te wartkie wody wykorzystać, żeby uciec. Skierował wzrok z powrotem ku misji.

Zobaczył latarnie przy bramie, światło szpitala, okno Anne.

Jutro odjadę od tego wszystkiego - pomyślał ze wzruszeniem- Dave Sigman i Beryl, John Wong, te płochliwe małe pomocniczki pielęgniarek. Te sierotki takie sztywne i poprawne, kiedy przychodziłem na wizytacje. Już nie jestem ich księdzem. I one nie będą wiedziały, że ich księdzem nigdy nie byłem. Podniósł rękę tak, jak podnosił często w błogosławieństwie. Nie było nikogo, kto by to widział i kogo by to zgorszyło. Powiedział na pożegnanie:

- Dominus vobiscum.

I wydawało się, że płynąca w dole po głazach ta wartka rzeka odpowiada jak jego uroczyści, mali ministranci:

- Et cum spiritu tu o.

Tak odpowiedziała Jimowi Carmody rzeka.

ir

---

## SPIS TREŚCI

Część pierwsza. Część druga. Część trzecia.

UWERTURA MEŹCZYŻNA KOBIETA . . .I BÓG . . .

Wydanie II Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1993

Druk i oprawa: Łódzka Drukarnia Dziełowa Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45 Zam.

420/93